

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

Przygody Huck'a

Marek Twain

ROZDZIAŁ I.

Cywilizowanie Huck'a. — Mojżesz w trzcinach. — Miss Watson, — Tomek Sawyer czeka na mnie.

Muszę państwu powiedzieć, że ja i Tomek Sawyer, mój przyjaciel, znaleźliśmy pieniądze, które rabusie ukryli byli w jaskini, i to nas zbogaciło. Dostaliśmy każdy po sześć tysięcy talarów, samem złotem. Otóż sędzia Thalecher wziął je i oddał na procent, co nam przynosiło każdemu po dolarze dziennie, przez rok cały. Wdowa Douglas'owa wzięła mnie do siebie za syna i obiecała, że mnie ucywilizuje; ciężko jednak było wytrwać w tym domu, tak okropnie porządną i przyzwoitą była wdowa i wszystkie jej postęпки. To też ile razy nie mogłem wytrzymać, wymykałem się, włożywszy na siebie stare łachmany i kapelusz od głowy cukru; czułem się całkiem swobodny. Tomek Sawyer zawsze mi obiecywał, że zebrawszy bandę rozbójników i stanąwszy na jej czele, przyłączy mnie do niej, bylebym tylko pozostał u wdowy i porządne wiódł życie. Wracałem też do niej.

Wdowa płakała nademną, nazywając mnie biedną owieczką zbłąkaną i różne inne dając mi przezwiska, któremi zresztą nie chciała mnie krzywdzić. Sprawiała mi też nowe ubranie, w którym się strasznie pocilem, bo było ciasne. Gdy wdowa zadzwoniła na wieczerzę, trzeba było zaraz przychodzić i czekać, aż ona, spuściwszy głowę, pomruczy trochę nad jedzeniem, które, prawdę rzekłszy, było niczego.

Po wieczerzy wdowa wydobywała księgę i uczyła mnie o Mojżeszu i o trzcinach. Aż poty na mnie bity, tak pragnąłem dowiedzieć się wszystkiego o Mojżeszu, ale gdy się pokazało, że on już oddawna nie żyje, przestałem dbać o niego, bo co mnie tam obchodzą umarli.

Dość wczesnie uczuwszy pociąg do tytoniu, prosiłem wdowy, żeby mi palić pozwoliła; otrzymałem jednak odpowiedź, że to brzydki nałóg, że z tego w domu nieporządek, że więc palić nie powinienem. Są widać osoby przyzwyczajone do powstawania na to, o czym nie mają pojęcia. Wdowa zawracała mi głowę Mojżeszem, który jej ani brat, ani swat, i nikogo nie obchodzi skoro już umarł i broniła mi palić, a sama zażywała tabakę, uważając to, ma się rozumieć, za dobre — ponieważ to ona robiła.

Siostra jej, miss Watson, przychuda nieco stara panna, z puklami w obwarzanek zwiniętymi na skroni, zamieszkawszy z nią, gnębiła mnie elementarzem, znęcając się nademną codziennie przez pół godziny. Nie mogłbym wytrzymać dłużej! Potem z dobrą godzinę bywało śmiertelnie nudno, więc też zaczynałem się kręcić. Wtedy miss Watson mawiała:

— Huckleberry, po co kładziesz tu nogi?" — albo: Nie garb się tak, siedź prosto.

W parę minut znów zrzędziła:

— Nie otwieraj ust, nie przeciągaj się tak; dlaczego nie siedzisz przyzwoicie — i opowiadała mi o tem miejscu, gdzie duszę idą za karę. Gdy rzekłem, że chciałbym się tam dostać, aż oniemiała ze zgrozy, choć nie miałem zamiaru powiedzieć nic złego. Prostu pilno mi było pójść sobie gdzieindziej, pragnąłem zmiany, nie będąc wcale wybredny w wyborze miejsca. Miss Watson twierdziła, że to grzech tak mówić i że ona za nic w świecie nie powiedziała by tego, albowiem pragnie się dostać do miejsca wiecznej szczęśliwości. Nie widząc żadnej dla siebie korzyści w przebywaniu gdziekolwiek z nią razem, postanowiłem nie starać się o to. Tego jednak nie powiedziałem, bo byłaby nowa historia, a pożytku żadnego,

Górze tedy wzięwszy nademną, poczęła opowiadać wszystko, co tylko jej było wiadomo o miejscu onej szczęśliwości. Mówiła, że człowiek, nic tam nie robiąc, będzie tylko siedział z harfą i śpiewał. Jakoś mi się to nie zdawało, alem nie pisał ani słówka. Spytałem tylko, czy Tomek Sawyer

tam pójdzie? A ona: Nie! daleko mu do tego! Bardziej się wtedy ucieszył, chciałem bowiem, żebyśmy zawsze byli razem.

Ale miss Watson ciągle cierpiała coś do mnie, aż mi się to w końcu uprzykrzyło. Niezadługo potem zaczęła sprowadzać wszystkich murzynów na pacierz, a po pacierzu iść musiał każdy do łóżka. Ja więc poszedłem do swego pokoju z kawałkiem świecy, a postawiwszy ją na stole, sam siadłem na krześle przy oknie i próbowałem myśleć o czymś wesołym, ale napróżno. Czułem się taki sam i taki smutny, że prawie śmierci już pragnąłem. Gwiazdy świeciły na niebie, w pobliskim lesie posępnie jakoś szumiały liście; w oddali odzywała się sowa, zawodząc po kimś, kto już umarł; przy domu pies i puszczyk, wzajemnie sobie wtórując, zapowiadały śmierć komuś; wiatr usiłował coś mi powiedzieć, coś do ucha szepnąć, a ja nie mogłem zrozumieć, o co idzie i aż mnie dreszcze przejęły. Zapragnąłem jakiegoś towarzystwa. Aż oto pająk zaczął mi leżeć po ramieniu. Straciłem go tak silnie, że wpadł w płomień; zanim zdążyłem dobiec do stołu, już był nieżywy. Nie wątpiłem, że to zły znak i że śmierć pająka pewno mi smutek przyniesie, to też przestraszony, zacząłem z siebie zrywać ubranie. Po trzech obrotach w kółko, przy żegnaniu się za każdym razem, wziąłem promień swych włosów i szczelnie obwiązałem go nitką, aby oddalić od siebie czarownice, które urzec mnie mogły. Lecz to mi spokoju nie przywróciło. Drżąc ze strachu, wydobyłem fajeczkę, aby się trochę zaciągnąć, pewny, że mnie teraz wdowa nie złapie. Siedząc tak, słyszę, że w pobliskim mieście zaczyna bić zegar. Bum! bum! bum! dwanaście razy uderzył — potem znów cisza. Wtem, na dole, pośród drzew, gałązka trzeszczy złamana... coś się tam rusza. Prawie tłumiąc oddech, słuchałem. Po chwili zaledwie dosłyszałem na dole: "Mia-u! Mi-a-u-u!" Doskonale! Więc ja też: "Mia-u! Mi-a-u-u!" jak najciszej... Zdmuchnąwszy świecę, wyszedłem przez okno na gzems, biegnący wokoło domu. Ztamąd zsunąłem się na ziemię i podpełzłem pomiędzy drzewami w głąb ogrodu, gdzie, ma się rozumieć, czekał na mnie... Któżby inny, jak nie Tomek Sawyer!

ROZDZIAŁ II.

CHŁOPCY WYMYKAJĄ SIĘ JIM'OWI. — BANDA ROZBÓJNICZA. PLANY GŁĘBOKO OBMYŚLANE.

Szliśmy na palcach ścieżyną, która, wijąc się wśród drzew, wiodła na skraj ogrodu. Idąc, musieliśmy pochyłać się, żeby gałęzie nie podrapały nam twarzy. Nagle w ciemności potknąłem się o korzeń tuż przy kuchni. Narobiwszy hałasu, musieliśmy przycupnąć do ziemi i leżeć cicho. Jim, ogromny murzyn, należący do miss Watson, siedział w otwartych drzwiach kuchni, widzieliśmy go jak najwyraźniej, przed światłem. Usłyszawszy hałas, wstał, wyciągnął szyję i nasłuchiwał przez parę minut.

— Kto tam? — zapytał.

Znów nasłuchuje, a wreszcie wszedłszy do ogrodu, tak stanął między nami dwoma, że każdy z nas mógł być dotknąć go ręką. Jak na złość zaczęło mnie swędzić kolano, potem ucho, następnie plecy, pomiędzy samymi łopatkami. Zdawało mi się, że umrę, jeżeli się nie podrapię. Już ja to nieraz zauważyłem, że gdy jesteś w przyzwoitem towarzystwie, albo na pogrzebie, albo leżeć musisz, nie mogąc spać wogóle, wówczas, gdy ci się drapać nie wypada, to odrazu w kilkunastu miejscach poczujesz swędzenie. Po chwili Jim się odzywa:

— Kto tam? Odezwij się. Czy tam jest kto? Bodaj pies zdeptał mego kota, jeżeli ja nie słyszał, że coś chodzi. Wiem, co zrobię. Będę tu siedział, póki znów czego nie usłyszę.

Usiadł więc na ziemi, pomiędzy mną i Tomkiem. Plecami oparł się o drzewo, a nogi wyciągnął przed siebie tak, że jedną prawie dotykał mojej. Poczulem swędzenie w nosie i to tak silne, że aż łzy mi stanęły w oczach, nie podrapałem się jednak, żeby nie zdradzić swej obecności. Matom ze skóry nie wyskoczył, tak mi dokuczało swędzenie w różnych miejscach. Trwała ta męczarnia kilka minut, a wy dała mi się bardzo długą. Gdy już czułem, że nie wytrzymam, Jim zaczął oddychać ciężko, a potem chrapał.

Wówczas pełzając po cichu na rękach i na kolanach, oddalaliśmy się od Jima coraz bardziej. Nagle Tomek szepnął mi, czyby nie można przywiązać Jim'a do drzewa, ot tak przez figle. Ja nie przystałem. Mógł narobić hałasu i zarazby się wykryło, że mnie niema w domu. Za chwilę potem Tomek postanowił zabrać z kuchni parę świec. Jakoż udało nam się zdobyć trzy świece, za które położył na stole pięć centów. Pomimo, że na mnie aż poty były z niecierpliwości, Tomek popełnił na czworakach do Jim'a, aby mu spłatać jakiegoś figla. Skoro powrócił, dowiedziałem się, że zdjąwszy Jim'owi kapelusz z głowy, zawiesił go na dość wysokiej gałęzi. Później Murzyn opowiadał, że czarownice urzekły go i pozbawiwszy przytomności, jeździły na nim wierzchem po okolicy. Pięciocentówkę zaś nosił zawsze na szyi, zawieszoną na sznureczku, mówiąc, że to dany mu przez dyabła talizman na każdą chorobę i na sprowadzanie czarownic do usług. Schodzili się zewsząd murzyni i dawali Jim'owi co kto miał, aby tylko pokazał im tę monetę, ale żaden nie chciał jej dotknąć dlatego, że była w dyabelskim ręku. Jako służący stał się Jim do niczego, tak shardział od chwili, gdy dyabła widział na własne oczy i czarownicom służył za wierzchowca.

Spotkawszy Józia Harper, Benia Rogers i kilku innych chłopców, ukrytych w sadzie zapuszczonym, popłynęliśmy z nimi łódką ku wąwozowi, odległemu na jakie półtrzeci mili. Tu, w krzakach, Tomek, odebrawszy od nas przysięgę, że dochowamy tajemnicy, pokazał nam rozpadlinę, wiodącą w głąb wzgórza, a ukrytą w zaroślach najgęstszych; zapaliwszy świece, wczołgaliśmy się wewnątrz na czworakach do obszernej jaskini, Tomek zaś, będący na przedzie, wrócił się popod

ścianą i znikł niebawem w otworze tak ukrytym, że niktby go się nie był domyślił. Poszliśmy wszyscy jego śladem, a po przejściu przez wąziutki korytarzyk, znaleźliśmy się w małym niby pokoiku, wilgotnym i zimnym. Tomek powiada:

— No! teraz utworzymy bandę rozbójników i nazwiemy ją bandą Tomka Sawyer. Każdy, kto chce do niej należeć, niech złoży przysięgę i krwią podpisze swoje nazwisko.

Zgoda była ogólna i ochocza.

Tomek wy dostał więc arkusz papieru, na którym poprzednio napisał był przysięgę i przeczytał ją głośno. Każdy, z chcących, należeć do bandy, zobowiązywał się, że święcie dochowa wszystkich tajemnic.

Gdyby który z członków bandy zdradził jej tajemnicę, czekała go za to kara ścięcia, poczem trup jego miał być spalony, popioły na wiatr rzucone, imię jego krwią wykreślone ze spisu członków. Pozostałym wzbierało się wymawiać imię zdrajcy, które miało być uroczyście przeklęte, a potem na wieki zapomniane.

Wszyscy uznali jednomyślnie, że rota przysięgi jest prześliczna i każdy zapytywał Tomka, czy ją sam ułożył. Tomek odpowiadał każdemu, że trochę sam, a resztę wziął z książek o rozbójnikach morskich i opryszkach.

Niektórzy odezwali się z tem, że należałoby zabijać rodziny zdrajców, którzy wydali tajemnicę stowarzyszenia. Tomkowi podobał się ten pomysł: wziął więc ołówek i dodał kilka słów w tym sensie. Na to odzywa się Benio Rogers:

— No, a Huck Finn? On niema nikogo z rodziny. Cóż z nim będzie?

— Ma przecie ojca — odpowiada Tomek.

— Tak, ma ojca, ale nikt teraz nie wie, gdzie się ten ojciec podziewa. Dawniej widywano go po chlewach, gdzie spał pijany razem z wieprzami, ale od roku przeszło nikt go nie spotkał w tych stronach.

Zaczęli rozprawiać o tem i o mały włos nie wyrzucili mnie z pomiędzy siebie, mówili bowiem, że każdy z nas musi mieć rodzinę, lub kogoś, przeznaczonego do zabicia, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby wśród nas sprawiedliwości. Nikt nie wiedział, co na to poradzić, milczeli więc wszyscy, zakłopotani. Ja gotów byłem płakać, ale naraz przyszła mi myśl szczęśliwa do głowy:

— Oddam wam miss Watson! — krzyknąłem.

Na co oni, jak jeden, zawołali.

— Prawda! prawda! Można zabić miss Watson! Wszystko w porządku! Przyjmujemy miss Watson! Może Huck do nas należeć.

Poczem każdy szpilką ukłuwszy się w palec, wycisnął kropelkę krwi i nią podpisał swoje nazwisko, kto zaś pisać nie umiał, ten znak swój własnoręcznie położył na papierze.

— A teraz — zaczął Benio Rogers — naradzić się trzeba, jaka będzie działalność stowarzyszenia.

— Żadna inna, prócz grabieży i morderstw! — odparł Tomek.

— Ale kogo i co grabić mamy? Domy, bydło lub...

— Pleciesz! Kto zabiera bydło i tym podobne rzeczy, nie rozbójnikiem jest, lecz złodziejem — odpowiada Tomek.

— My nie złodzieje, jeno rozbójnicy. W maskach na twarzy, zatrzymując na gościńcach wozy z towarami, będziemy zabijali podróżnych, żeby im zabierać zegarki i pieniądze.

— Czy koniecznie zabijać trzeba?

— Koniecznie. Tak wypada. W niektórych książkach czytałem, że lepiej nie, ale w innych uważane to jest za konieczność. Z wyjątkiem, ma się rozumieć, tych podróżnych, których się tu

przyproceedzi do jaskini i trzymać będzie, dopóki nie złożą okupu.

— Okupu? Co to znaczy?

— Nie wiem dobrze... "*Wziąć okup.*" Tak stoi w książkach, naturalnie więc tak czynić trzeba.

— Ale jakże możemy tak czynić, skoro nie wiemy dobrze, co to jest?

— E! nie nudź. Musimy i koniec. Nie słyszysz, tak w książkach stoi!

— Więc chcesz być rozbójnikiem byle jakim i robić nie to, co potrzeba, lecz to, co ci przyjdzie do głowy?

— Dobrze ci mówić, Tomku, ale jabym tylko chciał wiedzieć, co będzie, jeżeli i nasi jeńcy nie będą rozumieli, co to jest "okup?" Jak ty myślisz: co to znaczy?

— Nie... nie wiem... Może oni będą wiedzieli...

— A jeżeli nie będą, to co?

— Ha! to trzeba ich będzie trzymać w niewoli, dopóki nie pomrą.

— A! tak, to rozumiem. Tak, to dobrze. Czemużeś odrazu tak nie mówił? Myślę tylko, że będzie z nimi dużo kłopotu, bo to im trzeba jeść dawać i pilnować, żeby nie puciekali.

— Co też ty pleciesz, Beniu? Jakże mogą puciekać, z pod straży, gotowej do zabicia ich, gdy palcem ruszą?

— Straż? A to mi się podoba! Więc musimy pilnować ich dnie i noce?

— Głupstwo! Dlaczego nie marny zabić ich odrazu, zamiast czekać aż "wezmą okup" i umrą?

— Dlatego, że tak stoi w książkach. Powiedz mi raz, Beniu, czy chcesz być prawdziwym rozbójnikiem, czy nie? Albo myślisz może, że ci, co pisali książki, nie wiedzieli, jakim rozbójnik być powinien? Czy chcesz ich uczyć rozumu i myślisz, żeś ty od nich mędrszy? Nie... Prawda? A więc kiedy nie, to siedź cicho i postępuj według prawideł.

— Dobrze już, dobrze. Nie upieram się, tylko chciałem zrozumieć. A kobiety? Czy także mamy zabijać?

— Słuchaj, Beniu, gdybym tak niczego nie rozumiał, jak ty, to jużbym przynajmniej cicho siedział. Zabijać kobiety? W jakiejże książce powiedziano, że można zabijać kobiety? Nie! Przyproceedziwszy je do jaskini, będziesz dla nich słodki jak cukierek; zawsze skończy się na tem, że kobieta zakocha się w tobie i nie zechce wracać do domu.

— No, kiedy tak, to tak. Tylko widzisz, niezadługo tyle się w jaskini nazbiera kobiet i jeńców czekających na "okup," że zabraknie miejsca dla rozbójników. No, ale niech i tak będzie.

Mały Tomuś Barnes rozespał się przez ten czas na dobre; gdy go zbudzono, przestraszył się i zaczął krzycheć, że on chce iść do domu, do swej mamusi, a nie myśli już wcale być rozbójnikiem.

Inni, śmiejąc się z niego, przezywali go beksą, Tomuś więc rozłoszczony, zagroził wydaniem wszystkich tajemnic. Tomek Sawyer dał mu tedy pięć centów, żeby milczał, nam zaś polecił rozejść się i wyznaczyć schadzke za tydzień.

Benio Rogera oświadczył, że będąc wolnym tylko w niedziele, w inne dni na rozbój chodzić nie może.

Ale wszyscy chłopcy oparli się temu, utrzymując, że grzech rozbijać w niedzielę jako w dzień Pański.

Poczem, obrawszy Tomka Sawyer dowódcą, a Józia Harper jego namiestnikiem, rozeszliśmy się do domów.

Wróciłem przez okno do pokoju przed samym świtem. Nowe moje ubranie potłuszczone było i całe gliną zawalane, a ja okropnie zmęczony.

ROZDZIAŁ III

PORZĄDNA TURA. — DWIE OPATRZNOŚCI. — GENIUSZE. — TOMEK SAWYER OKŁAMUJE MNIE.

No, porządną też wziętem burę nazajutrz rano od starej miss Watson za to, że tak powalałam ubranie! Ale co wdowa, to nie łajała mnie wcale, tylko wzięła się do czyszczenia i wywabiania plam, a tyle przy tem miała roboty, tak się zmęczyła, że postanowiłem być lepszym choć przez dni kilka. Właśnie wzięła mnie z sobą miss Watson do maleńkiego pokoiku i zaczęła modlić się ze mną, mówiąc, że o cokolwiekbym prosił, otrzymam. Prosiłem, modliłem się codzień, co rano, ale nie. Nic nie otrzymałem! Próbowałem znów. Nic! Raz dostałem wędkę, ale bez haczyków. Wędka bez haczyków na nic. Prosiłem więc kilka razy o haczyki, ale nadaremnie. Po paru dniach spytałem miss Watson, czy ona nie mogłaby prosić za mnie, ale odpowiedziała, że jestem głupi, nie tłumacząc mi nawet, dlaczego.

Pewnego dnia długo nad tem w lesie rozmyślałem: Jeżeli każdy może otrzymać wszystko, o co prosi, dlaczego sąsiad nasz nie może odzyskać pieniędzy, które stracił na wieprzach? Dlaczego miss Watson nie może przytyć troszeczkę? Nie, to coś nie tak, jak mówi miss Watson. Idę tedy do wdowy i pytam jej, jak to jest naprawdę. A ona mi tłumaczy, że każdy otrzymać może to, o co prosi, ale że prosić należy jedynie o "dary duchowe, " nie zaś o nabytki doczesne. Za mądre to było dla mnie, ale mi zaraz wytłumaczyła: "Powinieneś dopomagać drugim, każdemu dobrze czynić, myśleć o szczęściu drugich, o swoim zaś najmniej. Starszych trzeba szanować i słuchać... " No, to się już do miss Watson ściąga... z pewnością!

Znów poszedłem do lasu, żeby *to* sobie obrócić w głowie na wszystkie strony. Nie widząc jednak dla siebie żadnej korzyści w myśleniu ciąglem "o drugich, " postanowiłem dłużej się tem wcale nie frasować.

Czasami wdowa, wezwawszy mnie, tak opowiadała o Opatrzności, że mi się aż miękko na sercu robiło, ale już nazajutrz z nowych rozpraw miss Watson — o Opatrzności — wyciągałem wnioski wprost odwrotne. Przypuszczałem więc, że muszą być dwie Opatrzności: z Opatrznością wdowy byłoby biedakowi jak u Pana Boga za piecem, ale gdyby go złapała Opatrzność miss Watson, to już po nim! Wszystko to sobie obmyślawszy, postanowiłem, w razie gdyby mnie przyjęła Opatrzność wdowy, pójść pod Jej rządy. Nie wiem tylko jakąby ona korzyść ztąd miała, boć ja nieborak głupi i prosty, włóczęga biedny i nic więcej.

Taty nie widział nikt od roku przeszło i bardzo mi z tem było dobrze; nie miałem najmniejszej ochoty znów go zobaczyć. Miał brzydki zwyczaj bić mnie zawsze, nawet gdy był trzeźwy, to też spędzałem w lesie prawie cały czas bytności jego w okolicy. W tych dniach właśnie znaleziono go w rzece, o jakie dwanaście mil od miasta: utonął! Tak przynajmniej mówiono, gdyż topielec tego samego był wzrostu, tak samo obdarty, takie same długie miał włosy — Tatko wykapany! Twarzy tylko rozpoznać nie mogli, bo tak długo leżała w wodzie, że już przestała być twarzą. Zwłoki, płynące na wznak, wydobyto i pogrzebano na brzegu. Ale ja ciągle byłem niespokojny, bo mi zawsze stało na myśli, com kiedyś słyszał: że mężczyzna gdy utonie, wypłynąć na wznak nie może, tylko zawsze twarzą do wody. - Pewien więc byłem, że to nie Tatko, lecz jakaś kobieta w stroju męzkim.

Bawiliśmy się od czasu do czasu w rozbójników, z miesiąc może, a potem daliśmy pokój. Nikogośmy nie ograbili, ani zabili, tylko tak udawaliśmy, że napadamy. Czyniąc zasadzki w lesie, uderzaliśmy na ludzi pędzących wieprze do miasta, na kobiety wiozące na targ jarzyny, niewolników

jednak nie braliśmy. Tomek Sawyer nazywał wieprze "jeńcami" a jarzyny "łupem."

Pewnego dnia Tomek wyprawił jednego z naszych chłopców do miasta i kazał mu biegać po ulicach z zapalonym patykiem, t.j. z "żagwią mordy", na znak, że banda powinna się zebrać czemprowadzej. Po zebraniu powiedział nam, że przez szpiegów swoich ważne otrzymał wiadomości. Nazajutrz stanąć miała obozem w jednej z dolin górskich karawana kupców hiszpańskich i Arabów bogatych, wiodąca z sobą dwie w scie słoni, sześćset wielbłądów i przeszło tysiąc mułów, objuczonych samymi brylantami; cała zaś straż karawany składała się z czterystu zaledwie żołnierzy. Otóż uczyniwszy zasadzkę, mieliśmy niespodzianie uderzyć na karawanę, rozbić ją i zabrać skarby. Kazał nam broń wyczyścić, opatrzyć i stać w wojennym pogotowiu. Nawet przy pogoniach za wózkiem z rzepą musieliśmy zawsze mieć broń wyczyszczoną, choć składała się ona tylko z kijów od mioteł i blaszanych szabelek, które trzecią można było i szorować do siódmego potu, blacha zaś zawsze była blachą, tak jak kij kijem. Nie wierząc, żebyśmy mogli pobić taką moc Hiszpanów i Arabów, z ciekawości jedynie ujrzenia wielbłądów i słoni, stawilem się nazajutrz, w sobotę, o wyznaczonej godzinie.

Z gęstych zarośli na komendę wodza zbiegliśmy pędem w dolinę. Nie było tam jednak Hiszpanów, ani Arabów, nie było wielbłądów, ani słoni, ale za to spotkaliśmy dzieciaków z niedzielnej szkółki, na majówce.

Napadliśmy na nie i rozpędzili, jedyną wszakże naszą zdobyczą były pierniczki i marmolada. Benio Rogers znalazł wprawdzie zwiniętą z gałganów lalkę, a Józio Harper książeczkę do nabożeństwa, lecz nauczyciel, zmusiwszy nas do oddania łupu, rozpędził bandę. Brylantów nie widziałem wcale i powiedziałem to Tomkowi, on jednak upierał się, że były ich tam całe fury; byli też i Arabowie, słonie i wszystko, co być miało. Na pytanie moje, dlaczego ja nic nie widziałem, nazywał mnie nieukiem, dodając, że gdybym znał "Don Kichota," pytałbym nie potrzebował. Stało się to wszystko za sprawą czarów. Nieprzyjaźni nam czarnoksiężnicy przemienili wszystko w dzieciaków z niedzielnej szkółki, w pierniczki i w galaretę.

— Skoro tak — odpowiedziałem — to trzeba bić się z czarnoksiężnikami.

— Cóż ty sobie myślisz, głowo cieleca — odparł Tomek — czy to czarnoksiężnik niema całego wojska geniuszów, które cię rozsiekają na drobny mak, zanim powiesz "*Jack Bobinson?*" Każdy geniusz wysoki jak drzewo, a gruby jak kościół.

— A jeżeli kilku geniuszów stanie po naszej stronie, czy nie możemy zwyciężyć tamtych?

— Aha! A zkadże weźmiesz geniuszów?

— Nie wiem. Zkadże ich biorą czarnoksiężnicy?

— To co innego. Taki czarnoksiężnik potrzebie sobie pierścień albo starą lampę blaszaną i geniusze hurmem się cisną do niego... Pioruny biją, grzmot huczy, błyskawice po niebie latają, dym bucha kłębamami, a czarnoksiężnik geniuszom rozkazuje i co im powie, to ono czynią. Dla nich to nic wyrwać wieżę z korzeniami i przerzucić ją sobie przez głowę razem z dyrektorem niedzielnej szkółki.

— Któż ich zmusi do wyrwania wieży?

— Każdy, kto potrzebie lampę albo pierścień. One są poddane każdemu, kto posiada lampę albo pierścień taki i muszą być posłuszne każdemu rozkazowi swego władcy. Jeżeli im powie: "Zbudujcie mi pałac na czterdzieści mil długi, cały z dyamentów i napełnijcie go od dachu do piwnic cukierkami, porwijcie cesarzowi chińskiemu córkę dla mnie za żonę, one zrobić to muszą i to zaraz, nim słońce wstanie. Więcej ci powiem: muszą na twój rozkaz przenosić ten pałac z miejsca na miejsce i to prędko: raz, dwa, trzy, jak walca tańczył. Rozumiesz?"

— Wiesz, co ja myślę? Głupie być muszą te geniusze, jeżeli tak szafują pałacami i cukierkami, zamiast je zatrzymać dla siebie! Niedoczekanie niczyje, żebym ja porzucił to, co robię, i pędził na

rozkazy pierwszego lepszego, kto potrze starą lampę albo pierścień!

— Sam nie wiesz, co gadasz, Huck. A ja ci powiadam, że rad nie rad i tybyś przyjść musiał.

— Ja? Gdybym był wysoki, jak to drzewo, a w sobie taki, jak nasz kościół?! No, dobrze, przyszedłbym, ale za to zmusiłbym tego człowieka do wdrapania się na drzewo najwyższe w całym lesie.

— Wiesz, Huck, z tobą gadać nie warto. O niczem nie masz pojęcia! Istna cieleca głowa!

Rozważając to wszystko przez dni kilka, postanowiłem wreszcie przekonać się, czy jest w tem cokolwiek prawdy. Wyszukawszy starą, blaszaną lampę i również stary pierścień żelazny, tarłem go w lesie aż do potu. licząc na to, że zbudowany przez gieniusza pałac sprzedam za dobre pieniądze. Ale wszystko na nic! nie przyszedł ani jeden gieniusz. Doszedłem więc do wniosku, że cała gadanina była kłamstwem, przez Tomka wymyślone. Może on zresztą i wierzył zarówno w Arabów, jak i w słonie, ale ja nie. To była poprostu szkółka niedzielna.

ROZDZIAŁ IV

POWOLI NAPRZÓD. — HUCK I SĘDZIA. — ZABOBON.

Upłynęło kilka miesięcy i nadeszła zima. Prawie przez cały ten czas chodziłem do szkoły, umiałem już czytać "spell" (1), pisałem jako tako, umiałem na pamięć tabliczkę mnożenia aż do: "sześć razy siedem, trzydzieści pięć." Zdaje mi się jednak, że gdybym żył nie wiem jak długo i przez całe życie chodził do szkoły, tobym nie potrafił nauczyć się jej do końca. Nie mam jakoś zapału do matematyki.

Z początku nie cierpiałem szkoły, ale powoli doszło do tego, że ją znosiłem. Gdybym był zanadto zmęczony nauką, szedłem zamiast do szkoły, na wagusy, a nazajutrz brałem za to odpowiednie natarcie głowy, które mnie orzeźwiało na czas jakiś. Im dłużej zresztą chodziłem do szkoły, tem nauka wydawała mi się łatwiejszą i zabawniejszą. Przyzwyczailem się także do mojej wdowy i dziwactwa jej przestały mnie razić. Co prawda, okropnie mi było ciężko żyć ciągle wśród czterech ścian i sypiać w łóżku, ale przed nadejściem zimy wykradałem się kiedy niekiedy i spędzałem noc w lesie pod gołym niebem, tak, że miałam trochę odpoczynku i ulgi. Wolałem dawny sposób życia, ale przywykałem do nowego, nawet zaczynałem go lubić. Wdowa mawiała, że postępy czynię: "powoli, ale naprzód" i bardzo była ze mnie zadowolona, dodając: że mnie się wstydzić nie potrzebuje.

Pewnego dnia przy śniadaniu zdarzył mi się wypadek: przewróciłem solniczkę. Jak najprędzej wyciągnąłem rękę, aby wziąć trochę soli i, dla odwrócenia nieszczęścia, rzucić ją przez lewe ramię po za siebie, ale zburczała mnie miss Watson. "Weźże ze stołu ręce — powiada — zawsze coś zbroić musisz." Wdowa wtrąciła jakieś słówko za mną, ale ja już wiedział, że nieszczęście nie da się odwrócić. Wstałem od śniadania w złym humorze, myśląc o tem tylko, z kąd na mnie bieda się zwali.

Są sposoby na odwrócenie pewnych nieszczęść, ale na to, które sprowadza sól rozsypana, nie ma żadnego. Chodziłem więc smutny, ciągle się mając na baczności.

Wkrótce potem, będąc w ogrodzie, spostrzegłem na śniegu jakieś ślady. Ktoś, idąc od lasu ku domowi, postąpił trochę przy bramie i obszedł ogród dookoła popod parkarem. Dziwne to było, że nie wszedł do środka, lecz krążył; przyglądając się bacznie owym śladom, spostrzegłem, że w obcasach lewego buta były ćwieki w kształcie krzyża, mające odpędzać dyabła. Zerwawszy się w mgnieniu oka, wpadam do sędziego Thatcher'a, zdyszany cały.

— Cóż to, mój chłopcze, tchu złapać nie możesz? Po procent przychodzisz?

— Nie, proszę pana, alboż jest?

— A jakże! Za całe pół roku. Dzisiejszej nocy upłynęło półrocze. Są pieniądze, są, sto pięćdziesiąt dolarów z górą. Niemały to grosz, jak dla ciebie. Daj mi upoważnienie do złączenia tej sumki z kapitałem, bo jeżeli ją weźmiesz do ręki, wydasz wszystko.

— Nie, proszę pana — mówię — me wydam, nie. Mnie tych pieniędzy nie potrzeba, ani tych, ani sześciu tysięcy. Niech pan sobie wszystko zabierze.

Zdziwił się sędzia, nie mogąc zrozumieć mojej mowy.

— Co to ma znaczyć, mój chłopcze?

— Niech pan się nie pyta. Proszę zabrać wszystko. Czy dobrze?...

— Nic nie rozumiem. Co ci się stało?

— Ja pana na wszystko proszę o wzięcie tych pieniędzy bez żadnych pytań, żeby mi nie kłamać nie

potrzebował.

Sędzia pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Aha! rozumiem. Chcesz mi pożyczyć swoją własność.

— Tak! Pożyczyć. Rozumie się!

— A cóż? Pożyczkę zaciągnąć mogę. Napisał więc coś na arkuszu papieru, przeczytał raz i drugi i mówi:

— Oto jest dowód, że pożyczyłem od ciebie sześć tysięcy na lat dziesięć z obowiązkiem wcielania procentu do kapitału. Podpisz imię i nazwisko. A teraz... masz oto dolara dla ciebie.

Podpisawszy, wziął dolara i wróciłem do domu.

Jim, murzyn miss Watson, posiadał kulę ze zbitej sierści, wielką jak pięść, wyjętą z żołądka wołu. Używał on jej do wróżenia, mówiąc, że w środku siedzi duch zaklęty, któremu wszystko wiadome. Zaraz więc powiedziawszy Jimowi, że tatko powrócił, bo widziałem ślady jego na śniegu, prosiłem go o wybadanie ducha, co tatko czynić zamierza i czy długo tu zabawi. Wyjąwszy kulę włosianą, Jim coś nad nią szeptał, a potem rzucił na podłogę. Upadła, lecz nie odbita potoczyła się niedaleko, na cal zaledwie. Znów ją Ijm rzucił raz, drugi i trzeci, a ona zawsze padała tak samo i nie toczyła się wcale. Ukląkł tedy Jim, przyłożył do niej ucho i słuchał, ale napróżno.

— Zdarza się — wyjaśnił murzyn — że kula dopóty nic nie powie, dopóki pieniędzy nie otrzyma.

— Mam starą monetę fałszywą, ćwierć dolara (z rozmysłu nic nie mówiłem o dolarze), może weźmie ją kula, która przecież nie pozna się na niej. Jim powąchał pieniądz, spróbował zębami, potarł go, aż w końcu rzekł: "zrobię tak, żeby kula wzięta ten pieniądz za prawdziwy. Nadkroję surowy kartofel i wsadzę w środek monetę na całą noc. Gdy zaśniedzieje, weźmie ją każdy za dobrą. A już co kula włosiana, to wcale się na niej nie pozna. "

Dobrze mówił Jim; ja i bez niego wiedziałem, że kartofel na to najlepszy, tylko nie wiem, dlaczego zapomniałem.

Ijm wsadził monetę pod kulę, znów przykląkł, ucho przyłożył i słuchał. Tym razem kula oświadczyła, że gotowa mi przepowiedzieć całe życie. Ja na to: "i owszem. " Gadała więc kula Jimowi a Jim powtarzał mnie. Mówiła tak:

— Ojciec twój do tej pory nie wie jeszcze, co zrobi. Czasem zamierza pójść het, daleko, czasem znów mówi, że zostanie. Niech robi, co chce. Unoszą się nad nim dwa anioły. Jeden aż lśni od białości, drugi czarny. Biały skłania ku dobremu, czarny przeszkadza. Nie można jeszcze przewidzieć, który zwycięży. O siebie bądź spokojny. Pomimo wielkich kłopotów i zmartwień, czeka cię w końcu wielka radość i "szczęście. Stoją koło ciebie dwie panny. Jedna biała, a druga czarna, jedna bogata, druga uboga. Ożenisz się pierwiej z ubogą, później z bogatą. Strzeż się wody, nie puszczaj się na nią, bo za wodą wielką śmierć twoja stoi i czeka... "

Gdy powróciłem do swego pokoiku, czekał tam na mnie mój tatko we własnej swojej osobie.

ROZDZIAŁ V

OJCIEC HUCK'A. — CZUŁY "TATKO. " — POPRAWA.

Wszedłszy, zamknąłem drzwi, odwracam się i widzę: tatko! Zazwyczaj drżałem przed nim, gdyż bił mnie, ile się zmieściło. Ojciec mój miał lat pięćdziesiąt z górą i na tyle wyglądał. Czarne włosy długie, potargane i zatłuszczone tak spadały na twarz, że mu prawie oczu widać nie było. Nosił też i bokobrody; twarz białą, bladą, zaledwie można było dojrzeć przez włosy. Łachmany zaledwie się na nim trzymały. Gdy siedząc założył nogę na nogę, z jednego buta wyglądały dwa palce, którymi od czasu do czasu poruszał. Na podłodze położył kapelusz stary, czarny, pikowy, którego dno oddarte wpadało do środka, przypominając wieko od pudełka.

On patrzył na mnie, ja na niego. Postawiwszy świecę na stole, spostrzegłem, że okno otwarte: musiał wejść po gzemi na balkon. Po długim milczeniu rzekł wreszcie:

— A to mi elegant, co się zowie. Pewno się masz za coś wielkiego? Może nie?

— Może się mam, a może i nie mam — odrzekłem.

— Nie rozpuszczaj buzi tak śmiało! Strasznieś głowę zadarł podczas mojej nieobecności. Przytrę ja ci rogów, nim cię z rąk wypuszczę. Podobno jesteś uczony: umiesz czytać i pisać? Masz się za coś lepszego od ojca? Co? prawda? Ale ja to z ciebie wytrzęsę. Kto ci powiedział, że możesz się bawić w taką głupotę, jak uczoneść? He? Pytam się ciebie, kto ci to powiedział?

— Wdowa.

— Wdowa? To tak? A wdowie kto powiedział, że może wtykać swój nos w cudze sprawy?

— Nikt jej tego nie mówił.

— No to ja ją oduczę wtykania nosa. Słuchajno: rzucisz mi szkołę, rozumiesz? Ja im pokażę, co to jest tak wychowywać chłopca, żeby zadzierał nosa, patrzył z góry na ojca i miał siebie za coś lepszego. Niech ja cię złapię w tej szkole! Popamiętasz ty mnie! Matka twoja, rodzona matka, czytać nie umiała... i pisać także! Nikt w rodzinie naszej nie umiał czytać ani pisać... do samej śmierci. I ja nie umiem, a ty się będziesz nadymał swoją mądrością! Ja nie taki, żebym to znosił — rozumiesz? Weź książkę, niechno usłyszę, jak ty czytasz?

Zaledwie przeczytałem kilka wierszy o Waszyngtonie, ojciec dał książce takiego przytyka, że wypadła mi z ręki c kilka kroków.

— No, teraz widzę, że umiesz czytać. Ale słuchaj: daj sobie pokój z tym rozumem. Ja tego nie chcę. Niechno cię przydybię, ty elegancie, w bliskości szkoły, skórą odpowiesz mi za to. Przedewszystkiem religię mieć trzeba: czcić ojca i matkę. Co z ciebie za syn wyrośnie?

Wziąwszy do ręki mały obrazek, przedstawiający żółte krowy i chłopczyka niebiesko ubranego, pyta:

— Co to?

— Nagroda za dobrą naukę.

Rozdarł obrazek na dwoje, mówiąc z cicha:

— Ja tobie dam coś lepszego: wygarbuję ci skórę, co się zowie!..

Siedział jakiś czas, mrużąc coś pod nosem, a w końcu rzekł:

— Jaki to z ciebie paniczyk! Łóżko, pościel, lustro, dywanik na podłodze, fiu, fiu! A rodzony ojciec musi ze świniami sypiać w chlewie! Jak żyję, nie widziałem takiego syna. Że ja cię oduczę tych prymasów, to pewno. Z rąk nie popuszczę! Tony sobie jakieś będziesz nadawał? Ja ci pokażę tony!

Powiadają, że masz pieniądze. Jakie pieniądze? Zkąd? Gadaj.

— Nieprawdę mówią.

— Mów-no ty do mnie, jak się patrzy, bo się moja cierpliwość przebierze. Gadaj prawdę. W miasteczku wszyscy o tem gadają, żeś bogaty. Wszyscy powtarzają to samo Dlatego przyszedłem Jutro zaraz oddasz mi pieniądze.

— Nie mam żadnych pieniędzy.

— Nieprawda: Są u sędziego Thatcher'a. Odbierz i daj mi, bo potrzebuję.

— Powiadam tatce, że nie mam żadnych pieniędzy Proszę się spytać pana sędziego.

— Dobrze, zapytam się. Gadaj zaraz: ile masz w kieszeni?

— Mam tylko dolara; potrzebny mi...

— Mało mnie to obchodzi. Dawaj go zaraz. Wypróbowawszy w zębach dolara, powiedział, że pójdzie do miasteczka po wódkę, której jakoby dnia tego nie miał w ustach — i wyszedł przez okno.

Po dobrej chwili, gdy już byłem pewny, że go nie ma, wsadził głowę do pokoju, wołając: A pamiętaj, co ci mówiłem, żebyś się nie kręcił koło szkoły.

Nazajutrz poszedł pijany do sędziego, żeby odebrać moje pieniądze. Spotkawszy odmowę, zaprzysiągł zemstę i sądowe dochodzenie owych pieniędzy.

Sędzia i wdowa podali prośbę do sądu o odebranie mnie ojcu i ustanowienie opiekuna. Ale gdy przybył nowy sędzia, który tatki nie znał i nikogo w mieście, nie pozwolił na rozłączenie mnie z ojcem.

Pod ciągłą groźbą ojca pożyczyłem od sędziego Thatcher'a trzy dolary, za które, upiwszy się, takich narobił awantur w mieście, że go wreszcie wsadzili do kozy na tydzień.

Tymczasem nowy sędzia postanowił zająć się ojcem. Wziął go do swego domu, ubrał czysto od stóp do głowy, sadzał do stołu ze swą rodziną i był dla niego prawdziwym dobrodziejem. Po wieczery rozmawiał z nim o wstrzeźliwości, o poprawie, a tak pięknie, że stary, płacząc, przeklinał swoją głupotę i solennie przyrzekał rozpocząć żywot uczciwy, byleby mu sędzia swojej pomocy nie odmawiał. Sędzia, słysząc te słowa, ścisnął tatkę, jak brata i płakał nad nim razem z całą swoją rodziną. Gdy przyszła pora spoczynku, stary mój, powstawszy z krzesła, wznosił rękę do góry i prawi:

— Spójrzcie na tę rękę, szanowni państwo. Weźcie tę rękę w swoje dłonie, uściśnijcie ją. Była to ręka ostatniej świni, ale nią nie jest i nigdy nie będzie, dziś ona należy do człowieka, który rozpoczął nowe życie i, bodajem nie ruszył się z tego miejsca, jeśli powrócę do dawnego. Zapamiętajcie sobie te słowa, szanowni państwo! Nie zapominajcie, że z ust moich wyszły. Nie lękajcie się dotknąć tej ręki, bo ona już czysta.

Więc kto był w pokoju, ścisnął rękę tatki, a żona sędziego to ją nawet pocałowała. Wreszcie mój stary podpisał znakiem przyrzeczenie, że innym będzie człowiekiem. Sędzia mówił, że nie pamięta uroczystszej chwili w swoim życiu. Gdy stary przeszedł do pokoju, w którym zwykle nocowali najprzedniejsi goście, w nocy poczuwszy widać straszne pragnienie, spuścił się z okna po filarze ganku, poszedł do szynku i oddał nowy surdut za flaszkę wódki. Wróciwszy z dzbankiem, pił co się zowie. Spuszczając się nad ranem, pijaniusieńki, po filarze, spadł, złamał lewą ramię w dwóch miejscach i leżał w śniegu na pół umarły.

Sędzia, wziąwszy pono do serca tę historię z moim starym, miał się odezwać, że takiego człowieka poprawić tylko może kula karabinowa.

ROZDZIAŁ VI

TATKO BIERZE SIĘ DO SĘDZIEGO THATCHER'A. — HUCK W RĘKU TATKI. — TATKO UŻYWA.

Wyzdrowiawszy, tatko zaraz pozwał sędziego Thatcher'a o pieniądze. Wziął się także i do mnie za chodzenie do szkoły, lecz choć mnie wytlukł parę razy, uczyłem się. Dawniej nic mnie do szkoły nie ciągnęło, ale teraz chodziłem do niej na złość tatce! Sprawa w sądzie ciągnęła się bardzo powoli, więc od czasu do czasu musiałem brać od sędziego Thatcher'a po parę dolarów, żeby uniknąć garbowania skóry. Ile razy tatko wziął pieniądze, zawsze się upijał i awantury opłacał kożą.

Gdy zaś wdowa zabraniała mu wtrącać się do mnie, pewnego dnia, na wiosnę, schwyciwszy mnie, wsadził w czółno i popłynął na drugą stronę rzeki, do lesistego brzegu stanu Illinois, gdzie nie było domów, tylko stara buda drewniana, a las taki gęsty, że kto go nie znał, musiał w nim błądzić. Cały czas trzymał mnie przy sobie. Tak mnie pilnował, że nie było sposobności do ucieczki. Mieszkaliśmy w tej starej budzie, którą tatko na klucz zamykał, chowając go zawsze pod poduszkę. Miał też i strzelbę, pewnie skradzioną, polowaliśmy więc i łowili ryby, żyjąc zdobyczą. Od czasu do czasu tatko, zamknąwszy mnie, szedł do sklepu, odległego ztamtąd o trzy mile, żeby zwierzynę i ryby wymienić na wódkę, którą przynosił do domu. Wówczas upijał się i bił mnie. Wdowa wywiedziała się jakoś, gdzie ja jestem i przysłała po mnie człowieka. Ale tatko zagroził mi śmiercią i zostałem. Po jakimś czasie przywykłem do naszego życia, polubiłem je nawet i byłoby mi nieźle, gdyby nie to garbowanie mej skóry.

Roboty żadnej, swoboda zupełna, bo to cały dzień leżysz z fajeczką w ustach lub z wędką w dłoni; książki i lekcji ani na lekarstwo. Po dwu miesiącach ubranie moje rozleciało się w strzępy i zapomniałem nawet, jak to się żyło u wdowy.

Ale gdy tatko coraz częściej brał się do kija, wcale mi się to nie podobało, gdyż pokryty byłem siniakami. O ile zaś wychodził na dłużej, musiałem siedzieć zamknięty, raz nawet przez całe trzy dni. To mnie dręczyło. Byłem pewny, że się utopił, że zostanę w swoim zamknięciu. Strach mnie brał wielki.

Postanowiłem więc wydostać się z budy. Nieraz już tego próbowałem, ale napróżno. Okienko było tak małe, że i szczeniak nie przelazłby przez nie; kominem wyjść nie mogłem, bo wążki, drzwi zaś były zbite z grubych desek dębowych, a tatko zawsze gdzieś chował wszelkie narzędzia, których szukałem ze sto razy. Nareszcie udało mi się znaleźć w wiązaniach dachu starą piłę zardzewiałą bez rękojeści. Wysmarowawszy ją tłuszczem, zabrałem się zaraz do roboty.

Do jednej ściany, przy której mieliśmy stół, przybita była spadająca do ziemi zużyta dera końska, dla zabezpieczenia od wiatru świecy, która zawsze stała w tem miejscu. Włazłszy więc pod stół, uniosłem derę i zacząłem w pierwszej belce od dołu wypiłowywać otwór tak wielki, żebym się mógł przez niego wydobyć. Ciężka to była robota i szła powoli, lecz gdy już zbliżała się ku końcowi, silny wystrzał zapowiedział przybycie tatki. Uprzątnąwszy ślady swej pracy, spuściłem derę i schowałem piłę. Po chwili wszedł tatko.

Będąc w złym humorze, jak zazwyczaj, powiedział, że ma nadzieję wygrać proces, ale nie prędko, bo sędzia Thatcher działa na zwłokę. Mówił też, że sąd po raz drugi ma wyrokować w sprawie wyznaczenia wdowy moją opiekunką i że zapewne tym razem wdowa zwycięży. Co prawda, nie miałem już najmniejszej ochoty wracać do niej po to, żeby się, jak mówiła, "cywilizować." Następnie zaczął tatko przeklinać wszystkich ludzi znanych i nieznanym.

— Chciałbym widzieć — mówił — jak cię to wdowa teraz odbierze. Będę stał na czatach bez ustanku, a gdybym spostrzegł, że chcą cię wykraść, znajdę inne miejsce, w którym cię do śmierci nikt nie znajdzie.

Zaniepokojony temi słowami, postanowiłem nie czekać, aż stary zamiar swój spełni.

Posłał mnie tatko do łodzi po przywieziona sprawunki. Był tam worek mąki, poćć słoniny, proch i naboje, garncowy gąsior wódki, trochę bielizny, a przytem stara jakaś książka i dwa numery gazety, w którą był poćć owinięty. Zabrałem, ilem mógł unieść, a wróciwszy po resztę, usiadłem w łodzi i tak myślę: Gdy będę uciekał, zabrawszy strzelbę i trochę bielizny, pójdę w las, nigdzie się nie zatrzymując. Co w dzień upoluję, zjem w nocy, byleby odejść tak daleko, żeby ani tatko, ani wdowa nigdy na ślad mój wpaść nie mogli. Jeżeli tatko upije się dzisiaj aż do utraty przytomności, a pewien byłem, że to robi, skończę swój otwór tej nocy jeszcze i ucieknę.

Gdym zaniósł do budy resztę sprawunków, było już ciemno. Podczas gotowania wieczery tatko pociągał z butelki, a w miarę jak pił coraz więcej, obyczajem swoim na rząd wymyślał.

— I to się nazywa rząd! Ładne prawo, niema co mówić... Odbierać ojcu rodzzonego syna, którego wychowanie kosztowało tyle trudu, starań i kosztów. I kiedy syn już się odchował, kiedy dziś lub jutro zacznie pracować i zarabiać, żeby odwdzińczyć się ojcu, to prawo każe mu wtedy odebrać syna. I to ma być prawo! Nie koniec na tem! Prawo przyznaje słusność temu Thatcher'owi i pozwala na przetrzymanie mojej własności. Tak czyni — prawo! Prawo bierze człowieka, posiadającego sześć tysięcy dolarów z górą, I pakuje go do takiej budy, I każe mu pokazywać się ludziom w ubraniu, którego nie chciałyby nosić św.... Powiadają, że jest rząd! A dlaczegoż dzieje mi się taka krzywda? Albo to ja pod tym rządem dojść mogę praw swoich? Czasem myślę, że najlepiejbym zrobił, rzucając kraj ten raz na zawsze. A tak! Powiedziałem to nawet Thatcher'owi w żywe oczy. Nie on jeden mnie słyszał, wszyscy słyszeli i wszyscy zaświadczyć mogą. Powiedziałem tak: Zobaczycie, czy ja nie rzucę tego przekłętego kraju na zawsze. Patrzcie na mój kapelusz, jeśli to można zwać kapeluszem. To nie kapelusz, jak się patrzy, sprawiedliwe nakrycie głowy, to dziura od komina, z której wygląda moja głowa. Patrzcie, powiadam, i *to* — ja — jeden z najbogatszych ludzi (gdyby mi oddano, co moje) nosić muszę taki kapelusz! O, tak, rząd precudowny! Posłuchajcie tylko, co się dzieje. Przyjechał tu wolny murzyn z Ohio, mulat, skórę miał białą, koszulę, jak śnieg bielusieńką i świecący jak lustro kapelusz. W całym mieście naszym nie znalazłby większego eleganta. I zegarek miał złoty z łańcuszkiem i srebrną gałkę u laski; no, bogacz, co się zowie, pan całą gębą? No i cóż? Powiadali, że to profesor w Kolegium, że mówi wszystkimi językami, że wszystko umie. Ale nie na tem koniec. Powiadali, że on tam, u siebie, w swoim stanie, ma prawo... *głosować*. Tego to już nadto. Do czego to dojdzie, myślę sobie. A był to właśnie dzień wyborów. I ja miałem także dać glos swój, jeżeli się nie upiję i nie padnę po drodze, ale kiedy mi powiedziano, że jest taki stan, w którym murzyn ma prawo głosować — nie poszedłem i nie będę głosował — póki życia! Słowo w słowo tak — wszyscy słyszeli: niech kraj przepada, ja palcem nawet mi ruszę, póki życia! A trzeba było widzieć minę tego murzyna. Cóż powiecie? nie ustąpił mi z drogi, pókim go na bok nie zepchnął. Mówię ja do ludzi: chciałbym wiedzieć, dlaczego ten murzyn nie sprzedany? I cóż mi odpowiedziano, jak myślicie? Że prawo nie pozwala go sprzedać, dopóki nie przesiedzi u nas przez pół roku. I to jest rząd, który niema prawa sprzedać wolnego murzyna, kiedy zechce.

Nazywają go rządem, a czekać musi sześć miesięcy, zanim położy rękę na takim urwipolciu w białej koszuli!

Rozprawiał tatko i rozprawiał, staniając się po izdebce, ale że nie bardzo pewnie stał na nogach, więc przewrócił się i wpadł głową w kadź z solonem mięsem. Stłukł się bardzo, więc kłął siarczyście to murzyna, to rząd, a wreszcie wymyślał kadzi, którą też kopnął, aż zadudniła. Na

nieszczęście, zrobił to butem, z którego wyglądały dwa palce. Jak nie zacznie krzyżeć i znów idąc w żywe kamienie! Sam potem mówił, że nigdy mu jeszcze nie płynęły słowa z taką łatwością. Był u nas pewien Sowberry, który słynął z klątw, i wymyślań; tatko utrzymywał, że go w tym dniu prześcignął. Może, ale ja, sędzę, że to przechwałki.

Po kolacyi schwycił znów za flaszkę, mówiąc, że dosyć w niej wódki na dwa upicia. Myślałem, że za godzinę będzie gotów, a ja wówczas klucz mu wykradnę lub wyrnę otwór. Pił i popijał, aż w końcu upadł na posłanie. Niestety, nie usnął mocno, lecz tylko drzemał niespokojnie, jęczał, stękał, rzucał się na wszystkie strony. Zmęczony oczekiwaniem, zasnąłem twardo, zostawiając świecę niezgaszoną.

Jak długo spałem, tego nie wiem, lecz nagle zerwałem się na równe nogi, słysząc wrzask jakiś okropny. Patrząc, aż tu tatko, całkiem nieprzytomny rzuca się po izbie, krzyząc: "wężę! wężę!"; w przywidzeniu, że je ma przy swoich nogach, otrząsał się z nich, krzyząc, że go jeden ukłuł w policzek. Ja jednak nie widziałem żadnego węża. Potem znów biegać zaczął naokoło izby, krzyząc: "zrzuć go! zrzuć! i w kark mnie ugryź! Nigdy nie widziałem u człowieka takich strasznych oczu, jak wtedy u tatki. Niebawem zmęczył się i upadł na ziemię zadyszany, ale zamiast leżeć spokojnie, kopał nogami, kułakował, taczał się po całej podłodze, krzyząc, że dyabeł go trzyma. Dopiero wyczerpany leżał spokojnie i jęczał. Po chwili umilkł zupełnie i tylko wycie wilków w lesie i sów hukanie przejmowało mnie dreszczem. Wkrótce tatko, wsparty na łokciu, przysłuchiwał się czemuś.

— Huup! huup... huup... To umarli idą... Huup... huup... huup... po mnie idą... Ale ja... nie pójdę. Hu! przyszli... Już są... Nie dotykać mnie... Precz z rękami... zimne... Puszczajcie... A-a-a-a! Puśćcie mnie biednego...

Stał na czworakach, a czołgając się, prosił, by go puścili; potem zawinął głowę w kołdrę i wsunął się pod stół, wrzeszcząc: "puszczajcie!" a przez . kołdrę słychać było jego szlochanie!...

Po jakimś czasie, stanąwszy na równe nogi, nieprzytomny i dziki rzucił się na mnie. Uciekałem, a on mnie gonił po całej izbie, ściskając w rękę mały nożyk składany, ostry jak brzytwa; nazywając mnie aniołem śmierci, krzyczał, że gdy ja zginę, to już nie przyjdą po niego. Perswadowałem mu, że to ja, Huck, ale on ze śmiechem, podobnym zgrzytaniu piły, krzyczał, klął i gonił za mną. Lecz, gdym zawróciwszy na miejscu przemknął mu się popod ramieniem, schwycił mnie za kurtkę w plecach. i byłem pewny, że już po mnie. Na szczęście, wysunąłem się z kurtki i to mnie zbawiło. Niebawem sil mu zabrakło, upadł na podłogę, włożył nóż pod siebie i siedział plecami o drzwi oparty, mówiąc, że gdy odpocznie, zabije mnie.

Gdy szybko zasnął, wzięwszy jedyne nasze krzesło, z siedzeniem przedziurawionem, stanąłem na niem najostrożniej, żeby zdjąć ze ściany strzelbę. Przekonawszy się, że nabita, położyłem ją na poprzek pudła, w którym trzymaliśmy rzepę, lufą wprost twarzy tatki. Następnie, usiadłszy za pudłem, czekałem, czy się nie zbudzi? Ach, jak wolno, jak ciężko płynęły godziny tej nocy!

ROZDZIAŁ VII

"JAKIŚ CZŁOWIEK". — ZAMKNIĘTY. — PRZYGOTOWANIA DO PODRÓŻY. — UŁOŻENIE I WYKONANIE PLANU. — ODPOCZYNEK.

— Wsta-a-waj! Co sobie myślisz! Otworzywszy oczy spojrzałem dokoła, starając się przypomnieć sobie, gdzie jestem. Słońce wysoko już stało, długo więc spać musiałem. Tatko stał nademną i wyglądał zarówno na człowieka w złym humorze, jak i na chorego. Powiada do mnie:

— A ty co robisz z tą strzelbą? Przypuszczając, że nie pamięta, co wyrabiał w nocy, odpowiadam:

— Ktoś tu wejść próbował, więc miałem broń w pogotowiu.

— Czemużeś mnie nie obudził?

— Próbowałem, ale nie mogłem.

— Hm! No, dobrze...

— Idź-no zobacz, czy niema rybek na haczykach... Z wieczora założyłem wędki... Ja także wyjdę, lecz nie na długo.

Gdy drzwi otworzył, pobiegłem prosto nad rzekę. Woda niosła gałęzie, spore odłamy kory, oderwane kępki nadbrzeżnej ziemi, widocznie rzeka przybierała. Czemu ja teraz nie w mieście! miałbym używanie, co się zowie. Czerwcowy przybór zawsze zdobycz mi dawał. Niech tylko woda przybierze, zaraz niesie drzewo różnej wielkości. Łapało się nieraz i po kilkanaście balów razem zbitych.

Idąc brzegiem, to bacznie śledziłem ojca, to spoglądałem na powierzchnię rzeki. Patrząc, aż tu płynie jak łabędź łódź prześliczna, ze trzynaście do czternastu stóp długa. Jak żaba skoczyłem z brzegu do wody i za chwilę siedziałem w łodzi. Gdym do brzegu dopłynął, tatki jeszcze nie było. Kierując łódź w stronę niewielkiej zatoki, zacienionej brzoza i dzikiem winem, postanowiłem schować dobrze swą zdobycz, a gdy przyjdzie chwila ucieczki, popłynąć sobie z jakie mil pięćdziesiąt w dół rzeki i przybić do miejsca, które już znam... Wygodniej mi będzie niż pieszo.

Zatoczka była w pobliżu budy, więc ciągle mi się wydawało, że słyszę, tatkę. Ledwie, żem po ukryciu łodzi na brzeg wyskoczył, patrzę, a tatko, stojąc na ścieżce, celuje do jakiegoś ptaka. Nie widział ani mnie, ani łodzi.

Gdyśmy się zrównali, zwymyślał mnie trochę, że nic nie robię, alem odpowiedział, że wpadłem w rzekę i dlatego wędek nie obejrzał. Wiedziałem, że nie ujdzie jego oka zmoczone moje ubranie i że zaraz zapyta o przyczynę. Zdjąwszy z wędek pięć ryb sporych, poszliśmy zaraz na śniadanie. Tatko, posiliwszy się, rzekł do mnie:

— Jeżeli ten jakiś człowiek przyjdzie jeszcze do naszej budy, obudź mnie natychmiast... Rozumiesz? On pewno coś złego zamierza. Od czego strzelba? Pamiętaj, żebyś mnie zbudził!

To mówiąc zasnął, ale to właśnie, co powiedział, nasunęło mi pomysł.

Wstawszy około południa, poszliśmy z tatką na brzeg rzeki. Woda wartkim płynęła prądem, niosąc na wezbranej fali mnóstwo drzewa. Patrzymy, aż tu nadpływa dziewięć bali, spojonych w tratwę. Podpłynęliśmy ku nim czółenką i przyciągnęliśmy do brzegu. Potem obiad. Kto inny, nie tatko, byłby tu już przeczekał dzień cały, pilnując, czy czego więcej nie złowi; ale tatko nie taki. Dostyc mu było na dziś dziewięciu bali; śpieszył do miasta, żeby je sprzedać. Zamknął mnie więc i wsiadłszy w swoje czółenka, do którego przywiązał bale, około pół do trzeciej popłynął do miasta. Pewien byłem, że nie powróci tej nocy. Czekałem, dopóki nie wymiarkowałem, że jest daleko, a potem,

wydobywszy z ukrycia piłę, znów się zabrałem do roboty. Zanim tatko przepłynął rzekę, ja już wyszedłem z budy; on i jego tratwa wyglądali jak ciemna plama, w oddali na wodzie niknąca.

Wziąwszy worek z mąką, zaniósłem go do łodzi, a następnie uczyniłem to samo ze słoniną; z butelką *whisky*, z cukrem, kawą i amunicją. Potem wziąłem jeszcze materac, poduszkę, kołdrę, wiadro, naczynko do picia z wydrążonej tykwy, kubek blaszany, starą swoją piłę, dwa prześcieradła, imbryczek do kawy, mały kociołek, wędki, zapałki i mnóstwo innych drobiazgów, o ile tylko miały jaką wartość. Do czysta wyniosłem wszystko. Miałem apetyt i na siekierę, lecz jedna tylko była przy stosie drzewa na opał, musiałem ją więc zostawić z poważnych przyczyn. Zabrawszy nakoniec strzelbę, byłem już gotów do drogi.

Przeciągnąwszy przez otwór w ścianie tyle rzeczy, wydeptałem ścieżkę gładziuteńką, którą dla zatarcia śladów starannie zasypałem. Potem wprawiwszy w ścianę kawałek wypiłowany, podparłem go trzema kamieniami, żeby nie wypadł, bo ściana trochę się w tym miejscu wypaczyła.

Reszta mojej drogi do łodzi zarastała trawą rzadką, króciutką, twardą, na której żadnego nie zostało śladu. Wziąwszy strzelbę, poszedłem do lasu, żeby upolować z parę ptaków, aż tu spostrzegłem sporego wieprzka, który uciekłszy pewno z folwarku, zdziczał zupełnie, co u nas często się zdarza. Zabiłem go i przyniosłem do domu.

Wreszcie porwałem siekierę i dalejże walić we drzwi, aż drzazgi lecą. Zrąbawszy drzwi co się zowie, zaniósłem wieprzka do izby, położyłem go przy samym stole, wbiłem mu siekierę w gardło i zostawiłem tak, żeby na ziemię krwi naciekło. Następnie wziąwszy stary worek, napchałem w niego kamieni, unurzałem we krwi i wlokłem za sobą, od miejsca gdzie leżał wieprzak, aż do rzeki. Tam go wrzuciłem i zaraz poszedł na dno. Szkoda, że nie było przytem Tomka Sawyer, bo on bardzo się zapala do wszystkiego, co wymaga trochę wyobraźni i pomysłowości.

Załatwiwszy się z workiem, wyrwałem sobie trochę włosów, przyklepiłem je do zakrwawionej siekiery, którą wreszcie rzuciłem w ką. Wtedy dopiero podniosłem z ziemi wieprzka, wziąłem go, jak dziecko, na ramiona, otuliłem połami ubrania, żeby krew z niego nie kapała, i poniosłem ku rzece. Wyjawszy z łodzi worek z mąką, zaniósłem go napowrót do domu i podziurawiony piłą, postawiłem na zwykłym miejscu. Nakoniec powlokłem drziurawy worek po trawie w zupełnie przeciwną stronę, do niewielkiego jeziora, zarosłego trzciną i szuwarem. Pełno tam bywało cyranek i różnego ptactwa wodnego, z tamtej strony jeziora wypływał strumyk, który płynął nie wiem już gdzie, ale z pewnością nie wpadał do naszej rzeki.

Mąka, sypiąc się przez dziurę, ubieliła ścieżkę od samego domu aż do jeziora. Rzuciłem tam jeszcze tatki osełkę do ostrzenia nożyka, niby przypadkiem upuszczoną. Wtedy dopiero, zebrawszy brzegi dziur i związawszy je sznurkiem, razem z piłą odniosłem do łodzi.

Tymczasem już się ściemniło: wyprowadziwszy więc łódź z zatoczki, zatrzymałem się w cieniu drzew u brzegu z zamiarem czekania na księżyc. Dla bezpieczeństwa uwiązałem nawet łódź u drzewa, a sam podjadłszy trochę, zapaliłem fajeczkę i usiadłem w łodzi dla obmyślenia dalszego planu.

Szukając mnie, będą szli do brzegu po śladzie zakrwawionego worka z kamieniami. Na trawie ślad zgubią, lecz znajdą drugi, mąką usypany, a prowadzący do jeziora. Pomyślą więc: aha! był tu rozbójnik. Chłopca zabił, zabrał co się dało, a przez jezioro uciekł strumykiem. Nie znalazłszy zwłok moich w rzece, dadzą pokój poszukiwaniom. Doskonale, mogę teraz robić, co chcę, i płynąc, gdzie mi się podoba.

Popłynę sobie na *Jackson's Island*, tam mi będzie dobrze. Całą wysepkę znam na wylot; wiem, że nikt tam nie bywa. Nocami mogę robić wycieczki do miasta, pomyszkować to tu, to tam i zdobyć, co mi potrzebne. Tak! niema dla mnie lepszego schronienia; na *Jackson's Island* płynę!

Zmęczony okrutnie, sam nie wiem kiedy zasnąłem. Obudziwszy się, nie mogłem zdać sobie na razie sprawy gdzie jestem: usiadłem więc i rozglądałem się naokoło, wszystko mi się wydawało dziwne i straszne. Jak okiem sięgnąć, wszędzie woda tylko i woda. Księżyc świecił tak jasno, że policzyć mogłem, z ilu bali składa się tratwa płynąca, równo, cicho i prędko środkiem rzeki.

Przeciągnąwszy się raz i drugi, miałem już łódź odwiązać i popłynąć, gdy usłyszałem gdzieś w oddali na rzece majaczenie głosów niewyraźnych. Po jakiejś chwili rozległy się głuche, ale wyraźniejsze, miarowe wiosła uderzenia. Ostrożnie wyjrzawszy przez gałęzie, widzę, że od przeciwnego brzegu duża, piękna łódź podpływa ku mnie coraz bliżej. Kto tam wie, ilu na niej ludzi? Dużo unieśćby mogła... Gdy prawie zrównała się ze mną, dojrzałem jednego tylko wiosłarza. Może tatko? — myślę, choć nie przypuszczałem, żeby on. Zatrzymawszy się o kilkadziesiąt kroków odemnie, ze środka rzeki skręca do brzegu... już jest tak blisko, że końcem lufy mógłbym dotknąć wiosłarza... To tatko! Niezawodnie on! Nie dostrzegł mnie, ale trzeźwy zupełnie, widać to ze sposobu wiosłowania i z postawy całej.

Nie traciłem więc czasu. Po paru minutach płynę już cichutko w dół rzeki, trzymając się ciągle brzegu zacienionego. Gdy przebył z półtrzeciej mili, popchnąłem się ku środkowi rzeki, wiedząc, że niezadługo napotkam łódź przewozową, przed ranem do miasta płynącą. Ułożywszy się na dnie czołna, pozwoliłem mu płynąć z wodą wśród drzew, przez fale unoszonych. Paląc fajkę, patrzyłem na niebo bez jednej chmurki. Jak też ono głębokiem się zdaje, gdy na wznak leżąc, patrzysz w nie wśród jasnej nocy księżycowej! Nie wiedziałem o tem dotychczas. A jak daleko głos się rozchodzi w takie noce! Słyszałem wybornie słowa ludzi, do miasta na targ płynących. Ktoś mówił, że dnia już przybyło, a noce krótsze; ktoś inny odpowiedział, że ta noc do krótkich nie należy, Dowcipkując, śmieli się wszyscy. Łódź oddalała się z każdą chwilą i już nie mogłem dosłyszeć słów, lecz tylko głosy coraz niewyraźniejsze.

Woda niosła mnie ciągle i doniosła. Podnoszę się, patrzę: przedemną *Jackson's Island* o jakie dwie mile (angielskie) w bok od głównego prądu rzeki. Stoi na wodzie starodrzewu pełna, ciemna, wielka, podobna do parowca bez świateł. Brzeg jej ostro wrzyna się w wodę, ale teraz nie widać występu: cały zalany.

Wkrótce byłem na wyspie. Niesiony prądem, szybko opłynąłem występ, a utknąwszy na mieliźnie, wylądowałem naprzeciw brzegu Illinois. Łódź wciągnąłem do znanej mi zatoczki, tak ukrytej wśród drzew bujnych, że jej tam niczyje oko nie wysledzi.

Usiadłszy na kłodzie, leżącej na brzegu stromo ściętym, przyglądałem się ogromnej rzece i miastu o trzy mile ztamtąd położonemu, w którym jeszcze tu i owdzie drgały światełka. Środkiem rzeki płynęła ogromna tratwa z przytwierdzoną do niej latarnią, i usłyszałem wyraźnie jakiś głos: "Hej! tam! Brać się na prawo! Nie zawadzić o brzeg wysepki!"

Prawie o świcie poszedłem pomiędzy drzewa, żeby przedrzemać się trochę przed śniadaniem.

ROZDZIAŁ VIII

SEN W LESIE. — SZUKANIE ZWŁOK. — BACZNOŚĆ! — ZWIEDZAM WYSPĘ. — SPOTKANIE Z JIM'EM. — UCIECZKA JIM'A. — ZNAKI. — BALAAM.

Wysoko stało już słońce, gdym się obudził, musiała być godzina ósma. Leżąc na trawie pośród drzew gęstych, zadowolony i spokojny, myślałem o różnych rzeczach. Złote centki, jakby przesiane przez gęstwinę liści, poruszając się na trawie, podskakiwały, zmieniały co chwila miejsce, jakby zdradzały istnienie wietrzyka tam w górze, ponad gestem sklepieniem drzew. Wiewiórki siedziały na gałęziach, przyjaźnie na mnie spoglądając.

Tak dobrze mi było, że nie miałem ochoty myśleć o śniadaniu. Zdrzemnąwszy się znów, usłyszałem we śnie głuche a potężne: "bu-um-m!" daleko gdzieś, w górze rzeki. Podnoszę się, wspieram na łokciu i nasłuchuję; po chwili znów słyszę: "bu-um-m!" Wstaję więc, rozgarniam liście i patrzę: nad wodą wije się kłęb dymu, a środkiem rzeki płynie znana mi łódź przewozowa, pełna ludzi. Wiedziałem już, 20 to znaczy. Znów słyszę huk, widzę kłęb dymu i wiem, że na łodzi znajduje się mała armatka, z której strzelają tuż nad wodą, aby poruszona wystrzałem, prędzej zwłoki moje wyrzuciła.

Głodny byłem porządnie, ale niepodobna było rozniecać ognia, który mógłby mnie zdradzić. Siedziałem więc spokojnie, przyglądając się kłębowi dymu i przysłuchując hukowi wystrzałów. Rzeka bardzo była w tym miejscu szeroka, a zresztą w pogodny poranek letni zawsze tak ślicznie wygląda, że nie przykrzyło mi się wciąż patrzeć na poszukiwania mojego ciała, pomimo, że mi głód dokuczał coraz więcej.

Przypomniałem też sobie, że aby znaleźć zwłoki topielca, najlepiej włożyć trochę żywego srebra w bochenek chleba i puścić na wodę. Będzie on płynął prościuteńko aż do miejsca, gdzie zwłoki leżą i tam się zatrzyma. O! myślę sobie, trzeba się mieć na baczości: a nuż do mnie przypłynie taki bochenek i zatrzyma się tu? Pobiegłem więc na brzeg od strony stanu Illinois, czy też nie widać bochenka. Jest! Płynie! Wziąwszy pręt długi, przyciągnąłem nim chleb ku sobie; lecz gdy już miałem go prawie, potknąłem się, pręt wypadł mi z ręki, a bochenek popłynął dalej.

Po niejakiem czasie nadpływa drugi i tym razem powiodło mi się. Rozłamałem bochen, wyrzuciłem żywe srebro i dalejże jeść! Wyborny był, miejski, nie żaden razowiec, ani też placek zakalcowaty.

Znalazłszy wyborne miejsce wśród liści, usiadłem na kłodzie i przegryzając chlebem, patrzyłem z zadowoleniem na łódź z armatką. Niezawodnie wdowa, proboszcz, albo ktoś inny modlić się musiał do Boga, żeby ten chleb na mnie natrafił. I tak się stało. Widocznie jest nieco prawdy w naukach wdowy o Opatrzności, o modlitwie... Tak! gdy modli się wdowa, albo proboszcz — to co innego, ale moja modlitwa nie odniosłaby skutku, który niewątpliwie zależy od tego, kto się modli: dobry, czy zły.

Nadpłynęła wreszcie łódź tak blisko, że doskonale widziałem siedzące na niej osoby. Tatko, sędzia. Thatcher, z córką Elżbietką, Józio Harper, Tomek Sawyer, z ciotką Polcią, i małym jego braciszkiem i inni ludzie. Rozmawiali o mnie, o morderstwie na mnie dokonanem, gdy kapitan wyrzekł:

— Proszę dobrze teraz uważać. Prąd idzie popod samym brzegiem, mógł więc wyrzucić zwłoki. Kto wie, czy się nie znajdują zaplątane gdzie w krzakach.

Ja tej nadziei nie miałem. Stali wszyscy na pomoście, oparci o poręcz, z wzrokiem wyteżonym na

zarośla nadbrzeżne. Widzieć ich mogłem wybornie, ale oni mnie nie widzieli. Wtem kapitan zakomenderował: "Ognia!"

I jak mi nie huknie armata nad samem uchem! Myślałem, że już po mnie, że ogłuchnę od huku i oślepnę od dymu. Strzelając kulami, byłiby niewątpliwie znaleźli zwłoki, za którymi tak się uganiali! Na szczęście, byłem zdrow i cały. Po chwili łódź znikła mi z oczu. Coraz słabiej słychać było wystrzały, a po upływie godziny nic nie słyszałem.

Wiedząc, że teraz nikt mnie już szukać nie będzie, powynosiłem z łodzi swoje graty i założyłem obóz wśród gęstwiny, zrobiwszy z prześcieradeł namiot dla ochrony od deszczu. Złowiwszy rybę i oskrobawszy ją pilą, przed zachodem rozpałem ogień dla przyrządzenia wieczerzy, poczem założyłem wędkę, aby mieć świeżą rybę na jutro.

Siadłszy przy ogniu z fajką, czułem się najzupełniej zadowolony. Powoli jednak strach mnie ogarniał wśród samotności, poszedłem więc na brzeg słuchać uderzeń fali, liczyć gwiazdy na niebie, a kłody i bale na wodzie, gdy zaś i to mi się sprzykrzyło, poszedłem spać. Niema lepszego sposobu zabicia czasu, gdy człowiekowi się przykrzy: zaśniesz i zapomnisz o wszystkim.

Tak było przez trzy dni i trzy noce. Żadnej odmiany — ciągle to samo. Tyle tylko, że na drugi dzień zwiedziłem wyspę. Panem tu będąc, chciałem wszystko obejrzeć; głównie jednak chodziło mi o zabicie czasu.

Wśród tej włóczęgi po lesie, doszedłem prawie do przeciwnego brzegu swej wyspy. Miałem broń z sobą, ale nie strzeliłem ani razu, niosłem ją tylko dla obrony w razie napaści. Idąc, nastąpiłem na węża, który uciekał, czołgając się wśród traw i kwiatów. Chcąc go zabić bez użycia strzelby, w pogoni za nim przez chwilę, niespodzianie trafiłem na dymiące jeszcze popioły ogniska, które tu ktoś rozniecił.

Serce mi tak w piersiach zakołatało, że, nie zwlekając, na palcach rozpoczął odwrót, dokonywany gwałtownie, w największym strachu.

Dotarłszy do obozowiska, jakkolwiek głodny porządnie, przeniósłem wszystkie swe rzeczy do łodzi, żeby nie zostawić żadnego śladu; zgasiłem ogień, rozrzuciłem popiół, nadając ognisku wygląd zesłorocznego, a w końcu wszedłem na drzewo.

Po jakich może dwu godzinach, gdym nic nie widział i nie słyszał, spuściłem się z drzewa w gęstwinę i czuwałem, nic nie jedząc, prócz jagód i resztek ze śniadania.

O zmroku, popłynąwszy na wybrzeże Illinois, również jak i wyspa lesiste, zjadłem wieczerzę, zdecydowany noc tam przepędzić, gdym nagle usłyszał tętent nóg końskich i ludzkie głosy. Zebrawszy czempredziej wszystko do łodzi, wróciłem jeszcze do lasu, żeby zobaczyć, co to za ludzie i czego chcą. Zaledwem zrobił kilkanaście kroków, gdy słyszę, głos:

— Tu zrobmy nocleg, jeżeli się znajdzie miejsce po temu; konie straszliwie pomęczone.

Nie czekając dłużej, znów popłynąłem ku wyspie z postanowieniem spędzenia nocy w łodzi.

Nie wiele jednak spałem, budząc się ciągle w przekonaniu, że ktoś za kark mnie trzyma; sen taki nie mógł mnie pokrzepić. Dopiero, gdym postanowił dowiedzieć się, kto mieszka ze mną na wyspie, doznałem ulgi na sercu.

Odepchnąwszy trochę łódź od brzegu, płynąłem, trzymając się cienia. Księżyc świecił jasno i tam, gdzie się cień kończył, widno było jak we dnie. Płynąłem z godzinę wśród ciszy najzupełniejszej. Wiatr lekki, chłodnawy, zwiastował blizkie świtanie. Opłynąwszy całą długość wyspy, wziąłem strzelbę i po długim skradaniu się brzegiem lasu, zmęczony siadłem na pniaku. Wkrótce ponad drzewami ukazuje się blada, wązka smuga jasności — brzask dnia. Z fuzyą na ramieniu idę w głąb lasu szukać tego miejsca, gdzie widział gorące jeszcze ognisko, co minuta przystając i nasłuchując. Dopiero, gdym się już dobrze nachodził, spostrzegłem, że wśród drzew coś

błyszczą niby ogień. Idę ku niemu, ostrożnie, cicho i widzę, że ktoś leży na ziemi. Aż mnie mrowie wzeszło! Z po za krzaków, o kilka stóp zaledwie, wciąż patrzę. A było już wtedy prawie jasno: za chwilę miał być wschód. Po paru minutach budzi się śpiący, zrzuca kołdrę z głowy, patrzę: Jim, murzyn miss Watson. Tom się dopiero ucieszył!

— Jim! — wołam na niego.

Skoczył jak oparzony i spojrzawszy na mnie błędnym wzrokiem, upadł przedemną na kolana, składając ręce jak do modlitwy.

— Nie czyń mi nic złego. Nie czyń! Jim nigdy żadnego ducha nie skrzywdził... Jim zawsze lubił umarłych, zawsze dla nich czynił, co mógł. Idź sobie, duchu, idź, wracaj do rzeki, gdzie twoje mieszkanie, staremu Jimowi nie czyń krzywdy!

Udało mi się jednak przekonać go, że nie umarły. Ogromnie byłem rad ze spotkania z Jim'em, nie czułem się już tak samotny.

— Rozpal ogień porządny, zjemy śniadanie — rzekłem do niego.

— Na co rozpalać ogień? Malin, ani poziomek nie będziemy przecie gotowali? A prawda! masz z sobą strzelbę, może upolujemy coś lepszego.

— Jaki? Więc malinami tylko żyjesz i poziomkami?

— Nic innego nie miałem.

— Tak? Jak dawno tu jesteś?

— Przyszedłem tej samej nocy, kiedy ciebie zabili.

— I cały czas nie jadłeś nic, prócz jagód?

— A no tak.

— No to głodny być musisz okropnie?

— Zjadłbym chyba konia całego. A ty od jak dawna jesteś na tej wyspie?

— Także od tej nocy, gdy mnie zabili.

— Nie może być? Czemu żyłeś? A prawda, że strzelbą głodu niema. Upoluj-że co, a ja ogień rozpale.

Udaliśmy się więc w stronę zatoki, w której stała łódź moja, i podczas, gdy Jim rozniecał ogień na małej wpośród drzew polance, ja przyniosłem mąkę, słoninę, imbryczek do kawy, patelnię, cukier i dwie filiżanki blaszane. Jim patrzył na to wszystko ze zdziwieniem i ze strachem, bo myślał, że to czary. Złapała się też na wędkę wyborna ryba, Jim oskrobał ją nożem, który miał przy sobie, i usmażył.

Gdy śniadanie było gotowe, usiedliśmy wygodnie na ziemi i zajadali ze smakiem gorącą strawę, zwłaszcza Jim, który od tak dawna nie miał nic w ustach oprócz jagód. Po śniadaniu obfitem pokładliśmy się na trawie i leżymy.

— Po chwili Jim powiada:

— Słuchajno, Huck, a kogoż tam zabili w waszej bandzie, kiedy ty żyw?

Opowiedziałem mu wszystko, ku wielkiej jego radości.

— A ty z kąd się tu wzięłeś?

Zakłopotany milczał przez chwilę, a potem rzeki:

— E! lepiej nie mówić. — Dlaczego?

— Mam swoje powody. Nie wydasz mnie, Huck, jeżeli ci powiem całą prawdę? Nie wydasz?

— Nie, Jim, słowo daję.

— Kiedy tak, to wierzę. Słuchaj, Huck, ja... ia uciekłem.

— Jim!

— Dałeś słowo, że nie powiesz nikomu, pamiętaj, Huck, dałeś słowo.

— Prawda, dałem. Przynależem, że nie powiem i nie powiem. Niech mi tam wymyślają od Abolucjonistów, niech mną pogardzają za to, że nie doniósł o zbiegłym murzynie, wszystko mi jedno: słowa dotrzymam. Zresztą, nie myślę wracać do miasta. Opowiedz-że mi wszystko, jak było.

— Skoro nie powiesz, to słuchaj. Było tak: Stara pani — to znaczy miss Watson, dokuczała mi ciągle, gderęła, nudziła, łajała, utrzymując jednak, że za nic w świecie nie sprzedałaby mnie kupcom z Orleanu. Tymczasem zauważyłem, że jeden z tamtejszych kupców ciągle do niej zachodzi i zacząłem być niespokojny. Wreszcie jednego wieczora wchodzę do pokoju dość późno i przez drzwi niedomknięte słyszę, jak moja pani opowiada wdowie o swym zamiarze sprzedania mnie kupcowi z Orleanu. Wdowa żądała od siostry przyrzeczenia, że mnie w domu zostawi, ale ja już nie czekałem, co dalej będzie i uciekłem. Wybiegłszy na wzgórek ponad rzeką, widzę, stoi łódka, nikogo w niej niema, możnaby ją ją zabrać i uciec. Tak też i uczyniłem; że jednak było jeszcze zawczasem, tu i owdzie bowiem snuli się ludzie po brzegu, ukrywając się więc w starym sklepie, pustką stojącym, przez całą noc tam przesiedziałem. Około szóstej rano zaczęły pokazywać się łodzie, później było ich mnóstwo, a na wszystkich mówiono tylko o przyjsciu twego tatki z wiadomością, że cię zabito. Rozmaici panowie i panie przeprawiali się przez rzekę po to tylko, żeby zobaczyć to miejsce, gdzieś został zamordowany. Drudzy znów, stojąc na brzegu w oczekiwaniu na jakąś łódź, tak głośno rozmawiali o wypadku, że z rozmowy ich wszystkiego się dowiedziałem. Okropnie mi było żal ciebie, Huck. Biedny chłopiec! myślałem, zamordowano go. Ale teraz, gdy się przekonałem, że żyjesz, już mi cię nie żal...

Przeleżałem tam cały dzień pod kupą wiórów, nie obawiając się poszukiwań, bo wiedziałem, że stara moja pani razem z siostrą wybierała się po śniadaniu na pobożne jakieś zebranie. Że zaś zwykle o wschodzie słońca szedłem z bydłem na pole, nikogo więc moja nieobecność rano nie zadziwiła.

Dopiero gdy się ściemniło, wyszedłszy z mego ukrycia, czempędzej pobiegłem za miasto. Łodzie wczorajszej nie było, więc nie wiedziałem, jak uciekać. Jeżeli pójdę piechotą, psy mnie wytropią; jeżeli zabiorę czyjąś łódź, to domyśla się, że uciekłem na drugi brzeg, popłyną i tam mnie z psami wytropią. Najlepiej byłoby dostać tratwę: tratwa nie łódź — śladu żadnego nie zostawia.

Śród takich myśli patrząc na rzekę, spostrzegłem, że środkiem płynie jakieś światło. Rzucam się więc do wody, płynę na środek rzeki i ukryty wśród drzew pędzonych przez falę, czekam aż się owo światło przybliży. Miarkowałem, że to pewno ktoś drzewo tratwą spławia i że na niej może niema nikogo. Dobrze już było ciemno, więc choć światło coraz bliżej nadpływa, ja nic nie widzę, chwytam za krawędź tratwy, jednym rzutem, na nią wskakuję i leżę cicho, jak ryba. Aż tu widzę, na środku, tam gdzie latarnia, ruszają się ludzie. Nic to, rzeka przybiera, prąd coraz bystrzejszy, wyliczyłem więc sobie, że do czwartej rano ze dwadzieścia pięć mil upłynę. Samym świtem będę mógł zsunąć się w wodę, popłynąć na brzeg Illinois i w lesie w największej skryć się gęstwini.

Ale nie miałem szczęścia. Równaliśmy się już prawie z wyspą, gdy człowiek jakiś z latarnią zmierza ku przodowi tratwy, tam właśnie, gdzie leżałem w cieniu szychty. Widząc, że nie mam po co dłużej czekać, chluznę w wodę i popłynąłem prosto na wyspę. Poszedłszy w las, dałem sobie słowo, że nigdy już nie zbliżę się do tratwy, która płynie z latarnią w pośrodku. Zdradne! Wziąłem z sobą fajkę, tytoń i zapalki, które, schowane w czapce, nie zamokły; więc miałem wszystko, co trzeba.

— Czy słyszałeś, jak strzelali z armaty?

— Słyszałem, pewny, że to ciebie szukają. Mogłem ich nawet widzieć przez krzewy.

Jakieś ptaki, młode zupełnie, zjawiły się nie wiadomo z kąd i nagle przed nami upadły: podlecały na łokieć lub dwa, przysiadały i znów się zrywają. Jim mówił, że to wróżba deszczu, przed którym kurczęta tak samo podrywają się w górę. Chciałem złapać chociaż jednego, lecz nim odradzał w obawie, żebym śmierci nie schwytał. Raz, gdy ojciec jego był bardzo chory, a ktoś w domu złowił

ptaka, babka staruszka zaraz przepowiedziała śmierć w domu. I cóż państwo powiecie? umarł ojciec Jim'a!

Podług Jima, nie trzeba też liczyć rzeczy, które się bierze do gotowania, bo to sprowadza nieszczęście, i nie można również strząsać z obrusa okrucichów po zachodzie słońca.

Jeżeli zaś umrze właściciel ula, a pszczoły nie będą zawiadomione o jego śmierci przed wschodem słońca, to wszystkie pomrą. Twierdził też, że pszczoła nigdy nie ukole głuptasa, ale ja w to nie wierzę, bo mnie przecież kąsać nie chciały.

O tem wszystkim i dawniej już słyszałem od Jima, który znał różne prognostyki.

— Skoro tyle znaków wróży nieszczęście, o chciałbym wiedzieć, czy niema takich, któreby szczęście zapowiadały? — rzekłem do niego.

— Bardzo mało, a i te niepożyteczne — odparł Jim. • — Cóż ci z tego przyjdzie, jeżeli się dowiesz, że cię spotka coś dobrego? Szczęścia nie będziesz unikał? Wszelako są znaki takie i mogą ci je zaraz wymienić. Jeżeli ci rosną włosy na ramionach i na piersiach, to znak, że będziesz bogaty. No, niema co mówić, taki znak przyda się człowiekowi; przyjemnie wiedzieć, że choć nieprędko, ale zawsze kiedyś będą pieniądze. Bo to, widzisz, mógłbyś pod wpływem nędzy zniechęcić się do życia, może je nawet sobie odebrać, gdybyś z tego znaku nie wnosił, że będziesz kiedyś bogaty.

— A ty, Jim, czy masz także włosy na ramionach i na piersiach?

— Po co to się pytać o takie rzeczy? Widzisz przecie, że mam.

— I cóż? Bogaty jesteś?

— Nie, ale byłem już raz bogaty i znów nim będę. Miałem raz czternaście dolarów, alem na spekulacji wszystko stracił.

— Na jakiej spekulacji?

— Na handlu.

— Ale na jakim? Czem handlowałeś?

— Towarem. Żywym towarem: byłem. Dziesięć dolarów włożyłem w krowę, która mi zdechła.

— I straciłeś dziesięć dolarów.

— Nie całe dziesięć, bo wzięłem za skórę dolara i dziesięć centów.

— A zatem miałeś jeszcze pięć dolarów i dziesięć centów. Czy temi także spekulowałeś.

— Właśnie. Znasz tego kulawego murzyna, który należy do starego pana Bradesh? Otóż ten murzyn, założywszy bank, obwieścił, że każdy, kto w nim złoży dolara, dostanie cztery w końcu roku, a może i więcej. Rzucili się tedy do banku wszyscy murzyni, choć każdy miał bardzo niewiele. Otóż umieściłem w tym banku pięć dolarów, za które po roku miałem odebrać trzydzieści pięć. Tymczasem murzyn ogłosił bankructwo i pieniądze moje przepadły.

— A z dziesięcioma centami coś zrobił?

— Chciałem sobie co za nie kupić, ale we śnie otrzymałem rozkaz oddania ich murzynowi Balaam, zwanemu dla krótkości Balaamową oślicą, bo to nawet i głupowaty trochę. We śnie słyszę: "daj Balaamowi dziesięć centów, a on je tak umieści, że będą ci rosły i rosły." Dobrze! Wziąwszy pieniądze, Balaam poszedł do kościoła i słyszy, jak ksiądz mówi z ambony, że kto daje ubogiemu, ten Panu daje, a Pan zwróci mu to stokrotnie. Cóż miał robić Balaam? Oddał ubogiemu dziesięć centów... no! i czekaliśmy co z tego będzie.

— I cóż było?

— Nic nie było. Ani mnie, ani Balaamowi nikt nie dał centa. Nigdy już nie oddam pieniędzy bez dostatecznej pewności. Za grosz — sto odbierzesz, mówił ksiądz. Od kogo? U kogo się będę upominał? Żeby choć odzyskał te dziesięć centów!

— E! mniejsza o to. Toć przecie znów będziesz bogaty.

— No, prawdę rzekłszy, już nim jestem, sam swoim będąc właścicielem; a wartość moja ośmset dolarów. Chciałbym posiadać te pieniądze!

ROZDZIA IX

GROTA. — DOM PŁYWAJĄCY. — DOBRA ZDOBYCZ.

Zachciało mi się pójść włąb wyspy dla obejrzenia jednego miejsca, które spotkałem przy pierwszym jej zwiedzaniu. Dotarliśmy tam wkrótce, bo wyspa miała co najwyżej trzy mile długości, a zaledwie ćwierć mili szerokości.

Miejsce, którem sobie w pamięci zakarbował, był to pagórek dość długi i bardzo stromy, rodzaj wału wysokiego na stóp czterdzieści. Niełatwo nam przyszło wydrapać się na przełęcz, tak boki były spadziste i tak gęsto zarosłe różną krzewiną. Obejrzelśmy jednak dokładnie sam grzbiet i boki i na tym, od strony Illinois, pod samym prawie wierzchołkiem, znaleźliśmy przestronną grootę. Obszerna, jak trzy pokoje razem wzięte, a tak wysoka, że Jim, chłop dobrego wzrostu, mógł w niej stanąć wyprostowany. Chłodno tam było, ale sucho. Jim radził, ażeby tu poznosić nasze rzeczy, lecz ja się opierałem temu, nie chcąc ciągle włązić na górę i schodzić z niej.

Jim był zdania, że gdybyśmy, ukrywszy łódkę, rzeczy nasze znieśli do groty, mielibyśmy schronisko przed deszczem i przed ludźmi.

Jakoż niezadługo nastąpiły nasze przenosiny. Na haczykach wędek, wczoraj założonych, znalazły się ryby, zdjąłem je, nastawiłem znów wędkę a zdobycz ugotowałem na obiad.

Wejście do groty zakrywały zarośla, lecz ponad niemi znajdował się otwór niewielki, a tuż pod nim płaskie, równe wzniesienie, jakby umyślnie do rozpalania ognia przeznaczone. Tam też rozłożyliśmy ognisko, żeby ugotować obiad.

Kołdry rozłożyliśmy na ziemi, jak dywany, prześcieradło służyło za obrus i obiad odbył się z paradą. Niebawem zaczęło grzmieć i błyskać; ptaszki więc prawdę powiedziały. Po chwili deszcz padał ulewny, lało jak z cebra, wiatr się zerwał potężny, z całą siłą szalała burza letnia. Było tak chmurno, że powietrze miało kolor ciemno-szafirowy, bardzo piękny, a deszcz lał takimi strugami, że drzewa, o kilka kroków stojące, wyglądały, jakby w obłoku, jakby całe pajęczyną otulone. Z podmuchem wiatru drzewa gnę się aż do ziemi, tak, że widać spód liści, jaśniejszy i bledszy, a gałęzie tak się wiją i wyginała, jakby ktoś ręce łamał z rozpacz. Za chwilę, gdy najciemniej i najbłękitniej dookoła, nagle wytryska taka jasność, że wszystko zbieleje odrazu i widzisz jak tam, daleko gdzieś, o sto łokci, czy dalej, drzewa zamiatają ziemię wierzchołkami, rozrzucając gałęzie na wszystkie strony... I znów za chwilę noc, czarna jak grzech, i znów słyszysz grzmot ze strasznym łoskotem, hukiem, rykiem, toczy się po niebie i spada na tamtą stronę świata, jakby kto próżne kufy toczył po schodach wysokich a spadzistych.

— Jakie to piękne, Jim — powiadam. — Cieszą się, że tu jestem. Daj-no mi jeszcze kawałek ryby i podpłomyk.

— A widzisz! Nie byłbyś tu, gdyby nie Jim. Siedziałbyś w lesie, pod drzewem, i nie miałbyś obiadu gorącego i przemokłbyś do suchej nitki. Może nieprawdę mówię, co? Kurczęta wiedzą, kiedy ma być deszcz, i wiedzą także małe ptaszki. Pamiętaj o tem, kotku...

Przez dziesięć dni przeszło przybierała woda, aż nareszcie wyszła z łożyska. Niższa część wyspy, a głównie cały brzeg leżący naprzeciw Illinois, stał pod wodą, na kilka stóp głęboką. Z tej strony, jak okiem sięgnąć, wszędzie woda, ale na brzegu przeciwległym, naprzeciw Missouri, rzeka miała zwykłą szerokość, pół mili najwięcej, bo brzeg wysoki z tej strony spadzistem nad wodą sterczał urwiskiem.

Całymi dniami pływaliśmy łódką po wyspie. Słońce żarem paliło, a my wśród drzew zażywaliśmy

cienia i chłodu. Łódka prześlizgiwała się pomiędzy pniami licznymi, niby żywe, zwinne stworzonko; czasami stawała jej zaporą gęstwina splątanej winorośli i na to nie było rady. Zawracając, torowaliśmy sobie inną drogę. Na drzewach siedziały króliki, węże i inne zwierzęta, które z głodu takie były łaskawe, że pozwalały brać się do ręki. Tylko węże i żółwie, niedowierzając, śpiesznie do wody uciekały. W grocie naszej aż roiło się od nich.

Jednej nocy schwytaliśmy część bardzo porządnej tratwy: dziewięć, jeden w drugi dobieranych, bali sosnowych. Szerokość tratwy wynosiła stóp dwanaście, długość do szesnastu, a wystawała nad wodą najmniej na siedm cali, pomost był mocny i równy, jak posadzka.

Kiedyindziej o samym świcie, ujrzeliśmy płynący dom cały, duży, dwupiętrowy, z dachem łamanym. Podpłynawszy pod ścianę — przez okno weszliśmy do środka. Że jednak ciemno było jeszcze, więc trzymając łódź na linie, płynęliśmy pod dachem wzdłuż wyspy.

Gdy dobrze dzień już zaczęło, dojrzeliśmy łóżko, stół, dwa stare krzesła, graty jakieś na podłodze leżące i *odzież* na wieszadle. Na podłodze, w najdalszym od światła kącie, leżało coś ciemnego, niby człowiek śpiący. Więc Jim woła:

— Hej! Wstawajcie!

Ale to coś leży nieruchomo. Krzyczę, nie rusza się. Powiada tedy Jim:

— Tak, to człowiek z pewnością, ale nieżywy, bo gdyby żył, jużby się obudził. Potrzymaj łódź a ja pójde i zobaczę.

Poszedł, schylił się, popatrzył i mówi,

— Nie żyje. Sprawiedliwie umarły, wstanie dopiero na dzień sądu. Kulą dostał w plecy i obdarty-do naga. Już chyba ze dwa dni leży. Nie podchodź, Huck, i nie patrz. Okropnie wygląda.

Nie spojrziałem nawet w tamtą stronę. Jim przykrył go staremi jakimiś gałganami, pomimo, że wcale nie byłem ciekawy tego widoku. Na podłodze leżały rozrzucone stare, zatłuszczone karty, wypróżnione po wódce butelki, kilka masek z czarnego sukna, a na ścianach pełno było nieprzyzwoitych słów i rysunków, węglem kreślonych. Wisiały tam także dwie stare, brudne, suknie perkalowe, kapelusz, kilka zabłoconych spódnic kobiecych i trochę męskiej odzieży.

Wrzuciliśmy te gałgany do naszej łodzi, bo i to przydać się może. Zabrałem też stary kapelusz słomiany męzki, poplamiony i połamany. Była i pęknięta butelka z odrobiną mleka na dnie, zakorkowana gałganami, widocznie dziecko z niej ssało. Była stara skrzynia i kufer nowy z zawiasami oderwanymi i bez zamka. Jedno i drugie stało otwarte, ale mc tam nie było wartościowego. Nieład straszliwy wskazywał, że mieszkańcy uciekali w popłochu przed rabusiami.

Wzięliśmy ztamtąd porządną, blaszaną latarnię, nóż rzeźnicki, ostry, ale bez rękojeści, nowiusieńki nóż stołowy, świeżo kupiony, paczkę świec łojowych, lichtarz mosiężny, blaszaną flaszkę, kubek do wody, zbrukaną i gdzieindziej podziurawioną kapę do łóżka, pudełeczko damskie z igłami, nićmi, szpilkami i tym podobnymi drobiazgami, młotek, z garść gwoździ, wędkę tak grubą, jak mój mały palec, z ogromnymi do niej haczykami; wzięliśmy zwiniętą w wałek skórę jelenią, obrożę skórzaną, podkowę końską i kilka flaszek z lekarstwami bez napisu. Przed samem wyjściem znalazłem jeszcze wcale niezły grzebień, a Jim stary smyczek i nogę drewnianą. Rzemyków i sprzączek nie było przy niej, poodrywał ktoś wszystkie, ale zresztą była całkiem dobra, tylko dla mnie za długa, a dla Jima za krótka.

ROZDZIAŁ X

NIESPODZIANKA, — STARY HANS BUNKER. — W PRZEBRANIU.

Po śniadaniu byłbym chętnie porozmawiał o tym nieboszczyku, żeby odgadnąć, kto go zabił i dlaczego, ale Jim nie miał ochoty do rozmowy. Przewidując jakieś nieszczęście, utrzymywał, że umarły gotów do nas przychodzić, bo człowiekowi niepogrzebionemu zawsze łatwiej włóczyć się po świecie i straszyć żywych, niżeli takiemu, co spokojnie i wygodnie leży pod ziemią. Wydało mi się to bardzo rozsądne, więc już rozmowy nie wszczynałem, pomimo, że mi ciągle stało na myśli: co to był za człowiek, kto go zabił i dlaczego?

Przeszukawszy kieszenie zabranego odzienia, znaleźliśmy siedm dolarów srebrem, zaszytych w starym paltocie pomiędzy podszewką a wierzchem. Jim był zdania, że ludzie, przebywający w owym domu, ukradli palto, nie wiedząc o tych pieniądzach. Ja zaś przypuszczałem, że nie tylko ukradli palto, lecz i zabili właściciela, ale gdy Jim nie chciał mówić o tem, rzekłem doń:

— Obawiasz się nieszczęścia z takiej rozmowy? A pamiętasz, coś powiedział pozawczoraj, gdy przyniósł skórę wężową? Utrzymywałeś, że nas spotka jak najgorsze. I cóż się stało?... Zdobyliśmy tyle różnego kramu i jeszcze ośm dolarów. Chciałbym, żeby nas codzień spotykało takie nieszczęście.

— Nie ciesz się przedwcześnie, mój kotku, przyjdzie jeszcze bieda. Zapamiętaj sobie! W drodze już jest i przyjdzie. Tylko patrzeć, jak się zjawi.

I przyszła! Mówiliśmy o tem we wtorek. W piątek po obiedzie leżymy na trawie, rozmawiając. Spostrzegłszy brak tytoniu, idę do groty i znajduję tam grzechotnika. Zabiłem go i zwiniętego w kółko, położyłem w nogach kołdry Jima, żeby go nastraszyć, dla śmiechu. Tymczasem do wieczora zapomniałem o wężu. Gdy po powrocie na nocleg, zapaliłem światło, a Jim legł na posłanie, pokazało się, że do zabitego węża przyszedł jego towarzysz i ukąsił Jim'a.

Jim krzyknął, zerwał się i oto co ujrzeliśmy: Na pościeli Jima leżał wąż żywy gotów do skoku. W jednej chwili zabiłem go kijem, a Jim schwyciwszy butelkę z wódką, lał ją sobie w gardło.

Bosy był i gadzina ukąsiła go w piętę — wszystko przez moją lekkomyślność! Na śmierć zapomniałem, że tam, gdzie leży wąż zabity, zawsze przyjdzie jego towarzysz i owinie się wkoło niego. Jim kazał mi w tej chwili odciąć wężowi głowę, odrzucić ją jak można najdalej, a z niego samego skórę ściągnąć i upiec kawałek mięsa. Zrobiłem to, a Jim zjadł mięso, mówiąc, że to pomaga. Potem kazał wyjąć z ogona grzechotki i owiązać niemi rękę w samej kostce. Powiedział, że i to pomaga. To wszystko zrobiwszy, wysunąłem się niepostrzeżenie, zabierając z sobą oba węże, i cisnąłem je daleko, w najgęstsze zarośla, gdyż pragnąłem ukryć przed Jimem, że z mojej winy przyszło na niego nieszczęście

Jim popijał i popijał ciągle; od czasu do czasu odchodził od przytomności, oglądał się naokoło dzikim wzrokiem i krzyczał na całe gardło, ale po chwili znów przychodził do siebie i brał za flaszkę. Noga mu spuchła okropnie, aż po za kolano, a wkrótce zaczął go trunek rozbierać. Wiedziałem już, że wyzdrowieje, ale co do mnie, wolałbym chorować od ukąszenia węża niż od wódki.

Cztery dni i cztery noce leżał Jim ciężko chory. Piątego puchlina zesza, wstał więc i wyzdrowiał. Dałem sobie słowo, że nigdy w życiu nie wezmę w rękę skóry węża, Jim zaś mówił, że tysiąc razy wolałby zobaczyć nów przez lewe ramię, niż wziąć do ręki skórę węża.

Doprawdy i ja zaczynałem przechylać się do tego zdania, choć dawniej byłem pewny, że

najgorszym głupstwem, jakie człowiek popełnić może, jest właśnie tak stanąć, żeby nów był za nami z lewej strony. Uczynił to raz naumyślnie stary Hans Bunker i jeszcze się tem przechwalał. I cóż państwo powiecie? W dwa lata potem upił się, spadł z wieży, którą dachem pokrywał, i rozbił się na ciasto

Dzień schodził jeden za drugim i rzeka, powróciwszy do łóżyska, spokojnie płynęła, jak zawsze. Na jeden z wielkich haczyków, któreśmy zabrali z pustego domu, zasadziłem odartego ze skóry królika i na tę przynętę złapała mi się ogromna ryba, ważąca przeszło dwieście funtów. Nie mogliśmy dać jej rady we dwóch: o mało nas w wodę nie wciągnęła. *Lat-fish* nazywa się taka ryba, największa ze wszystkich, jakie się poławiają w Missisipi. Rozplatawszy ją, znaleźliśmy w jej żołądku duży, mosiężny guzik i różne inne rzeczy, których zwykle ryby nie jadają, a obok tego dużą, twardą gałkę. Po rozcięciu jej, okazała się w środku drewniana szpulka, którą ryba oddawna już połknąć musiała. Mięso ma smaczne i jak śnieg białe.

Nazajutrz rano oświadczyłem Jim'owi, że się łudzę i że chciałbym przeprowić się do Illinois. Chwaląc mój pomysł, radził mi przebranie się za dziewczynę dla bezpieczeństwa, co było łatwe przy znalezionej w owym domu odzieży. Rada była dobra i postanowiłem zastosować się do niej. Ponieważ jedna z perkalowych sukien była za długa, zrobiliśmy u niej zakładkę, spodnie zaś podwinąwszy do kolan, ukryłem zupełnie pod spódnicą. Jim pozapinał haftki na plecach i pokazało się, że suknia leży doskonale, a gdym włożył na głowę perkalowy od słońca kapelusz, zawiązany mocno pod brodą, Jim utrzymywał że w biały dzień nawet niktby mnie nie poznał w tem przebraniu. Chodziłem w niem przez cały dzień, żeby się oswoić z babskim strojem. Tylko chód mój Jima nie zadawałał, przestrzegał również, żebym nie podciągał w górę spódnicy, kładąc rękę do kieszeni w spodniach.

O zmroku wsiadłem do łodzi i popłynąłem na brzeg Illinois. Przybywszy szczęśliwie, wysiadłem nieopodal od miasteczka, idąc wybrzeżem ku miastu. Stała tam mizerna chałupina, w której oddawna nikt nie mieszkał. Ściemniło się w oknie. Zaciekawiony, kto tam jest, zajrzałem w okno ostrożnie. Patrząc: siedzi kobieta może czterdziestoletnia i robi pończochę, a przed nią na prostym stole sosnowym pali się świeca w lichtarzyku. Nieznana mi była twarz tej kobiety, zapewne obcej, bo wszystkich mieszkańców miasteczka doskonale znałem z widzenia. Ucieszyłem się też, ujrawszy twarz obcą, bo myśl, że mnie ludzie poznają po głosie, przejmowała mnie strachem. A taka kobiecina, choćby dopiero od dwóch dni tu przebywała, już mi wszystko rozpowiedzieć może. Zastukałem więc do drzwi, z mocnem postanowieniem nie zapominania ani na chwilę, że panienczka, nie chłopiec.

ROZDZIAŁ XI

HUCK I NIEZNAJOMA. — CO SŁYCHAĆ? — ZŁAPAŁ SIĘ HUCK. — " SZUKAJĄ NAS!"

Zapukałem. — "Proszę wejść" — odpowiedziano.

Gdym wszedł i przywitał niewiastę, obejrzała mnie od stóp do głów małemi oczkami świdrującemi i pyta:

— Nie możnaby wiedzieć, jak ci na imię?

— Sara Williams.

— A gdzie mieszkasz? W tych stronach?

— O nie, proszę pani; w Hookerville, o siedm mil ztąd w dół rzeki. Całą drogę szlam pieszo i okropnie jestem zmęczona.

— I głodna pewno także? Poczekaj, znajdzie się coś dla ciebie.

— Dziękuję pani, nie jestem głodna. Jeść mi się bardzo chciało i wstąpiłam po drodze na folwark, o dwie mile ztąd. Tam mnie nakarmili i wcale mi się jeść nie chce. Dlatego nawet tak się spóźniłam. Matka moja leży chora, nie mamy już ani pieniędzy, ani żadnych zapasów, przyszłam więc tu, do wuja mojego, Abnera Moore. Nigdy tam jeszcze nie byłam, podobno dom wuja na końcu miasta. Prawda, proszę pani? A może pani zna mego wuja?

— Nie, nie wszystkich znam jeszcze Niema dwóch tygodni, jak tu mieszkam. Kawał drogi masz przed sobą, jeżeli idziesz na drugi koniec miasta. Zanocuj tu lepiej, a tymczasem zdejm kapelusz.

— Nie, dziękuję pani — powiadam. — Odpocznę tylko i dalej pójdę. Ciemno wprawdzie, ale ja się nie boję.

Ona mi na to, że mnie nie puści samej, że mnie odprowadzi mąż jej, który za godzinę powróci. Zaczyna mi potem rozpowiadać o swoim mężu, o swoich krewnych, mieszkających w górze rzeki, i o krewnych, mieszkających w dole rzeki, i jak im się dobrze powodziło dawniej, i jak nieroztropnie uczynili, przenosząc się do naszego miasteczka, gdzie im się wcale nie powodzi i tak dalej i dalej. Lecz gdy mówić zaczęła o tatce i o zamordowaniu Huck'a, chętnie słuchałem jej paplaniny. Pytam więc:

— Któż go zamordował? Dużo o tem mówiono u nas, w Hookerville, ale do tej pory nie wiemy, kto był zabójcą Huck'a Finn?

— E, ja myślę, że tu są tacy, którzy wiedzą, kto zabił Huck'a. Podejrzewają starego Finna.

— Czy doprawdy? Nie może to być!

— Wszyscy prawie tak myśleli z początku. Mało brakowało, żeby nie ukarano starego po naszymu: prawem *Lynch'u* (1). Potem jednak zaczęto przypuszczać, że zbrodnię mógł popełnić zbiegły ztąd murzyn, niejaki Jim.

— Cóż znowu? Jim...

I urwałem nagle, bo przyszło mi na myśl, że lepiej uczynię, milcząc. Kobieta dalej prawiała, nie zwróciwszy nawet uwagi na moje słowa:

— Trzeba ci wiedzieć, że murzyn zbiegł tej samej nocy, w której zamordowano biednego chłopca, Wyznaczono więc nagrodę za schwytanie go: trzysta dolarów. A i ten dostanie nagrodę — dwieście dolarów — kto znajdzie starego Finna. Bo to widzisz, tak było: przychodzi on do miasta rano i opowiada, że syna mu zabito w nocy, czy może przed samą nocą. Zaraz też wyprawiono łódź na poszukiwanie zwłok, a stary zabrał się także z nimi i szukał, ale potem, gdy nic nie znalazłszy,

wrócili wszyscy do miasta, stary gdzieś zniknął. Przed nocą jeszcze chciano się wziąć do niego, niechby pokosztował *lynch' u*, ale już go nie było — przepadł gdzieś, uważasz? Na drugi dzień pokazuje się, że murzyna niema, a nawet, że od dziesiątej wieczorem tej nocy, w której spełniono zbrodnię, nikt go nie widział na oczy. Na niego więc wszystko złożyli i już o niczem innym nie mówią. Wtem powraca stary Finn, prosto idzie do sędziego Thatcher'a, a głośno płacząc, że murzyn zabił mu dziecko, prosi, błaga, żeby mu sędzia dał pieniędzy na szukanie murzyna. Sędzia dał mu trochę grosza, a stary, dobrze opity, aż do północy wałęsał się po mieście z jakimiś nieznanymi, którym niedobrze z oczu patrzyło. Gdy znikli razem, już od tej pory nikt Finna nie widział. Strasznie podobno człek chytry! Gdy wróci po upływie roku, wszystko pójdzie jak z płatka. Niczego mu nikt nie dowiedzie i pieniądze syna wpadną mu w ręce.

— Czy przestali już podejrzewać o zbrodnię murzyna?

— Nie, są jeszcze tacy, którzy myślą, że nikt inny nie mógł być zabójcą, tylko murzyn. Zapewne go wkrótce schwytają i zmuszą do wyznania prawdy.

— Więc go szukają?

— Ma się rozumieć, gąsko jedna, że go szukają. Czy to codziennie zdarza się ludziom sposobność dostania trzystu dolarów? Ci i owi myślą nawet, że murzyn ukrywać się musi gdzieś niedaleko. I ja tak myślę, nie lubię jednak pleść bez potrzeby. Podobno na tę wysepkę, co tu leży na środku rzeki — *Jackson's Island*, prawda? — nigdy nikt nie zagląda. Nikt tam nie mieszka, a prawie pewna jestem, że dwa dni temu widziałam dym na wyspie, od Missouri. To nie kto inny, tylko murzyn tam się ukrywa; wartoby zadać sobie trochę trudu i przetrząsnąć wysepkę, jak się należy. Od tamtej pory nie widziałam już dymu, więc jeżeli to on był, to skrył się gdzieindziej. Ale to nic nie szkodzi: pojedzie tam mąż mój i to nie sam, ale z drugim. We dwóch popłyną i to nie tracąc czasu. Nie było męża w domu, ale gdy dziś powrócił, zaraz mu powiedziałam, żeby przeszukał wyspę.

Taki mnie ogarniał niepokój, że nie mogłem wysiedzieć na miejscu. Potrzebowałem koniecznie mieć coś w ręku, coś w palcach przynajmniej trzymać, wziąłem więc ze stołu igłę i zaczynam ją nawlekać. Ale drżały mi ręce i czułem, że niezręcznie to robię. Gdy kobieta mówić przestała, widzę, że na mnie patrzy ciekawie i z uśmiechem. Położyłem więc igłę i nitkę i udając, że mnie bardzo zajęła jej opowieść, rzekłem:

— Trzysta dolarów, to niemały pieniądz. Jakżebym chciała, żeby mama dostać je mogła. Czy mąż pani dziś jeszcze popłynie na wyspę?

— Tak, dzisiaj. Poszedł do miasta z tym człowiekiem, który ma mu towarzyszyć, po łódź i drugą strzelbę. Po północy wyruszą.

— Czy nie łatwiej-by im było szukać w dzień? Niechby poczekali do rana?

— Tak? A murzynowi nie łatwiej będzie ich spostrzedz? Tymczasem po północy on zaśnie twardo, nasi zaś w ciemności łatwiej dostrzegą blask ogniska, jeżeli je murzyn rozпалиł.

— Nie zdaje mi się.

Kobieta spojrzała na mnie ciekawie, a ja nie mogłem ukryć zmieszania. Po chwili znów zaczyna:

— Jak mówiłaś, że ci na imię, kochaneczko?

— Ma-Mania Williams.

Powiedziałem "Mania", ale ciągle mi się zdawało, że się omylił. Nie śmiałem więc spojrzeć w oczy kobiecie, czując, że się złapał i że znać to po mnie.

— Zdaje mi się, kochaneczko, że gdy cię pierwszy raz o imię spytałam, odpowiedziałaś mi: Sara?

— Tak proszę pani, nazywam się Sara Marya Williams. Na pierwsze imię mam Sara. Jedni nazywają mnie Sarą, drudzy Manią.

— Tak? Więc masz dwa imiona?

— Tak, proszę pani.

Jakkolwiek trochę uspokojony, oczu jednak podnieść nie śmiałem. Skoro wszakże kobieta zaczęła narzekać na ciężkie czasy i na szczury, odzyskałem dawną swobodę. O szczurach mówiła świętą prawdę. Co chwila to z tej, to z owej dziury wyglądały na izbę. Mówiąc, że gdy jest sama, zawsze ma pod ręką coś do rzucania na szczury, które jej spokoju nie dawały, pokazała mi sztabkę ołowianą, skręconą w węzeł.

— Tem na nich rzucam — powiada — i zwykle trafiam doskonale, dziś wszakże, mając ramię mocno sforsowane, trafić nie mogę.

Jakoż gdy szczur wyszedł, cisnąwszy w niego ciężarkiem, chybiła, sykając z bólu.

— A możebyś ty spróbowała — rzecze do mnie.

Choć pilno mi było uciec przed powrotem jej męża, wziąłem jednak ołów i cisnąłem nim w pierwszego szczura, który wyścibił nos z dziury. Gdyby czekał, to z pewnością nie poszłoby mu to na zdrowie. Gospodyni moja oświadczyła, że rzucam wybornie i że drugiego szczura zabiję z pewnością. Poczem wstawszy z krzesła, przyniosła z głębi pokoju motek przędzy, prosząc, żebym jej pomógł w robocie. Rozstawiłem wtedy obie ręce, a ona, włożywszy na nie motek, wciąż o interesach swoich i o mężu opowiadała. Nagle, przerywając sobie, mówi:

— Żeby zabić szczura, trzeba mieć ołów w pogotowiu, na kolanach.

I to mówiąc, rzuciła mi ciężarek na kolana, które ścisnąłem szybko, żeby mu nie dać upaść na ziemię. Po chwili kobieta, zabrawszy motek, pyta żartobliwie, patrząc mi w oczy;

— Powiesz mi teraz, jak się nazywasz... naprawdę?

— C... co? co, pro-oszę pa... ?

— Jak ci naprawdę na imię? — przerwała — Bill, Tom, Bob, czy inaczej?

Zdaje mi się, żem drżał cały, jak liść na wietrze; nie wiedziałem, co odpowiedzieć, co robić. Mówię jednak:

— Proszę pani, niech pani będzie łaskawa nie żartuje sobie z biednej dziewczyny. Jeżeli ja pani zawadzam, to ja... ja...

— Nie pójdziesz nigdzie. Siadaj i siedź tam, gdzie siedziałeś. Nie zrobię ci nic złego. Zwierz mi się tylko ze swoją tajemnicą i zaufaj mi. Ja ci tajemnicę dochowam: więcej nawet uczynię, bo dopomogę ci, wraz z mężem, gdybyś tego potrzebował. Ja wiem: uciekłeś od majstra. Jesteś zbiegły terminator, ale to nic nie szkodzi, nic w tem złego i obawiać się nie potrzebujesz. Źle się musiał z tobą obchodzić i tyś go dlatego porzucił. Bóg z tobą, dziecko, nie powiem tego nikomu, tylko mów prawdę.

— Widzę — rzekłem — że komedyi dłużej grać nie można, wyznam więc prawdę, prosząc o dotrzymanie danego mi słowa. Rodzice moi już nie żyją, a opieka oddała mnie na naukę do właściciela folwarku, o trzydzieści mil ztąd w głąb kraju, starego skąpca, który tak źle się ze mną obchodził, że nie mogąc dłużej wytrzymać, ściągnąłem córce trochę ubrania i uciekłem w przekonaniu, że wuj mój, Abner Moore, zechce się mną zaopiekować. To też pilno mi było dojść do tego miasteczka — do *Goshen*.

— Co ty mówisz, *Goshen*? Ależ to nie *Goshen*. To Nowy Piotrków. *Goshen* o dziesięć mi dalej, w górę rzeki. Któż ci powiedział, że to *Goshen*.

— Kto? Jakiś człowiek, którego spotkałem dziś rano, o samym świcie Kazał mi z gościńca zejść na prawo.

— Chyba był pijany. Na lewo właśnie do *Goshen* iść trzeba.

— Ha, co prawda, wyglądał na pijanego, ale teraz mniejsza już o to. Stało się! Trzeba ruszać w

drogę, bo powinienem być w Goshen o wschodzie słońca.

— Poczekaj-no chwilę. Dam ci przekąskę., przyda się w drodze.

Krzążając się koło przekąski, pyta mnie:

— Powiedz no, gdy krowa chce się podnieść, na które nogi wstaje?

— Na tylne, proszę pani.

— Dobrze, a koń?

— Na przednie.

— Z której strony drzewo mchem porasta?

— Od północy.

— Jeżeli piętnaście krów pasie się na wzgórzu, ile obróconych jest głowami w tym samym kierunku?

— Wszystkie piętnaście, proszę pani.

— Dobrze, dobrze! Widzę teraz, żeś na prawdę na wsi wychowany, a podejrzywałam, że mnie chcesz znów naciągnąć. Powiedz że mi teraz, jak się naprawdę nazywasz?

— Jerzy Peters, proszę pani.

— Staraj-że się nie zapomnieć już tego nazwiska, Jerzy. Pamiętaj, żebyś mi znów nie powiedział, że ci Aleksander na imię i nie wykręcał się, że masz dwa imiona: Jerzy i Aleksander. Nie wchodź też między kobiety w tej perkalowej sukieneczynie, bo licho udajesz dziewczynę; tylko mężczyzn oszukać możesz. Bóg z tobą, dzieciaku! a toż kiedy się zabierasz do nawlekania, to nie naprowadzaj igły na nitkę, lecz odwrotnie: zamiast trzymać nieruchomo nitkę, nią właśnie szukaj uszka igły. Tak zawsze nawlekają kobiety, mężczyźni zaś wszystko naodwrot czynią. A kiedy rzucasz czemś ciężkiem, to stań na palcach, podnieś rękę nad głową najwyżej i najniezgrabniej, jak możesz, i staraj się chybić celu co najmniej na jakie sześć stóp Rzucaj zaś całym ramieniem i z rozmachem, jakbyś miał ramię na trzpieniu osadzone, bo tak zawsze rzucają dziewczęta. I to sobie pamiętaj: gdy dziewczyna chce, żeby jej coś upadło na kolana i nie stoczyło się na ziemię, to kolana rozsunie, robiąc że spodnicy niby fartuszek, do przyjęcia czegoś nastawiony Dziewczyna ci nigdy nie ściśnie kolan, jak ty uczyniłeś, łapiąc ciężarek ołowiany Skoro tylko zobaczyłam, jak igłę nawlekasz, domyśliłam się, żeś chłopiec, a ze szcurami i z ołowiem, tom już tylko naumyślnie próbowała, żeby być pewną swego. A teraz ruszaj do swego wuja, Saro Maryo Williams, Jerzy Aleksandrze Peters, a jeśli ci się co przytrafi, to daj znać pani Judycie Loftus, to znaczy mnie, ja zaś uczynię wszystko, co będę mogła, aby cię wybawić z kłopotu Trzymaj się drogi nad rzeką, a idąc na taką wędrowkę, bierz z sobą trzewiki i skarpetki. Droga do Goshen ostremi kamieniami usiana i zanim tam dojdiesz, nogi twe będą porządnie pokaleczone

Uszedłszy brzegiem z pięćdziesiąt łokci, zawróciłem na miejscu i co tchu biegiem do łódki. Wskoczywszy do niej, wiosłowałem ile sił starczyło, aby czempędzej dobić się wyspy. Wylądowawszy z tej strony, gdzie brzeg wysoki i spadzisty, wdrapałem się na urwisko i na tem samym miejscu, gdzie po raz pierwszy rozpałił ogień, rozłożyłem teraz wielkie ognisko, z suchych gałęzi

Uczyniwszy to, wszedłem do łodzi i z tym samym pośpiechem gorączkowym, opłynąwszy połowę wyspy, wysiadłem na brzeg, i w susach przebywając spadzistość wału, wpadam do groty Jim spał w najlepsze. Budząc go, wołam:

— Zbieraj się, Jim.. Prędzej! Chwili nie mamy do stracenia.. Szukają nas!

Jim nie pytał o nic, ale ze sposobu, w jaki się uwijał, widać było, że go przeraziły moje słowa. W przeciągu pół godziny zdążyliśmy złożyć na tratwie całe nasze mienie i wyprowadzić z zatoczki, nie zapomniawszy, ma się rozumieć, do szczętu wygasić ognia.

Odepchnąwszy od brzegu tratwę, do której łódź była przymocowana, trzymając się cienia, przez gałęzie drzew nadbrzeżnych rozpostartego na wodzie, daliśmy się unieść prądowi i opuściliśmy wyspę.

ROZDZIAŁ XII

POWOLNA ŻEGLUGA. — POŻYCZANIE. — NA POKŁADZIE TONAĆEGO PAROWCA. — ZBRODNIARZE. — " TO SIĘ SPRZECIWIĄ MORALNOŚCI. " — "NIEMA TRATWY!"

Musiało już być koło pierwszej, gdy wyspa znikła nam z oczu, a jednak gotów byłem przysiąc, że tratwa stoi na miejscu, tak się nam czas długim wydawał. Gdybyśmy byli spotkali kogokolwiek, byłibyśmy natychmiast skoczyli do łodzi i uciekli na brzeg Illinois. Dobrze się jednak stało, że nie zaszła potrzeba ucieczki, gdyż nie włożyliśmy do łodzi ani strzelby, ani wędki, ani czegokolwiek do jedzenia. Strach nie pozwalał myśleć o tylu na raz drobiazgach.

Gdyby nas kto naprawdę szukał na wyspie, to byłby najpierwej pośpieszył do ognia, który roznieciłem naprzeciw Missouri, i przez to samo przeoczyłby nas, płynących odnoga od strony Illinois. Jeżeli nikł nas nie szukał i mój ogień nikogo nie wywiódł w pole, to już nie moja wina. Zrobiłem, co mogłem, żeby figła wypłatać amatorom trzystu dolarów

Gdy już świtać na niebie zaczynało, zatrzymaliśmy się podle ławicy piaszczystej, leżącej nieopodal brzegu Illinois, na zakręcie rzeki. Ławica gęsto była porośła krzakami bawełny, narąbawszy więc gałęzi, pokryliśmy nimi całą tratwę.

Tu było zupełne bezpieczeństwo. Łożysko rzeki zwężało się w tem miejscu; po stronie Missouri piętrzyły się wysokie góry; po stronie Illinois stał mur wysokopiennego boru; całą powierzchnię rzeki od brzegu do brzegu można było wzrokiem ogarnąć bez obawy niespodziewanego spotkania z łodzią lub z parowcem. Leżeliśmy w czólnie, schowanem pomiędzy tratwą a zagajnikiem krzewu bawełnianego i przez nikogo niewidziani, mogliśmy patrzeć, jak lekko suną z biegiem wody parowce, jak borykają się z prądem łodzi i statki pod wodę płynące. Opowiedziałem teraz Jim'owi całą swoją rozmowę z *mistress* Judytą Loftus, a Jim, wysłuchawszy opowiadania, oświadczył, że to sprytna kobieta i że gdyby cna wybrała się na wyspę szukać nas, to nie dałaby się w pole wyprowadzić i nie leciała, jak ćma, na ogień. — Nie, Huck, upewniam cię, że ona wzięłaby psa.

— Dlaczegoż więc — pytam — nie mogła powiedzieć mężowi, żeby psa wziął?

A Jim na to:

— Założyłbym się, że jej to przyszło na myśl dopiero w ostatniej chwili, wtedy, gdy mężczyźni wyszli już w drogę. Gdyby nie to, nie siedzielibyśmy teraz pod zagajnikiem. Oho, oddawna byłiby już nas do miasta odprowadzili.

— Mało mnie to obchodzi, dlaczego nas nie znaleźli — odpowiedziałem — dość mi na tem, że nie znaleźli.

Zmierzch słał się na wodę, gdyśmy wysadzili głowy z zarośli. Patrzymy na lewo, na prawo, przed siebie, nigdzie nikogo, pusto wszędzie i spokojnie. Zdjął więc Jim z tratwy kilka desek, tworzących wierzchni pomost, i sklecił na jej pokładzie porządną budę, żebyśmy mieli schronisko dla siebie i rzeczy na wypadek ulewy. Podłoga w budzie była przeszło na stopę wzniesioną nad poziom pomostu, żeby woda, rozbijana kołami parowców, nie zalewała pościeli. W samym środku budki warstwa błota, wysoka na kilka cali, a obłożona wkoło deskami, miała służyć w dni słotne, chłodniejsze, do rozpalania ognia, żeby go zewnątrz widać nie było. Zrobił Jim także zapasowe czółno, na wypadek, gdyby się zepsuło jedno z naszych. Ja zaś wbiłem w ścianę, od strony zewnętrznej, gwóźdź do latarni, którą musieliśmy zapalać, jako sygnał dla parowców z wodą płynących, żeby na nas nie wpadły. Dla parowców, idących pod wodę, sygnał nie był potrzebny, bo one, szukając wody głębokiej, płynęły

zwykle środkiem rzeki.

Tej nocy płynęliśmy siedm do ośmiu godzin, nie wiosłując wcale; prąd nas unosił z szybkością czterech mil na godzinę. Łowiliśmy ryby, rozmawiali, a od czasu do czasu, gdy sen bardzo nas zmorzył, skakaliśmy w wodę naprzemiennie, żeby orzeźwić się trochę. Noc była spokojna i pogodna, więc błogo nam było płynąć po rzece wielkiej a cichej, na wznak leżąc i patrząc w gwiazdami usiane niebo. Tak cicho było i pięknie, że nie śmieliśmy prawie mówić głośno, ani się śmiać na całe gardło, tylkośmy rozmawiali głosem stłumionym. Pogoda była przecudowną tak tej nocy, jak i następnych. Nic nam się też nie przytrafiło.

Co noc mijaliśmy różne miasta, mniejsze i większe, jedne tuż nad brzegiem rozesłane, inne na ciemnych, wysokich wzgórzach, z kąd tylko promieniały ku nam sznury świateł, a domów nie było widać. Piątej nocy z rzędu mijaliśmy *St. Louis*, gdzie tak się jasno świeciło, jakby świat cały stał w ogniu. W naszym miasteczku mówiono, że Saint-Louis ma do trzydziestu tysięcy mieszkańców! Nigdy temu nie wierzyłem; dopiero, gdy o drugiej w nocy zobaczyłem taką nad miastem łunę, pomyślałem, że może to prawda. Cicho tam było zupełnie; zapewne spali już wszyscy.

Każdej nocy, po przybiciu do brzegu, wysiadałem na ląd, żeby w nadbrzeżnych wioszczkach kupić za kilkanaście centów mąki, albo słoniny, lub wreszcie cobądź do jedzenia. Czasami, gdy spotkałem kurczaka, który się wałęsał, zamiast spokojnie spać na grzędzie, zabierałem go z sobą. Tatko mawiał zawsze: bierz kurczaka, gdy ci się nawinie, bo jeżeli tobie niepotrzebny, to łatwo znajdziesz kogoś, komu się przyda, a miło jest spełnić dobry uczynek. Nie widziałem wprawdzie nigdy, żeby tatko nie potrzebował kurczęcia sam dla siebie, ale wybornie pamiętam, że tak mawiał

Rano, przededniem, zaglądałem na pola, gdzie rosły arbuzy, melony, dynie, albo jarzyny i *pożyczałem* od właścicieli to, czegośmy dla siebie potrzebowali. Tatko mawiał, że w takim pożyczaniu niema nic złego, byle tylko mieć zamiar zwrócenia właścicielowi pożyczonych w ten sposób rzeczy. Wdowa jednak mówiła, że takie "pożyczanie," to poprostu kradzież i że nikt uczciwy nie weźmie takiej pożyczki. A Jim znów twierdził, że podług niego i tatko ma słuszość i wdowa także, to też najlepiej wybrać kilka rzeczy i dać sobie słowo, że tych nigdy od nikogo nie pożyczymy, a za to z czystym sumieniem pożyczać inne, koniecznie dla nas potrzebne. Rozmawialiśmy raz o tem przez całą noc, nie mogąc postanowić, czego się wyrzec: arbużów, czy melonów, czy jarzyn. Nad ranem jednak daliśmy sobie słowo nie tykać dzikich jabłek i pasternaku! Przedtem sumienie nas trochę gryzło, ale teraz spokój nam wrócił. Ja szczególnie bardzo byłem zadowolony, bo dzikich jabłek nigdy nie jadłem, a pasternak dopiero za parę miesięcy mógł dojrzeć.

Od czasu do czasu zastrzeliliśmy kurkę wodną lub cyrankę. To już ich wina! Padały ofiarą te tylko, które za wcześnie wstały, albo za późno spad się kładły. Wogóle, żyliśmy sobie, aż miło.

Drugiej, czy trzeciej nocy po minięciu SaintLouis mieliśmy po północy straszliwą burzę z piorunami, błyskawicami i z taką ulewą, że nie strumieniem, lecz płachtą całą spadała woda z nieba. Siedzieliśmy schowani w naszej budzie, zdawszy opiekę nad tratwą jej samej. Przy świetle błyskawicy widzieliśmy tylko przed sobą gościniec wodny, cały pomarszczony fałami, po obu bokach ciekące wodą skały, a zresztą nic. Aż wreszcie powiadam dc Jim'a.

— Patrz-no, Jim, spójrz tam, w bok trochę

Był to parowiec, który się rozbił, wpadłszy na skałę podwodną. Płynęliśmy prościutko na niego i w świetle błyskawic widzieliśmy go jak najwyraźniej. Pochylił się naprzód i więcej niż do połowy zatonął, ale pokład był jeszcze nad wodą i wszystko stało na swoim miejscu, jak być powinno. Nawet gdy błysnęło, to widziałem, że tuż obok sznura od dzwonu stoi krzesło, a na poręcz jego założył ktoś kapelusz z wielkimi skrzydłami.

A choć to była noc i burza i wszystko tak tajemniczo wyglądało, uczułem jednak ochotę dostania

się na pokład parowca, żeby obejrzeć tam wszystko i pomyszkować troszeczkę. Powiadam więc do Jim'a:

— Wejdźmy na pokład.

Ale Jim ani słyszeć chciał o tem.

— Nie mam ochoty głupstw robić — powiada. — Bardzo nam tu dobrze, a kiedy nam dobrze, to po co mamy kłaść głowę pod miecz, jak mówi Święte Pisanie. A zresztą jest tam pewno wartownik i pilnuje.

— Ty sam wartownik i babka twoja! — odciąłem. — Czego tam wartownik ma pilnować? Kajut chyba i budki sternika. Ktoby tam zresztą chciał narażać życie dla głupich kajut i dla budki w taką noc jak dzisiejsza, kiedy statek może lada chwila zatonać i pójść na dno rzeki?

Temu Jim nie mógł zaprzeczyć i nie próbował nawet.

— A przytem — mówię jeszcze — w kajucie kapitana pożyczymy sobie może coś takiego, co nam się przyda. Cygara, przysięgłbym, że są i to kosztowne, sztuka przynajmniej po pięć centów gotówką.

Każdy kapitan parowca to bogacz, bierze po sześćdziesiąt dolarów miesięcznie, a taki nie dba wcale, ile za co trzeba zapłacić, byle miał, czego mu się zachce. Weź-no świecę do kieszeni, Jim... Spokoju mieć nie będę, póki nie poplądrujemy tam trochę, Cóż ty sobie myślisz, że Tomek Sawyer przepuściłby taką sposobność? Nigdy, za nic w świecie! Nazwałby to przygodą... tak *przygodą* i wstąpiłby na ten pokład, choćby to już miał być ostatni krok w jego życiu. A jakby on to pięknie zrobił! jaki byłby pyszny! No, widziałbyś! Wziąłbyś go za Krzysztofa Kolumba, odkrywającego ziemię obiecaną! No, chciałbym ja tylko, żeby tu był Tomek!

Jim pomruczał trochę, ale ustąpił. Mówił tylko, że powinniśmy rozmawiać z sobą jak najmniej i te po cichu. Błysnęło w tej chwili, właśnie w sam czas, bośmy już stali pod parowcem. Wdrapawszy się na pokład, dość wysoko sterczący jeszcze nad wodą, szliśmy ostrożnie ku przodowi okrętu, po omacku, próbując nogą, gdzie trzeba stąpić, aby nie wpaść w jakiś otwór, którego widać nie było. Natrafiliśmy jakoś na schodki do kajut wiodące; pierwsza z brzegu była otwarta, zaglądamy do niej, ciemno, ale gdzieś dalej błyska jakieś światelko i w tejże samej chwili dochodzą nas głosy.

Jim, szepcząc, że mu się niedobrze robi ze strachu, radzi uciekać. Już się więc zabieramy wracać na tratwę, gdy słyszę jakiś głos błagalnie jęczący:

— Zmiłujcie się, chłopcy, nademną. Przysięgam, że nie powiem ani słowa.

— Kłamiesz, Turner. Nie pierwszy raz tak robisz. Zawsze wymagasz, żeby ci dano więcej, niż innym, i zawsze dostajesz więcej, niż ci się należy, bo się odgrażasz, że wszystko wyśpiewasz, jeżeli ci nie dadzą tyle, co chcesz. Tym razem jednak przebrałeś już miarę. Podły jesteś, nikczemny i zdrajca, jakiego niema na świecie.

Jim poszedł zobaczyć, co się dzieje z tratwą, a ja aż drzę cały z ciekawości i powiadam sam sobie, że Tomek Sawyer nie odszedłby teraz za nic w świecie, a więc i ja nie odejdę, póki nie zobaczę, co się tu dziać będzie. Przykucnąłem tedy i czołgając się w wązkim przejściu na czworakach, dopełzłem do kajuty, gdzie na podłodze leżał rozciągnięty człowiek jakiś! Ręce i nogi miał związane, a przy nim stało dwóch ludzi: jeden z latarką w ręku, drugi z pistoletem. Ten ostatni, mierząc do człowieka leżącego na ziemi, mówił:

— Och! zabiłbym cię! I powinienbym... Takiego, jak ty łotra!

A ten na podłodze dzwoni zębami ze strachu i błaga:

— Nie czyn tego, Bill, nie czyn... Nie powiem... nic już nie powiem. — Po ostatnim słowie ten z latarnią wybuchnął śmiechem i mówi:

— A prawda, że już nigdy nic nie powiesz! Nigdy w życiu nie wyrzekłeś większej prawdy.

I dodał jeszcze:

— Słyszycie, jak błaga? A gdybyśmy go nie związali, toby nas był zabił obudwu. I za co? Za nic! Tylko za to, że my *swojego* chcemy. Tylko za to. No, ale teraz nikomu już się odgrażać nie będziesz. Spuść pistolet, Bill.

A Bill na to:

— Żebym tak żyw był, jeśli spuszczę. Trzeba go zabić. Czy on nie uśmiercił w taki sam sposób starego Hatfelda? Czy nie zasłużył na śmierć?

— Ale ja nie chcę, żebyś go zabił, mam do tego swoje powody.

— Niech cię Bóg błogosławi za te słowa, Jakóbie Packard! Nie zapomnę ci tego, póki żyję! — mówi na pół z płaczem człowiek, leżący na podłodze.

Packard, nie zważając na jego słowa, powiesił latarnię na gwoździu, postąpił parę kroków ku miejscu, gdzie ja siedziałem skulony w ciemności, i skinieniem przyzwał ku sobie Bill'a. Statek tak się kołysał, że bojąc się, abym na nich nie wpadł, powędrowałem na czworakach dalej trochę i wsunąłem się do kajuty kapitana. W ciemności słyszę, że tuż za mną idzie Packard i także wchodzi do kajuty, a wychylając się we drzwiach woła:

— Tutaj, Bill, w kajucie jestem. Chodź tutaj...

Nim oba weszli do kajuty, wskoczyłem na police, która zastępuje łóżko w kajutach, przycisnąłem się do ściany, dech wstrzymując, pełen rozpaczy, że tu przyszedłem. Oni, stojąc tuż obok mnie, położyli ręce na krawędzi policy i rozmawiają. Nie mogłem ich widzieć, ale wiedziałem, gdzie są, tak wódkę od nich czuć było. Przez cały czas ich rozmowy prawie nie oddychałem, trochę ze strachu, a głównie dlatego, że to, co słyszałem, aż mi dech w piersiach zapierało. Mówili cicho i z przejęciem: Bill chciał zabić Turner'a:

— Odgrażał się, że wszystko powie, i dotrzyma! Chociażbyśmy mu teraz oddali swoje części, to jużby nic nie pomogło, bo on nam nie daruje tego, cośmy zrobili. Zemści się na nas i wszystko wyśpiewa, zobaczysz. Najlepiej będzie odprawić go na -wieczne odpoczywanie.

— I ja tak myślę — najspokojniej w świecie odpowiada Packard.

— A niech cię licho porwie! Myślałem, żeś ty temu przeciwny. No, kiedy tak, to dobrze. Pójdźmy, niech się to skończy.

— Poczekaj chwilkę, nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. Posłuchaj. Dobrze jest komu w łeb strzelić, lepiej wszakże pozbyć się wroga bez hałasu, bo sensu niema umizgać się do szubienicy, jeżeli można postawić na swoim, bez narażenia własnej głowy. Albo nie?

— Pewno, że tak. Ale jakże to zrobić?

— Widzisz, ja myślę tak, zabrawszy z kajut, co się da, schowamy dobrze nasz łup na lądzie. A potem będziemy czekać. Za dwie godziny statek pójdzie na dno... Rozumiesz? Wtedy on ze statkiem razem utonie i niczyjej nie będzie w tem winy, że utonął, Przecież lepiej pozbyć się go takim sposobem, niż zabijać człowieka. Co do mnie, zawsze jestem przeciwny morderstwu, jeżeli bez niego obejść się można; to się i rozsądkowi sprzeciwia i moralności. Czy nie mam racji?

— Pewno, że masz. A jeżeli okręt nie zatonie ?

— Jeżeli chcesz, to możemy poczekać dwie godziny. Dlaczegooby nie?

— Dobrze. Poczekamy.

Wyszli, a ja zszedłszy z policy, tonąc w zimnym pocie, co tchu na pokład. Ciemno było, jak w studni, więc grubym szeptem wołam: "Jim!" a on mi się odzywa z prawej strony, zbliżka, ale tak, jak gdyby jęknął.

— Prędeż, Jim — mówię — nie pora stękać, ani plądrować po parowcu. Jest tu na okręcie dwóch zbrodniarzy i jeżeli nie odczepimy ich łódki, żeby nie mogli dosięgnąć lądu, to jeden z nich

będzie się miał zpyszna. Ale jeżeli im zabierzemy łódź, to wszyscy trzej pójdą w ręce szeryfa. Spieszmy się, Jim! Ja z prawej, ty z lewej strony, szukajmy. A potem na tratwę i...

— O Boże mój! Boże! Niema tratwy, niema! Odwiązała się i popłynęła z wodą! A my tutaj... bez tratwy!

ROZDZIAŁ XIII

UCIEKAMY! — STRÓŻ NOCNY. — IDZIE NA DNO. — ŚPIMY, JAK ZABICI!

Tak mi dech zaparło, że byłem blizki omdlenia. Zostać na parowcu, który lada chwila zatonie i to jeszcze z takimi ludźmi! Ale nie było czasu na rozmyślanie. Należało odszukać łódź ratunkową, która nam samym -koniecznie była potrzebna. Szukamy tedy z obu stron okrętu, łodzi ani śladu. Jim bezsilny już nie chciał szukać, ledwie stojąc na nogach, ja jednak dodałem mu bodźca i szukamy. Nikt z nas nie wiedział na pewno, gdzie być powinna łódź ratunkowa, wiedzieliśmy tylko, że jest, bo tamci o niej mówili, wciąż więc szukamy po omacku. Znalazłem ją wreszcie obok drzwi, prowadzących do bawialni; w ciemności ją palcami namacałem. Jest niewątpliwie! Uradowany, biorę ją, przerzucam przez burt i jedną ręką trzymając się jeszcze galeryjki pokładu, gotów już byłem wejść do łodzi, gdy wtem wysuwa się ze schodków głowa, słyszę kroki, zmierzające ku poręczy, postać ludzka przechyla się przez nią, czuję ją prawie tuż przy sobie, a wreszcie jeden ze znanych mi głosów powiada:

— A nie zapomnij zgasić latarni, Bill!

Potem rzuca w łódź jakiś worek dość ciężki, przełazi przez galeryjkę i wchodzi do łódki. To był Packard. Nie upłynęło i minuty Bill nadchodzi i także w łódź się pakuje. Packard mówi do niego:

— Wszystko gotowe, ruszamy

Ta zaś słucham, trzymając się jedną ręką poręczy i czuję, że tracę siły. W tem Bill rzecze:

— Poczekaj. A obszukałeś mu kieszenie?

— Nie. A ty?

— I ja nie. On przecie ma swoją część łupu. Wartoż zabierać graty, a zostawiać pieniądze?

— No, a jeżeli on się domyśli, co zamierzamy?

— To się domyśli... Cóż z tego? A pieniądze zabrać mu trzeba. Chodźmy.

Wyskoczyli więc z łodzi i poszli. Skoro tylko za nimi drzwi się zamknęły, już byłem w łodzi;

Jim wskoczył także, przeciąłem linę, która się jeszcze ciągnęła za łodzią i — w drogę!

Nie tknęliśmy wiosła, nie rzekli do siebie ani słowa, baliśmy się nawet odetchnąć pełną pierśią. Woda niesie nas sama popod ścianą okrętu, mijamy go wreszcie i zostawiamy szybko po za sobą. Gdyśmy się już oddalili z paruset łokci, gdy tonący parowiec wsiąknął w ciemności i zupełnie znikł nam z oczu, byliśmy bezpieczni i przekonani, że tak jest.

Z odległości może czterystu łokci widzieliśmy bledziutkie światełko w tej stronie, gdzie był parowiec i przyszło nam na myśl, że ci łotrzy teraz dopiero spostrzegli utratę łodzi i już zapewne rozumieją swe położenie.

Jim wziął się do wiosła i rozpoczęliśmy pogoń za tratwą jeszcze niewidzialną. Teraz dopiero zacząłem żałować tych ludzi, bo pierwiej na to czasu nie było. Zacząłem też rozmyślać, jak to musi być okropnie, zbrodniarzom nawet, znajdować się w takim położeniu, kto to wie? a nuż i ja kiedy zbrodni dokonam? czy byłoby mi przyjemnie wiedzieć, że razem ze statkiem zatonać muszę?

Mówię tedy do Jim'a:

— Skoro tylko gdzie na brzegu ujrzemy światła, trzeba zaraz przybić do lądu. Miniemy światło albo do niego nie dopłyniemy, byłeś ty znalazł miejsce dla ukrycia siebie i łodzi. Ja pójdę do wsi, a wymyśliwszy jaką bajkę, znajdę przecie kogoś, kto im popłynie na ratunek i ocali od śmierci. A jeśli przyjdzie ich godzina, to wisieć będą.

Zamiar mój wszakże spełził na niczem, gdyż wkrótce zerwała się burza, daleko sroższa od

poprzedniej. Ulewa straszna, a tu na obu brzegach ani jednego nigdzie światelka, śpią wszyscy. My zaś płyniemy ciągle, upatrując światła i naszej tratwy. Po paru godzinach deszcz ustał, ale chmury nie ustąpiły, błyskawice latały po niebie, a gdy od czasu do czasu silniej błysnęło, widzieliśmy przed sobą na wodzie coś czarnego.

Była to, ma się rozumieć, tratwa i bardzo byliśmy radzi, przeniósłszy się na nią. Teraz także ujrzeliśmy niewielkie światelko na prawym brzegu, do którego przybić postanowiłem. Tymczasem zaś, wyjąwszy z łódki worek, pełen rzeczy skradzionych na tonącym parowcu, przerzuciliśmy go na tratwę, nie wiedząc nawet, co w nim jest. Prosiłem Jim'a, aby płynął dalej, a przepłynąwszy mil parę, żeby zapalił światło na tratwie i nie gasił go, dopóki ja nie powrócę. Przynależało to uczynić, ja zaś, wzięwszy się do wiosł, popłynąłem prosto na światło. Gdy już byłem bliżej, ujrzałem więcej światła, rozsianych po wzgórzu, była to bowiem wioseczka wcale porządna. Podpłynąłem do światła najbliższego i widzę, że pochodzi od latarni, zawieszanej na głównym maszcie łodzi żaglowej. Zacząłem szukać stróża, dziwiąc się, gdzieby mógł być wśród nocy, aż w końcu znalazłem go, drzemał żaglem okryty, z głową spuszczoną na kolana. Wstrząsnąwszy go parę razy za ramię, zaczynam płakać.

Zbudził się nagle przestraszony, ale zobaczywszy przed sobą niedorostka, przeciągnął się, ziewnął i powiada:

— No, cóż się tam stało? Nie płacz, bębnie. Co masz za zmartwienie?

— Tatko, mama i siostra i...

Tu płacz niby przerywa mi mowę, więc on zniecierpliwiony:

— Tam do licha, pocóż tak beczysz? Wszyscy mamy swoje zmartwienia i każdy znajdzie swój koniec. No, gadaj, cóż się z nimi stało?

— Oni... ich... oni... To pan jesteś stróżem tej łodzi?

— Ja — z zadowoleniem odpowiada — ja jestem i kapitan i właściciel i pomocnik kapitana i sternik i stróż i robotnik, a czasem uchodzę także za bagaż i pasażerów. Nie taki-m ja bogaty, jak stary Hornbach, i nie mogę tyle co on świadczyć swoim siostrzeńcom, a Tomek, Dick i Henryk nie dostają odemnie tyle pieniędzy, ile ich on rozrzuca. Ale mówiłam mu nieraz, że za nic w świecie nie przyjąłbym jego miejsca, bo jestem stworzony do pływania po wodzie, nie dc lądu. I niech mnie dyabli porwą, jeżeli potrafiłbym wyżyć w mieście przez dwa dni z rzędu, gdzie nic -niema do roboty, a wszędzie kurz, domy i kamienie. Więc mówię ja staremu...

Przerywam mu głosem piskliwym:

— Niestety ich spotkało... okropne nieszczęście...

— Kogo?

— Tatkę i mamę i siostrę i pannę Hooker także i jeżeli nie popłyniecie tam zaraz..

— Gdzie, *tam*? Gdzież oni są?

— Na pokładzie tonącego parowca.

— Jakiego parowca?

— Jeden jest tylko.

— Co? Przecie nie *Walter-Scotta*.

— On sam.

— Panie, zmiłuj się! Cóż oni tam robią? Po co tam leżli?

— Że nie naumyślnie, to pewno!

— A pewno! Panie, zlituj się, niema dla nich ratunku, jeżeli nie uciekną ztamtąd czempredzej. Jakimże sposobem dostali się w taką pułapkę?

— Bardzo prostym. Miss Hooker pojechała z wizytami do miasta...

— Tak, do Booth Lauding. Cóż dalej?

— Pojechała z wizytami do Booth-Lauding i przed samym wieczorem wsiadła ze swoją murzynką na prom, który miał ją zawieźć z miasta do panny, Bóg ją wie, jak się nazywa, bo zapomniałem. Ta panna, to wielka jej przyjaciółka i miss Hooker chciała u niej nocować. Na samym środku rzeki przewoźnik zgubił wiosło, prom okręcił się parę razy w około, a potem popłynął z wodą, wiorstę, dwie wreszcie natknął się na parowiec i zatonał. Przewoźnik utonął także i murzynka i powóz z końmi i wszystko, tylko jedna miss Hooker dostała się na pokład parowca. A potem, na godzinę przed zachodem słońca, tatko, mama, siostra i ja płynęliśmy sobie w naszej łodzi, w tej, w której jarzyny na targ wozimy, ale że ciemno było, więc nie widząc parowca, uderzyliśmy także o niego. Z nas nikt nie utonął, ale za to utonął Bill Whiphjile, taki dobry, taki dobry! Najlepszy w świecie chłopiec! Tak mi go strasznie żal, że wolałbym był sam utonąć... słowo daję, wolałbym.

— Co ja słyszę! Co ja słyszę! Jak żyję, nie słyszałem takich awantur! No, a wtedy, cóżeście robili?

— Zaczęliśmy krzyczeć i wołać o pomoc, ale rzeka taka w tym miejscu szeroka, a wicher tak huczał i gwizdał, że nikt nas nie mógł usłyszeć. Tatko więc powiada, że trzeba, aby ktoś z nas dostał się na brzeg i powiedział ludziom, co się z nami stało. Ja tylko jeden umiem pływać, więc rzuciłem się w wodę. Dopłynąwszy do lądu, straciłem tylko czas na próżno, bo co kogo spotkam, to mi odpowiada: Co? Na taką noc i w taką falę? Niema głupich... Idź, poszukaj promu parowego. Ale teraz, kiedy pana spotkałem, to może pan zechce...

— Ma się rozumieć, że zechę, ale niechże wiem, kto mi za to zapłaci? Jak myślisz? czy twój tatko...

— No, to już wszystko dobrze. Miss Hooker powiedziała wyraźnie, że jej wuj, Hornback..

— Wielki Boże! Więc on jest jej wujem! Oni słuchaj, malcze, idź prosto na to światło, które tam widzisz... Doszedłszy do niego, zawróć na lewo i idź jeszcze z ćwierć mili, dopóki nie zobaczysz szynku; wejdź tam i każ się zaprowadzić do Hornbacka, który z pewnością weźmie wszystko na swój rachunek. A nie trać czasu, bo staremu pilno będzie dowiedzieli się o siostrzenicy. Powiedz mu, że zanim przyjdzie do miasta, będę ją miał żywą i zdrową... Zbieraj nogi, chłopcze, ja śpieszę obudzić pomocnika.

Poszedłem na światło, ale gdy stary zniknął we drzwiach stojącego nad brzegiem domostwa, dobiegłem do swojej łodzi, wyciągnąłem ją na brzeg między sychty drzewa i ukryty w ich cieniu, z niepokojem oczekiwałem chwili wyruszenia łodzi na pomoc uwięzionym. Prawdę rzekłszy, czułem pewne zadowolenie, że sobie zadał tyle trudu dla takich ludzi. Wiem, że nie każdyby to uczynił. Żeby też o tem wdowa wiedziała! Wyobrażam sobie, jakby się mną pyszniła, że dopomagam takim łotrom, bo zauważyłem, że i wdowa i wszyscy cnotliwi ludzie najlepiej lubią łotrów i niegodziwców.

Po kilkunastu minutach ujrzałem swój parowiec, który woda w dół niosła. Spostrzegłem go dlatego tylko, że był jeszcze ciemniejszy od ciemnej nocy... Aż dreszcz po mnie przeszedł, gdy go zobaczyłem, bo wyglądał jak widmo okrętu, po samą prawie galeryjkę zatopiony już w wodzie. Zepchnąwszy łódź swoją na wodę, podpłynąłem do niego, ale na krzyk mój nikt się nie odezwał. Woda zalewała już pokład, tonący parowiec zanurzał się coraz głębiej z każdą chwilą. Trochę mi się przykro zrobiło, gdy pomyślałem o tamtych, których woda pierwiej zalała niż pokład, ale tylko trochę, bo pomyślałem, że kiedy oni mogli wytrzymać taką śmierć, to i ja mogę.

O kilka sążni za parowcem płynęła łódź żaglowa; zacząłem więc z całej siły robić wiosłami, żeby się dobrze odsadzić, a gdy już był pewny, że mnie nikt nie dojrzy, obejrzałem się, aby zobaczyć, jak też Ona będzie uwijać się koło parowca i jak właściciel będzie szukał sposobu

wydobycia zwłok miss Hooker w nadziei sutej nagrody od Hornbacka. Widząc jednak, że nic nie wskóra, łódź dała za wygraną i powróciła do przystani, ja zaś, nie mając na co czekać, puściłem się w pogoń za tratwą.

Zdawało mi się, że płynę niezmiernie długo, nim ujrzałem nareszcie światełko płonące na tratwie Jim'a, a gdym je ujrzał, to i tak wydało mi się przynajmniej o tysiąc mil oddalone. Przez ten czas niebo zaczęło rozjaśniać się trochę na wschodzie, przybili • śmy więc do jakiejś wysepki, ukryli tratwę, czółno na brzeg wyciągnęli, a sami, rzuciwszy się na tratwę, zasnęliśmy jak zabici.

ROZDZIAŁ XIV

WCZASY. — HAREM. — FRANCUZ I JĘZYK FRANCUSKI.

Wypawszy się należycie, przetrząsnęliśmy worek, który Packard rzucił do łodzi. Rabusie dobrze się obłowili: znalazły się w worku buty, kołdry, ubranie, bielizna, książki, cygara. Nigdy w życiu nie byliśmy jeszcze tak bogaci. Cygara były wyśmienite. Całe popołudnie leżeliśmy w lesie rozmawiając, ja też sobie czytałem książki i wogóle używaliśmy wypoczynku. Gdym Jim'owi opowiedział wszystko, co mi się wydarzyło na parowcu, i całą moją rozmowę z właścicielem łodzi żaglowej, odpowiedział, że on wcale nie pragnie podobnych przygód.

— Bo — mówił Jim — kiedyś ty zszedł po schodkach, a ja szukałem tratwy, tom o mało nie umarł ze strachu i pewności, żeś przepadł na wieki. Bo tak: jeżeli nas nie ocala, to utoniemy, a jeżeli nas ocala, to ten zbawca odprowadzi mnie do miss Watson, dla nagrody; miss Watson zaś sprzeda mnie do Orleanu, jak Bóg w niebie. I miał słuszość. Jak na Murzyna, niepospolicie tęgą miał głowę.

Czytywałem też często Jim'owi o różnych królach, książętach, hrabiach i innych wielkich panach, jak się wspaniale ubierali, jak się nosili pysznie, jak mówili do siebie: Wasza Królewska Mość i Jaśnie Oświecony Książę i Wasza Wysokość, i Bóg wie, jak jeszcze, zamiast sobie mówić poprostu "panie", a Jim wytrzeszczał oczy i słuchał z ogromnem zajęciem. Raz mówi do mnie:

— Nie wiedziałem, że ich tylu było. Nie słyszałem o nich i żadnego nie znałem, prócz starodawnego króla Salomona, bo nie rachuję tych królów, co są w kartach. Ile król dostaje pieniędzy?

— Ile dostaje? Albo ja wiem! Pewno z tysiąc dolarów na miesiąc, jeżeli mu się tak podoba. Może mieć tyle, ile sam zechce; wszystko do niego należy.

— Takiemu to dobrze! A cóż oni mają do roboty?

— Co też tobie do głowy przychodzi, Jim? Król nic nie robi, tylko siedzi na tronie.

— Doprawdy?

— Naturalnie. Siedzi na tronie, z berłem w rękę, a koroną na głowie. Jak wojna, to co innego; królowie zawsze idą na wojnę, ale w cichą porę, to sobie mają używanie: chodzi, przeciąga się, ziewa... Cyt! słyszałeś szmer?

Wysadziliśmy z pomiędzy drzew głowy i patrzymy, lecz nic nie widać i nie słysząc, prócz plusku wody, którą rozbija koło parowca; wróciliśmy więc na swoje miejsca.

— Tak — powiadam — a jak to go znudzi, to się kłóci z parlamentem, a jeżeli mu się kto opiera, to ścina głowy nieposłusznym. Najczęściej jednak król przesiaduje w haremie.

— Gdzie?

— W haremie.

— Co to jest harem?

— Miejsce, gdzie trzyma swoje żony. Nie słyszałeś o haremie? Salomon miał harem, a w nim około miliona żon.

— A prawda, prawda, zapomniałem! Harem, to dom dla żon. To dopiero hałas tam być musi w dziecinnym pokoju! Pewno też i żony kłócą się ciągle między sobą, to harmider! I mówią, że Salomon najmądrszy z ludzi; ja temu nie daję wiary. Bo, czy człowiek mądry chciałby żyć ciągle w takim młynie, gdzie kobiety miały językami bez przerwy? Nie, nie chciałby! Człowiek mądry zbudowałby sobie młyn parowy. Chcę hałasu, to puszczam w ruch maszynę, a chcę spokoju, to ją zatrzymuję.

— Może być, ale w każdym razie Salomon był najmądrszy z ludzi, słyszałem to z własnych ust

wdowy.

— Ja tam nie wiem, co mówiła wdowa, ale, mojem zdaniem, on nie był najmądrzy, ani nawet mądry. Bo proszę cię, co też jemu przychodziło do głowy? Słyszałeś o tem dziecku, co je kazał rozciąć na dwoje?

— Słyszałem; opowiadała mi wdowa.

— A widzisz! Jak można wymyśleć coś podobnego! Bo proszę cię, zastanów się tylko. Tu stoi jedna kobieta: pierwsza matka, uważasz? A tu stoi druga. Ja jestem Salomon, a ten dolar, to dziecko. Obie matki upominają się o dziecko. Cóż ja tedy robię? Czy pójdę pomiędzy sąsiadów, i wywiem się do której z matek dziecko sprawiedliwie należy i tej oddam, zdrowe i całe, jakby to uczynił każdy, co ma choć trochę oleju w głowie? Właśnie, że nie! Ja biorę siekiere i rozrabuję dolar na dwie części i daję jedną połowę jednej matce, a drugą drugiej. Przecie Salomon tak postąpił z dzieckiem? A teraz pytam się ciebie, na co komu zda się dolar przecięty? Co za to kupisz? Nic! A jeżeli dolar przecięty na nic się nie przyda, to cóż dopiero dziecko?! Za milion takich nie dałbym centa!

— Bodajesz zdrów był, Jim, nie trafiłeś w sedno. Bodaj cię kaczki zdeptały, nie trafiłeś nawet blisko sedna!

— Kto? Ja? Nie gadałbyś! Proszę cię, daj mi pokój ze swoim sednem, wiem przecie, co to znacz}' zdrowy rozsądek, ale tu nie widzę go ani krzty. Sprzeczka nie szła o połowę dziecka, lecz o całe dziecko, a człowiek, któremu się zdaje, że sprzeczkę o całe dziecko załagodzi połową dziecka, nie ma roz sądku za grosz. Już ty mi nie gadaj o Salomonie, Huck, znam go na wylot!...

— A kiedy ja ci mówię, że nie trafiłeś w sedno.

— Niech licho weźmie sedno! Co wiem, to wiem. I pamiętaj to sobie, że prawdziwe sedno jest jeszcze głębiej. Trzeba wiedzieć, kto to był Salomon. Weź ty człowieka, który ma tylko jedno albo dwoje dzieci, czy taki człowiek będzie szafował dziećmi? Nie, nie będzie, nie stać go na to. Taki zna wartość dziecka. A weźże ty drugiego, co ma hałasujących w domu z pięć milionów dzieci, albo i więcej, to zupełnie co innego. Taki ci na poczekaniu przetnie dziecko, jak kota. Tak też było i z Salomonem, jedno dziecko więcej, czy mniej, dla niego to wszystko jedno!...

Nigdy nie widziałem murzyna, któryby tak napadał na Salomona. Jak sobie co raz wbił w głowę, już mu tego i toporem nie wybijesz. Zaczęliśmy więc mówić o innych rzeczach, a Salomonowi daliśmy pokój. Opowiadałem mu o Ludwiku XVI, któremu dawno już temu Francuzi głowę ścięli, i o jego synku, delfinie, co byłby także został królem, ale go zamknęli w więzieniu, gdzie, jak mówią niektórzy, umarł podobno.

— Nieboraczek!

— Ale inni twierdza, że uciekł stamtąd i schronił się do Ameryki.

— Dobrze zrobił! Ale nudzić się tu będzie sam jeden, przecież tu niema królów, prawda, Huck?

— Nie, niema.

— To i niema dla niego posady. Cóż on tu robi?

— Nie wiem. Czasem taki król zaciągnie się do policyi, a są i tacy, którzy uczą, jak trzeba mówić po francusku.

— Co, Huck? Alboż to we Francyi ludzie nie mówią tak, jak my?

— Nie, Jim, inaczej mówią, zupełnie inaczej. Nie zrozumiałbyś ich ani słowa,

— Co ty mówisz? Jakże to być może?

— Ja sam nie wiem jak, ale tak jest, wiem to z pewnością. Widziałem nawet ich gadanie w jednej książce. Przypuść tylko, że przyjdzie ktoś do ciebie i powie: *Bolly-vo-ofranzy*, cóż ty na to?

— A nic! dałbym mu kułakiem w głowę. To jest, dałbym, gdyby to nie był człowiek biały. Murzynowi nie pozwoliłbym na takie wymyślanie.

- Kiedy to wcale nie wymyślanie. On aniby myślał obrażać ciebie, onby się tylko pytał, czy umiesz mówić po francusku?
- Więc dlaczego nie może powiedzieć wyraźnie?
- Kiedy on mówi to wyraźnie, ale mówi po francusku.
- No to głupio mówi, i ja nie mam ochoty słuchać takiego gadania, w którym niema żadnego sensu.
- Posłuchajże, Jim: czy kot mówi tak, jak my mówimy?
- Nie, nie tak mówi. — A krowa?
- Nie, i krowa nie tak mówi.
- No, a teraz mi powiedz: czy krowa mówi tak, jak król, albo kot tak, jak krowa?
- Nie. Każde mówi po swojemu.
- Uważasz więc za rzecz słuszną, żeby kot i krowa mówiły każde po swojemu?
- Ma się rozumieć.
- I za rzecz słuszną, żeby ani kot, ani krowa mi mówiły tak, jak mówią ludzie?
- Naturalnie!
- Powiedzże mi, dlaczego niema być rzeczą naturalną i słuszną, żeby Francuzi inaczej od nas mówili? Cóż na to odpowiesz?
- Huck, czy kot jest człowiekiem?
- Nie.
- Więc, cóż za racya, żeby kot mówił po ludzku? Czy krowa jest człowiekiem, albo, czy krowa jest kotem?
- Nie, krowa nie jest człowiekiem, ani kotem.
- A kiedy tak, to nie ma obowiązku mówić, jak kot albo jak człowiek.
- A Francuz, czy jest człowiekiem?
- Jest.
- A widzisz! Kiedy jest, to dlaczego nie mówi, jak człowiek? Odpowiedzże na to.
- Widziałem, że napróżno tracimy słowa, nikt murzyna nie nauczy rozumować po naszymu. Dałem więc pokój.

ROZDZIAŁ XV

HUCK TRACI TRATWĘ?. — MGŁA. — DOBRZE SPAŁ. — HUCK ZNAJDUJE TRATWĘ. — ŚMIECIE.

Wymiarkowawszy, że po trzech nocach żeglugi staniemy w Kairze, u przeciwległej granicy Illinois, tam, gdzie wpada rzeka Ohio, czekaliśmy tej chwili z upragnieniem, zdecydowani sprzedać tratwę, wsiąść na parostatek, popłynąć rzeką Ohio w górę, bo w tamtych stanach niewolnictwo było zniesione.

Ponieważ następnej nocy mgła się nad rzeką rozesała, skierowaliśmy więc tratwę ku najbliższej, zarośłami pokrytej ławicy, aby tam przywiązać ją do drzewiny i mgłę przeczekać. Wziąwszy więc z sobą linę, wsiałem w łódkę i podpłynąłem do ławicy. Widzę, sama młodzież leśna, cienkie drzewiny, jak pręty; wybrałem jednak drzewo, które mi się wydawało grubsze od innych, rosnące tuż nad wodą, na kanciastym występie ławicy, i około niego linę okręciłem. Że jednak prąd był silny, więc i bystro rwał z sobą tratwę w dół rzeki; drzewko, nie wytrzymawszy naporu, wyrwane z korzeniami, popłynęło wraz z tratwą. A tu mgła tak mnie otoczyła, że nietylko nic nie widzę, ale chwilowo ruszyć się nawet nie mogę. Tratwa zniknęła mi z oczu. Co żywo więc do łodzi, chwytam wiosło, odpycham się od brzegu, łódź ani drgnie. Pokazało się, że jej w pośpiechu nie odwiązałem. Rozplątnię więc węzeł, ale tak mi drżą ręce, że go zaciskam jeszcze mocniej; ledwo mu dałem rady.

Gdym wreszcie postawił na swoim, płynę, trzymając się zawsze brzegu ławicy; ale że miała ona zaledwie jakieś sześćdziesiąt łokci długości, więc gdym ją minął, znów otoczony mgłą gęstą i białą, nie wiedziałem ani gdzie jestem, ani gdzie się podziała moja tratwa.

Myślę więc sobie: wiosłować nie trzeba, a nuż natknę się na ławicę, albo na coś podobnego? A tak woda mnie sama poniesie! Siedzę więc spokojnie, choć mnie ręce swędzą, bo co to jest siedzieć nieruchomo i czekać, kiedy w tobie aż wre wszystko z niepokoju.

Huknąłem tylko na Jim'a i słucham. Odzywa mi się z dość znacznej odemnie odległości, ale zawsze odzywa się, więc we mnie duch wstępuje, biorę się do wiosła i płynę w kierunku, z kąd głos mnie doszedł, a słucham, czy nie odezwie się.

Po chwili daje się słyszeć po raz drugi, ale nie z przodu, lecz z prawej strony. Hukam raz jeszcze: odpowiada mi, ale tym razem z lewej strony i zawsze w tem samym niby oddaleniu. Rzuciłem tedy wiosło zniechęcony, bo widocznie płaczą się tylko w gzygzak po rzece, a tratwa wciąż płynie prosto i na cal się do niej nie zbliżyłem.

Jim powinien był mieć rozum i widząc, co się dzieje, uderzać młotkiem w jaką blachę, raz po razie, żeby mnie za głosem prowadzić. Ale mu to na myśl nie przyszło, a takie hukanie przerywane bałamuciło mnie tylko jeszcze gorzej. Nie wiedziałem już gdzie się obrócić, a gdym je posłyszał po raz czwarty, z tyłu, po za sobą, tom już zupełnie głowę stracił. Do dziś dnia nie wiem, czy to huknął kto inny, czy też prąd kręcił łódką w koło.

Dawszy pokój wiosłowaniu, pilnie nasłuchiwałem; głos znów z tyłu się odzywa, ale w innem miejscu; wołam ciągle, a on odpowiada raz głośniejszy, co znów ciszej, jakby nas większa odległość rozdzielała. Mgła coraz gęstsza zasłania mi oczy, zatyka uszy, pcha się w gardło, człowiek nie wie, gdzie jest i co robi, bo gdziekolwiek się zwróci, zewsząd mgła wali się na niego i naciera, jak nieprzyjaciel na wojnie.

Niesie mnie fala, gdzie sama chce; raz o brzeg łódź uderzyła i zamajaczyły mi nad głową rozpostarte drzew gałęzie, jakby z za dymu przeglądające. Potem gwałtownie rzuca na lewo i wartko

rwie naprzód, a ja siedzę z rękami założonemi, cały w mgłę białą spowity, i słucham uderzeń serca, które bije, bije jak miotem, silnie, prędko, że mi odetchnąć trudno.

Teraz już zrozumiałem, co się dzieje Brzeg, o który się uderzyłem, musiał być krawędzią wyspy, a Jim po drugiej stronie Nie była to marna ławica, bawełnianym krzewem zarosła, ale wyspa, co się zowie, pokryta lasem, zapewne ze sześć mil długa i o szerokości dobrze półmilowej.

Szumiało mi w uszach i drżałem cały, ale nie było rady, musiałem siedzieć spokojnie. Wiedziałem, że się posuwam naprzód, że robię cztery do pięciu mil na godzinę, ale każdy, kto się już znajdował w takiej przygodzie, powie to samo, co ja: płyniesz, a zdaje ci się, że stoisz w miejscu. Więcej nawet, przysięgłbyś, że już nie poruszysz się nigdy, a jeżeli napotkasz sterczącą z wody rafę lub kępę jakichś wodorosli i miniesz ją, to zapominasz zupełnie o tem, że to ciebie woda unosi, a tylko dech powstrzymując, myślisz: Ach! jak ona szybko ucieka! A jeżeli komu się zdaje, że nocą, na wodzie, wpośród mgły takiej nie straszno samemu człowiekowi, to radzę mu tylko, niech spróbuje.

Upłynęło tak z pół godziny... Hukam od czasu do czasu, a odpowiedź przychodzi do mnie z bardzo daleka. Radbym płynąć w stronę głosu, ale nie mogę, bo jestem wśród mnóstwa małych, bawełną zakrzewionych wysepek, które mi się niewyraźnie we mgle ukazują, gdy pomiędzy nimi przepływam. Czasami mgła zgęszcza się raptownie i wtedy, choć wąziutką, do kanału podobną, płynę odnogą, nie widzę krawędzi wysepek, wiem tylko, że są, bo łódź moja płynąc, ociera się o uschłe już krzewy i różne badyle, któremi brzeg zarasta. Tak się tam wśród tych wysepek rozlała po odnogach woda, tak kręto niósł mnie prąd, że płynąc za głosem, znaczyłoby to samo, co za błędnym gonić ognikiem. Głos się tam rozbijał i ginął i znów niespodzianie skądś powraca!, a pożytku nie przynosił żadnego.

Kilka razy musiałem szybko odpychać się wiosłem od brzegu, bo łódź z taką siłą pędziła i tak na brzegi nacierała, że się bałem, aby przypadkiem nie wysadziła wyspy z morza, jak oka z głowy. Tratwa, jako szersza, z większą trudnością przeciskała się tędy, przypuszczałem więc, że muszę teraz być bliżej" chociaż Jim prędzej płynął odemnie.

Sam nie wiem, jak to długo trwało, ale w końcu znalazłem się znów na szerokim korycie rzeki i nie tracąc czasu, huknąłem, by dać znać o sobie. Nikt mi jednak nie odpowiedział. Przyszło mi do głowy, że Jim uderzył gdzie może o jaką rafę i rozbił się. Zmęczony straszliwie, wyciągnąłem się w łodzi, jak długi, o nic już nie dbając, niech się tam dzieje, co chce. Ma się rozumieć, że nie miałem zamiaru: spać, ale że byłem straszliwie senny, postanowiłem więc zdrzemnąć się chwilę, jak kot, gdy zasypia nad mysią norą.

Musiałem jednak spać dłużej, niż kot przy norze, bo gdym się przebudził, gwiazdy świeciły jasno, mgła znikła bez śladu, a ja płynąłem środkiem rzeki, która tworzyła w tem miejscu szeroki zakręt półkolisty. Z początku nie wiedziałem gdzie jestem, zdawało mi się, że śnię, później jednak wszystko mi na myśl przychodziło, lecz tak powoli, jakby z daleka, jakby z przeszłego tygodnia.

Rzeka nadzwyczajnie była w tem miejscu szeroka, a po obu jej brzegach rosła taka gęstwina wysokich, drzew ciemnych, że podobną była nie do boru, lecz do ściany ogromnej, pod samo niebo sięgającej.

Przy świetle gwiazd niewiele można widzieć, dojrzałem jednak w znacznej od siebie odległości coś, co się wyraźną czernią plamą na ciemnym tle wody. Podpływam i cóż się ukazuje: kilka bali razem związanych Dalej jeszcze znów coś się czerni: pędzę ile mam siły i teraz dobrzem już trafił, bo była to właśnie nasza tratwa.

Z zadowoleniem prawdziwym przedostałem się z łódki na tratwę, a z jeszcze większym ujrzałem Jim'a. Spał sobie pocziwiec, z głową między kolana wsuniętą i ręką przyciskał wiosło. Drugie leżało na pomoście strzaskane, a cała tratwa usłana była gałęziami połamanemi, liściem i mokrą

ziemią.

Nie tracąc czasu, położyłem się na pomoście pod samym nosem Jima i zaczynam ziewać, przeciągać się, niby to niechcący trącąc Jim'a, aż wreszcie mówię:

— Jim, czy ja spałem? Czemuś mnie nie obudził?

— Święty Boże, to ty, Huck? Nie umarłeś? nie utonąłeś? powróciłeś? To dopiero szczęście! I to prawda, kochanie? prawda, że ja cię mam przed sobą? Niechże się na ciebie napatrzę, dzieciaku, niech cię pomacam... Więc ty, złotko moje, powróciłeś? i zdrow i cały? Ten sam Huck co dawniej, ten sam zupełnie? O dzięki-ż Tobie, Boże!

— Co się tobie stało, Jim? Czyś ty pijany?

— Ja pijany? albow ja pił? Albo ja miałem czem się upić?

— A dlaczegóż mówisz od rzeczy?

— Co mam mówić od rzeczy? Cóżem ja powiedział?

— Jaktó! Nie wykrzykiwałeś, że powróciłem, że nie utonąłem i różne takie facecye? Albożem ja się ztąd ruszał?

— Huck, spojrzij mi w oczy. Patrz mi prosto w oczy, Huck. Powiadasz, żeś się ztąd nie ruszał?

— Ja? Wytłomacz-że mi, co to ma znaczyć? Nie ruszałem się ztąd, to pewna. Gdzieżbym ja mógł być?

— No, patrzcież, moi ludzie, coś się tu stało, coś się tu stało niedobrego!... Czy ja jestem *ja*, czy kto inny jest *ja*? Czy tu jest *tu*, czy *gdzieindziej*?

— Zdaje mi się, że ty jesteś ty, i że tu jest tu, ale zdaje mi się, że ci się trochę pomieszało w głowie, stary waryacie!

— No, to kiedy ja jestem ja, to mi odpowiedz na pytanie: Wzięłeś z sobą linę, czy nie wzięłeś, wsiadłeś z liną w łódkę, czy nie wsiadłeś, żeby uwiązać tratwę?

— Nie brałem liny i nie wsiadałem w łódkę. Gdzie miałem uwiązywać tratwę? Do czego?

— Nie miałeś uwiązywać tratwy? Słuchaj: nie wyrwała lina drzewka i nie popłynęła tratwa razem z drzewkiem-, a ty nie zostałeś z łódką wpośród mgły?

— Jakiej mgły?

— Mgły! Tej, co była prawie przez całą noc. Czy nie hukaleś, czy ja ci się nie odzywałem, dopóki obaj nie przepadliśmy wpośród wysepek, tak że jeden nie wiedział, gdzie szukać drugiego. I czy nie uderzyłem o jedną z tych przeklętych wysepek, że mato mi się tratwa nie rozbiła, a ja sam o mało nie utonąłem? Nie było tego wszystkiego, powiedz? Nie było?.

— Nie rozumiem cię, Jim Nie widziałem ani mgły, ani wysp, nie hukaleś i nie gubiłem ani drogi, ani ciebie. Siedziałem tu przez całą noc i rozmawiałem ciągle. Dopiero teraz, najwyżej przed dziesięcioma minutami, usnąłeś i zdaje mi się, że ja usnąłem także. Nie mogłeś przecie upić się w tak krótkim przeciągu czasu, więc śniłeś.

— Jakże mogło mi się śnić tyle rzeczy przez tak krótki przeciąg czasu?

— Widocznie musiało ci się śnić, skoro mówisz o tem, co nigdy nie miało miejsca.

— Kiedym ja to wszystko widział Na własne oczy widziałem... jak najwyraźniej.

— Zdaje ci się, żeś widział, ale tego wszystkiego nie było Zaręczam ci, że się ztąd wcale nie ruszałem.

Przez kilka minut Jim milczał, rozmyślając widocznie nad tem, cośmy mówili. W końcu rzecze:

— No, może być, że mi się to wszystko śniło, ale niech mnie kaczki zdepczą, jeśli miałem kiedy sen tak wyraźny i męczący.

— A tak! bo czasem sen zmęczy gorzej od prawdy. Ależ to sen zabawny, odpowiedz-no mi go, Jim.

Tu Jim, głos zabrawszy, opowiedział mi wszystko, szczegół po szczególe, wszystko tak, jak było, tylko, ma się rozumieć, znacznie ubarwione. A potem zaczął znów od początku i każdy szczegół "tłómaczył" po swojemu, bo sen podobny uważał za zesłaną z góry przestrożę. Najpierwej spotkana ławica oznaczać miała człowieka, który będzie chciał uczynić nam dobrze, ale przeszkodzi mu w tem "prąd", czyli inny człowiek, który nas oddali od pierwszego. "Nawoływania" znaczą, że od czasu do czasu będziemy ostrzegani, ale jeżeli nie będziemy się starali zrozumieć przestrogi, to one nietylko nie odwrócą od nas nieszczęścia, ale owszem, przyczynią go jeszcze. "Wysepki" oznaczają przykrości, które spotkać nas mają od różnych osób kłótliwych, niskiego charakteru i nieżyczliwie dla nas usposobionych, ale jeżeli będziemy się pilnować, nie wchodzić im w drogę i niczem ich nie drażnić, to ze spotkania z nimi wyjdziemy bez szwanku i z za "mgły gęstej" wypłyniemy szczęśliwie na wodę jasną, czystą, to znaczy: dostaniemy się bez przeszkody do stanów, gdzie nie istnieje niewolnictwo i gdzie skończą się wszystkie kłopoty nasze.

— Tak, doskonale wytłómaczyłeś wszystko, co było snem — powiadam — ale wytłómacz-że mi, jakie ma znaczenie to, co snem przecież nie jest. Patrzaj...

I wskazałem mu na różne patyki i liście, zaścielające cały pomost tratwy, na wiosło, które w drzazgi poszło w chwili, gdy się niem odpychał od brzegu, w ciasnych odnogach wśród wysepek.

Jim patrzył to na grubą warstwę gałęzi, to na mnie, ale tak już widać sen mocno wbił mu się w głowę, że go z niej nie mógł usunąć. Dopiero po dłuższej chwili rzekł:

— Jakie to ma znaczenie? Zaraz ci powiem. Gdym zmordowany sterowaniem i wołaniem do ciebie szedł spać, tom czuł, że mi ledwie serce nie pęka z żalu za tobą. Gdym zaś, obudziwszy się, zobaczył obok siebie Hucka zdrowego i całego, tom się mało nie rozplakał z radości i gotów byłem przed tobą paść na kolana i nogi twoje całować. Ty zaś przez cały ten czas o tem tylko myślałeś, jakby starego Jim'a okłamać i wystrychnąć na durnia. Otóż to wszystko, co pokład zaśmieca, jest obrazem twego myślenia, bo śmieciem są ludzie, którzy obrzucają błotem swoich przyjaciół i zabawę znajdują w ich zawstydzaniu.

To rzekłszy, podniósł się z miejsca i powolnym krokiem idąc ku budzie, wszedł do jej wnętrza. Nic więcej nie rzekł, ale i tego dosyć było. Uczułem się tak lichy, że mogłem być nieledwie całować nogi murzyna.

Z kwadrans upłynął, nim się przemogłem, żeby pójść upokorzyć się i przyznać do winy przed *Murzynem*, alem to uczynił i, co więcej, nigdy tego nie żałowałem. Nigdy też później nie bawił się jego kosztem, a i wówczas nie byłbym się bawił, gdybym był przewidział, że Jim tak weźmie żart ten do serca.

ROZDZIAŁ XVI

OCZEKIWANIE. — DO KAIRU! — GRUBE KLAMSTWO. — MIJAMY KAIR. — NA LĄDZIE.

Przespawszy prawie dzień cały, ruszyliśmy z miejsca nocą dopiero, mając przed sobą tratwę olbrzymią, na której ze trzydziestu ludzi siedzieć musiało, bo naliczyłem na pomoście aż pięć bud, nie tak lichoskleconych jak nasza, ale porządnych, niby domeczki, stojące w pewnem od siebie oddaleniu. Na środku pomostu wmurowane było ognisko, a z przodu i z tyłu powiewały flagi na wysokich masztach.

Noc pochmurna była i gorąca, rzeka zaś w tem miejscu tak szeroka, że brzegów prawie nie widzieliśmy, tylko dwie wysokie ściany drzew, wśród, których najmniejszej przerwy, ani światelka. Rozmawialiśmy o Kairze, niepewni, czy płynąc mimo, odgadniemy, że to ów Kair upragniony, nie inne miasto. Ja mówiłem, że zapewne nie odgadniemy, bom słyszał, że tam zaledwie kilkanaście domów, których zwłaszcza wśród nocy, możemy nie dostrzedz wcale. Jim zaś utrzymywał, że poznamy Kair, bo pod samem miastem druga rzeka wpada do Missisipi, co mi się nie bardzo wydawało, gdyż mogłoby się tak zdarzyć, że jeśli rzeka ma tu dwie odnogi, my nie popłyniemy tą, na której wybrzeżach leży miasto. Przypuszczenie to zaniepokoiło Jim'a, a i mnie także, nie wiedzieliśmy bowiem, co czynić? Stańło na tem, że jak tylko zobaczymy światło na brzegu, podpłynę łodzią i zasięgnę języka.

Na teraz pozostawało tylko pilnie uważać na brzegi, aby czasem nie prześlepić miasta. Jim był pewny, że je zobaczy, ponieważ na jego widok odrazu wolnym się stanie; gdyby zaś miasto prześlepił, znalazłby się znów w stanach, gdzie niewolnictwo

-istnieje, i straciłby wszelką nadzieję zostania wolnym. Co chwila więc zrywał się z miejsca i wołał:

— Kair! O, Kair!

Ale Kairu nie było. Światelka, które Jim widział, były to błędne ogniki lub świecące robaczki, znów więc siadał i wzrok wyteżał!, oczekując chwili, w której nareszcie zobaczy miasto. Jima aż febra trzęsa ze wzruszenia na myśl o blizkiej wolności. Prawdę mówiąc i ja drżałem, patrząc na niego, bo zaczynało mi świtać w głowie pojęcie, że Jim już wolny, A za czyją sprawą? moją! Owa pewność tak mnie dręczyła, że spokoju znaleźć nie mogłem. Przedtem nigdy mnie ta kwestya nie zajmowała, ale teraz coś mnie wewnątrz gryzło i dręczyło. Przekonywałem siebie, że to nie moja wina, że to nie ją skłoniłem Jim'a do porzucenia swej właścicielki, ale Co wszystko nie skutkowało.

"Wiedziałaś przecie — mówiło mi moje sumienie — że Jim po to uciekł, żeby się schronić do stanów wolnych? Trzeba ci było przybić do brzegu i powiedzieć o tem pierwszemu, kogo spotkasz." I prawda! sumienie miało rację; to też dokuczało mi, mówiąc dalej: "Cóż ci zrobiła biedna mis Wattson, żebyś patrzył obojętnie, jak własny jej Murzyn ucieka w twoich oczach i nie powiedział nic na to? Co ci zrobiła ta biedna, stara kobieta, żebyś tak nieuczciwie z nią postępował? Pomyśl tylko, uczyła cię przecie Pisma Świętego, chciała z ciebie porządnego uczynić człowieka, starała się być dobrą dla ciebie pod każdym względem!... A ty co? Tak się odwdzięczasz?"

Uczułem się w końcu tak nisko upadłym, tak nieszczęśliwym, że nieledwie pragnąłem śmierci. Snułem się po całej tratwie, jak opętany, a że Jim także usiedzieć nie mógł, więc potracaliśmy się co chwila i pełno nas było w każdym kącie. Niech tylko zerwie się Jim i krzyknie: "O, Kair!" mnie już jakby kto nożem pchnął w serce i zaraz mi się zdawało, że gdyby to był Kair, to umarłbym chyba ze

wstydu i ze zmartwienia.

Jednocześnie, gdy ja w myśli rozmawiałem z sobą, Jim ciągle rozprawiał głośno:

— Niech tylko dostanę się — mówił — do stanu wolnego, to przede wszystkim oszczędzać zacznę i nie wydam na nic ani centa; gdy zaś uzbieram, ile potrzeba, wykupię swą żonę, której właściciel mieszka na folwarku, sąsiadującym z posiadłością miss Wattson i wtedy oboje już razem zaczniemy pracować i oszczędzać na wykupienie swych dwojga dzieci. Gdyby zaś pan nie chciał ich sprzedać, to Jim wyszuka sobie jakiego abolicjonistę, który mu dzieci wykradnie.

Aż mi się zimno robiło, gdym słuchał tej mowy. Nigdy Jim nie ośmielił się mówić głośno w ten sposób! I odrazu taka w nim zmiana od chwili, w której mniemać zaczął, że prawo uczyni go wolnym. Sprawdzało się stare przysłowie: "Daj murzynowi cal, a on weźmie łokieć." I to wszystko z mego braku zastanowienia! Murzynowi temu dopomogłem, lub tak prawie jak dopomogłem do uciezki, a on teraz w mojej obecności jaknajspokojniej powiada, że wykradnie swe dzieci, stanowiące własność człowieka, którego nie znam nawet, człowieka, który nic zrobił mi nigdy nic złego!

Martwiłem się, że słowa Jim'a poniżają go i. źle o nim świadczą. A sumienie dopiekało mi ciągle, coraz gorzej, tak, że wreszcie wytrzymać dłużej nie mogąc, powiadam mu zcicha:

— Dajże ty mi pokój! Nie zapóźno jeszcze... niech tylko mignie na brzegu jakie światło, zaraz tam popłynę i powiem komukolwiek o Jimie

Odrazu mi jakoś ulżyło, szczęśliwy się czułem i lekki, jak piórko, pierzchły wszystkie moje zgryzoty Siadłem spokojnie i upatruję światła, przyśpiwując coś sobie pod nosem Po chwili zabłysło gdzieś światelko, a Jim woła na całe gardło:

— Bezpieczni jesteśmy, Huck, bezpieczni! Podskocz raz i drugi, uderz piętami! Kair! Poczciwy, stary Kair! Zarazem go poznał!

A ja na to:

— Popłynę łódką i przekonam się, czy to Kair. Może to tylko jakaś wioseczka?

Zerwał się Jim i w mgnieniu oka przygotował łódkę, stary swój paltot położył na dnie, abym miał na czym siedzieć, wiosło dał mi do ręki, a gdym się już nieco oddalił, zawołał za mną na pożegnanie:

— Za chwilę będę krzyczał z radości: Wolny jestem, wolny! A jeżeliby wolny, to z łaski Huck'a; gdyby nie Huck, nigdy bym wolności nie odzyskał! Jim nigdy ci tego nie zapomni, kochanku; Jim nigdy nie miał lepszego przyjaciela na całym świecie!

Szybkim robił wiosłami, bo pilno mi było uciszyć sumienie, ale gdym to usłyszał, jakby mi kto ręce przetrzącił! Zwolniłem więc i rozmyślam, bo nie byłem już pewien, czy mam być rad z powziętego postanowienia. Zdaleka słyszałem jeszcze głos Jima:

— Z Bogiem z Bogiem, kochany i wierny chłopcze. Dobry Huc'k! jedyny biały, który staremu Jimowi słowa dotrzymał.

Teraz już mi się naprawdę zrobiło bardzo niedobrze, lecz mówię sobie: powinienem tak postąpić, nie mogę zrobić inaczej. Wtem prosto na mnie łódź płynie, a w niej dwóch ludzi ze strzelbami. Zatrzymali się i ja także. Jeden z nich mówi:

— Co to takiego, tam na rzece?

— Ano... tratwa — ja na to.

— Ty ztamtąd?

— Ztamtąd.

— Ilu na niej mężczyzn?

— Jeden tylko.

— Słuchaj, dziś w nocy zbiogio pięciu murzynów Czy ten jeden na tratwie biały, czy czarny?

Nie zaraz odpowiedziałem. Chciałem odpowiedzieć, a nie mogłem, słowa nie wychodziły mi z

gardła. Próbowałem na odwagę się zebrać i powiedzieć prawdę, ale nie mogłem. Czulem, że nie mężczyzna, lecz królik. Widząc, że mi sił nie starczy, dałem za wygraną i rąbię prosto z mostu:

— Białe.

— Ja sądzę, że my jednak zajrzemy na tratwę, żeby przekonać się o tem na własne oczy?

— Jabyem też chciał i bardzo, żeby panowie zajrzeli, bo tam na tratwie jest tatuś, to możeby nam panowie pomogli przyholować tratwę do brzegu. Tatuś jest chory, i mama chora i Marya-Anna...

— Tam do licha! Pilno nam bardzo, chłopcze... No, ale ja sądzę, że pomożemy twemu ojcu.

Bywaj tymczasem zdrów.

Wzięli się do wiosł i ja także. Oddaliliśmy się od siebie na kilka łokci, gdy znów powiadam:

— Tatuś strasznie panom będzie wdzięczny, słowo daję Jak tylko kogo poproszę, żeby nam dopomógł tratwę przyciągnąć do brzegu, zaraz odemnie ucieka. Ja przecie sam nie mogę temu poradzić!

— To dziwne! A powiedz-no prawdę, chłopcze, na co chory twój ojciec?

— Ojciec chory na... na. to nic wielkiego, tylko chory...

Przestali robić wiosłami, a drugi, który dotąd milczał, odzywa się:

— Kłamiesz, chłopcze. Gadaj mi zaraz, co twemu ojcu? Radzę ci, mów prawdę. Lepiej na tem wyjdiesz.

— Powiem, proszę pana, słowo uczciwe daję, że powiem Tatuś ma... ma... proszę panów, niech panowie nie oddalają się od tratwy i dopuszczą mnie do siebie. Linę rzucę... proszę panów...

— Cofaj się, Janie, cofaj! — woła pierwszy — a ty, chłopcze zdaleka się trzymaj, pod wiatr. Dyabli nadali! właśnie ztamtąd wiatr... Chłopcze, twój ojciec chory na ospę i ty wiesz o tem doskonale. Czemuś nie powiedział prawdy odrazu? Czy chcesz roznieść zarazę po całym kraju?

— Kiedy ja... ja.. — rzekłem, szlochając — mówiłem pierwej prawdę każdemu, lecz wszyscy odemnie uciekali.

— Biednyś ty chłopiec! żal nam ciebie z całego serca, ale... widzisz... my także nie mamy ochoty dostać ospy. Słuchaj, ja ci powiem, co zrobić. Nie próbój holować tratwy sam: nie dasz rady, albo ją rozbijesz na drzazgi. Popłynięcie jeszcze ze dwadzieścia mil w dół rzeki, zobaczycie po lewej stronie miasto. Będzie już wtedy po zachodzie słońca... ciemnowo... Gdy spotkasz kogo na wybrzeżu, poproś o pomoc... powiedz, że wszyscy twoi chorzy na febrę. Nie bądź-że znów głupi, nie pozwól się nikomu domyśleć, że to nie febra, lecz ospa. Za grzeczność, którą ci świadczymy, zrób-że i ty nam grzeczność: niech między tobą a nami rozciągnie się mil dwadzieścia Nie przybijaj do brzegu tam, gdzie widać światło, nic ci z tego nie przyjdzie, bo to tylko składy drzewa. Słuchaj jeszcze: twój ojciec pewno ubogi? jakbym widział, że kuso koło was. Patrz, tu na tej desce kładę dwudziestodolarową sztukę złota... deskę do ciebie woda niesie, weź sobie pieniądze. Mnie samemu wstyd, że tak od ciebie uciekamy, ale dalibóg, z ospą żartów niema. Sam przecie wiesz.

— Poczekaj, Parker — odezwał się drugi. — Masz tu drugą sztukę złota, połóż ją także na desce: to odemnie. Bóg z tobą, chłopaczku, Bóg z tobą zrób, jak ci radzi p. Parker, a dobrze wyjdiesz na tem.

— Tak, tak, chłopcze. Bądź zdrów, bądź zdrów! A jeżeli gdzie zobaczysz murzynów zbiegłych, to wezwij pomocy i złap ich. Zarobisz przytem.

— Bywajcie, panowie, zdrowi — odpowiedziałem — postaram się nie przepuścić koło siebie murzynów,

Oddalili się, a ja powróciłem na tratwę, upokorzony i nieswój, wiedząc, że źle postąpiłem; przekonałem się przytem, że już się nie nauczę być dobrym. Taki, którego nie nauczą chodzić prosto, kiedy jest mały, nigdy nie wyjdzie na człowieka: raz zepchnięty z drogi, nie znajdzie już w sobie siły

do panowania nad sobą i naturalnie poślizgnąć się musi. Myśląc nad tem przez chwilę, rzekłem sobie: Słuchaj, Huck, przypuśćmy, żeś postąpił, jak należało i wydał Jim'a, czy czułbyś się bardziej zadowolonym, spokojniejszym, niż się teraz czujesz? — Nie — odpowiedziałem sobie — nic a nic nie lepiej. No, kiedy tak, to pocóż ja mam uczyć się czynienia dobrze, kiedy czynić dobrze trudno i przykro, a czynić źle ani trudno, ani przykro, a nagroda zaś iedna i ta sama: czy tak, czy owak, nie czujesz zadowolenia? Odpowiedzi na to nie znalazłszy, postanowiłem nie suszyć sobie tem głowy, ale odtąd tak postępować, jak mi w danej chwili będzie wygodniej i łatwiej.

Poszedłem do naszej budki: niema tam Jim'a. Oglądam się naokoło: nigdzie go niema. Wołam więc:

— Jim!

— Tu jestem, Huck. Czy już ich nie widać? Nie mów tak głośno...

Stał w wodzie po samą szyję, nos tylko widać mu było z za krawędzi tratwy.

— Słyszałem wszystko, coście mówili — powiada — zsunąłem się więc do rzeki i gotów już byłem płynąć na brzeg, gdyby tu zajrzeli, a potem znówbym powrócił. Ależ udało ci się z nimi, Huck! Wyprowadziłeś ich w pole aż miło! Złotko ty moje, ocaliłeś starego Jim'a i stary Jim nigdy ci tego nie zapomni, nigdy...

Potem zaczęliśmy rozmawiać o pieniądzech. Dobrze nam się dostało, po dwadzieścia dolarów na każdego Jim był zdania, że możemy teraz zakupić sobie miejsce na pokładzie parowca i że tych pieniędzy wystarczy, na najdłuższą podróż po Stanach wolnych. Dodał wreszcie, że płynąć jeszcze mil dwadzieścia to nic, ale chciałby już mieć je po za sobą.

Nad ranem zatrzymaliśmy się, a Jim usiłował ukryć tratwę jak najlepiej i przez dzień cały zajęty był wiązaniem rzeczy

Następnej nocy, około dziesiątej, ujrzeliśmy światła dużego, jak się zdawało, miasta, na lewym wybrzeżu rzeki, tworzącej w tem miejscu zatokę.

Popłynąłem łódką dowiedzieć się od ludzi, jakie to miasto.

Niedaleko od brzegu spotykam jakiegoś człowieka w małym czółenku, gdy właśnie więcierz ustawiał. Pytam go tedy:

— Proszę pana, czy to Kair?

— Kair? Nie. Co to, głupiś, czy co, że o to pytasz?

— Więc jakie to miasto, proszę pana?

— Jeżeli chcesz wiedzieć, to pójdz tam i spytaj ludzi. A jeżeli pół minuty będziesz się tu koło mnie kręcił, to co oberwiesz.

— I ja wiedziałem, alem zapomniał.

Przed świtem, gdy ukryliśmy się pomiędzy lewym brzegiem a wysepką gęsto zakrzewioną, żeby dzień tam przepędzić, domyślając się czegoś, rzekłem do Jim'a.

— A może minęliśmy Kair podczas owej mgły nocnej?

— E! nie warto już mówić o tem, Huck — odrzecz Jim — czy to biedny murzyn może być szczęśliwy? Wiedziałem, że to nie koniec zgrzyot, które nam przyniosła skóra grzechotnika.

— Bogdajbym nigdy nie był widział tej skóry!

— To nie twoja wina, Huck, złotko moje, nie twoja. Tyś nie wiedział, że ona nieszczęście sprowadza. Niepotrzebnie czynisz sobie wyrzuty.

Gdy się rozwidniło, patrzymy: po lewej ręce czyste, jasne wody Ohio, po prawej stara nasza Missisipi. A zatem Kair za nami.

Trzeba coś było obmyśleć: tratwą płynąć pod wodę nie można, wysiąść na brzeg niema po co. Nie było innej rady, tylko doczekać się nocy i wtedy dopiero łódką próbować szczęścia.

Przespaliśmy więc cały dzień w zaroślach bawełnianych, aby sił nabrać do czekającej nas pracy, ale gdyśmy o zmroku wrócili do naszej tratwy, pokazało się, że łódź przepadła.

Przez dość długą chwilę milczeliśmy obaj. Cóż było mówić? Wiedzieliśmy doskonale, że to jeszcze dalszy ciąg skutku skóry wężowej, więc na cóżby się zdało gadanie?

Należało zrobić jakieś postanowienie. Pokazało się, że niema innego sposobu, tylko dalej płynąć tratwą, dopóki nie zdarzy się sposobność kupienia łodzi, dla powrócenia do Kairu.

Z nadejściem nocy siedliśmy znów na tratwę.

Każdy, kto do tej pory jeszcze nie uwierzył w przekleństwo skóry węża, uwierzy i przekona się, gdy usłyszy, co dalej zaszło.

Płynęliśmy już ze trzy godziny Noc z czarnej przechodziła w szarą i tak jakby gęstniała, co jest zawsze złą bardzo rzeczą, równie prawie niebezpieczną jak mgła Nie widać brzegów rzeki, szaro wszędzie i chmurno.

Wtem słyszemy: płynie parowiec Zapaliwszy latarnię, słuchamy jak dyszy, jak rozbija wodę, choć nie widzimy go wcale. Dopiero gdy był już bliźutko, patrzymy: płynie wprost na nas. Robią to parowce niekiedy dla poznania, o ile zbliżyć się mogą bez uderzenia statku, czasami koło parowca zaczepi o łódź lub tratwę, uderzy ją, uszkodzi, a sternik śmieje się, myśląc, że zrobił coś arcy-mądrego.

Płynie tedy, nadpływa, widzimy już, że nam nie daruje, że ani myśli nas minąć Był to parowiec ogromny i śpieszył się bardzo; wyglądał jak wielka, czarna chmura, wysadzana rzędami świecących robaczków świętojańskich. Zanim się opatrzyliśmy, wisiał już prawie nad nami, wyszczerzając na nas szeroko otwarte drzwi pieców, jakby szereg zębów rozpalonych do czerwoności. Nagle dał się słyszeć krzyk, wołanie mnóstwa naraz głosów, dzwonienie dzwonek sygnałowych, komenda zatrzymania maszyny, syk, szum, gwizd raptownie wypuszczanej pary — i podczas gdy Jim, niespodzianie w górę podrzucony wpadał do wody z jednej strony a ja z drugiej, parowiec, zdruzgotawszy trarwę, przepływał środkiem jej szczątków. Dawszy nurka, umyślnie poszedłem na dno, wiedząc, że trzydziesto-stopowe koło przejdzie nademną, chciałem więc, aby mu miejsca nie zabrakło. Zawsze wytrzymać mogę pod wodą minutę, ale tym razem zdaje mi się, że chyba dłużej wysiedział Spieszno mi jednak było wydostać się na powierzchnię, bo myślałem, że się uduszę. A tymczasem parowiec, zatrzymawszy maszynę na jakie dziesięć sekund, znów ją w ruch puścił, bo niewiele sobie robią parowce z tratw i z ludzi. Płynąc dalej, znikał mi z oczu w szarem i gęstem powietrzu, choć jeszcze słyszeć go mogłem.

Ze dwanaście razy przynajmniej wołałem Jim'a, ale napróżno: nie było odpowiedzi. Schwyciłem się deski i wypłynąwszy na powierzchnię, zacząłem dążyć do brzegu.

Wdrapawszy się na dość wysokie wybrzeże, nie wiele widzieć mogłem, ale idąc po omacku z ćwierć mili, trafiłem niespodzianie na staroświecki, wielki dom drewniany, który chciałem wyminąć i pójść dalej. Gdy jednakże wyskoczyła na mnie cała psiarnia i zawzięcie ujadać zaczęła, nie byłem tak głupi, żeby przed psami uciekać.

ROZDZIAŁ XVII

PÓŻNA WIZYTA. — FOLWARK W ARKANSAS. — PRZYODZOBNIENIA WEWNĘTRZNE. — STEFAN DOWLING BOTS. — DUSZA POETYCZNA. — KLAWIKORD.

Za chwilę potem ktoś, nie wychylając się z okna, woła:

— Prędeż, chłopcy! Kto tam?

— Ja — powiadam.

— Co za ja?

— Jerzy Jackson, proszę pana. — Czego chcesz?

— Ja nic nie chcę, proszę pana... Ja chciałem tylko przejść sobie tędy, ale psy mnie puścić nie chciały.

— A czego się włóczysz o tej porze? Co?

— Ja się nie włóczę, proszę, pana, ja tylko spadłem z pokładu parowca.

— Co? Naprawdę spadłeś? Zapalcie-no tu światło. Więc jak się zowiesz?

— Jerzy Jackson, proszę pana. Nieduży jeszcze jestem.

— Słuchaj, jeżeli prawdę mówisz, nie potrzebujesz się bać; nikt ci nic złego nie zrobi. Nie próbuj jednak ruszać się z miejsca, stój tam, gdzie stoisz. Ruszcie-no się, Bob i Tom, i przynieście fuzye. Jerzy Jackson, czy jest jeszcze kto z tobą?

— Nie, proszę pana, sam jestem.

Słyszę ruch w domu i koło domu, widzę światło. Ten sam głos krzyczy:

— Zabierz ztąd świecę, głupia stara! Czyś już do reszty rozum straciła? Postaw ją na podłodze. Bob, jeżeliście obaj z Tomem gotowi, to na miejsca!

— Gotowiśmy.

— Odpowiadaj, Jerzy Jackson. Czy znasz Shepherdsonów?

— Nie znam, proszę pana. Nigdy nawet o nich nie słyszałem.

— Hm! może to prawda, a może. i nieprawda...

Gotowiście? Idź naprzód, Jerzy Jackson. Pamiętaj sobie, nie śpiesz się; idź powolutku. -Jeżeli ktokolwiek jest z tobą, niech się nie pokazuje; jeżeli się pokaże, zastrzelę go. Chodź tu ku nam. Wolno idź; otwórz sobie drzwi... sam... na tyle tylko, żebyś się nimi mógł wcisnąć... słyszysz?

Nie śpieszyłem się; nie mogłem, choćbym nawet chciał. Powolusieńku krok za krokiem postępowałem, słysząc prawie bicie swego serca. Psy zachowywały się równie cicho jak ludzie, słyły tylko tuż za mną. Gdy doszedłem do trzech schodów drewnianych, wiodących do drzwi, usłyszałem, że ktoś je odmyka, odsuwa rygle i zasuwę. Położyłem rękę na drzwiach i lekkim pchnięciem otwierałem je po trochu, dopóki ktoś nie rzekł: Dosyć już; wsadź teraz głowę. — Wsadziłem, ale nie byłem pewny, czy mi jej natychmiast nie zdejmą!

Na podłodze stała świeca, którą wszyscy otaczali, patrząc na mnie z widocznym zaciekawieniem. Było tam trzech mężczyzn dorosłych z wymierzonymi ku mnie strzelbami, co wcale nie jest przyjemne! Najstarszy, siwy, mógł mieć lat ze sześćdziesiąt, dwaj inni po trzydzieści albo i więcej — wszyscy trzej przystojni i okazali — a za nimi siwa, miłutka staruszka z dwiema pannami, których nie mogłem widzieć dokładnie. Stary jegomość powiada:

— No, wszystko dobrze. Wejdz.

Zaledwem wszedłem, natychmiast stary jegomość drzwi na klucz zamknął, rygle pozasuwał, sztabą

żelazną drzwi założył, polecając młodym ludziom iść za nim ze strzelbami. Gdyśmy weszli wszyscy do dużego pokoju bawialnego, którego podłoga zasłana była nowiutkim dywanem, pozszywanym z gałganków, mężczyźni zaraz się skupili w rogu najbardziej oddalonym od okien, które były tylko w ścianie frontowej. Jeden z nich trzymał w ręku świecę, a wszyscy trzej przyglądali mi się bacznie, mówiąc do siebie nawzajem:

— Nie, to nie żaden Shepherdson... Z pewnością nie Shepherdson... Niepodobny do nich wcale...

Potem stary jegomość w przekonaniu, że mi to zapewne nie zaszkodzi, postanowił zbadać, czy nie mam przy sobie broni. Nie szukając nawet po kieszeniach, obmacał mnie rękami po wierzchu i powiedział, że teraz jest już spokojny. Oświadczył mi też, że mam się rozgościć i być jak u siebie w domu, chciał nawet, żebym zaraz wszystko o sobie opowiedział. Na to milutka staruszka:

— Bóg z tobą, Saulu, biedny chłopak mokrzusieńki, a ty mu każesz opowiadać! Głodny przecie być musi? Tobie to ani w głowie!

— Masz słusność, Rachelo, zapomniałem!

— Betsy — rzecze wtedy staruszka do murzynki — biegaj-no, niebożę, czempredzej do spiżarni i przynieś temu biedactwu coś do zjedzenia. A wy, dziewczęta, niech jedna obudzi Buck'a i powie mu... A! otóż i Buck... Buck, weź z sobą tego chłopaczka, zdejm z niego mokrą odzież i ubierz w swoją... Przeiębić się gotów, nieborak...

Buck wyglądał na mego rówieśnika, mógł mieć lat ze trzynaście albo czternaście, chociaż był nieco wyższy odemnie. Na sobie nie miał nic, prócz koszuli i czupryny okropnie rozczochranej. Wszedł, ziewając i przecierając sobie oczy kułakiem jednej ręki, w drugiej zaś trzymał strzelbę, którą ciągnął za sobą.

— Więc niema Shepherdson'ów? — pyta Buck.

— Niema — powiadają mu — to tylko alarm fałszywy.

— To dobrze. Gdyby się choć jeden z nich pokazał, miałby do czynienia ze mną.

Naśmieli się wszyscy, a wielki Bob mówi:

— A tymczasem mogli oskalpować nas wszystkich, tak się guzdrałeś długo.

— Bo nikt po mnie nie przyszedł, a to niesprawiedliwość. Zawsze mnie wysyłają spać.. dla mnie nigdy niema roboty.

— Nie martw się, nie martw, chłopcze — rzekł stary jegomość — będzie jeszcze i dla ciebie robota. Pory swojej doczekaj, a robota się znajdzie. A teraz ruszaj ztąd i zrób tak, jak ci matka kazała.

Gdyśmy poszli na górę do jego pokoju, Buck wyjął grubą koszulę, kurtkę i spodnie, ja zaś włożyłem to wszystko na siebie. Gdym wciągał ubranie, zapytał mnie, jak się nazywam, lecz zanim zdołałem odpowiedzieć, już on sam mówić mi zaczął o jakimś dzieciu osobliwym i o małym króliku, którego onegdaj w lesie złowił, a potem spytał, gdzie był Mojżesz, gdy świeca zgasła. Odpowiedziałem, że nie wiem i nie wiedziałem naprawdę. Nikt mi nigdy o tem nie mówił.

— Zgaduj — mówi Buck.

— Jakże mogę zgadnąć, kiedym nigdy o tem nie słyszał?

— Zawsze przecie zgadywać możesz. Bardzo łatwo zgadnąć.

— Jakaż to świeca zgasła?

— No, świeca. Taka sobie, zwyczajna.

— Zkądżeż ja mogę wiedzieć, gdzie się Mojżesz wtedy znajdował?

— Ach, jakież ty! W ciemności!

— No, to kiedy wiesz, gdzie się znajdował, dlaczego, pytasz?

— Nie rozumiesz, że to zagadka? Słuchaj, długo ty będziesz u nas? Wiesz co. ci powiem: zostań

na zawsze. Będziemy używać, lekcyi teraz niema, wakacye. Masz ty psa? Ja mam własnego, wskakuje do wody i aportuje kawałki drzewa, które mu rzucam.. Czy lubisz czesać się w niedzielę i różne świąteczne ceremonie? Ja ich nie lubię, ale się czeszę: mama każe... Niech licho porwie te spodnie; muszę je kłaść, a tu okropnie gorąco... Jużeś gotów? No, to dobrze... Chodź-że teraz za mną, stara szkapo.

Zimne podpłomyki, zimna pieczeń wołowa, masło i maślanka, wszystko to zastawili dla mnie jednego, a wszystko było wyborne i tak mi smakowało, jak nigdy w życiu. Buck, jego matka i wszyscy zresztą palili krótkie fajeczki, oprócz obu panien i murzynki, która zresztą zaraz wyszła z pokoju. Palili wszyscy i rozmawiali, a ja także jadłem i rozmawiałem. Panny owinięte były w koldry, a włosy rozpuszczone sięgały im aż do pasa.

Zadawali mi wszyscy pytania, a ja opowiadałem, że tatko mój posiadał mały folwarczek w głębi Arkansów, w tym właśnie kącie, który leży najdalej od rzeki, gdzie żyliśmy spokojnie i wygodnie. Siostra moja, Marya-Anna, wykradła się z domu, poszła za mąż i od tej pory niceśmy już o niej nie słyszeli. Starszy brat, Bill, wyprawił się na poszukiwanie zbiegłej i także bez wieści gdzieś przepadł; mali braciszkwowie, Tom i Mort, pomarli, a po ich śmierci zostaliśmy tylko we dwóch: tatko i ja, Tatki jakby nie było wcale, bo udręczony zgryzotą niezadługo umarł, ja zaś po jego śmierci zabrałem wszystko, co było, i zakupiłem sobie miejsce na parostatku, płynącym w górę rzeki. Gdy jednak przechyliłem się nieostroźnie, wpadłem w wodę i takim sposobem tu się dostałem. Odpowiedzieli mi na to, że mogę siedzieć u nich dopóki zechcę, jak we własnym domu. Tymczasem rozedniało już na dobre, wszyscy poszli spać, a i ja, położywszy się razem z Buckiem, zasnąłem jak kamień. Gdy się obudziłem przed południem, przeszło mnie mrowie, bo dyabli nadali, że zapomniałem jak się nazywam. Leżę tedy z godzinę i przypominam sobie, a gdy Buck się obudził, pytam go:

— Umiesz "*spell*?"

— Umieję — odpowiada.

— Założyłbym się, że nie potrafisz przesyłabizować mego nazwiska?

— A ja się założę, o co chcesz, że potrafię!

— No, kiedy tak, to zaczynaj.

— G — e — o — r — g — e J — a — x — o — n. A co?

— Prawda — powiadam — przesyłabizowałeś. Myślałem, że nie potrafisz. No, ale nazwisko moje łatwe i bez uczenia się dokazać można takiej sztuki.

Dobrze jednak zakarbowałem sobie w pamięci każdą głoskę, bo nuż kto zażąda odemnie, abym przesyłabizował własne nazwisko? Trzeba się mieć na pogotowiu i wyrecytować głoskę po głosce, jakbym to już czynił poraz setny.

Była to rodzina bardzo porządna i dom zamożny, co się zowie. Nigdy nawet w życiu nie widziałem wiejskiego domu tak wytwornego.

Na ścianach wisiało pełno obrazów — przeważnie Washington'owie, Lafayette'y, bitwy różne, a był też i jeden obraz, który się nazywał: "Podpisywanie deklaracji" (1). Były także i inne obrazy, jak oni mówili, "kredką robione" przez jedną z córek już nieżyjącą. Robiła je, mając zaledwie lat piętnaście. Różniły się one zupełnie od wszystkich obrazów, jakie dotychczas widziałem, czarnością. Jeden przedstawiał kobietę w wąskiej, sukni czarnej, wąskim paskiem przepiętej pod pachami. Rękawy tej sukni odstawały nad łokciami tak, jakby kto w nie włożył po głowie kapusty; miała zaś czarny kapelus, trochę podobny do szaflika a trochę do łopaty i czarną woalkę; łydki białe i cienkie, na krzyż przewiązane czarną wstążeczką, i malusieńkie czarne pantofelki, jak dłóto spiczaste. Stała, bardzo czegoś zamyślona pod brzozą płaczącą, obok nagrobka; prawym łokciem wsparta była na nagrobku, prawą ręką podpierała zwieszoną głowę, ale za to w lewej ręce, spadającej na suknię,

trzymała białą chustkę do nosa i woreczek. Pod malowidłem stało drobnymi napisane literami: "Ach! Ach! Niestety! Czy Już Cię Nigdy Nie Zobaczę!" Drugi obraz przedstawiał młodą osobę z włosami, podczesanymi wysoko i zebranymi na samym czubku głowy, naokoło grzebienia, który wyglądał, jak tylna poręcz krzesła. Płakała rzewnie, kryjąc całą twarz i oczy w chustkę, którą trzymała w jednej ręce. Na drugiej leżał na wznak, z nóżkami wyciągniętymi do góry, ptaszek nieżywy, a pod obrazem napis: "Ach! Ach! Niestety! Nigdy Już Nie Usłyszę Twego Wdzięcznego Świergotu!"

Jeszcze jeden był obraz: młoda osoba stała w oknie i patrzyła na księżyc; po twarzy jej płynęły łzy rzęsiste; w jednej ręce trzymała list otwarty, z przełamaną na pół pieczęcią czarną, drugą zaś przyciskała do ust medalion na łańcuszku. Napis brzmiał: "Ach! Ach! Niestety! Odszedłeś — Że? Tak!!! Odszedłeś!!!" Sądzę, że to były śliczne obrazy, ale nie umiałem poznać się na nich, bo ' gdym był nieswój, a spojrzałem na nie, zaraz mnie mdliło. Wszyscy żalowali, że umarła przed ukończeniem wielu innych obrazów takiejże treści, ale i z tego, co już zrobiła, mógł każdy osądzić, jaką stratę poniosła rodzina przez śmierć panienki z takim talentem. Mnie się ziaje, że przy takim usposobieniu powinna być w grobie weselsza. Właśnie podczas pracy nad największym, jak mówili, obrazem, nagle zachorowawszy, co rano i wieczór prosiła Boga: "o życie, dopóki obrazu nie skończy". Pan Bóg wszakże nie chciał na to pozwolić. Obraz ów miał wyobrażać młodą osobę w długiej, białej sukni, stojącą na poręczy mostu i gotową do skoku. Rozpuszczone włosy spadają niżej pasa, a ona patrzy na księżyc, łzy jej płyną po twarzy, dwoje ramion skrzyżowała desperacko na piersi, drugie dwoje wyciąga przed siebie, a trzecich dwoje wznosi do księżyca. Dlatego zaś narysowała aż trzy pary, że chciała naprzód zobaczyć, z którą z trzech najwięcej pannie do twarzy, a potem tamte wyskrobać. Ale, jakem już mówił, umarła, zanim się zdążyła zdecydować, rodzina zaś schowała obraz na pamiątkę Powiesili go w jej pokoju, w głowach łóżka i co rok w dzień jej urodzin wieńczyli go kwiatami. W dni powszednie był zasłonięty firanką. Młoda osoba z obrazu wcale niczego, tylko, podług mnie, za wielką ilość ramion czyniła ją trochę podobną do pająka.

Panienka ta, mając książkę ładnie oprawną, na jej stronicach naklejała różne nekrologi i pośmiertne wspomnienia o takich, którzy cierpliwie znosili długą chorobę. Wycinała to wszystko z miejscowej gazety "Presbyterian Obserwer" i potem do tego pisała wiersze — z własnej głowy.

Buck opowiadał, że mówiła wierszami, jakby jadła chleb z masłem. Nie potrzebowała nawet myśleć! Mówił, że tak: siadła i machnęła wiersz, a jeżeli nie mogła dobrać do niego rymu, to niewiele myśląc, zaraz go przekreśliła i w tej chwili machnąwszy drugi, jechała dalej. Nie wybredzała; pisać mogła o wszystkim o czym kto chciał, żeby pisała; byle tylko było coś smutnego. Ile razy umarł mężczyzna, albo kobieta, albo dziecko, to jeszcze nie ostygli, a ona już była gotowa ze swoją "daniną." Nazywała takie wiersze *daniną*. W sąsiedztwie mówiono, że najpierwszy wie o umarłym doktor, potem Emelina, a ostatni dopiero przedsiębiorca pogrzebowy. Raz tylko tak się zdarzyło, że wyprzedził Emelinę przedsiębiorca, a to dlatego, że nie mogła dobrać rymu do nazwiska nieboszczyka: *Whistler*. Nigdy już potem nie przyszła do siebie: nie mówiła nic, nie skarżyła się, ale gasła w oczach i niezadługo potem skoła.

Biedne dziewczę! nieraz kazałem sobie iść do tego pokoju, w którym mieszkała za życia i wydostawszy jej książkę z wycinkami, czytałem wszystko, co tam było — najczęściej wtedy, kiedy mi jej obrazy tak do żywego dopiekiły, że mi się trochę na nią pozłościł.

Polubiłem całą tę rodzinę, i żywych i umarłych, nie chciałem więc dopuścić do nieporozumienia pomiędzy nami. Biedna Emelina pisała za życia wiersze o każdym, kto umarł, a teraz, kiedy sama umarła, to nie było nikogo, kto by co o niej napisał. Jakże można! to przecie niesprawiedliwość! Staralem się więc wydusić z siebie jeden albo dwa wiersze, ale ani rusz — nie mogłem.

Pokój Emeliny utrzymywano bardzo czysto i wszystko było w takim samym porządku, jaki ona u

siebie zaprowadziła. Nie sypiał nikt w tym pokoju, a matka staruszka, choć w domu pełno było murzynów, sama go zawsze sprzątała, żeby tylko całymi godzinami tam siedzieć, lub czytać Biblię tuż obok łóżeczka zmarłej córki.

Mówiąc o bawialnym pokoju, zapomniałem dodać, że w oknach były przecudowne białe rolety z malowidłami pałaców, strumyków i bydła. Był także stary klawikordzik, o klawiszach jak gdyby z żółtej blachy. Gdy panienki, przygrywając na nim śpiewały "Ostatnie pękło ogniwo", albo kiedy zagrały "Bitwę pod Progą", to słuchać mogłem i słuchać... bez końca!

Dom składał się właściwie z dwóch budynków, zupełnie do siebie podobnych, Odstęp między nimi pokryty był dachem, wyłożony podłogą a służył podczas upałów za jadalnię. A co to było za jedzenie! I obfite i dobre!

ROZDZIAŁ XVIII

**JMCI PAN GRANGEFORD. — ARYSTOKRACJA. — STARA WAŚŃ. —
TESTAMENT. — CYRANKI. — ZNALAZŁA SIĘ TRATWA. — SKŁADY
DRZEWA. — SIEKANINA. — "TO TY, ZŁOTKO MOJE?"**

Jmci pan Grangerford był szlachcicem, jak mówią dobrze urodzonym, a to się ceni i w człowieku i w koniu. Tak mawiała wdowa Douglas, należąca do najpierwszej w naszym miasteczku arystokracji. I tatko powtarzał to samo, choć wcale nie był dobrze urodzony. Jmci pan Grangerford, wysokiego wzrostu, wielce szczupły, śniadą miał cerę, twarz bez rumieńca, chude policzki, co rano jak najstaranniej ogolone, bardzo cienkie usta, jeszcze cieńsze nozdrza, nos orli, brwi gęste i najczarniejsze w świecie oczy, tak głębokie, że jakby z jaskini przezierały. Czoło miał wysokie, włosy czarne i proste, spadające aż na ramiona. Ręce miał długie, niezmiernie szczupłe, a odkąd żył, brał codziennie świeżą koszulę i codziennie świeże ubranie z płótna tak bielutkiego, że aż oczy bolały patrzeć na nie. W niedzielę przywdziewał zawsze frak szafirowy z mosiężnymi guzikami i do niego nosił laskę mahoniową o dużej gałce srebrnej. Nie łatwo z nim było żartować, wcale nawet żartów nie znosił, ale za to nigdy nie wybuchał gniewem. Dobry był niesłychanie i każdy musiał go lubić. Czasami gdy mu zaigrał uśmiech na ustach, aż przyjemnie było patrzeć na niego; lecz gdy się wyprostował, jak słup, z którego w dni świąt narodowych powiewają chorągwie, gdy z pod jego brwi czarnych zaczęły latać błyskawice, to brała ochota najpierw się wdrapać na drzewo, a dopiero potem zapytać, o co chodzi. Nigdy nie potrzebował przypominać, żeby się przy nim zachowywano przyzwoicie, bo nikomu na myśl nawet nie przyszło być nieprzyzwoitym w towarzystwie p. Grangerforda. Każdy pragnął być blisko niego; zdawało się, że przy nim i słońce jaśniej świeci. Czasami zachmurzał się, jak noc, na pół minuty, a wówczas, przez cały tydzień szło wszystko w domu, jak w zegarku.

Gdy oboje z siwiutką staruszką schodzili rano na dół, do pokoju, w którym znajdowała się już cała rodzina, wszyscy wstawali, mówiąc rodzicom dzień dobry i nie siadali dopóty, dopóki rodzice nie usiedli. Wtedy Tom i Bob szli do kredensu, gdzie stały przygotowane butelki, przyrządzali kieliszek wódki z gorzkiemi kroplami i podawali go ojcu, a Jmci p. Grangerford trzymał go w ręku, dopóki Tom i Bob nie przyrządzili sobie po kieliszku. Składając rodzicom ukłon, mówili: "Nasze uszanowanie panu ojcu i pani matce", rodzice zaś skłoniwszy się zlekka, powiadali:

"Dziękujemy wam." Gdy mężczyźni wypili, Bob i Tom, nalawszy na dno swego kieliszka po kropli wybornej, z jabłek pędzonej wódki i po łyżeczkę wody, osładzali tę mieszaninę szczyptą cukru, wołając mnie i Buck'a żebyśmy przyszli wypić za zdrowie starych państwa.

Bob był najstarszy, Tom zaraz szedł po nim. Obaj wysocy, piękni mężczyźni, ogorzali, barczyści, obaj o czarnych włosach i oczach. Od stóp do głów zawsze się odziewali w białe płótno, tak, jak stary jegomość, i nosili ogromne kapelusze Panama.

Po nich szła miss Karolina, dwudziestopięcioletnia panna, wysokiego wzrostu, wyniosła, okazała i najlepsza w świecie, dopóki jej co nie rozgniewało. Rozgniewana — zupełnie, jak ojciec — tak patrzyła, że radbyś się schować w mysia norę. Śliczna to była panna!

Nie mniej była urodziwa i siostra jej Zofia, ale zupełnie do niej niepodobna. Łagodna i cichutka, jak gołąbka, miała dopiero lat dwadzieścia.

Każdy z członków rodziny miał własnego murzyna do usług; miał go i Buck, miałem i ja.

Dawniej była ona liczniejsza: brakło bowiem trzech synów, którzy zostali zabici, i Emeliny, która

umarła.

Stary jegomość był właścicielem mnóstwa folwarków i stu przeszło murzynów. Od czasu do czasu zjeżdżało się tu po kilkanaście osób, wszyscy konno, i siedzieli po pięć, po sześć dni. To dopiero szła zabawa!

Po całych dniach pływanie po rzece, pikniki, tańce w lesie na trawie, a i w domu po całych nocach. Goście — byli to po większej części sami krewni: bliźsi i dalsi, państwo prawdziwe, co się zowie. Z mężczyzn każdy miał strzelbę prześliczną!

W sąsiedztwie był jeszcze drugi dom, również pański, jak rodziców Buck'a. Składał się z kilku rodzin, a wszyscy prawie to samo mieli nazwisko: Shepherdson. Tak samo wysoko byli urodzeni, tak samo bogaci i tacy wielcy panowie, jak rodzina Grangeford'ów. Oba domy używały tejże samej przystani, znajdującej się o niespełna dwie mile od domu, tak, że gdy czasami odprowadzałem tam naszych, wybierających się na jaką wycieczkę parowcem, to zawsze spotykaliśmy kilku przynajmniej Shepherdson'ów na koniach pięknych i rostrych.

Pewnego dnia Buck i ja polujemy sobie w lesie, gdy wtem, słyszymy, nadjeżdża ktoś konno. Przechodziliśmy właśnie wpoprzek drogę. Buck woła:

— Umykaj! W las, co żywo!

Jednym susem byliśmy już w lesie i, ukryci między pniami, patrzymy z po za gałęzi na drogę. Po chwili nadlatuje w pełnym galopie piękny, wyniosły młodzian, koniem toczy, jak żołnierz, a siedzi na nim, jakby do siodła przyrosły i strzelbę przed sobą trzyma w pogotowiu. Był to jeden z młodych Shepherdson'ów, Harney Shepherdson. Raptem, tuż nad moim uchem wystrzał się rozlega; to Buck dał ognia i strącił Harney'owi kapelusz z głowy. Ten zaś porwał za strzelbę i prosto ku nam, choć z za liści widzieć nas nie mógł. Ale myśmy nie czekali na niego: nogi za pas i — w las! Obejrzawszy się przez ramię, widziałem, że po dwakroć mierzył Harney, jakby chciał ognia dać do nas, ale nie dał, aż wreszcie konia zawrócił i pojechał. Biegliśmy tak aż do domu. Staremu jegomości zaiskrzyły się oczy, gdy syn opowiedział, co zaszło, ale po chwili twarz mu spoważniała i rzekł do syna łagodnie, ale seryo:

— Nie podoba mi się to strzelanie z za krzaka. Dlaczego nie wystąpiłeś na drogę?

— Shepherdson'owie nie czynią tak, ojczcie. Zawsze skorzystają ze sposobności i napadają znienacka.

Miss Karolina słuchała opowiadania, głowę dumnie podnosząc, jak królowa, z której oczu leciały iskry. Starsi bracia spochmurnieli, nie mówiąc ni słowa; miss Zofia zbladła okropnie, ale rumieniec wrócił na twarz jej, gdy się dowiedziała, że miody człowiek zdrow i cały.

Skoro tylko znaleźliśmy się sami nieopodal śpichlerza, pytam Buck'a:

— Czyś ty chciał go zabić?

— Ano tak!

— Cóż on ci zrobił?

— On? Nic mi nigdy nie zrobił.

— No... więc dlaczego chciałeś go zabić?

— Dla niczego... Tylko widzisz jest między nami waśń rodowa.

— Co to jest waśń rodowa?

— Gdzież ty się wychowywał, że nie wiesz, co to waśń rodowa?

— Nigdy o tem nie słyszał — opowiedz-no, co to takiego?

— Widzisz — rzekł Buck — waśń rodowa to jest taka. Jeden człowiek pokłóci się z drugim i zabije go, a potem brat drugiego zabije pierwszego, a potem bracia obu pozabijają się nawzajem, a potem zaczną się zabijać bracią stryjeczni, aż wszyscy będą pozabijani i waśń się skończy! Ale to

idzie powoli i dużo czasu zabiera!

— A wasza waśń długo się już ciągnie?

— Spodziewam się, że długo! Zaczęła się trzydzieści lat temu, a może i dawniej. Zaszedł jakiś spór, nie wiem już o co, i z niego wynikł proces. Jeden z tych dwóch, co spór wszczęli, proces wygra?, więc ów drugi zastrzelił tego, co zresztą było bardzo naturalne. Na jego miejscu każdyby zrobił to samo.

— O co to poszedł spór? O grunta?

— Pewno, że o grunta... nie wiem zresztą.

— A kto kogo zastrzelił pierwszy? Grangerford Shepherdson'a, czy naodwrot?

— Zkądże chcesz, żebym ja takie rzeczy wiedział? To już tak dawno! — I nikt tego nie wie?

— E! nie! Ojciec musi wiedzieć, a może i kto ze starszych, ale i oni zapewne nie wiedzą już, o co poszło.

— A dużo też pozabijanych?

— Sporo, ale nie wszyscy. Do ojca strzelali raz grubym śrótem i nic mu nie zrobili, choć śrót dotąd w nim siedzi. Boba napoczęli trochę nożem i Tomkowi dostało się też parę razy.

— A tego roku jest kto zabity?

— Jest; u nas jeden i u nich także jeden. Będzie temu ze trzy miesiące, cioteczny mój brat, Bud, czternastoletni chłopiec, jechał sobie przez las, po tamtej stronie rzeki. Nie miał z sobą żadnej broni, co było wielkim głupstwem z jego strony, kiedy nagle w miejscu najsamotniejszym słyszy za sobą tętent konia. Ogląda się: to jedzie stary Baldy Shepherson; wiatr mu rozruca długie, siwe włosy, a on podnosi strzelbę i na cel bierze chłopca. Zamiast zeskoczyć z konia i zaszyć się w krzaki, Bud myślał, że mu potrafi uciec. Zaczęli się więc ścigać: Bud ucieka, ten goni, aż wreszcie Bud widząc, że to się na nic nie zda, wstrzymał konia i obrócił się do starego twarzą, tak, żeby kula... rozumiesz? trafiła go w samo czoło. Stary podjechał, dał ognia i zabił go na miejscu. Ale niedługo cieszył się swoim zwycięstwem, bo w przeciągu tygodnia miał do czynienia z naszymi.

— Ja myślę, że stary nieszlachetnie postąpił.

— Przeciwnie. Nie było w tem nic nieszlachetnego. Tchórzów i nieszlachetnych niema pomiędzy Shepherdson'ami. I pomiędzy Grangeoford'ami niema ich także. Ten sam stary stawiał czoło przez pół godziny trzem Grangerford'om i nie dał im się. Oni wszyscy byli konno, on zaś, zszedłszy z rumaka, stanął między sągiem drew a swoim koniem, żeby się od kul zasłonić, tak, że Grangeoford'owie z boku do niego strzelali, a on się bronił. Zaledwie doszedł do domu wraz z koniem, ale doszedł, gdy Grangenford'ów nieść było trzeba: jeden z nich już był nieżywy, a drugi umarł nazajutrz. Nie, mój przyjacielu, kto chce znaleźć podłych albo tchórzów, niech czasu nie traci na szukanie ich pomiędzy Shepherdson'ami, bo tam nie rodzi się ten gatunek.

Następnej niedzieli pojechaliśmy wszyscy konno do kościoła, odległego o trzy mile. Mężczyźni wzięli z sobą fuzye — i Buck wziął także. Przez cały ciąg nabożeństwa trzymali je pomiędzy kolanami, a jeżeli który rozstał się na chwilę ze swoją, to po to jedynie, aby ją tuż za sobą o ścianę oprzeć. Toż samo czynili i Shepherdsonowie, a tak jedni, jak i drudzy uważnie słuchali nabożeństwa. Bardzo piękne było kazanie, całe o braterskiej miłości i różnych tym podobnych rzeczach, cokolwiek nudnych, wszyscy jednak zgodzili się na to, że kazanie jest bardzo piękne, a wracając do domu, ciągle tylko o niem rozprawiali. Tyle zaś mieli do mówienia o wierze, dobrych uczynkach, łasce i prze... prze-naznaczeniu... czy nie wiem już jak zresztą, że nie pamiętam, aby mi się kiedy w życiu zdarzyła tak ciężka, jak ta, niedziela.

Po obiedzie wszyscy drzemać zaczęli i zrobiło się porządnie nudno. Buck, objąwszy ramieniem psa ulubionego, spał jak zabity na trawie. Poszedłem tedy do naszego pokoju, z zamiarem

zdrzemnięcia się trochę. Sliczna miss Zosia, stojąc we drzwiach swojej izdebki, widocznie na mnie czekała, bo zaprosiwszy mnie do siebie, zamknęła drzwi cichutko i prosto z mostu zapytała: "czy ja ją lubię." Odpowiedziałem, że bardzo.

— Czy podjąłbyś się oddać mi drobną, ale bardzo ważną przysługę i nikomu o tem nie mówić?

— Wszystko zrobię dla miss Zofii.

— Zapomniałam w kościele swojej Biblii, która została w naszej ławce i leży między dwiema innymi książkami. Otóż wymknij się niepostrzeżenie, pobiegnij do kościoła, przynieś książkę i nie mów o tem nikomu ani słowa.

Z największą ochotą, zaraz pójdę!

Wziąłem tedy nogi za pas i w mig byłem w kościele, gdzie nie zastałem nikogo, prócz kilku wieprzków, drzwi bowiem nie były zamknięte, a nierogaczyna lubi kłaść się w upał na podłodze chłodnej, ceglanej.

Idąc po książkę, myślałem sobie, że coś się tu święci, bo nie jest rzeczą naturalną, żeby młoda panienka nie mogła się obejść bez swojej Biblii. Potrząsnąłem więc książką, aż tu z pomiędzy kart wypada malutka karteczka, na której napisano ołówkiem: "Pół do trzeciej." Niczego dojść nie mogąc z tej karteczki, włożyłem ją napowrót do książki. Zaledwie wszedłem na schody, patrzę: stoi miss Zosia w drzwiach swego pokoju i czeka na mnie. Wciągnęła mnie do środka czempredzej, drzwi zamknęła i szuka w Biblii. Przeczytawszy kartkę, tak była uradowana, że nim się opatrzyłem, wyściskała mnie mocno, mówiąc, że jestem najlepszy chłopiec pod słońcem. I zarumieniła się przytem jak wiśnia, a oczęta tak jej błyszczały, że od malowania była śliczniejsza. Zdziwiony okrutnie pocałunkami i jej wyglądem spytałem, co tam napisano na papierze.

— Czytałeś? — pyta.

— Nie — odpowiadam.

— A umiesz czytać pisane?

— Umie, ale tylko bardzo duże litery.

Wtedy powiedziała mi, że na tym papierze nie ma nic, że to tylko znaczek do zakładania stronic i że mogę już odejść.

Idę tedy nad rzekę, a rozmyślając o tem wszystkim, widzę, że mój murzyn wciąż za mną idzie. Gdy dom znikł nam z oczu, on się obejrzał raz i drugi, a potem przybiega do mnie i mówi:

— Paniczu, niech panicz pójdzie ze mną na błota: pokażę całe stado cyranek.

Zaciekawilo mnie to, bo się odrazu domyśliłem, że murzyn coś innego ma na myśli. Cyranki nie są przecie taką osobliwością, żeby zbaczać z drogi i umyślnie chodzić na błoto dla ich zobaczenia. Czego on chce odemnie? Powiadam tedy:

— Dobrze, pójdę. Pokaż drogę.

Szedłem za nim z pół mili, a gdyśmy przyszli nad brzeg błota, murzyn wszedł w nie powyżej kostek, z pół mili jeszcze prowadząc mnie za sobą. Poszliśmy wreszcie do miejsca, gdzie na suchym już gruncie gęsto rosły drzewa i krzaki. Tu powiada murzyn:

— Niechno panicz wejdzie w gąszcz na kilka kroków, one tam są Sam widziałem na własne oczy.

Zawrócił się na prawo i znikł za drzewami. Ja zaś, idąc wśród gąszczu coraz dalej, znalazłem się, jakby w altance maluteczkiej, która była pokryta zupełnie dzikiem winem i innymi pnąciami się roślinami. Na murawie, patrzę, śpi ktoś sobie... Co państwo na to powiecie? Tym śpiącym był mój stary, mój poczciwy Jim!

Obudziłem go, myśląc, że widok mój będzie dla niego ogromną niespodzianką. Ale nie! O mało nie płakał z radości, ale zdziwiony nie był. Opowiedział mi też, że owej pamiętnej nocy ciągle za mną płynął i słyszał moje nawoływanie, ale bał się odpowiadać, aby krzykiem nie zwabić ludzi,

którzyby go, jako murzyna, ujęli i znów niewolnikiem uczynili.

— Uderzyłem się mocno — opowiadał Jim — nie mogłem więc płynąć tak prędko, jak ty i ciągle pozostawałem z tyłu. Gdyś dopłynął do brzegu, myślałem, że cię dopędzę, nie potrzebując wołać na ciebie, ale zobaczywszy przed sobą ten dom, do którego zmierzałeś, zwolniłem kroku. Za daleko byłem, aby słyszeć, co do ciebie mówiono — a bałem się zbliżyć z obawy psów. Skoro wszedłeś do środka, ja poszedłem w las, żeby tam dnia doczekać. Co rano przechodzą tamtędy murzyni na robotę, wzięli mnie więc w opiekę i pokazali to miejsce, gdzie psy wysledzić mnie nie mogą, bo woda wokoło. Co noc przybiegał tu który, przynosił mi trochę strawy i od nich wiedziałem wszystko, co się z tobą dzieje.

— Czemuż nie powiedział wcześniej mojemu murzynowi, żeby mnie tu przyprowadził?

— Pocóż cię miałem sprowadzać, nie wiedząc, co z nami będzie? Ale teraz wszystko już dobrze... Nakupiłem garnków, patelnie, strawy wszelakiej i nocami poprzenosiłem to wszystko, na tratwę...

— Na jaką tratwę.

— Na naszą, na starą tratwę.

— Jakto! Alboż jej nie podruzgotal parowiec?

— Nie. Uszkodził ją porządnie z jednego końca, ale zresztą nie zrobił jej wielkiej krzywdy. Potraciliśmy tylko wszystkie prawie rzeczy. Gdybyśmy nie byli musieli dać tak głęboko nurka i płynąć pod wodą, gdyby noc nie była taka czarna, a my głów nie potracili, jak zmokłe kury, gdyby...

— Zostaw-że już te "gdyby." Cóżby się było stało, gdyby nie *gdyby*?...

— Bylibyśmy zobaczyli naszą tratwę. Ale dobrze się stało, żeśmy jej nie zobaczyli, bo ją teraz wyreparowałem i na miejsce tego, cośmy stracili, mamy teraz wszyściutko nowe.

— Jakimże sposobem odzyskałeś tratwę, Jim? Gdzie ją schwytałeś?

— Jakże mogłem ją schwytać, siedząc tu w lesie? Nie ja ją odzyskałem, lecz murzyni, którzy ją znaleźli wciśniętą między dwie rafy, stojące nieopodal od brzegu. Wydobyli ją, ukryli w leśnej zatoczce i tak wiele rozprawiali o tem, do kogo należeć będzie, że usłyszałem, o co chodzi. Podnoszę się tedy i powiadam: dajcie pokój, nie kłóćcie się o tratwę, bo ona ani wasza, ani niczyja, tylko Huck'a i moja. Nie macie przecie zamiaru zagrabić własności białego panicza, bo wiecie, że nie uszłoby to wam na sucho. Dałem im po dziesięć centów na każdego, uradowali się okropnie, mówiąc, że chcieliby codzień znajdować taką tratwę. Strasznie poczciwi dla mnie ci tutejsi murzyni, zawsze zrobią wszystko, o co ich poproszę. Twój Jack także bardzo dobry i sprytny chłopiec.

— Tak, sprytny. Nie powiedział mi nawet, że tu jesteś, lecz sprowadził mnie tylko dla cyranek.

Nie będę się rozszerzał nad tem, co nazajutrz nastąpiło. Krótco tylko powiem, że się obudziłem przed świtem, a chcąc przewrócić się jeszcze na drugi bok, żeby zasnąć trochę, zauważyłem niezwykłą ciszę, jakby w domu nie było żywej duszy. Co się stało? Potem spostrzegłem nieobecność Bucka. Wstałem więc zaciekawiony i schodzę na dół, nigdzie nikogo niema! Wychodzę przed dom, to samo! Co to ma znaczyć? W głębi podwórza dopiero spotykam swego murzyna, ukrytego za sagami drzew, i pytam:

— Co się tu dzieje?

— To panicz o niczem nie wie?

— Nie, nie wiem o niczem.

— A to, widzi panicz, panienka Zosia wykradła się. Żebym wieczora nie dożył, jeżeli kłamię; wykradła się w nocy, nikt nie wie, o której godzinie, żeby wziąć ślub z tym młodym Shepherdson'em; tak przynajmniej państwo mówią. Spostrzegli się, że jej niema teraz dopiero, przed półgodziną, a może więcej... No! nie tracili czasu! W mig strzelby pobrali, na koń wsiedli i niema ich! Pani i

panienka pojechały zawiadomić całą rodzinę, a stary pan z młodymi paniami, broń wzięwszy, udali się nad rzekę czatować na tamtego i zabić go nim zdąży przepłynąć z panią na drugi brzeg. No! ja myślę, że nie ujdzie mu to na sucho, bo ci nie darują swego.

— Buck nie obudził mnie, wyjeżdżając?

— A ma się rozumieć, że nie. Nie chcieli mieszać w tę sprawę obcego. Pan, kiedy strzelbę nabijał, zaklinał się na wszystkie świętości, że nie wróć do domu bez Shepherdson'a, albo nawet i bez dwóch A pan słowa dotrzyma i na swoim postawi, to ja wiem.

Po tem opowiadaniu pobiegłem co tchu nad rzekę, tam, gdzie wiodła droga, którą Shepherdson miał przejeżdżać. Już zdaleka usłyszałem strzały. Pędzę więc z całych sił, a widząc już szychty, leżące nad przystanią, włączę na jakieś drzewo, nad samym brzegiem rosnące, i ztamtąd przypatruję się wszystkiemu. Tuż obok mojego drzewa leżał na cztery stopy wysoki stos tarcic, wśród których zrazu ukryć się chciałem; szczęście, że tego nie uczyniłem.

Na niewielkim placu czterech lub pięciu jeźdźców z głośnym krzykiem i przekleństwami schwytać usiłowało dwóch młodych chłopców, ukrytych za szychtą od strony rzeki. Nie mogli jednak dokazać tego. Co się który wysunął nieco nad rzekę, natychmiast strzelano do niego z szychty, poczem chłopcy kryli się za swój szaniec, z kąd śledzić mogli każde poruszenie przeciwników.

Po upływie pewnego czasu jeźdźcy zaprzestali przekleństw i krzyków, lecz wprost natarli końmi na szychtę. Wtedy jeden z chłopców, wychyliwszy głowę z po nad górnej krawędzi szychty, zmierzył do napastnika i wystrzałem z siodła go zrzucił. Jeźdźcy zeskoczyli z koni wszyscy razem, jak na komendę, porwali ranionego i unieśli go nieco dalej, a obaj chłopcy uciekać zaczęli. Byli już na pół drogi od drzewa, na którym ja siedziałem, gdy zauważyli ich przeciwnicy i natychmiast, siadłszy na koń, puścili się w pogoń za zbiegami. Doścignąć ich jednak nie mogli, bo tamci dobrze się już byli przedtem odsadzili, a teraz, dopadłszy stosu tarcic, w pobliżu mego drzewa leżących, skryli się za nim, całą jego objętością odgradzając się od ścigających. Jednym z tych chłopców był Buck, drugim młodzieniaszek najwyżej dziewiętnastoletni.

Jeźdźcy pokręcili się trochę wkoło kryjówek chłopców i odjechali. Gdy tylko znikli mi z oczu, natychmiast oznajmiłem to Buck'owi. Na razie pojąć nie mógł, z kąd go głos mój dochodzi, i strasznie się zadziwi!, gdy mnie zobaczył na drzewie. Prosił, aby pilne dawać baczenie i dać mu znać natychmiast, gdy ich wracających zobaczę, bo ani wątpił, że powrócą i to niezadługo. Miałem ochotę zleźć już z drzewa, ale trudno było odmówić Buck'owi, który trzął się cały za wzruszenia i przysięgał, że on i Joe, jego brat stryjeczny, powetują sobie jeszcze dzień dzisiejszy. Dowiedziałem się, że zabito jego ojca i obu braci, że Shepherdson'owie urządzili na nich zasadzkę, ale sami też dwóch ludzi stracili. Buck był zdania, że ojciec jego i bracia powinni byli poczekać na swoich krewnych, bo samotrzeć czoło stawiając liczniejszym od siebie Shepherdson'om, na pewną śmierć się narażali. Spytałem, co się stało z młodym Harney'em i miss Zofią.

— Przeprawili się przez rzekę i w bezpiecznym są miejscu.

Bardzo mnie to ucieszyło, tembardziej, że pamiętając jak się wyraził Buck o Harney'u — owego dnia, kiedy to strzelał do niego a nie trafił — nie przypuszczałem, żeby przyjął tak pobłaźliwie małżeństwo siostry.

Aż tu nagle słyszymy: pif! paf! puf! z kilku strzelb odrazu... To tamci zakradli się pieszo i zniemacka lasem podeszli! Chłopcy, obaj lekko ranieni" rzucili się do rzeki, a gdy razem z prądem płynęli, Shepherdson'owie, biegnąc wybrzeżem, jeszcze do nich strzelali, krzycząc jeden do drugiego: "Bij! Zabijaj!" O małym z drzewa nie spadł, widząc to... Dziś jeszcze nie mogę opowiedzieć wszystkiego, co wówczas miało miejsce... na samo wspomnienie słabo mi się robi. Wolałbym być nie przychodzić wówczas na ten brzeg przeklęty i nie widzieć tego, co widziałem...

Biedny, biedny Buck!

Siedziałem na drzewie, dopóki się nie ściemniło, bo się bał zejść. Od czasu do czasu rozlegały się w lesie wystrzały; po dwakroć widziałem kilku zbrojnych jeźdźców, galopem pędzących wzdłuż rzeki, wiedziałem tedy, że to jeszcze nie koniec. Strasznie znękany, dałem sobie słowo, że za nic w świecie nie wrócę do tego domu nieszczęsnego, tembardziej, że wyrzucąłem sobie przyczynienie się do jego nieszczęść. Teraz dopiero przyszło mi na myśl, co znaczyła owa karteczka; zapewne, że "o wpół do trzeciej" miała się zejść miss Zofia z Hamey'em, żeby opuścić dom rodzicielski. Czy nie powinienem był powiedzieć ojcu i o tej karteczce i o całym postępowaniu, które tak mi się dziwnym wydawało? Kto wie? Może gdyby ją ojciec był zamknął, nie byłoby tego nieszczęścia.

Po zejściu z drzewa biegłem ku zakrętowi, gdzie zatrzymywać się zwykło to wszystko, co woda z sobą unosi. Znalazłem tam zwłoki obu młodych chłopców, zaplątane wśród wodorosli. Wyciągnąwszy zwłoki i zakrywszy im twarze, odszedłem najspieszniej, jak mogłem. Popłakałem nawet trochę, zamykając twarz Buck'a, gdyż okropnie był dla mnie dobry. Ściemniło się tymczasem zupełnie. Nie zbliżałem się już wcale do domu, tylko lasem obchodząc, dotarłem do błota.

Nie było Jim'a na "Suchej wyspie", zawróciłem więc do rzeki i wiedząc, gdzie jest owa zatoczka, biegiem do niej, tak mi już pilno było uciec z tego miejsca nieszczęsnego. Tymczasem, patrzę, niema tratwy! Ażem zdrętwiał! Przez chwilę tak mi dech w piersi zaparto, że mój głos wydobyć nie mogłem, ale gdym oprzytomniał, krzyknąłem. A tu, o kilka sążni odemnie, głos się odzywa:

— To ty, złotko moje? Chwałaż Bogu! Cicho... bez hałasu!

Był to głos Jim'a, który nigdy jeszcze nie wydał mi się tak miłym.

Gdy się wreszcie dostał na tratwę, Jim wyściskał mnie i wycałował z wielkiej radości, poczem rzekł:

— Bóg z tobą, dziecko! Ja myślałem, że ciebie znów zabili.

Jack był tu i mówił, że już chyba nie żyjesz, kiedy nie pokazałeś się w domu przez dzień cały. Przygotowawszy więc tratwę, przysposobiłem wszystko do odjazdu i czekałem chwili, gdy Jack powróci z wiadomością, że już naprawdę nie żyjesz. Jakem ja też szczęśliwy, żeś wrócił, złotko ty moje!

— I ja także — powiadam. — Nie znajdą mnie, pomyślą więc, że mój zabity i że zwłoki moje popłynęły w dół rzeki.. Będą nawet mieli powód tak myśleć... Nie trać więc czasu, Jim, ale odpłynijmy ztąd szybko i jak najdalej...

Nie miałem spokoju, dopókim nie zobaczył, że tratwa znajduje się na środku rzeki, o dwie mile od tego wybrzeża, z kądem widziałem jeszcze rodzinny dom Bucka. Wywiesiwszy latarnię sygnałową, poczuliśmy się znów swobodni i bezpieczni. Od wczoraj nic w ustach nie miałem; Jim więc wydobył żytnie placki, maślanekę, wieprzowinę z kapustą i różne inne przysmaki, które ochoczo zajadałem, gawędząc z Jim'em. Przyszliśmy zaraz do przekonania, że wszędzie dobrze, ale na tratwie najlepiej. U ludzi ciasno jakoś i duszno, a na tratwie przestronno i swobodnie.

ROZDZIAŁ XIX

DNIÓWKI. — TEORIA ASTRONOMICZNA. — UCIECZKA PRZED POŚCIGIEM. — "REVIVAL" WSTRZEMIĘŻLIWOŚCI. — KSIĄŻĘ BRIDGEWATER'U. — TROSKI MAJESTATU,

Przeszło kika dni i kilka nocy, mógłbym śmiało powiedzieć: upłynęło, tak niepostrzeżenie zeszyły i przyjemnie. Rzeka była niesłychanie w tem miejscu szeroka, na półtory mili przynajmniej i jak zwiercia dło gładka. Płynęliśmy nocami, a. dnie spędzali w ukryciu.

Nigdzie najmniejszego szmeru, cisza zupełna, zdawałoby się, że na całym świecie wszystko w śnie spoczywa, tylko kiedy-niekiedy zarechocze gdzieś żaba. Patrząc w dal na wodę, widzisz naprzód coś nakształt niewyraźnej, majaczącej linii. To las na przeciwległym brzegu rosnący. Potem dopiero zjawia się na niebie blada plama, nieduża, a z nią razem blednieje coraz więcej i czarność, która dotąd rzekę pokrywała. Woda staje się szarą, potem perłową, powstają na niej znów plamy ruchome, małe i większe; małe — to łodzie targowe, przewożące żywność, większe — to tratwy do naszej podobne, z różnym towarem. Tak cicho i głoś tak płynie po wodzie, że ze znacznej nawet odległości dolatuje plusk wiosła, skrzyp lin i warczenie żagli wiatrem wzdymanych. Nieruchomo sterczy nad wodą przedmiot jakiś: to skala, o którą rozbija się fala i opryskuje go deszczem drobnych kropelek.

Dalej nieco widzisz jak zwija się i kłębi mgła, tu i owdzie rzekę zaścielająca. Na wschodzie rumieni się niebo łuną szkarłatną, którą odbija woda pozwalając rozróżniać przedmioty. Ot, tam, na drugim brzegu, widzisz na skraju lasu chatę, z nieciosanych pni zbudowaną, zapewne mieszkanie tracza, bo zaraz obok wznoszą się całe sterty tarcic, w krzyż sześcioramienny układanych dla przewiewu.

Od wody wiatr pociąga chłodnawy, rzeźwiący, niesie z sobą woń drzew i kwiatów, pozbieraną w borach i na polankach, a czasem też i wyziewy porzuconych na wybrzeżu ryb nieżywych. Wreszcie już dnieje naprawdę, wszystko się w słońcu uśmiecha, a ptaszki aż się zanoszą od śpiewu!

Niewielkiego dymu nikt nie zauważył o tej porze, więc, zdjawszy z haczyków złowione ryby, ugotowaliśmy sobie śniadanie, po którym przyjemnie było spoglądać na ogromną pustynię wodną, dopóki sen nie zmorzy. Zasypialiśmy więc oba na długo, budzeni zwykle przez parostatek, którego gwizd lub sapanie dochodziło do nas z oddali. Gdy zniknął z oczu, znów godzinami całemi rzeka wyglądała jak pustynia, ożywiana chyba jakąś tratwą, drzewem naładowaną, i pracą drwali, zajętych rąbaniem drzewa.

Ostrza siekier wysoko wznoszonych błyskały w słońcu co chwila, a zaraz potem dochodzi!, stłumiony nieco oddaleniem, głuchy trzask rąbanej kłody, zmieszany z mimowolnym stęknieniem drwala.

Raz, pamiętam, zaległa rzekę mgła tak gęsta, że na przepływających tratwach i łodziach bito w blachy żelazne, aby hałasem dać znać o sobie parostatkom. Tratwa jakaś otarła się o nas; słyszeliśmy rozmowy na niej i śmiechy, aleśmy nikogo zgoła nie widzieli, jak gdyby duchy jakieś niosły się powietrzem i ztamtąd ludziom urągały. Jim utrzymywał nawet, że to duchy, ja jednak zaprzeczyłem temu, pewien, że duchy nie mówią. Bodaj to lichy wzięło tę mgłę przekłętą!

O zmierzchu, puszczając się w drogę, pozwalaliśmy tratwie płynąć, gdzie zechce, a raczej, gdzie ją prąd poniesie. Zapaliwszy fajki, spuszczałyśmy nogi do wody, rozmawiając o różnych rzeczach. O ile na to komary pozwalały, byliśmy zupełnie nadzy, dniem i nocą; nowe ubranie, które mi sprawiono w rodzinie Buck'a, zanadto było porządne, żeby mnie nie krępowało, a przytem nigdy nie lubiłem

elegancyi.

Zdarzało się, że przez całą noc nie spotkaliśmy żywej duszy. Gdzieś, daleko, na jednym lub na drugim brzegu błysnął ogień w jakimś domku nadbrzeżnym, nad głowami świeciły nam gwiazdy i dobrze było, ach! jak dobrze, leżąc na wznak, spierać się o to, czy gwiazdy są czyjś dziełem, czy też poprostu same z siebie powstały. Jim utrzymywał, że ktoś je musiał zrobić, ja zaś przeciwnie twierdziłem, bo komuby się tam chciało taką mnogość gwiazd fabrykować. Jim przypuszczał, że zostały może zniesione przez księżyc. To mi się wydawało na tyle prawdopodobne, że nie przeczyłem, wiedząc, jakie mnóstwo jaj znosi żaba. Gdyśmy zaś spostrzegli gwiazdę, która spadając, szlak za sobą po niebie znaczyła, Jim przypuszczał, że jako zepsuta, z gniazda wyrzucono.

Parę razy w ciągu nocy widywaliśmy przesuwający się wśród ciemności parowiec, który od czasu do czasu wyrzucał z kominów całe snopy isker czerwonych, spadających w rzekę deszczem ognistym. Po chwili parowiec zniknął i znów pusto było na rzece, tylko fale, przez parowiec wzruszone, rozбивały się teraz o tratwę i kołysały nią zlekka.

Po północy mieszkańcy nadbrzeżnych domów spać się zapewne kładli, bo wszystkie światła gasły i na kilka godzin stawało się zupełnie ciemno. Gdy zaś błysnęło pierwsze światło, przeczuwaliśmy, że ktoś do pracy już śpieszy, że ranek nadchodzi i szukaliśmy miejsca, żeby w niem spokojnie dzień przepędzić, zdaleka od ludzkich oczu.

Pewnego dnia, przed świtem, pojąłem czółno bez wioślarza i wsiadłszy w nie, zmierzałem w stronę brzegu, w nadziei, że w iglastym lesie znajdę jagody. Mijałem właśnie miejsce, gdzie wychodziła do rzeki wydeptana przez bydło ścieżyna, gdy widzę, że krętą i nierówną ścieżką pędzi galopem dwóch ludzi. Zląkłem się jakoś w pierwszej chwili, bo ile razy kto kogo ścigał, zawsze myślałem, że mnie lub Jima. Już więc podniosłem wiosło, aby się odbić od brzegu, gdy nieznajomi, o kilkanaście zaledwie kroków odemnie oddaleni, krzycząc rozpacznie, błagają o ocalenie im życia. "Niceśmy złego nie uczynili, a ścigają nas... "

To mówiąc, chcieli skoczyć do łodzi.

— Nie czyńcie tego — zawołałem — nie słyhać pogoni; macie czas wszyć się pomiędzy krzaki i dobieść do strumyka, który tu niedaleko wpada do rzeki. Wejdźcie w wodę i idźcie łożyskiem strumyka... ja was tam wezmę do łodzi. W przeciwnym razie, psy was zwęszą.

Jakoż tak uczynili. Gdym już z nimi był niedaleko od tratwy, usłyszeliśmy krzyki i szczekanie psów, Odgadłem, że jadą brzegiem strumyka, bo z ukrycia naszego nie mogłem ich widzieć. Słyhać też było, że się zatrzymali nad strumieniem; widocznie ślad straciwszy, nie wiedzieli już, co dalej czynić. Po jakimś czasie wszystko ucichło — pogoń ustała.

Jeden ze zbiegów był-to siedmdziesięcioletni już z górą człowiek, z łysą głową i bielutkimi bokobrodami. Ubrany był w zniszczony kapelusz filcowy, o kresach wielkich, w niebieską koszulę wełnianą, mocno zatłuszczoną, spodnie miał granatowe, podarte, włożone w buty, z kamaszami na drutach robionymi — a raczej z jednym tylko, bo drugi gdzieś zniknął. Frak ciemno -granatowy, z błyszczącymi guzikami metalowymi, niósł przerzucony przez ramię tak, że długie jego poły o mało ziemi nie dotykały.

Obaj mieli z sobą duże torby dywanowe, porządnie już wytarte i nie wiadomo czem wypchane. Ten drugi znacznie był młodszy, mógł mieć najwyżej lat trzydzieści i również elegancko ubrany, a nawet wytworniej może, bo mniej poplamioną miał odzież.

Po śniadaniu, gdy leżąc na pomoście rozpoczęliśmy pogawędkę, pokazało się, że nasi goście niespodziewani wcale się nieznają.

— Co ci się przytrafiło? — pyta ten łysy młodszy.

— Ano, sprzedawałem środek niezawodny przeciwko tworzącemu się na zębach osadowi.

Srodek bardzo skuteczny: nietylko osad schodził, ale prawie zawsze i emalia z nim razem. Ale cóż! zasiedziałem się na miejscu dłużej, niż było potrzeba, a kiedy cichaczem wymykał się z miasta, spotkałem waśc. Waśc mi powiedział, że jesteś ścigany i prosiłeś, żeby ci dopomódz w ucieczce. Wtedy i ja ci wyznałem, że mnie także mają na oku i przystałem na wspólną podróż. Taka jest moja historia — a waśc co mi powiesz?

— Ze mną inaczej było, Urządziłem "revival (1)" wstrzemięźliwości, który ciągnął się przez tydzień prawie. Kobiety przepadały za mną starsze i młodsze, bom wymyślał na trunki i na pijaków, ile się tylko zmieściło. Dochodził przynosiło to niezły: pięć do sześciu dolarów co wieczór, licząc po dziesięć centów od osoby — dzieci i murzyni bezpłatnie. Nagle nie wiem już z kąd i jakim sposobem rozeszła się wczoraj wieczorem plotka, najniegodziwsza z plotek, że lubię sobie cichaczem pociągać z butelki. Dziś przededniem zbudził mnie znieńska murzyn, ostrzegając, że ściągają się przeciwko mnie mężczyźni, konno i z psami, że niebawem nadjadą i każą mi uciekać natychmiast, dając do ucieczki poł godziny czasu, a po jej upływie, będą mnie gonić. Jeżeli dopędzą, zemszczą się na mnie tutejszym obyczajem, t. j. unurzają w smołę i w pierzu. Ładna rzecz mieć do czynienia z takimi barbarzyńcami. Nie czekałem już nawet na śniadanie... straciłem apetyt.

— Słuchaj — odrzekł ten drugi — ja myślę, że z nas dwóch może być para. A tobie jak się zdaje?

— Nie mam nic przeciwko ' temu. Czem się zajmujesz?

— Z zawodu jestem drukarzem; zajmuję się przytem sprzedażą nowo-wynalezionych środków leczniczych; aktorem jestem — tragikiem; — gdy się zdarzy sposobność uprawiam mesmeryzm i frenologię, czasem dla odmiany nauczam w szkołach geografii i śpiewu, miewam też odczyty publiczne. Wszystkiego podjąć się mogę, byle tylko nie roboty ciężkiej, a sumiennie mogę powiedzieć, że nic mi nie jest obce. A pańska specjalność, staruszku?

— O! ja swego czasu niemało pracowałem w medycynie. Leczyć umiem przez nakładanie rąk — leczę raka, paraliż i tym podobne choroby; umiem też przepowiadać i zawsze trafnie przepowiem, jeżeli tylko znajdę kogoś, co mi podszeptnie jakiś fakcik. Kaznodziejstwem także się trudnię i urządzam pobożne zgromadzenia, pełniąc pracę misyonarską.

Przez jakiś czas milczeliśmy wszyscy, wreszcie młody wzdycha ciężko i powiada:

— Niestety!

— Czegóż tak biadasz? — pyta łysy.

— Bo mi się serce kraje na myśl, że dożył tego, co znieść muszę, wpadając w tak niestosowne dla mnie towarzystwo! — i lachmankiem jakimś oczy ocierać zaczął.

— A cóż ty sobie myślisz? Dlaczego towarzystwo nasze jest dla ciebie niestosowne? — szorstko i pogardliwie pyta łysy.

— I owszem... stosowne... Ja nie zasługuję na lepsze. Któż bowiem pchpał mnie tak nisko? Sam siebie z wyżyn strąciłem, sam! Nie przymawiam panom, broń Boże, żadnego do was nie mam żalu... do nikogo. Zasłużone wszystko, co mnie spotyka... Niech świat zimny i obojętny znęca się, jak chce nademną... jednej rzeczy jestem pewien: znajdzie się w nim miejsce na grób dla mnie. Świat może sobie kroczyć dalej zwykłą koleją, wszystko odebrać mi może: majątek, serca najbliższych, wszystko... To jedno mojem zostanie. Przyjdzie chwila, gdy w grób się położę, o wszystkim zapomnę, biedne moje serce znękanie zażyje wreszcie spokoju...

Mówiąc to, ciągle ocierał oczy.

— Niech czarci porwą twoje biedne serce znękanie! — opryskliwie odpowiada łysy — cóż nam wykalasz oczy swoim sercem? Niema tu przecie naszej winy.

— Wiem, że nie wasza to wina. Nie mam też do was pretensyi, panowie. Sam swój upadek zgutowałem. Tak, sobie go tylko zawdzięczam. Słuszne jest, abym dziś karę ponosił... zupełnie

słuszne.

— Gdzieżeś to pan stał przed upadkiem? Radbym wiedzieć, z kąd spadłeś.

— O! nie dacie mi wiary... Świat nigdy wiary nie daje... ale mniejsza o to, mniejsza... Tajemnica mego urodzenia...

— Tajemnica pańskiego urodzenia? Czy chcesz pan powiedzieć...

— Panowie — uroczyście przemawia młody człowiek — tajemnicę tę odkryję przed wami, czując, że zaufać wam można. Z prawa należy mi się tytuł... księcia!

Jimowi aż oczy na wierzch wyszły, gdy to posłyszał, a zdaje mi się, że i moje uczyniły to samo. A łysy na to:

— Jakto? Prawdę mówisz?

— Tak. Mój pradziad, starszy syn księcia na Bridgewater, w ostatnich latach zeszłego stulecia przybył do tej części świata, gnany potrzebą wolności. Tu się ożenił, tu umarł, w tym samym czasie, co i jego ojciec. Po ojcu jemu należał się tytuł i majątek, a po nim synowi, którego po sobie zostawiał, lecz młodszy brat jego wszystko zagarnął, a malutki dziedzic z praw swoich został wyzuty. Jam w prostej linii potomek dziedzica osieroconego, jam prawy księżę na Bridgewater i oto stoję tu przed wami, opuszczony, strącony ze stanowiska wysokiego, ścigany przez ludzi, przez obojętny świat nieuznany, odarty, zgnębiony, z sercem rozdartem, upadły tak nisko, że w towarzystwie nędzarzów na tratwie przebywać muszę!

Jim litował się nad nim z całego serca, a i ja także. Staraliśmy się pocieszać go, ale nam odpowiadał, że to wszystko napróżno, że pocieszonym być nie może, że jedno chyba tylko zdoła mu przynieść choć odrobinę pociechy, a mianowicie, jeżeli wysokie jego stanowisko uznane przez nas zostanie. Przynależeliśmy je uznać, nie wiedząc, jak to uczynić. Nauczył nas tedy, że nie powinniśmy przystępować do niego inaczej, jak z ukłonem, a mówiąc z nim, dodawać zawsze: "Wasza Miłość, " albo "Mości księżę, " albo "Jaśnie oświecony. " Przynależeli jednak, że nie weźmie nam za złe, jeżeli go nazywać będziemy poprostu "Bridgewater, " które to miano, podług niego, tytułem było, nie nazwiskiem. Żądał także, ażeby jeden z nas usługiwał mu do obiadu i wogóle oddawał mu różne drobne usługi.

Łatwo było zadość uczynić tym wymaganiom, przystaliśmy więc na nie z ochotą. Przez cały czas obiadu Jim stał za nim i usługiwał mu, przemawiając w taki naprzykład sposób: "Co wasza miłość każe sobie podać? Mości księżę! spróbujesz może tej potrawy?" a widać było, że obydwom sprawia to przyjemność niezmierną

Tymczasem stary milczał: czy to, że nie miał nic do powiedzenia, czy też nie w smak mu szło to całe nadszkiewanie księciu. Zdawało się, że coś waży w myśli. Nareszcie w parę godzin po obiedzie tak mówi:

— Powiem ci coś, Bridgewater. Współczuję twojej niedoli, lecz nie ty jeden znosisz podobne utrapienia.

— Nie ja jeden?

— Nie ty jeden, powiedziałem i powtarzani. Nie ciebie jednego pokrzywdzono, wyzuwając ze wszystkich zaszczytów, należnych twemu stanowisku wysokiemu.

— Niestety!

— I nie ty jeden kryjesz w tajemnicy wysokie swoje urodzenie!

I w najlepsze płakać zaczyna.

— Co? Co to ma znaczyć?

— Bridgewater! czy mogę ci zaufać? — mówi stary, ciągle szlochając.

— Aż do chwili, w której zimnym stanę się trupem! — a wzięwszy dłoń starego, ścisną ją silnie i

powtarza: — Wyjaw mi tajemnicę swego istnienia! Odkryj ją! Mów!

— Bridgewater! Widzisz we mnie nieboszczyka Delfina!

Wyobraźcie sobie, jakieśmy oczy wytrzeszczyli, Jim i ja! A książę tylko:

— Kogo? Kogo widzę?

— Tak, przyjacielu mój, Delfina! Przed oczyma twemi stoi w tej chwili nieszczęsny, bez wieści zaginiony następca tronu francuskiego, małoletni Delfin, Ludwik siedemnasty, syn Ludwika szesnastego i Maryi Antoniny.

— Ty? Ty masz być Delfinem? W twoich latach? Nie! to niepodobna! Chcesz chyba powiedzieć, że jesteś nieboszczykiem Karolem Wielkim, bo musisz mieć niezawodnie lat jakie siedemset lub sześćset?

— Cierpienia temu winny, Bridgewater! W łzach tak postarzałem i w cierpieniu, łzy i cierpienia są przyczyną mojej siwizny i przedwczesnej utraty bujnych niegdyś kędziorów. Tak, panowie, widzicie przed sobą w nędzy i w spodniach granatowych tułacza, wygnańca, ściganego przez ludzi, przez los prześladowanego, a prawowitego króla Francji.

Tu, ciągle płacząc, tak się własnym płaczem rozrzewnił, że i ja i Jim nie wiedzieliśmy, co czynić; żal nam go było, czuliśmy się jednak szczęśliwi i dumni, że go mamy pomiędzy sobą. Na słowa pociechy odpowiedział, że wszystko na nic, że najgorętszym jego pragnieniem jest umrzeć. Dodał jednak, że nieraz przynosiło mu to ulgę chwilową, gdy widział, że ludzie traktują go tak, jak mu się to słusznie należy, t. j. zbliżają się do niego z przyklękaniem, mówiąc doń "Najjaśniejszy Panie!" jemu pierwszemu podają potrawy i nie siadają w jego obecności, dopóki on nie pozwoli.

Jim więc i ja zaczęliśmy tytułować go "najjaśniejszym," nadszkiełować mu, usługiwać i stać, dopóki nam nie powiedział, że usiąść pozwala. Ogromną mu to pociechę przynosiło i zaraz też znacznie poweselał. Ale za to książę kwasić się zaczął i minę miał mocno niezadowoloną, chociaż król traktował go po przyjacielsku, bo jego ojciec w wielkim miał poważaniu pradziada księcia i całą rodzinę książąt na Bridgewater. Książę pomimo to wciąż siedział posępny, aż wreszcie powiada król:

— Ze wszystkiego widzę, Bridgewater, że nam tu przyjdzie długo posiedzieć na tej tratwie. Pocóż więc kwasy? czy nie lepiej żyć wzgodzie? Tak jak nie moją jest winą, że się urodziłem królem, tak nie twoją, że się nim nie urodziłem. Wszak to jasne. Nie martw się więc i idź za moim przykładem: korzystaj z tego, co los nadarzył. Tej zasady zawsze się trzymałem w postępowaniu. Niezłeśmy tu trafili: jest co jeść i wygodna wszelka. Rozchmurz więc czoło, książę, podaj mi rękę i bądźmy odtąd przyjaciółmi.

Uczył tak książę, a my z Jim'em, patrząc na ich pojednanie, czuliśmy się bardzo szczęśliwi. Zaraz więc było weselej i swobodniej i nas też radość opanowała, bo jak tu na tratwie żyć razem bez zgody i przyjaźni?

Nie wiele potrzebowałem czasu, aby się domyśleć, że żaden z tych dwóch ludzi nie był księciem, ani królem, lecz obaj byli kłamcami i oszustami, którzy piaskiem oczy zasypują. Nigdy się jednak z tem nie zdradziłem, zachowując tę wiadomość dla siebie tylko. Jedyne to i najlepszy sposób uniknięcia wszelkich nieprzyjemności. Oni sobie tego życzyli, aby jednego nazywać księciem, drugiego królem, ja zaś nic przeciwko temu nie miałem, pragnąc tylko, żeby spokój był w domu. Jimowi niepotrzebną była ta wiadomość, nic mu też nie powiedziałem. Niewiele się, co prawda, nauczyłem od swego tatki, ale przynajmniej wpoił to we mnie, że chcąc żyć dobrze z takimi, jak on, ludźmi, nie należy im się w niczem sprzeciwiać.

ROZDZIAŁ XX

HUCK OPOWIADA O SOBIE. — "TRZEBA SIĘ WZIĄĆ DO PRACY. " — POBOŻNE ZEBRANIE. — ROZBÓJNIK MORSKI. — KSIĄŻE DRUKARZEM.

Goście nasi zadawali nam mnóstwo pytań. Koniecznie chcieli wiedzieć, dlaczego przykrywamy pomost tratwy liściami i gałęziami, dlaczego zamiast płynąć we dnie, stoimy w zatoce dzień cały.

— Jim musi być zbiegłym murzynem? — pytają.

— Na miłość Boską — powiadam — czyżby zbiegły murzyn uciekał na południe?

Trafiło im to do przekonania. Zmuszony jednak do wyjaśnień, opowiedziałem im taką historię:

— Rodzina moja pochodzi z Pike-County, w stanie Missouri, gdzie ja się urodziłem i gdzieśmy wszyscy mieszkali, dopóki wszyscy nie poumierali. Zostaliśmy we troje tylko: ojciec, ja i mój braciszek. Ojciec postanowił wynieść się z tamtych stron i zamieszkać razem ze stryjcem Benjaminem, który posiada niewielki folwarczek nad rzeką o czterdzieści cztery miłe poniżej Orleanu. Ojciec ubogi był, a miał przytem i trochę długów, więc kiedy się wyprzedał, zostało mu tylko szesnaście dolarów i nasz murzyn, Jim. Nie starczyłoby tego na podróż tak odległą; nawet na pokładzie okrętowym przejazd drożej kosztuje. Lecz gdy pewnego dnia, podczas wiosennej powodzi, poszczęściło się ojcu niespodzianie schwytać tę oto tratwę, postanowiliśmy odbyć na niej drogę do Orleanu. Ale szczęście na krótko uśmiechnęło się ojcu: pewnej nocy uderzył w nas parostatek, oderwał przednią część pomostu i wszyscy wpadliśmy w wodę, pod same koła. Jim i ja wypłynęliśmy na wierzch, ale ojciec pijany i braciszek zaledwie czteroletni poszli na dno i nie widziałem ich więcej. Przez kilka dni miałem kłopot, bo różni ludzie chcieli zabrać Jim'a, biorąc go za zbiega. Dlatego też płyniemy teraz nocą, żeby mieć spokój.

— Daj mi nieco czasu — rzekł na to książę — a wymyślę coś takiego, co nam pozwoli płynąć i w dzień bezpiecznie. Obmyślę ja to, plan ułożę i ręcę, że będzie niezawodny. Dziś uczynić tego nie można; widać ztąd wprawdzie jakieś miasto, ale w dzień biały pokazać się tam niepodobna.

Przed wieczorem zaczęło się raptownie ściemniać, niebo ginęło w chmurach, przelatowały po nim błyskawice, nie te, nizko pokazujące się na widnokręgu, które są zapowiedzią upału, ale prawdziwe, wysoko ponad głowami migające. Liście trząść się zaczęły i szumieć i ze wszystkiego widać było, że się zanoszą na niepogodę. Widząc to, król i książę udali się do naszej budki, żeby zobaczyć, czy wygodne są łóżka. Moje poślanie stanowił wór wypchany słomą; Jim zaś spał na plewach, w których zawsze coś kole i drapie, gdy zaś chcesz się przewrócić na drugi bok, to plewy czynią tyle szumu i chrzęstu, że choćbyś spał nie wiem jak twardo, obudzić się musisz. Książę raczył oznajmić, że spać będzie na mojem poślaniu, ale król nie zgodził się na to:

— Sądziłem, iż poczucie różnicy naszego stanowiska pozwoli panu zrozumieć, że poślanie z plew nie jest dla mojej godności odpowiednie. Zechcesz, książę, sam spać na plewach.

Na Jima i na mnie aż poty biły, gdyż baliśmy się, żeby nie przyszło do sporu, lecz w nas otucha wstąpiła, gdy książę odparł:

— Zdawna mi jest sądzono, że stopą ucisku zdeptany, w błocie pograżać się muszę. Niedola ugięła hardy niegdyś mój umysł, ucząc mnie uległości i pokory... Ustępuję, taki los mój! Samotny jestem na świecie, więc wszystkie cierpienia znieść umiem.

Ruszyliśmy z miejsca, gdy zupełnie już było ciemno, a król przykazał nam trzymać się środka rzeki i nie zapalać światła, dopóki nie upłyniemy choć parę mil po za miasto. Płyniemy więc w zupełnej ciemności, mijamy garstkę rozrzuconych nad brzegiem świateł i dopiero, gdy miasto o milę

za nami zostało, wywiesiliśmy latarnię sygnałową. Około dziesiątej puścił się deszcz, zaczęło grzmieć i błyskać, więc król kazał nam pilne dawać baczenie na tratwę i nie schodzić z pomostu, dopóki nie uspokoi się burza. Obaj zaś z księciem weszli do naszej budki i wygodnie się na noc ułożyli. Na mnie przyszła kolej stróżowania na pomoście do północy, ale pomimo to byłbym wlaź pod dach, gdybym miał łóżko, bo nie codzień i nie co miesiąc nawet trafia się człowiekowi widzieć tak straszną burzę. Wiatr gwizdał i huczał, a co parę sekund, traf! błyskawica, światłem białym, oślepiającym, tak wszystko zaleje, że na pół mili dookoła widzisz bielejące pianą fale i wyspy, jakby pyłem wodnym owiane, i drzewa nadbrzeżne, gnące się pod wiatrem na wszystkie strony. A potem nagle: bum!-bum! i piorun potoczy się z grzmiotem. Taka szła fala, że mnie o mało nie zniosła z pomostu, lecz przy nagości zupełnej, nie żałowałem swej skóry. Tak było jasno od błyskawic, że nie potrzebowaliśmy wystrzegać się raf i skał z wody sterczących, widząc je wszystkie jak na dłoni.

Mówiłem już, że do północy ja czuwać miałem, że jednak sen mi dokuczał, Jim poczciwy obiecał zastąpić mnie przez pierwsze parę godzin. Wsunąłem się do naszej budki, ale księżę i król tak powyciągali swoje nogi i ręce, że dla mnie nie było miejsca.

Położyłem się tedy na pomoście, nie wiele sobie robiąc z deszczu. Ciepły był, więc zaszkodzić mi nie mógł, a i fala złagodniała trochę. Lecz gdy zasnąłem jak najsmaczniej, fala znów się podniosła i ogromnemi górami szła na pomost. Jim miał z początku zamiar obudzić mnie, ale się potem rozmyślił, nie przypuszczając, żeby bałwany mogły przesadzić tratwę. A tu właśnie tak było: podniósł się wał olbrzymi i cała masa wody, buchnąwszy na pomost, zmiotła mnie śpiącego, jak żdźbło słomy. Jim trząśł się od śmiechu, bo zawsze był wesół, ale skoczył po mnie do wody. Niepotrzebnie zresztą, bom dał nurka. raz, drugi, otrząśłem się i jużem był znów na tratwie.

Wytrzeźwiony kąpielą, objąłem wartę, a Jim w parę minut potem chrapał, jak się należy. Minęło tak parę godzin, z niemi razem przeszła i burza, a gdy pierwsze światelko zajaśniało w jakimś domu nadbrzeżnym, zbudziłem Jima i posunęliśmy się ku brzegowi, aby w miejscu zacienionem ukryć tratwę.

Po śniadaniu król wy dostał paczkę kart zatłuszczonych i przez czas jakiś grali obaj z księciem, stawiając po pięć centów od razu. Gdy zaś gra ich znudziła, oznajmili, że trzeba wziąć się do pracy. Jakoż księżę, zanurzywszy ramię w podróżną torbę dywanową, wy dobył z niej pakiet drukowanych świstków, które głośno zaczął odczytywać. Jeden z nich oznajmiał, jako "Doktor Armand de Montalban, z Paryża będzie miał odczyt o nauce frenologii w tem a w tem miejscu, tego a tego dnia, po dziesięć centów za wejście, przyczem każdy ze słuchaczy otrzyma kartkę z określeniem swego charakteru za dodaniem dwudziestu pięciu centów na sztukę." Tym doktorem Armandem był sam księżę.

Na drugim znów ogłoszeniu mienił się być "głośnym na cały świat aktorem, specyaliistą od ról szekspirowskich, *Garrick'iem Młodszym*, z teatru Drury Lane w Londynie." Na innych ogłoszeniach pod innemi znów występował nazwiskami, a zawsze dokonywał rzeczy cudownych i nadzwyczajnych, "róźdzką magiczną" wskazywać umiał miejsce, gdzie pod ziemią znajduje się woda lub złoto, "odczytniał uroki, rzucone przez czarownicę" i t. p. Chociaż niepomiernie się chełpił tak znaczną ilością talentów, pierwszeństwo dawał jednak "muzie scenicznej, " "kochanką" ją swoją nazywając.

— Czy wstępowałeś kiedy na deski teatralne, monarcho? — pyta księżę.

— Nigdy — odrzeczł król z godnością.

— A zatem uczynisz to, zanim będziesz, upadła wielkości, o trzy dni starszy — mówi księżę — W pierwszym podrzędnym miasteczku, które spotkamy, najmiemy salę i odegramy pojedynek na miecze z "Ryszarda III-go, " oraz scenę balkonową z "Romea i Julii." Jak uważasz?

— Uważam, że wspaniałe jest wszystko, co tylko dochód przynieść może. Ale wiesz, co ci powiem, Bridgewater; ja się zupełnie nie znam na aktorstwie, a nawet i nie wiele bywałem w teatrze. Za mały byłem, gdy król-papa urządzał przedstawienia w swoim pałacu. Czy mnie zdołasz nauczyć.

— Z największą łatwością.

— Wybornie. Usycham z tęsknoty za czymś nowem. Zaczynajmy więc, nie tracąc czasu.

Rozpowiedział mu ksiązę, kto był Romeo, a kto Julia, dodając, że gdy on sam przywykł grać rolę Romea, król zatem przedstawi Julię.

— Ależ ksiązę, jeżeli Julia jest taką młodą, to z moją łysiną i białymi faworytami może jej nie być do twarzy?

— Nie bój się, królu, niczego; tutejszym wieśniakom do głowy to nawet nie przyjdzie. A zresztą, będziesz przecie odpowiednio ukostyumowany, co dużo znaczy; Julia na balkonie, rozkoszująca się światłem księżyca przed pójściem na spoczynek, będzie miała na sobie długą koszulę nocną i nocny czepek ze szlarkami. Tu oto są odpowiednie kostyummy.

Jakoż pokazał nam kilka ubrań z perkalu meblowego w ogromne kraty, a powiedziawszy, że to jest zbroja średniowieczna dla Ryszarda III i dla tamtego drugiego, wydobyl także długą, z białego perkalu koszulę nocną, oraz ogromny czepek z szerokimi szlarkami. Podobało się to królowi, a ksiązę, wydobywszy swą książkę, rozpoczął deklamować role. Jak on to czytał! jak czytał! Ani chwili nie postał spokojnie, jeno jak paw chodził w około, głowę podnosił, w tył się cały podając, nogi z wysoka stawiał, jednym słowem, grał (jak sam mówił) swoją rolę, aby pokazać jak właśnie ma być przedstawiona, poczem oddał książkę królowi, mówiąc mu, aby się uczył roli swojej na pamięć.

O mil parę od miejsca, gdzieśmy się wówczas znajdowali, widać było leżące na wybrzeżu małe miasteczko. Wymyśliwszy sposób wejścia do niego w dzień biały bez krzywdy dla Jim'a, ksiązę oświadczył, że uda się tam i poczyni pewne przygotowania. Król, słysząc to, okazał również gotowość pójścia do miasta, żeby zobaczyć, czy tam nie znajdzie czegoś dla siebie. Ponieważ zabrakło nam kawy, ułożyliśmy z Jim'em, że wraz z nimi i ja popłynę, by kawy kupić... no i łódki także przypilnować, aby jej ich monarsze moście nie zaprzepaściły!

Przybywszy do miasta, zastaliśmy ulice zupełnie puste i cisza wszędzie była taka, jakby wszyscy wymarli, albo jak gdyby to była niedziela. Spotkaliśmy tylko chorego murzyna, który się wygrzewał na słońcu i oświadczył nam, że całe miasto wyruszyło na pobożne zebranie, pośród lasu, o dwie mile ztamtąd odległego, w domu zaś zostały tylko dzieci, chorzy i starcy. Król spytał o drogę i zaraz postanowił pójść na to zebranie, na którym spodziewał się znaleźć zajęcie; mnie także pozwolił iść z sobą.

Książę zaś zaczął szukać po całym miasteczku drukarni. Znaleźliśmy ją wreszcie, bardzo skromną, nad warsztatem cieśli. I cieśle i drukarze, wszyscy poszli na owo zebranie, drzwi pozostawiwszy otwarte. Drukareńka ciasna była i brudna, pełna papierów niepotrzebnych, ze stołami poplamionymi atramentem, a na ścianach moc ogłoszeń, wśród których rzucał się w oczy wielki koń czarny z murzynem uciekającym. Książę zrzucił surdut, mówiąc, że ma już wszystko, czego mu trzeba, a zatem król i ja ruszyliśmy na owo zebranie.

Droga zabrała nam nie więcej, jak pół godziny, ale skropiliśmy ją potem, bo okropnie było gorąco. Wśród lasu, na obszernej polance, zastaliśmy ogromne zgromadzenie, może z tysiąc osób, które tu ściągnęły z całej okolicy, w promieniu co najmniej mil dwudziestu. Las pełen był różnych wozów, wózków, bryczek, rozlegało się po nim rzenie koni powyprzęganych, opędzających się muchom i smacznie zajadających siano, którem wysiane były wozy i bryczki. Tu i owdzie widać było szalasy naprędce sklecone z żerdzi i dachem z gałęzi pokryte, sprzedawano w nich lemoniadę,

pierniki, melony i tym podobne przysmaki.

Kazania odbywały się w podobnych szałasach, tylko znacznie większych, tak, aby mogły pomieścić jak największą liczbę osób. Zamiast ławek służyły bale lub kilka tarcic położonych jedna na drugiej, poręczy zaś nie było wcale.

W jednym końcu szałasu znajdowała się wysoka platforma, z której przemawiał kaznodzieja. Kobiety były wszystkie w wielkich kapeluszach od słońca, w prostych sukniach codziennych, kilkanaście tylko młodszych ubrało się nieco odświętniej w jasne, świeżo wyprane perkaliki. Pomiędzy mężczyznami wielu było zupełnie boso, a niektóre dzieci nie miały na sobie nic, prócz koszuli z grubego płótna. Starsze kobiety robiły pończochę, ale młodsze strzelały okiem w stronę chłopców, posyłając im ukradkiem słodkie uśmiechy,

W pierwszym szałasie, do któregośmy weszli, kaznodzieja hymn właśnie zaintonował. Prześpiewał pierwsze dwa wiersze, wszyscy powtórzyli je chórem, potem znów prześpiewał dwa, chór za nim i tak dalej i dalej aż do skutku. Uczestników coraz większe otaczało wzruszenie, coraz więc silniej śpiewali, aż na koniec niektórzy zaczęli jęczeć, a inni krzyczeć na całe gardło.

Potem rozpoczął kaznodzieja naukę z wielkim przejęciem i powagą: to przechodzi! z jednego końca platformy na drugi, to przechylał korpus ku przodowi, kołysząc się całym ciałem i nieustannie poruszając rękami, to znów z całej siły wykrzykując słowa pojedyncze. Od czasu do czasu podnosił w górę Biblię, którą trzymał w ręku, i potrząsał nią, albo roztwierał i rozwartą przesunął przed oczyma publiki. wołając: "Oto jest wąż miedziany na pustyni! Kto nań spojrzy, żyw będzie!" A tłum głośnym krzykiem chóralnie odpowiadał: "Chwała niech będzie Panu! A-a-a-men!" I dalej mówca prawił rzecz swoją, a tłum krzyczał, jęczał i odpowiadał A-a-men! A amen!

— O! przyjdźcie, pokutę czynić! przyjdźcie, którzyście grzechem zmasani (*amen!*), przyjdźcie, którzyście chorzy i osłabieni (*amen!*), przyjdźcie chromi, głusi i ślepi (*amen!*), przyjdźcie ubodzy i potrzebujący i wstydem okryci (*amen!*), przyjdźcie wszyscy, którzyście znużeni, znękani i cierpiący! przyjdźcie z ukorzoną pychą! przyjdźcie ze skruszonym sercem! przyjdźcie, wy, którzyście w łachmanach i w brudzie grzechu, źródło oczyszczenia wszem dostępne, drzwi niebios wszystkim stoją otworem... Wejdźcie, o! wejdźcie, przybywajcie i spoczywajcie!" (*amen! a-a-men! chwałę niech będzie Panu! Allelu-ja!*)

I tak dalej, ciągle to samo. W końcu nie można już było rozróżnić, co mówi kaznodzieja, tak ludzie krzyczeli i płakali.

Podnosząc się z ławek, z trudem przechodzili w tłoku, żeby się tylko dostać do "ławki pokutników" i zasiąść na niej, z twarzą zalaną łzami. Gdy zaś tym sposobem pierwsze rzędy ławek zajęte zostały przez czyniących pokutę, wtedy wzmógł się jeszcze hałas, bo pokutnicy coraz głośniej jęczeć zaczęli, a potem, rzucając się na słomę leżącą na ziemi, tarzali się po niej jak obłąkani.

Najgłośniej pomiędzy pokutnikami krzyczał król, który natychmiast prawie po wejściu zaczął się przeciskać do *ławki pokutników*. Gdy podszedł ku platformie, szepnął słów parę kaznodziei, ten poprosił go, żeby miejsce jego zajmą, przemówił do ludu. Uczynił to król. Wszedłszy na platformę, publicznie wyznał, że był rozbójnikiem morskim przez lat trzydzieści, że rozbijał na oceanie Indyjskim, że straciwszy podczas bitwy, na wiosnę, znaczną część załogi, powrócić musiał do kraju, aby sobie zwerbować ludzi. Dzięki Opatrzności Boskiej okradziony zeszłej nocy i z parostatku wysadzony na ląd bez centa, co go niezmiernie raduje i co uważa za największe dobro, jakie go w życiu spotkało, stał się oto zupełnie innym człowiekiem i po raz pierwszy w życiu czuje się zupełnie szczęśliwy; a jakkolwiek jest nędzarzem, to przecież prosto ztąd uda się w drogę, zapracuje na powrót aż do oceanu Indyjskiego, aby resztę pozostałych dni życia obrócić na nawracanie rozbójników morskich na drogę cnoty. Potrafi zaś dokonać tego lepiej niż kto inny, zna

bowiem wszystkich rozbójników na całym oceanie Indyjskim; a chociaż nie prędko się tam dostanie, nie mając wcale pieniędzy, jednakże musi celu dopiąć.

Po każdym nawróceniu rozbójnika zawsze mu powie: "Nie mnie dziękuj, nie moja to wcale zasługa, cała wdzięczność należy się tym zacnym ludziom z Pokeville, braciom i dobroczyńcom ludzkości, oraz temu kaznodziei wymownemu, przyjacielowi najlepszemu, jakiego kiedykolwiek rozbójnicy morscy posiadali!!!

I tu zalał się łzami, co też i wszyscy uczynili. Wtem zawołał ktoś w tłumie: "Składkę zrobmy na niego! Składkę!" Z pół tuzina ludzi zerwało się z ławek z zamiarem zbierania pieniędzy wśród tłumu, ale inny jakiś głos dał się słyszeć: "Niechaj sam pójdzie między tłum z kapeluszem!" Na co też zgodzili się wszyscy.

Zaczął więc król chodzić między ławkami z kapeluszem w rękę, ciągle oczy z łez ocierając, błogosławiąc ludzi, wychwalając ich i dziękując im za ich dobroć dla nieszczęśliwych rozbójników, tułających się gdzieś daleko na morzach. Od czasu do czasu powstawała z ławki ta lub owa, ale zawsze ładna i zawsze łzami zalana dziewczyna, i rzewnie szlochając, prosiła króla, żeby się pozwolił pocałować na pamiątkę tej chwili, której ona nigdy nie zapomni. Król zawsze na to zezwalał i sam je całował, a niektóre całował nawet po kilka razy. Jedna z nich zaprosiła go do siebie na cały tydzień, inne zapraszały go także, mówiąc, iż za zaszczyt uważałyby sobie, gdyby czas jakiś przebył pod ich dachem. Król pięknie wszystkim dziękował, odpowiadając, że na tyle wdzięczności nie zasługuje, a przytem spieszy się bardzo, bo chce prosto stąd jechać do oceanu Indyjskiego, żeby nawracać rozbójników.

Gdyśmy powrócili na tratwę i król przeliczył swoje pieniądze, pokazało się, że zebrał osiemdziesiąt siedem dolarów i siedemdziesiąt pięć centów. Prócz tego przyniósł z sobą dużą butelkę wódki, którą znalazł pod jednym z wozów. Mówił też król, że niema nic lepszego, jak opowiadać chwałę Bożą i że z przyjemnością codziennie by to czynił.

Dopóki król nie powrócił, zdawało się księciu, że *jemu* wybornie poszły interesa, dlatego, że w owej drukarni odbił dla kilku *farmer'ów* ogłoszenia i wziął za to cztery dolary. Pobrał też od nich zaliczki i wydrukował przytem jeden kawałek z własnej głowy. Wierszy tych było trzy tylko strofy, ale prawdziwe wiersze, smutne i rzewne, a zaczynały się od tych słów: "Tak, szarp, o zimny świecie, szarp to pękające serce!" Ogółem zebrał dziewięć dolarów i pół i był z zarobku swego zadowolonym.

Pokazał nam także jeszcze jedną rzecz, która umyślnie dla nas wydrukował. Było to ogłoszenie z ryciną przedstawiającą murzyna, widocznie zbiegłego, bo niósł przewieszony na kiju węzełek; pod ryciną zaś było napisane: "*200 fst. nagrody.* "

Następowało opisanie powierzchowności zbiega i kubek w kubek Jim! Ogłoszenie jednak mówiło, iż uciekł przeszłej zimy i prawdopodobnie na północ; kończyło się zaś obietnicą, że ktokolwiek go pojmie i odeśle właścicielowi w okolice Nowego-Orleanu, ten otrzyma zwrot kosztów, oraz nagrodę.

— Teraz już — rzekł książę — płynąc sobie możemy w dzień biały, jeżeli nam się tak podoba. Gdy ujrzymy nadpływającą czy łódź, czy tratwę, możemy związać Jim'a powrozami, położyć go na pomoście i pokazując to ogłoszenie, powiedzieć, żeśmy go ujęli, a ponieważ zbyt jesteśmy ubodzy, aby podróżować na parostatku, wzięliśmy więc tę tratwę na kredyt od znajomych i płyniemy nią po nagrodę. Żelazne kajdany lepiejby wyglądały na Jim'ie, ale nie godziłyby się z opowiadaniem o naszym wielkim ubóstwie. Powrozy lepiej odpowiadają celowi — trzeba się starać o zachowanie jedności, jak my, aktorzy mawiamy.

Wszyscyśmy wieszowali księciu pomysłu tak wybornego, bo teraz już mogliśmy bezpiecznie

płynąć i we dnie. Trzeba jednak było doczekać nocy, aby nie włączyć w oczy tym, od których książę pobrał zaliczki na ogłoszenia, a i właścicielowi drukarni, jeżeli już powrócił z zebrania, bo moglibyśmy mieć nieprzyjemność 1

Ukryci więc pod cieniem drzew przybrzeżnych aż do dziesiątej wieczorem, puściliśmy się w drogę dopiero nocą.

Gdy Jim zbudził mnie o czwartej, abym straż objął nad nad tratwą, powiada do mnie

— Huck, jak ci się zdaje? czy spotkamy gdzie jeszcze takich królów po drodze?

— Nie — powiadam — myślę, że nie.

— No, kiedy tak, to dobrze. Mniejsza tam o jednego albo dwóch królów, ale tych nam wystarczy.

Już i ten jeden pijany, jak bela, a książę niewiele mniej.

Pokazało się, że Jim próbował skłonić króla, aby ten powiedział co po francusku, ale król odmówił, tłumacząc się, iż zupełnie zapomniał rodzinnego języka, tak skutkiem doznanych zmartwień, jak i długiego pobytu w naszym kraju.

Nie mógł więc Jim przekonać się, do czego podobny język francuski!

ROZDZIAŁ XXI

ROBIENIE BRONIA. — MONOLOG HAMLETA. — W MIASTECZKU. — STARY BOGGS. — ŚMIERĆ BOGGS'A.

Słońce już weszło na dobre, a my płyniemy płyniemy, ani myśląc szukać zatoczki, w której tratwę ukryćby można. Król i książę późno wstali i to dość chmurni, ale gdy raz i drugi zanurzyli się w wodzie, przybyło im rzeźwości i humoru. Po śniadaniu król usiadł na krawędzi tratwy, zdjął buty, podwinął spodnie, nogi spuścił do wody, fajkę wziął do ust i czując się dobrze usposobionym, zaczął kuć na pamięć "Romea i Julię." Gdy już trochę umiał, wzięli się obaj z księciem do przepowiadania roli, "do próby," jak to nazywał książę. Król pamiętał już słowa, lecz mimo to, książę ciągle go uczyć musiał jak ma mówić, jak się ruszać; kazał mu chodzić, wzdychać, rękę kłaść na sercu, aż dopiero po jakimś czasie powiedział, że teraz dobrze.

— Tylko — mówi — nie powinieneś tak ryczyć: "Romeo! Romeo!" Trzeba to wymawiać miękko, słodko, łagodnie... Ro-o-o-me o! tak, jak ja mówię. Julia, widzisz, jest młode dziewczę, dziecko prawie...

Gruha do kochanka, jak turkawka. Nie wypada, żeby się darła, jak osioł. "

Nazajutrz wziął do ręki długie miecze z dębowych deszczulek i zaczęli ćwiczyć się w robieniu bronią. Książę powiedział, że jest Ryszardem III-im i że bije się na miecze z rycerzem dzielnym i walecznym. Tu dopiero tak przyskakiwali do siebie, tak kroczyli po całej tratwie, że o małym sobie oczu nie wypatrzył. W końcu jednak królowi powinęła się noga i wpadł do wody, a gdy znów na pomost się dostał, usiedli obaj dla wytchnienia i rozmawiać zaczęli o różnych przygodach, które im się zdarzyły podczas wędrówek dawniejszych.

Po obiedzie rzekł książę:

— Wiesz co, Kapet, skoro chcemy, żeby przedstawienie było co się zowie, to trzeba jeszcze coś dodać do niego. Powinniśmy mieć coś w zapasie, żeby odpowiedzieć na *bisowanie*.

— Cóż to za "bisowanie?"

Wytłomaczył mu to książę i dodał:

— Ja dam od siebie sztuki gimnastyczne górali szkockich, albo piosenki marynarskie przy akompaniamencie kobzy, ty zaś, monarcho, powiesz... powiesz... aha! już wiem: powiesz monolog Hamleta.

— Hamleta... co?

— Monolog Hamleta, ustęp najwspanialszy w całym Szekspirze. Ach! co to za kawał wspaniały i cudowny! Zawsze cały teatr porywa! Nie mam go w książce... bo posiadam tylko tom jeden Szekspira — ale liczę na to, że potrafię cały wyrecytować z pamięci. Pochodzę tylko trochę i pomyślę, a pewien jestem, że z otchłani pamięci cały ów ustęp wyłowię.

Zaczął więc chodzić po tratwie tam i napowrót, mydląc i od czasu do czasu okropnie się marszcząc. Chwilami brwi do góry podnosił, to znów tarł czoło i naciskał ręką, przyczem cofał się wstecz, wydając z piersi coś w rodzaju jęku, potem znów wzdychał z głębi piersi, a raz nawet łez parę uronił. Rozkosz była prawdziwa patrzeć na niego. Tym sposobem powoli wszystko sobie przypomniał i zawołał na nas, żebyśmy pilnie uważali. Przybrawszy szlachetną postawę, jedną nogę naprzód wysunął, ręce przed siebie wyciągnął, głowę tak w tył przechylił, że prosto w niebo mógł patrzeć i dopieroż, jak nie zacznie krzyczeć, zgrzytać i od czasu do czasu wyrzucać jęki do wycia podobne, jak nie zacznie podskakiwać, zataczać się i piersi wydymać! Każde słowo wyrzucał z

siebie jak z procy, a ciskał się przytem jak w gorączce. Ach! grał cudownie! Nigdy jeszcze takiej gry nie widział.

Królowi niezmiernie się podobała ta piękna przemowa i prędko się jej wyuczył. Zdawało się, doprawdy, że już przyszedł na świat z tym talentem tak się unosił i zapalał, tak krzyczał, tak miotał słowami i tyle wykonywał ruchów. Jabym tak nie potrafił i z prawdziwym podziwem patrzyłem, że takiemu starcowi sił starczy.

Książę skorzystał z pierwszej sposobności, żeby wydrukować potrzebną ilość afiszów, w których mające nastąpić przedstawienie uznał jako cuda nigdy jeszcze nieoglądane. Przez parę dni płynęliśmy, nigdzie do brzegu nie przybijając, a przez cały ten czas na pomoście naszej tratwy panowało niezwykle ożywienie, ciągle bowiem odbywały się próby to z dramatami, to z bronią. Pewnego dnia nareszcie, płynąc wzdłuż wybrzeży stanu Arkansas, ujrzeliśmy przed sobą małe miasteczko, zbudowane nad zatoką, głęboko w ląd się wrzynającą.

O pół mili od miasta, zostawiwszy Jim'a na tratwie ukrytej wśród rozłożystych gałęzi modrzewiowych, Siedliśmy we trzech do łódki i popłynęli do miasteczka, żeby zbadać, czy tam przedstawienie będzie możliwe.

Trafiliśmy bardzo szczęśliwie, bo tego samego dnia po południu odbyć się miało przedstawienie w cyrku i z całej okolicy zjeżdżali się już ludzie wózkami lub konno, jak komu wypadło.

Miało to być przedstawienie pożegnalne, bo cyrk dziś jeszcze odjeżdżał, należało więc korzystać ze zjazdu i wystąpić w całej okazałości. Zrozumiał to książę i nie tracąc czasu, najął tę samą salę, a potem rozlepiliśmy afisze po całym mieście. Nie upłynęło i paru godzin, gdy cała publiczność czytać mogła co następuje:

!!! SZEKSPIROWSKA BIESIADA!!!

Niesłychanie interesująca

JEDNO JEDYNE PRZEDSTAWIENIE.

Słynni na cały świat tragicy.

Dawid Garrick Młodszy, z teatru Drury Lane w Londynie, oraz Edmund Kean Starszy, z królewskich teatrów Haymarket, Whitechapel, Piccadilly w Londynie, tudzież wielu królewskich teatrów na stałym lądzie, zamierzają uraczyć publiczność wspaniale pięknym przedstawieniem sceny na balkonie

Z "ROMEO I JULIA"

Romeo..... p. Garrick

Julia.....p. Kean z pomocą trupy nieporównanej!

Nowe kostiumy! Nowe dekoracje! Wszystko nowe!

Poczem nastąpi

Do głębi serca wzruszająca, krew ścinająca w żyłach, mistrzowsko prowadzona

WALKA NA MIECZE

Z "RYSZARD III"

Ryszard III... p. Garrick

Richmond.....p. Kean a także na specjalne żądanie Publiczności)

Nieśmiertelny Monolog Hamleta wypowie znakomity i słynny na cały świat Kean, który powyższym monologiem zachwycał przez 300 wieczorów z rzędu wyborową publiczność wielkiej stolicy Paryża.

W ten sposób zaciekawwszy miasteczko, puściliśmy się w wędrówkę po niem. Wszystkie

prawie domy i składy towarów zbudowane były ze starych desek, wcale nawet niemalowanych i stały na palach, wysokich na trzy lub cztery stopy, tak, żeby podczas wezbrania rzeki, nie stały się pastwą powodzi. Każdy prawie dom posiadał niewielki ogródek, w którym wszakże nie hodowano nic, oprócz kilku słoneczników i znacznej ilości różnego chwastu, rosnącego wśród kup popiołu, starego obuwia, butelek potłuczonych, gałganów brudnych i pogiętych puszek blaszanych, Parkany były również ze starych desek, rozmaitej długości, poprzybijanych do słupków, z których żaden nie stał prosto, a każdy w inną chylił się stronę; furki zaś wisiały na jednej tylko zawiasie i to skórzanej. Na niektórych parkanach widać było, że je kiedyś przed laty pomalowano białą farbą; książe jednak zapewniał, że musiało to być chyba za czasów nieboszczyka Kolumba. W każdym prawie ogródku zauważyłem ryjącą świnię i kogoś, który ją wypędzał, równie usilnie, jak bezskutecznie.

Składy towarów, oraz magazyny ciągnęły się wszystkie wzdłuż jednej tylko ulicy Drzwi każdego sklepu ocieniała płócienna markiza, wsparta na słupkach, do których przyjezdni przywiązywali swoje konie. Pod markizami stały wypróżnione paki od towarów, przeznaczone do siedzenia różnym próżniakom, którzy żując tytoń, ziewając i przeciągając się, krajali je nożykami kieszonkowymi lub wyrzynali na nich napisy Siedziała ich tam cała kupa, każdy miał na głowie kapelusz słomiany, nie mniejszy od średniej wielkości parasola, ale mało który miał surdut lub kamizelkę. Nazywali jeden drugiego Bill, Buck, Hank, Joe, Andy, mówili przeciągle i powoli, często też używali wymyślań i przekleństw, których zasób mieli niewyczerpany. Pod każdym słupem stał sobie jeden, trzymając w kieszeniach ręce, które wyjmował tylko do podrapania się lub wydobycia szczypty tytoniu.

Na wszystkich ulicach i zaułkach pełno było błota; właściwie nic tam nie widziałem prócz błota i to czarnego jak smoła. Wszędzie pełno było świń, nurzających się w błocie i wesoło pochrząkujących. Idziesz sobie ulicą i spotykasz zabłoconą po same uszy maciorę z całą gromadą prosiąt; chcesz ją minąć i myślisz, że ci się to uda. Nieprawda! akurat wpoprzek twojej drogi leży jak długa, oczy przymyka, uszami strzyże, pochrząkuje półgłosem, prosięta swoją karmi, niby w swym chlewie i ma minę tak zadowoloną, jakby jej kto płacił za zmuszanie ludzi do brnięcia w błoto po kolana! Ale czasami daje się słyszeć: "Na tu! na! Weź ją! Huź-ha!" i z głośnym kwikiem ucieka maciora, bo jeden pies trzyma ją zębami za jedno ucho, drugi za drugie, a czasem i dwóch za każde. Kwik, szczekanie, hałas, a wszyscy gapie i próżniacy w śmiech, radzi, że mają zabawę. Potem znów kładą się lub siadają na pakach i ziewają, czekając na przyjemniejszą jeszcze rozrywkę: na walkę psów. Największa jednak wesołość i zachwyty największy, gdy im uda się złapać psa włóczęgę, oblać go terpentyną i zapalić, albo przywiązać mu do ogona blaszaną patelnię i patrzeć, jak biedne zwierzę, oszalałe ze strachu, pędzi przed siebie na oślep.

Niektóre z domów, stojących tuż nad brzegiem, tak się pochyliły, jakby miały zamiar złożyć ukłon wodzie, albo też wpaść w nią z desperacji. W takich domach nikt już nie mieszkał, bo groziły klęska. Zdarza się czasami, że rzeka podmyje brzeg na przestrzeni dwóch lub trzech mil długości (angielskich), a prawie na pół mili szerokości; podmywa go powoli a ciągle, aż wreszcie pewnego pięknego dnia... szast! prast! poleciało wszystko do wody.

Im bliżej było wieczora, tem więcej pojawiało się na ulicach wozów i koni, a coraz nowe przybywały. Całemi rodzinami zjeżdżali się ludzie, przywożąc z sobą ze wsi kosze zapasów, żeby je spożyć na wózkach. Napitków nie brakło też wcale, a ci i owi, trunkiem zagrzani, brali się za bary i nie na żarty szła walka. Wtem krzyknął ktoś:

— Patrzcie, jedzie stary Boggs! Objechał wszystkie szynki w okolicy i wraca! Boggs jedzie! Boggs! Śród ludzi na pakach powstała radość, bo, jak odgadłem, przywykli drwić ze starego. Jeden z nich krzyczy:

— Ciekaw jestem, kogo też stary Boggs dziś posieka? Gdyby był posiekał tych wszystkich,

którym groził w przeciągu ostatnich lat dwudziestu, to słynąłby jako zabijaka pierwszego rządu.

A drugi mu przerywa:

— Chciałbym, żeby stary Boggs mnie zagroził, miałbym pewność, że z jego ręki nie zginę.

Wtem nadjeżdża Boggs, koń pod nim idzie dobrego klusa, a on krzycząc i wyjąc, jak czerwonoskóry, wola:

— Z drogi! Rozstąpcie się! Z drogi, mówie... Na wojnę jadę... Cena trumien w górę pójdzie, w górę!

Pijany był i chwiał się na siodle, twarz miał jak ogień czerwoną, niebardzo starą, bo też liczono mu niewiele więcej nad lat pięćdziesiąt. Zaczepiali go wszyscy, śmieli się z niego, wymyślali mu, a on wymyślał także, wołając, że nauczyłby wszystkich rozumu, gdyby miał czas. Przyjechał jedynie dla zabicia starego pułkownika Sherburn'a i za dewizę wziął sobie: " Pierwej mięso, a na wierzch to, co się łyżką jada. " Gdy mnie spostrzegł, podjechał i woła:

— A tyś zkąd, chłopcze? Czyś gotów na śmierć?

I pojechał dalej. Zmieszałem się trochę, a ktoś z obecnych mówi:

— Nie uważaj na to, zwykle to jego gadanie. Gdy pijany, wszystkich na śmierć wyprawia, a po trzeźwemu to człowiek najlepszy w świecie.

Boggs zatrzymał konia przed największym w mieście magazynem, schylił się tak, żeby mógł głowę wsadzić pod markizę, i krzyczy na cały głos:

— Wyjdź zaraz do mnie, Sherburn! Wyjdź i spójrz w oczy człowiekowi, którego niegodnie oszukałeś. Psem jesteś podłym, psem, który nie ujdzie rąk moich!

Wymyślał tak w dalszym ciągu, wykrzykując, co tylko mu ślina na język przyniosła, a cała ulica pełna była ludzi, którzy słuchali i śmieli się. Nakoniec otworzyły się drzwi magazynu i wyjrzał mężczyzna w sile wieku, pańskiej postawy, ubrany bardzo porządnie. Na jego widok rozstąpili się wszyscy, on zaś wolnym krokiem idąc do Boggs'a, mówi mu jak najspokojniej:

— Znudziło mnie już twoje wykrzykiwanie, ale będę jeszcze cierpliwym do pierwszej. Punkt do pierwszej — słyszysz? Ani minuty dłużej! Jeżeli po pierwszej powiesz jeszcze choć jedno słowo przeciwko mnie, pamiętaj, że ci to nie ujdzie na sucho.

Zawrócił się i poszedł. Tłum przycichł, przestano śmiać się i krzyczeć. Boggs, wymyślając Sherburn'owi, pojechał dalej, lecz dojechawszy do końca ulicy, zawrócił znów konia, zatrzymał przed magazynem i nuż wymyślać jak przedtem. Zebrało się kilku ludzi koło niego i namawiają, żeby dał pokój. Ani myśli! Tłómaczą mu, że do pierwszej brakuje tylko dziesięciu minut, że powinien wracać do domu. Ani o tem chce słyszeć! Krzyczy coraz głośniejszy, zrywa sobie kapelusz z głowy, rzuca go w błoto, tratuje końskimi kopytami i znów dalej jedzie ulicą, a wiatr mu rozwiewa siwe włosy. Idą za nim, proszą, namawiają, aby zsiadł z konia, wszystko na nic! Znów wraca, znów się zatrzymuje przed magazynem, nie przestając wymyślać Sherburn'owi. Wreszcie ktoś powiada:

— Niech kto pójdzie po jego córkę! Prędko! Jeżeli kogo usłucha, to córki.

Pobiegł więc ktoś po córkę, a ja odszedłem trochę na bok i czekam. Nie upłynęło i pięciu minut, gdy widzę, idzie Boggs w moją stronę — ale już nie na koniu; idzie pieszo, z gołą głową, zatacza się, a dwóch przyjaciół trzyma go pod ręce i uprowadza pośpiesznie. Spokojny by! i wyglądał, jakby się lękał trochę, zauważyłem nawet, że wcale nie stawiał oporu, lecz jakby właśnie przyspieszał kroku. Wtem wola ktoś:

— Boggs!

Spojrzałem, chcąc zobaczyć, kto zawołał. Patrzę, pułkownik Sherburn. Stoi na samym środku ulicy i w prawej ręce trzyma pistolet wysoko podniesiony, ale nie mierzy do nikogo, tylko lufą do góry go zwraca. W tej samej chwili widzę pędem biegnącą młodą dziewczynę w towarzysztwie

dwóch mężczyzn. Boggs obrócił się, żeby zobaczyć, kto go wola, obrócili się także i prowadzący go, ale ujrawszy pistolet, odskoczyli obaj, a Sherburn spuszczać powoli pistolet, bierze na cel Boggsa. Boggs, widząc to, podnosi obie ręce do góry i wola: "O Boże! Nie strzelaj! Wtem... *bum!* rozlega się strzał pierwszy... Boggs, chwije się, przechyla w tył i rękoma bije powietrze. *Bum!* strzał drugi... i Boggs pada na wznak, jak długi, rozkrzyżowawszy ramiona... Dziewczyna z krzykiem rzuca się ku ojcu i płacząc woła: "Zabił go! zabił!"

Ludzie cisną się i popychają, zaglądając jeden drugiemu przez ramię, a ci, co stoją bliżej zabitego, odsuwają tamtych: "Cofnijcie się! cofnijcie! Nie pchajcie się! Powietrza mu trzeba!"

Pułkownik Sherburn, rzuciwszy pistolet na ziemię, wykręcił się na obcasie i poszedł do sklepu.

Gdy nieśli Boggs'a do jakiejś apteki, całe miasto tłumem biegło za nim. Idąc za innymi, docisnąłem się do samego okna, przez które wybornie mogłem widzieć wszystko w aptece. Położono go na podłodze, podsunęto mu pod głowę jedną Biblię ogromną, a drugą, mniejszą, rozwartą, położono na piersiach, rozpiąwszy mu pierwszej koszulę, tak, że widzieć mogłem, którędy weszła kula. Kilka razy chwycił jeszcze powietrze piersiami tak głęboko, że aż poruszyła się książka, a potem leżał już cicho — umarł. Wtedy oderwano od niego córkę, coraz to głośniej płaczącą, i wyprowadzono ją. Mogła mieć lat ze szesnaście, bardzo była ładna i miła, ale okropnie blada i wystraszona.

Niebawem wyległo całe miasto; pchali się wszyscy do okna, aby zobaczyć umarłego, ale ci, którzy pierwszej zajęli dobre miejsce, nie chcieli teraz ustąpić, chociaż tamci im dogadywali: Napatrzyliscie się już chyba? Gdzie tu sprawiedliwość, żeby jedni cały czas stali i patrzyli, a drugim to nawet okiem rzucić nie można! Człowiek przecie jeden drugiemu równy!

Ludność cała tak była tym wypadkiem wzburzona, tak się odgrażano Sherburn'owi, iż myślałem, że mu to nie ujdzie na sucho. Na ulicach snuły się tłumy niespokojne; ci, co byli naoczniymi świadkami zdarzenia, opowiadali je po raz setny może, a nigdy nie brakło słuchaczy. Człowiek jakiś wysoki, chudy, o długich włosach i wysokim kapeluszu białym, pilśniowym, na tyle głowy, laską sękatą zakreślał na błocie koła, mówiąc: "tu stał Boggs", "a tu Sherburn." Ludzie śledzili każdy ruch jego i pilnie wpatrywali się w koła, kiwając głowami na znak, że rozumieją. On zaś stał wyprostowany i sztywny na tem miejscu, na którym wypadało stać Sherburn'owi, brwi marszczył, kapelusz na oczy nasuwał, krzyczał "Boggs!" z laski do celu mierzył, a zawoławszy "bum!" przechylał się w tył i chwiały na nogach, jakby trafiony. Nie upadał jednak, ale raz drugi wołał: "bum!" i wtedy dopiero padał na ziemię. Ci, którym udało się widzieć to, mówili, że doskonale przedstawiał całe zajście, kubek w kubek tak, jak było. Gdy skończył, ze dwanaście osób wyjęło butelki z wódką i rozpoczął się teraz poczęstunek.

Po jakimś czasie ktoś się odezwał, że warto by zastosować do Sherburn'a prawo "*Lynch'u*". Zgodzili się wszyscy, więc tłum popędził wrzeszcząc, wyjąc i ściągając po drodze rozwieszoną tu i owdzie bieliznę, aby ją podrzeć na sznur dla powieszenia Sherburn'a.

ROZDZIAŁ XXII

SHERBURN. — "PRZEJMUJĄCA DO GŁĘBI SERCA TRAGEDYA. "

Skierowali się całą gromadą ku domowi Sherburn'a, z dzikim wrzaskiem, z wymyślaniem, zupełnie, jak napadający na przeciwnika czerwonoskórzy, a tak pędzili, tak się pchali, że wszystko musiało im z drogi ustępować.

Ile tylko było dzieci w mieście, wszystkie biegły za nimi, nie mniej od nich krzycząc i również, jak oni, groźnie wymachując pięściami. W oknie każdego domu pełno było twarzy kobiecych, na każdym drzewie siedział murzyn, a z za każdego płota wyglądały dziewczęta; ale gdy tłum ku nim się zbliżał, natychmiast znikaly Bóg wie gdzie. Zauważyłem przytem, że większość kobiet i dziewcząt płakała i miała miny wylękle.

Zatrzymali się wreszcie przed sztachetami domu Sherburn'a, za którymi widać było. niewielkie podwórko kwadratowe. Hałas wzmógł się tak, że nie można było rozróżnić ani jednego słowa; krzyczeli wszyscy jeden przez drugiego. Nakoniec udało się komuś przekrzyczeć innych — Znieść sztachety! Znieść sztachety! — a tłum podchwyciwszy słowa, powtórzył je chórem. Zaraz też dał się słyszeć trzask drzewa, sztachety runęły na ziemię, a przednie szeregi tłumy wdarły się, jak powódź, w podwórze.

W tej samej chwili ukazał się Sherburn na balkonie od frontu, z dubeltówką w ręku, i ani słowa nie mówiąc, spokojny, z miną człowieka, który ustąpić nie myśli, stanął tuż przy poręczy balkonu i patrzy. Odwiódł kurki i wycelował dubeltówkę w sam środek tłumy. Tłum zakołysał się i odstąpił parę kroków.

Ani słowa nie przemówił Sherburn, stał tylko i z góry patrzył na ludzi. Cisza zrobiła się taka, że aż mi mrówki po grzbiecie chodzić zaczęły, a włosy dębem stawały. Sherburn powiódł oczyma po tłumie, a gdziekolwiek upadł wzrok jego, nikt spojrzenia tych oczu przetrzymać nie mógł. Każdy głowę tylko spuszczał i na durnia wyglądał. Wytrzymał ich tak przez parę minut, a potem... zaśmiał się niby. Ale taki to i śmiech był! Nie ten, wesoły i szczery, którego miło słuchać, nie! Słuchając go, miałeś zupełnie takie wrażenie, jak gdybyś jadł chleb, w którym więcej piasku niż mąki.

Zaśmiał się a potem wolno, wzgardliwie i powiada:

— Przyszliście sprawiedliwość wymierzać? Wy? A to zabawne! Alboż wy macie dosyć odwagi żebyście się zdobyli na wymierzenie sprawiedliwości mnie, mężczyźnie? Dlatego, że umiecie wykapać w smole i wytarzać w pierzu jedną i drugą kobietę bezbronną, która się włóczy po ulicach, to sądzicie, że wam starczy śmiałości, żeby choć palcem jednym dotknąć mnie — mężczyznę? Cóż znów! Ja, mężczyzna, bezpieczny jestem w ręku dziesięciu tysięcy takich, jak wy — dopóki dzień biały, dopóki mam was przed oczyma, nie za plecami.

Znam was i znam ludzi na wylot. Urodziłem się i wychowałem na południu a żyłem na północy; znam więc człowieka przeciętnego. Człowiek przeciętny — to tchórz lub łotr. Na północy pozwala każdemu przewodzić nad sobą a potem idzie do domu i modli się o pokorę, o uległe znoszenie przeciwności; a na południu jeden człowiek napadł w dzień biały na gromadę paruset ludzi zebranych w teatrze i wszystkim zabrał co do grosza! Gazety wasze tak wam ciągle o waszej prawią odwadze, że się za naród najodważniejszy na kuli ziemskiej poczytujecie. A to nieprawda! aniście najodważniejsi, ani odważniejsi, ani nawet odważni! Dlaczego wasi przysięgli nie skazują zabójców na powieszenie? Z obawy, żeby przyjaciele zabójcy nie napadli ich w nocy, z nożem w ręku, bo wy to umiecie, o, umiecie! Uniewinniają więc mordercę, który chodzi swobodnie, ale w nocy skrada się

za nim stu tchórzów zamaskowanych i czyhając na jego' życie, morduje go, jeśli to zdoła zrobić bezkarnie. Przyszliście tu tłumnie, a wśród was ani jednego niema mężczyzny. Widzę kawałek tylko, a jest nim ten, który was namówił do napadu, Buck Harness. Tak, on jeden jest kawałkiem mężczyzny, może nawet połową. I dlatego, gdy on krzyknął: "Hejże! na Sherburna!" poszliście za nim, jak barany. A wiecie dlaczego? boście tchórze — nie ladzie, nikczemne kundle — nie ludzie. A kiedyście kundle, to wiecie, co wam czynić należy? Pospuszczać ogony i zmykać, a potem powłazić do bud swoich. Precz, słyszycie? A swoją połowę człowieka także z sobą zabierzcie! Po tych słowach przerzuciwszy dubeltówkę przez lewą ramię, obrócił się do nich plecami — i poszedł.

Tłum stał jak wryty, a potem rozsypał się na gromadki, które jedna za drugą znikać zaczęły z minami dosyć rzadkimi. Co do mnie, mógłbym był zostać, gdybym chciał, ale nie chciałem.

Tego samego wieczoru odbyło się nasze przedstawienie, ale przyszło na nie tylko dwunastu ludzi; tyle zaledwie, aby sie kosza wróciły, I co najgorsza, śmieli się ciągle, czem księcia doprowadzali do wściekłości; w końcu wynieśli się, niedoczekawszy końca; został jeden tylko widz, jakiś chłopiec, który spał, jak zabity. Zobaczywszy to, powiedział księżę, że takim głupim gburom nie opłaci się dawać Szekspira, że on już wie, czego im potrzeba.

Zaraz też nazajutrz rano. kupiwszy kilka arkuszy papieru, tego formatu jak na ogłoszenia i nieco czarnej farby, napisał afisze, dopełnił je odpowiednimi rysunkami i porozlepił po wszystkich ulicach.

Afisz opiewał:

W miejscowej sali
przez trzy tylko wieczory
występować będą słynni w całym świecie tragicy Dawid Garrick Młodszy

i
Edmund Kean Starszy
(artyści londyńskich i wielu innych teatrów)
w przejmującej do głębi serca tragedyi, przez nich samych ułożonej,

p. t.
KRÓLEWSKA ŻYRAFA

czyli
KRÓL JAKITAKI.

Wejście 50 centów.

Na samym zaś końcu dopisano wielkimi literami:

DZIECIOM I KOBIETOM

WSTĘP.

WZBRONIONY.

— No! — rzeki księżę — jeżeli się na to nie złapią, to ja nie znam Arkanzas!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Tom II

ROZDZIAŁ I

PRZYGOTOWANIA. — JIM DOWIADUJE SIĘ O OBYCZAJACH KRÓLÓW. — JIM ZACZYNA TĘSKNIĆ.

Przez cały dzień książę z królem pracowali zawzięcie, urządzając scenę: zawiesili kurtynę, przygotowali oświetlenie, a gdy wieczór nadszedł, sala napelniła się w jednej chwili mnóstwem ludzi. Gdy już napłynęło tyle, że nie było gdzie szpilki wetknąć, książę, który stał u wejścia dla odbierania pieniędzy, okrążył dom, wszedł na scenę, stanął przed kurtyną i miał przemowę do publiczności. Zaczął od wychwalania tragedyi, którą miano przedstawiać, mówiąc, że aż włosy wstają na głowie, aż się serce kraje, tyle w nie rzeczy nadzwyczajnych. A potem prawil jeszcze o wielkości Keana starszego, który podjął się odegrania głównej roli, i dopiero doprowadziwszy publiczność do stanu zniecierpliwienia, kazał podnieść kurtynę.

W tejże chwili ukazał się na scenie... król na czworakach, całkiem nagi, ale cały pomalowany w pręgi i koła, na wszystkie kolory, jakie są, co go czyniło podobnym do ruszającej się tęczy. Wtoczył się i.. było to mocno nierzyzwoite, ale okropnie zabawne Ludziska aż się pokładali ze śmiechu, a gdy król przestał brykać i wierzgać, wyjechawszy na czworakach za kulisy, zaczęli tak tupać i klaskać z okrzykami: "Powtórzyć! powtórzyć!" że powrócił i znów wyprawiał te same sztuki. I co tu dziwić się ludziom, kiedy, przekonany jestem, krowa pękałaby ze śmiechu, widząc, jak ten stary idyota kozły fika i dziwowisko z siebie wyprawia.

Gdy już skończył naprawdę, książę spuścił kurtynę, wyszedłszy do publiczności, złożył jej głęboki ukłon, poczem oznajmił, że z powodu niecierpiących zwłoki zobowiązań, które zaciągnął w Londynie, gdzie w teatrze Drury Lane wszystkie miejsca już są rozkupione, tylko dwa razy jeszcze odbędzie się przedstawienie "wielkiej" tragedyi. Jeżeli zaś udało mu się zabawić szanowną publiczność i przynieść jej pożytek moralny, to prosi, aby mu tego dowiodła, polecając go swoim znajomym.

Tu składa ukłon po raz drugi i chce odchodzić, ale zewsząd słycać pytania:

— Jakto? Już po wszystkim? Na tem koniec? Książę z miłym uśmiechem "tak" odpowiada.

Tu dopiero zaczęła się awantura! Wszyscy krzyczą jak jeden: "Okpił nas! oszust! łotr!" Wszyscy powstawszy z miejsc, cisną się na scenę, żeby "słynnych" aktorów w ręce dostać. Wtem wysoki jakiś, postawny mężczyzna wskakuje na ławkę i woła:

— Panowie! Posłuchajcie! Słówko tylko! Zatrzymali się i słuchają.

— Niema co mówić: okpili nas, grubo okpili!

Ale nie widzę racyi, żebyśmy się oddawali całemu miastu na pośmiewisko i żeby wszyscy wiedzieli, jak daliśmy się okpić dwu przybłędom. Mam rację? co? Mojem zdaniem, najlepiej będzie wyjść ztąd spokojnie, chwalić widowisko i okpić naszych współobywateli tak, jak nas okpiono. Będziemy przynajmknj w towarzystwie. Czy mam rację?

— Ma się rozumieć! Ma się rozumieć! — wołają wszyscy — Sędzia mówi rozsądnie!

— No, więc kiedy tak, ani słowa nikomu! Rozejdźmy się i namawiajmy każdego na tragedję.

Nazajutrz w całym mieście o tem tylko mówiono, jak zajmujące, jak wspaniale było przedstawienie wczorajsze. Sala zapełniła się szczelnie i tak samo zakupiono z publiczności. Po przedstawieniu król i książę wrócili razem ze mną i zasiedliśmy do kolacyi, ale około północy powiedzieli nam, żebyśmy tratwę skierowali na środek rzeki, a opłynawszy o parę mil od miasta, ukryli ją.

Na, trzeci wieczór sala znów była nabita ciekawymi, przyszedli zaś ci sami, których już tu widniałem. Stojąc razem z księciem u wejścia, zauważyłem, że każdy z wchodzących ma czemś wypchaną kieszeń, albo pod surdudem coś kryje, domyśliłem się więc natychmiast, że to nie perfumy, ani cukierki. Węch mam dobry, pewien też byłem, że to koszyki z jajami zgniłymi, z taką kapustą i tym podobnymi łakociami. Odczuwałem też węchem koła zdechłego, pewny będąc, że nawet jest sporo tej zwierzyny. Wszedłszy na chwilę do widowni, uczułem powietrze tak ciężkie, że trudno było wytrzymać. Gdy sala była już pełna, książę dał jakiemuś oberwańcowi ćwierć dolara z rozkazem zastąpienia go przy wejściu przez kilka minut, sam zaś obszedł dom wokoło, chcąc niby wejść na scenę tylnymi drzwiami. Ja za nim, ale w tej chwili, gdyśmy się znaleźli w ciemności, pod boczną ścianą domu, powiada mi książę na ucho:

— Przyśpiesz kroku, a gdy przerzedzą się domy, bierz nogi za pas i pędź w stronę tratwy, jakby cię sto dyabłów goniło.

Jednocześnie prawie dopadłszy do tratwy, natychmiast ruszyliśmy z miejsca, wśród ciemności zmierzając ku środkowi rzeki, której prąd unieść miał tratwę, jak można najdalej od "tragedyi." Milczeliśmy wszyscy, ja zaś pojąć nie mogłem, jak sobie pocnie stary król nieszczęsny, z salą pełną słuchaczy, tak wrogo usposobionych. To mu się tam dopiero dostanie! Tymczasem król nasz wysuwa się z budki i mówi:

— Cóż, książę, bardzo tam było gorąco? Pokazało się, że do miasta wcale nie chodzi!. Siedzieliśmy pociemku, dopóki nie odniosła nas woda o jakie mil dziesięć od miasteczka. Wtedy dopiero zapaliwszy światło, wieczerzaliśmy, a król i książę aż się za boki brali ze śmiechu na myśl o "szanownej publiczności".

— Osły! Kapuściane głowy. Odrazu wiedziałem, że pierwsi sprowadzą drugich, żeby sobie nic nie mieć do, wyrzucenia. Byłem też pewny, że na trzeci wieczór nie będzie nowych, lecz przyjdą wczorajsi i pozawczorajsi skwitować się z nami. Ciekaw tylko jestem, co teraz czynią; kolacya składkowa byłiby najwłaściwsza, bo dosyć z sobą mieli zapasów.

Przez trzy wieczory "słynni aktorowie" zdobyli czterysta sześćdziesiąt pięć dolarów.

Poszedłem spać, ale gdy na mnie przyszła koiej czuwania, Jim nie obudził mnie wcale. Zdarzało się to bardzo często. Wstawszy przed samym świtem, ujrzałem go z głową na kolanach wspartą, jęczał i żalił się na coś półgłosem. Nie zwracając na to uwagi, nie odzywałem się wcale, pewny, że mu coś dobrze dokucza. Myślał o żonie i o dzieciach, tęskniąc za nimi, bo po raz pierwszy był od, nich zdala. Nie wątpię, że żonę i dzieci kocha! lak samo, jak biały. Wydaje się to nieprawdopodobne, a jednak mam pewność, że tak było. Nieraz w nocy Jim, przekonany, że śpię, wyrzekał, jęcząc żałośnie: "O, moja maleńka Elżusiu! o, mój mały Janeczku! gdybyście wiedzieli, jak mi żal, że już was nigdy nie zobaczę!"

Ten murzyn okrutnie dobre miał serce! Gdym raz wszczął z nim rozmowę o jego żonie i o dzieciach, rozgadał się biedak i mówi:

— A to dlatego, widzisz, taki żal ścisnął mi serce, że usłyszałem ot tam na brzegu silny plusk jakiś, który mi przypomniał biedną Elżunię moją. Miało maleństwo cztery lata za ledwie, gdy dostała szkarlatyny. Była bliska śmierci, lecz wyzdrowiała. Jednego dnia, gdy stała przy mnie, rzekłem:

— Zamknij drzwi.

Ona nie rusza się z miejsca, stoi tylko i patrzy na mnie. Złość mnie wzięła, więc głos podnosząc, mówię:

— Czy nie słyszysz, zamknij drzwi.

A ta wciąż stoi, wdzięcznie się do mnie uśmiechając.

— Nauczę cię słuchać — wołam wściekły — tak uderzając dziecinę, że upadła.

Poszedłszy do drugiej izby, siedziałem tam przez kilka minut, a gdym wrócił, w drzwiach otwartych jeszcze stoi dziecko, patrzy w ziemię i płacze Kipiałem z gniewu! Rzucam się na nią, gdy wtem... wpada wiatr i drzwi, otwierające się na zewnątrz, zamyka z trzaskiem, tuż za plecami dziecka... Ta ani drgnie! Zdrętwiałem.. sam nie wiem, co się we mnie działo... Choć nogi drżały podemną, obszedłem naokoło pocichutku, drzwi otworzyłem i tuż nad uchem Elżuni, jak nie krzyknę na całe gardło: "Paf!"

A ona ani drgnie! O, Huck! Wtedy, ryknąwszy płaczem, schwyciłem nieszczęśliwą na ręce i szlocham: "Biedactwo ty moje! kochanie ty moje maleńkie! niechaj Bóg Wszechmogący ulituje się nad biednym Jim'em, bo on sam sobie nie przebaczy, póki życia! O, Huck! ona była jak pień głucha, jak pień... i niema przytem — głuchoniema! A ja tak się nad nią pastwiłem!

ROZDZIAŁ II.

JIM W SZATACH KRÓLEWSKICH. — TRAFIA SIĘ PASAŻER. — PARĘ SŁÓW WIADOMOŚCI. — ŚMIERĆ W RODZINIE.

Na drugi dzień, pod wieczór, staliśmy w cieniu brzoź, porastających wysepkę, wsuniętą prawie w sam środek rzeki. Na obu brzegach widać było porządnie zabudowane wioski, czy miasteczka, a król i książę naradzali się, jakimby sposobem można w nich trochę grosza zarobić. Jim wyraził królowi nadzieję rychłego ujrzenia nas, bo ciężko mu było i nudno leżeć związanemu w budce podczas naszej nieobecności. W samej rzeczy, za każdym odjazdem naszym zostawał związany, bo gdyby się kto trafił pod nieobecność naszą i zobaczył murzyna samego, zarazby wziął go za zbiega i pojmał. Uznawszy słuszność narzekań Jima, książę postanowił wymyślić co innego.

Jakoż ustroił Jima w ubranie króla Lear'a: w długi szlafrok z perkalu w wielkie kwiaty, w perukę z białego włosienia i także same bokobrody, potem zaś, wzięwszy farbę, której używał do malowania dekoracyj, pomalował twarz, uszy, szyję i ręce Jim'a na piękny kolor sinawo-niebieski, tak, że Jim wyglądał jak topielec po dniach dziesięciu leżenia w wodzie. Niech mnie kaczkę zdepczą, jeżeli widziałem kiedy w życiu podobne dziwadło! Nie dość na tem: wzięwszy deseczkę, książę wielkimi literami napisał na niej:

Arab chory — ale póki ma przytomność, nieszkodliwy.

Przybiwszy deseczkę do żerdzi na kilka stóp wysokiej, postawił ją tuż u wejścia do budki. Jim niezmiernie czuł się zadowolony, zwłaszcza, że książę wmówił w niego zupełne bezpieczeństwo. Gdyby jednak zawitał na tratwę ktoś nieproszony, Jim powinien był wyskoczyć z budki i ryknąć jak dzikie zwierzę dla odstraszenia napastników.

Nasi monarchowie chcieli znów próbować "wielkiej tragedyi," która taki im dochód przyniosła, ale nie byli pewni, czy uczynić to mogą bezpiecznie, wiadomość bowiem o przedstawieniu miała czas rozejść się po wybrzeżu. Książę oznajmił, że się na parę godzin położy i mózg do roboty zapędzi, dla wymyślenia czegoś, co będzie miało powodzenie w tak lichej mieścinie prowincjonalnej. Król zaś bez żadnego planu postanowił zajrzeć do drugiej, mniejszej, z dwóch wiosek, które mieliśmy przed oczyma, ufając, że "Opatrzność" (a ja myślę, dyabeł) obdarzy go zyskiem niespodziewanym.

Na ostatnim przystanku pokupowaliśmy wszyscy zapasowe ubranie, król ubrał się w swoje, radząc mi włożyć nową odzież. Usłuchałem go, ma się rozumieć. Wówczas to zobaczyłem po raz pierwszy na własne oczy, jak suknie zmieniają człowieka. Król, cały czarno ubrany, wyglądał na prawdziwego gentleman'a. W codziennych łachmanach podobien był do włóczęgi i szachraja, ale teraz, gdy, zdjawszy z głowy biały, o szerokich kresach kapelusz, schylił w ukłonie siwą głowę, łagodnie się przytem uśmiechając, to miał minę tak wspaniałą, a tak przytem świętobliwą i poważną, że każdy uznałby w nim wychodzącego wprost z arki starego Lewiticusa.

O jakieś trzy mile od miasteczka stał w przystani już od kilku godzin parowiec, gotów do odpłynięcia z towarem. Rzecze więc król:

— Ubrany jestem tak porządnie, że śmiało uchodzić mogę za kogoś, przybywającego z Saint Louis, z Cincinnati, albo też z innego wielkiego miasta. Podpłyn więc, Huck, do parowca: przybędziemy na nim do miasteczka.

Nie potrzeba mi było mówić dwa razy, gdy szło o przejechanie się na parowcu. Pierwej jednak należało dopłynąć do brzegu i ztamtąd dopiero powędrować na przystań. Po wyjściu na ląd spostrzegliśmy siedzącego na kłodzie młodego chłopca, o pocziwej twarzy głuptasa, który z powodu

silnego upału ocierał pot z czoła. Obok niego leżała parę dobrze wypchanych torb podróżnych.

— Dokąd zmierzasz, młodzieńcze? — zagadnął król.

— Czekam na parowiec, gdyż jadę do Orleanu.

— Siadaj do naszej łódki. Mój służący dopomoże ci przenieść torby. Pomóż-no temu panu, Adolfie (Adolfem byłem ja).

Pomogłem i wsiedliśmy we trzech do łodzi. Młodzieniec wyraził swoją wdzięczność, gdyż ciężko mu było z pakunkami na taki upał. Na pytanie, dokąd jedziemy, król odpowiedział, że przybywa zdaleka, że całą podróż odbył wodą, że dziś rano wylądował w nadbrzeżnej wiosce, a teraz śpieszy dla zobaczenia się ze starym, dawno niewidzianym przyjacielem.

Na to rzecze młodzieniec:

— Zobaczywszy pana, powiedziałem sobie: Pewien jestem, że to nie kto inny, tylko pan Wilks, a jeśli to on, to w samą porę przybywa. Potem znów myślę: Nie! to nie on; zkażdeby pan Wilks łodzią płynął? Pan pewno nie pan Wilks, co?

— Nie. Nazywam się Blodgett, Alekander Blodgett, dodać nawet muszę: Wielebny Aleksander Blodgett, gdyż jestem niegodnym sługą Pańskich ołtarzy. Ale pomimo to szczerze mi żal pana Wilks'a, że nie przybył w porę, zwłaszcza, jeśli mu co na tem zależało. Mam jednak w Bogu nadzieję, że żadnej nie poniósł straty.

— Majątkowej nie poniósł, bo czy tak, czy owak, wszystko odbierze, ale stracił wiele, bo nie był przy śmierci swego brata, Piotra. Może on o to nie dba, kto go tam wie? ale brat byłby dał wiele, żeby go tylko ujrzeć przed śmiercią. W ostatnich tygodniach o niczem innem nie mówił! Nie widzieli się od lat młodzieńczych, drugiego zaś brata, Williama, Piotr nigdy w życiu nie widział. William jest głuchoniemy i ma zaledwie lat trzydzieści kilka. Piotr i Jerzy, najstarsi, przyjechali tu, Jerzy ożenił się, ale w przeszłym roku umarł i żona także umarła. Teraz, gdy i Piotr umarł, dwóch tylko braci zostało Harvey i William; nie zdążyli oni przybyć w porę.

— Czy nie dano im znać o chorobie brata?

— Jakżeżby nie! Miesiąc temu czy dwa, gdy Piotr zachorował po raz pierwszy, zaraz ich uwiadomiono, bo Piotr ciągle mówił, że już do zdrowia nie powróci. Widzi pan, Piotr bardzo był słaby, a córki Jerzego są za młode, aby z nich miał towarzystwo. Chyba tylko z jednej Maryi Joanny, tej rudej... ale i z tej widać nie miał pociechy, bo po śmierci Jerzego i jego żony czuł się okropnie osamotniony, niewiele dbając o życie. Gwałtownie pragnął widzieć Harvey'a... no i Williama także, ma się rozumieć... a głównie dlatego, że należał do tych ludzi, którzy nie mogą znieść myśli napisania testamentu. Zostawił też list do Harvey'a z wyrażeniem swej woli co do podziału gotówki i majątku nieruchomego, bez krzywdy córek po Jerzym. Ledwie go namówili, że by ten list napisał!

— Kiedy się spodziewają przyjazdu Harvey'a? Gdzie on mieszka?

— O! aż w Anglii, w Sheffield! Jest kaznodzieją, a tu nigdy w życiu nie był. Może niema czasu przyjechać, a może też i listu nie otrzymał... Kto go wie?

— Smutno to, bardzo smutno, że nie dożył nieborak widzenia się z bratem! A pan do Orleanu jedziesz, młodzieńcze? Wszak tak?

— Tak, ale nie na tem koniec mojej podróży, w przyszłą środę siadam na okręt i płynę do Rio Janeiro, gdzie mieszka mój wuj.

— O! to długa podróż! Ale piękna, bardzo piękna; zazdroszczę ci jej, młodzieńcze. Więc najstarsza jest Marya Joanna? A młodsze w jakim wieku?

— Marya Janina ma dziewiętnaście, Zuzia piętnaście, a Joasia niema jeszcze czternastu. Ta ostatnia oddaje się dobrym uczynom i ma zajęczą wargę.

— Biedne dziewczęta! Same jedne na świecie wśród tylu serc obojętnych!

— No! mogłoby im być gorzej. Stary Piotr miał przyjaciół, ci nie pozwolą żeby się dziewczętom krzywda stała. Jest Hobson, kaznodzieja Baptistów, jest dziekan Lot Hovey i Levi Bell, adwokat i doktor Robinson i żony ich i wdowa Bartley i inni jeszcze. O! jest sporo. Z tymi, których wymieniałem, Piotr żył najściślej i nieraz o nich wspominał w listach do krewnych, będzie więc łatwo Harveyovvi szukać przyjaciół.

Król wciąż pytał i wypytywał, aż wszystko wycisnął z młodzieńca. Niech mnie kaczki zdepczą, jeżeli cokolwiek pominął.

— Dlaczego chciałeś, młodzieńcze, iść pieszo do przystani?

— Miałem obawę, czy taki wielki parowiec ze chce się zatrzymać dla zabrania jednego pasażera, nie zawsze to czynią parostatki.

— Czy Piotr Wilks miał się dobrze?

— Oho, i jak jeszcze! Posiadał domy i grunt; mówią, że zostawił kilka tysięcy gotówki, dobrze ukrytej.

— Kiedy umarł?

— Wczorajszej nocy.

— Więc pogrzeb zapewne jutro

— Tak; około południa.

— Ach, tak! to bardzo smutne rzeczy, ale prędzej, czy później wszyscy umierać musimy. Najważniejsza rzecz — być na śmierć przygotowanym.

— Tak, proszę pana, tak. I mama to samo zawsze mówiła.

Gdyśmy się zbliżyli do parostatku, ładowanie miało się już ku końcowi i niebawem też odpłynął. Król ani wspominał o wejściu na pokład, daremnie się więc cieszyłem nadzieją przejażdżki. Gdy już okręt odpłynął, król kazał wiosłować z pół mili jeszcze, a potem wysiadłszy na ląd w miejscu samotnem i cienistem, powiada:

— Ruszaj teraz czempędziej, sprowadź tu księcia i niech z sobą weźmie torbę podróżną, tę nową, a gdybyś go nie zastał na tratwie, to go odszukaj w miasteczku. Powiedz mu, że ma tu przyjść natychmiast!

Domyśliłem się, o co mu chodzi, ale nie powiedziałem ani słowa. Gdym nareszcie powrócił, przyprowadzając z sobą księcia, kazali mi ukryć czółno, a sami usiedli na kłodzie. Król opowiedział księciu wszystko, co się od tego głuptasa dowiedział, a starał się mówić nie po naszemu, lecz po angielsku, i udawało mu się to wcale nieźle. Nie potrafię go naśladować, ale przekonany jestem, że mówił dobrze.

— Książę, a jakże będzie z głuchoniemota? Potrafisz? — pyta w końcu.

— Nie troszcz się o to — odpowiedział — na scenie grywałem już role głuchych i niemych.

Po długim oczekiwaniu ujrzeliśmy wielki parowiec pasażerski z Cincinnati. Na dany znak zatrzymał się i przyjął nas na pokład, ale gdy kapitan zawiadomiony został, że mamy wysiadać o cztery mile dalej, mało nie oszalał ze złości i zaklął się, że nas nie wysadzi. Król jednak, nie tracąc krwi zimnej, powiada:

— Jeżeli pasażer może zapłacić po dolarze za milę, byle tylko przybyć w porę na miejsce, to parowiec może chyba go zabrać. Jak panu się zdaje?

Kapitan złagodniał i gdyśmy się zrównali z miasteczkiem, wysadzono nas na ląd. Widząc nadpływający parowiec, kilkunastu ludzi zebrało się na wybrzeżu i czeka...

Na zapytanie króla, gdzie mieszka pan Piotr Wilks, jeden z nich odpowiedział cicho i łagodnie:

— Bardzo nam przykro, ale co najwięcej powiedzieć panu możemy, gdzie wczoraj jeszcze mieszkał Piotr Wilks.

Wtem, jakby sprężyną podrzucony, stary oszust zatacza się, chwieje, potem upada na mówiącego i oparłszy brodę na jego ramieniu, łzami polewa mu plecy, jęcząc:

— Ach, nieszczęście, nieszczęście! Niema już brata naszego! Porzucił nas, a my nie zdążyliśmy pożegnać go. Ach! co za straszna niespodzianka!

Poczem, szlochając ciągle, dawał palcami jakieś znaki księciu, który, niech mi głowę zetną, jeżeli kłamię, wypuściwszy z rąk torbę, na poczekaniu płaczem wybuchnął. Jeżeli widział kto kiedy na świecie takich oszustów, to ja nie wiem, czem jestem!

Zaraz też wszyscy zebrani, okazując współczucie, łagodzili ich rozpacz. Ten wziął jedną torbę, ów drugą, trzeci podał królowi ramię, czwarty podtrzymał księcia szlochającego, inny jeszcze opowiadał królowi o ostatnich chwilach zmarłego brata. Król powtórzył to zaraz na palcach księciu i znów obaj uderzyli w taki płacz po nieboszczyku garbarzu, jak gdyby stracili dwunastu apostołów. Niech na całe życie w murzyna się zmienię, jeżeli widział kiedy coś podobnego! Aż się wstyd robi człowiekowi, że należy do tego samego rodu ludzkiego!

ROZDZIAŁ III.

"CZY TO ONI?" — ŚPIEWY ŻAŁOBNE. — "MOŻEBY SIĘ BEZ NICH OBEJŚĆ. " — STRASZNY MOMENT.

Wiadomość o przybyciu "braci" zmarłego rozbiegła się w lot po miasteczku. Nie upłynęło dziesięciu minut, gdy ze Wszystkich ulic i uliczek ścigali ciekawi z takim pośpiechem, że niektórzy po drodze dopiero kładli surduty. Niebawem otoczył nas tłum, który z każdą chwilą wzrastał: wszystkie okna, wszystkie drzwi pełne były ciekawych, a co chwila dawało się słyszeć pytanie:

— Czy to oni?

Ktoś z tłumu czuł się w obowiązku odpowiadać:

— A któżby, jak nie oni?

Przecisnąwszy się wreszcie do domu, ujrzeliśmy na ganku trzy synowicę zmarłego, które wyszły na nasze spotkanie. Marya Janina była naprawdę ruda, ale taka śliczna, że aż strach, i tak uradowana z przyjazdu stryjów, że z oczu jej i z twarzy jasność biła.

Król roztworzył ramiona, w które Marya Janina rzuciła się bez wahania, ta zaś z wargą zajęcza objęła za szyję księcia. Powitania i uściski trwały tak długo, że wszyscy patrzący, głównie zaś kobiety, płakały ze wzruszenia, na widok miłości rodzinnej, tak potężnej.

Po chwili król ukradkiem szturchnął księcia (na własne oczy widziałem), obejrzał się wokoło i zobaczył trumnę, stojącą w rogu pokoju na dwóch krzesłach. Wtedy jeden drugiemu położył rękę na ramieniu, a drugą, wolną, podnieśli do oczu i tak trzymając się, krokiem uroczystym szli ku trumnie. Rozstępowali się wszyscy, miejsce im czyniąc, umilkły rozmowy i szepty, mężczyźni pozdejmowali kapelusze i pochyłili głowy, zewsząd słyhać było: "Cyt! cyt!" i zrobiło się raptem tak cicho, że słyszeć mogłeś szpilkę upadającą. Stanąwszy przy trumnie, pochyłili się nad nią i długo patrzyli na nieboszczyka, a potem wybuchli takim płaczem, że słyszano go zapewne o dziesięć mil naokoło. W tym płaczu objęli się obaj za szyję, król wsparł podbródek na ramieniu księcia, księżę na ramieniu króla i zalewali się obaj potokiem łez. Nietylko oni płakali: wszystkim obecnym płynęły z oczu łzy tak rzęsiste, że aż wilgotno było w pokoju. Potem obaj bracia uklękli przy trumnie i wsparłszy czoło o jej krawędź, pograżyli się w cichej modlitwie. Trzeba było widzieć, jakie to wywarło wrażenie. Zaczęli wszyscy łkać głośno, a już te biedne dziewczęta aż się zanosily od płaczu. Ile było kobiet, każda podeszła do dziewcząt i uroczyście całowała je w czoło, potem zaś spoglądała w niebo i szlochając, z zalem widocznym ustępowała miejsca następnej. Zbliżała się druga, trzecia, i znów ta sama historia — aż fe!

Po dość długiej chwili niemego pograżenia się w modlitwie, król powstał, postąpił kilka kroków na przód i, mocując się ze wzruszeniem, które głos mu łzami przerywało, miał krótką mowę o strasznym ciosie zarówno dla niego, jak i dla dotkniętego kalectwem brata, który to cios osładza im tylko współczucie drogich sąsiadów i łzy ich, z serca płynące... Prawił dalej, że wdzięczności swojej nie jest w sta nie wyrazić wszystkim obecnym, gdyż słowa zimni do stwierdzenia jego uczuć nie wystarczają. Jednym słowem, plótł trzy po trzy tak długo, że aż się nie dobrze robiło. Wreszcie wykrztusiwszy "Amen" od wrócił się jeszcze do trumny i znów ryknął płaczem

Zaledwie rozbrzmiało "Amen, " ktoś z obecnych zaintonował psalm żałobny, z którym zespolili wszyscy swe głosy, jak w kościele. Muzyka dobrą jest rzeczą, zwłaszcza gdy człowieka aż mdli pod sercem od pomyj i otrąb życia. Taki śpiew uczciwy a potężny przywraca zdrowie.

Po skończonym śpiewie, król znów mleć zaczął językiem:

— Ja i synowice moje — wołał — będziemy szczęśliwi, jeżeli bliżsi przyjaciele rodziny zechcą pozostać na wieczerzy, ku uczczeniu pamięci nieboszczyka.

Ponieważ usta jego śmierć na wieki zamknęła, więc on, Horvey, znając z listów przyjaciół brata, w jego imieniu zaprasza: Wielebnego Hobson'a, dziekana Lot'a Horvey, Ben'a Bucker, Abner'a Shackelford, pana Levi Bell, doktora Robinsona i ich żony, oraz wdowę Bartley.

Wielebny Hobson razem z doktorem Robinsonem znajdowali się wtedy na przeciwnym końcu miasta, obaj na jednym polowaniu; doktor wyprawiał chorego na tamten świat, a kaznodzieja przysposabiał go do tej podróży. Adwokat Bell był w Louisville, ale wszyscy inni byli obecni, każdy więc podszedł do króla, zamienił z nim uścisk ręki i dziękował za pamięć.

Król przedłużał rozmowę tak zręcznie, że się wszystkim dowiedział.

Podczas rozmowy Marya Janina przyniosła list, pozostawiony przez stryja, a król czytał go głośno

i znów łzy nad nim wylewał. W liście tym stało, że nieboszczyk zapisuje dom mieszkalny, oraz trzy tysiące dolarów w złocie synowicom; garbarnię zaś razem z kilkoma innymi domami i gruntami, oraz trzy tysiące dolarów w złocie zostawia braciom swoim, Harvey'owi i William'owi. Gdy zaś list wskazał, że całe sześć tysięcy są w piwnicy, oświadczyli zaraz panowie "bracia" gotowość zejścia po pieniądze dla przedszego ukończenia interesów mnie zaś kazali towarzyszyć ze świecą.

Zamknęliśmy za sobą drzwi od piwnicy, a gdy po niedługim szukaniu znaleźli oszuści worek ze złotem, rozsypali je na podłodze, żeby nacieszyć się ponętnym dla nich widokiem. Jak też się królowi oczy iskrzyły! Uderza księcia po ramieniu i powiada:

— Ładny widok, co? Ładniejszy od "wielkiej tragedyi, " co?

Książę zgodził się na to.

— Jak ci się zdaje, książę, czy to nie są skutki naszej wiary w Opatrzność? Pokazuje się, że na niej człowiek wychodzi doskonale. Różnych innych sposobów próbowałem, ale przekonywam się, że ten najlepszy.

Każdy inny byłby się zadowolnił samym widokiem sporego worka, ale im tego było za mało musieli przerachować wszystko, co do sztuki! Gdy okazał się brak czterystu piętnastu dolarów, król rzekł:

— A niechże go lichy porwie! gdzie on podział resztę?

— Ha! cóż robić! — rzekł książę. — Chory był człowiek, straciwszy pamięć, pomylić się musiał w rachunku. Podług mnie, nie trzeba mówić o tem, że brak pieniędzy, bez których obejść się przecie możemy.

— Zapewne; możemy się obejść. Nie idzie o te kilkaset dolarów, ale o ścisłość w rachunkach, które koniecznie czyste być muszą! Trzeba te pieniądze zanieść na górę i przeliczyć je wobec wszystkich, żeby nikt nie śmiał nas podejrzewać. Skoro nieboszczyk pisze w liście, że zostawia sześć tysięcy dolarów, to rozumiesz chyba, że...

— Rozumiem — przerywa książę — rozumiem. Sami pokryjemy deficyt — i z własnej kieszeni wyciągnął złote dolary.

— A to wyborny pomysł, książę. Wyborny! Nie dla kształtu masz głowę. No, niechże i ja stary dopomogę do utrzymania naszej dobrej sławy! — i to mówiąc, wydobywał z kieszeni sztuki złota.

Mało nie pękli ze złości, ale dołożyli tyle, ile do sześciu tysięcy brakowało.

— Słuchaj — powiada książę — przyszła mi jeszcze jedna myśl. Idźmy na górę, zliczmy pieniądze, a potem *oddajmy wszystko dziewczętom*.

— A wiesz, książę, żeś do pomysłów jedyny! Świetny pomysł, najświetniejszy, jaki komu kiedykolwiek przyszedł do głowy!

Gdyśmy wrócili na górę, król wobec zgromadzonych wyliczył pieniądze, układając je w dwadzieścia rulonów, po trzysta sztuk w każdym. Wszyscy oblizywali się na nie, jak nie przymierzając, kot na mleko, a oczy gorzały im niby świece. Gdy złożono wszystkie dolary do worka, król przemówił:

— Mili przyjaciele! biedny mój brat, którego śmiertelne szczątki w tej oto trumnie spoczywają, wspaniałomyślnym się okazał dla tych biednych sierotek bez ojca i matki, które ukochał i do łona swego przytulił. Tak, lecz my, którzyśmy go znali, wiemy, że byłby się okazał stokroć wspaniałomyślniejszym, gdyby nie obawa skrzywdzenia braci. Tak, byłby się nim okazał! Jestem pewny, że zamiary jego zgaduję. Jakimiż więc bylibyśmy braćmi, gdybyśmy zamiary jego niweczyli? Jakimiż bylibyśmy stryjami, pozbawiając mienia te słodkie, te biedne owieczki, tak gorąco przez niego ukochane? I to kiedy? teraz, gdy on w trumnie spoczywa! Jeśli znam Williama, a znam go dobrze, to pewien jestem, że i on... Lecz pocóż mówić za niego? niech sam za siebie odpowie... "

Tu zaczął robić palcami znaki księciu, który patrząc na niego przez chwilę, wzrokiem osłupiałym, rzucił się w końcu na szyję brata z wielką radością, bełkotał: "gu! gu! a-gu!" i całował zapamiętale:

Wtedy król powiada:

— Wiedziałem, że tak będzie i mniemam, że wszyscy tu obecni nie wątpią teraz o zdaniu brata mego w tej sprawie. Chodźcie tu, Maryo, Janino i Zuzanno, chodź i ty, młodociana Joasiu, bierzcie te pieniądze, bierzcie wszystko, jako dar tego, który w trumnie spoczywa, zimny wprawdzie, lecz z sercem radości pełnem.

Tu Marya-Janina rzuca mu się na szyję, a Zuzanna i ta z wargą zajęczą obejmują księcia, który je ściska i całuje. Oeceni cisną się do nich ze łzami w oczach, a ściskając oszustów, powtarzają:

— Zaczne, pocziwe dusze! Jacy szlachetni! Ach! ktoby się spodziewał!

Na chwilę przedtem jakiś wysoki mężczyzna, z kościstymi szczękami wszedłszy do pokoju, przysłuchiwał się i przypatrywał wszystkiemu z wielką uwagą, nie mówiąc ani słowa. Do niego także nikt się nie odezwał, bo właśnie wtedy miał król mowę, której wszyscy słuchali Między innymi król powiedział:

— Najbliższych przyjaciół nieboszczyka na dziś prosiłem, na jutro zaś wszystkich zapraszam, *wszystkich*, bo nieboszczyk wszystkich poważał, wszystkich kochał i dlatego przystojną jest rzeczą, aby wszyscy w pogrzebowej *orgii* uczestniczyli.

Tu ksiązę, nie mogąc dłużej wytrzymać, pisze na kawałeczku papieru: "Nie *orgia*, ale "stypa, " stary głupcze!" i coś bełkocząc, podaje zwitek królowi ponad głowami zebranych Ten przeczytał, schował do kieszeni i powiada.

— Biedny William, kaleką jest, ale serce ma zdrowe, pisze mi oto, żebym wszystkich zaprosił na pogrzeb. Ale może być spokojnym... wszak tego pragnę!

I najspokojniej prawi jeszcze po dwakroć o tej *orgii*, kończąc z powagą:

— Mówię: *orgia* nie dlatego, żeby to było wyrażenie ogólnie przyjęte, bo jest niem "stypa", ale dlatego, że jest to wyraz najwłaściwszy "Stypa" w Anglii wyszła już z mody, mówimy teraz *orgia*, a to dlatego, że wyraz ten rzecz samą lepiej maluje. Ma on dwoiste pochodzenie: od greckiego *orgo*, na otwartem miejscu, na swobodzie, pod gołym niebem, i od hebrajskiego *jeesum*, wkopywać, grzebać, chować. Tak więc wyrażenie "orgia pogrzebowa" znaczy dosłownie: pogrzeb publiczny, pogrzeb, w którym wszyscy uczestniczą.

Tego już było za wiele. Człowiek z kościstymi szczękami parsknął mu śmiechem w same oczy. reszta nie była pewna, co o tem myśleć. Ten i ów się odzywa; "Czy tak, doktorze?" — a Abner Senackelford mówi:

— Doktorze Robinson, słyszałeś? Wiesz? Przy jechali bracia nieboszczyka! To jest właśnie

Harvey Wilks.

Król uśmiecha się przymilająco i skwapliwie wyciągając rękę, woła:

— Więc to jest doktor i przyjaciel mego najukochańszego brata? Ja... ja...

— Precz z ręką! — odpowiada doktor. — To niby pan masz mówić po angielsku? Pan nawet naśladować nie umiesz czystej wymowy angielskiej! Pan masz być bratem Piotra Wilks? Oszustem jesteś, niczem więcej!

Trzeba było widzieć, jak te słowa były przyjęte! Otoczyli wszyscy doktora, starając się uspokoić go, i przekonać, że Harvey naprawdę jest Harveyem, że wszystkich zna nazwiska i wie nawet, jak się psy miejscowe nazywają. Prosilili doktora, błagali, zaklinali, żeby nie czynił przykrości Harvey'owi i biednym dziewczętom, ale wszystko napróżno, bo doktor ciągle powtarzał, że człowiek, który chce uchodzić za Anglika, a nie umie naśladować angielskiego akcentu, jest oszustem i kłamcą. Biedne dziewczęta garnęły się do króla i płakały, aż tu raptem doktor napada na nie:

— Byłem przyjacielem waszego ojca i waszym, więc ostrzegam jako przyjaciel i jako człowiek uczciwy, który was pragnie ustrzedz od krzywdy i od kłopotów, żebyście się odwróciły od tego łotra i nie miały żadnych stosunków z włóczęgą, z oszustem, tumaniącym ludzi swoją greczyzną i hebrajszczyzną.

Oszust ten nie wiadomo z kąd pozbierał nazwiska i podowiadawał się faktów, a wy to bierzecie za dowody i dajecie się oszukiwać, do czego dopomagają wam jeszcze ci wszyscy, którzy powinni mieć rozum za was i za siebie. Maryo-Janino Wiks, znasz mnie jako bezinteresownego przyjaciela? Posłuchaj mojej rady: wypędź z domu tego przybłędę i wydrwigrosa, błagam cię, uczynź to! czy mnie posłuchasz?

Marya-Janina wyprostowała się się i podniosła głowę niby królowa, rzecze.

-- Oto moja odpowiedź. — I przy tych słowach złożyła w ręce króla worek ze złotem.

— Weź, drogi stryju te pieniądze — dodała — umieść je tak, jak będziesz uważał za najkorzystniejsze dla nas i nie dawaj nam żadnego pokwitowania.

Obecni zaczęli bić oklaski i tupać nogami na znak zadowolenia, a król, podniosła głowę, uśmiechał się dumnie.

— Dobrze — rzecze na to doktor — ja umywam ręce od tej sprawy. Ale ostrzegam was, że przyjdzie chwila, w której gorzko będziecie opłakiwały dzień dzisiejszy. — Po tych słowach wyszedł z pokoju.

— Gdy to nastąpi, doktorze — zawołał król szyderczo — pošlemy po pana, żebyś je leczył, na co wszyscy parsknęli śmiechem, mówiąc, że doskonale odciął doktorowi.

ROZDZIAŁ IV.

HUCK OPOWIADA. — PANIENKA PROSI O PRZEBACZENIE. — ZA FIRANKĄ. — TRZEBA SCHOWAĆ PIENIĄDZE.

Gdy się wszyscy rozeszli, król zapytał Maryę-Janinę, czy może mu dać osobny pokój, na co dziewczyna odpowiedziała, że ma tylko jeden gościnny i to niewielki, który odda stryjowi Williamowi. Dla stryja Harvey'a przeznacza swój własny, który jest większy, sama zaś przeniesie się do pokoju sióstr i prześpi na kanapce, a mnie pomieści w pokoiku na górze, małym wprawdzie, ale czystym. Król przyjął ofiarowany sobie pokój, mówiąc, że chłopak służący (to niby ja) może sypiać na pięterku.

Poszliśmy więc za Maryą-Janiną, która pokazała nam nasze pokoje, skromnie urządzone, ale czyściutkie i miłe. Obiecała też, że wyniesie ze swego pokoju suknie i różne drobiazgi, które zapewne zawadzać będą stryjowi, król jednak nie pozwolił na to. Suknie wisały na ścianie, a osłaniała je perkalowa firanka, zwieszająca się aż do ziemi. W jednym rogu pokoju stał stary kufer, w drugim pudełko z gitarą, a wszędzie mnóstwo cacek i drobiazgów, które panienki lubią ozdabiać swoje mieszkania. Król, zapewniając, że takie fatałaszkę czynią pokój przyjemniejszym, nie kazał ich uprzątać. Pokój oddany księciu był znacznie mniejszy, moja zaś górka okazała się prawdziwą ciupką, ale wygodną i schludną.

Późnym już wieczorem podano doskonałą kolację, na którą zeszli się wszyscy zaproszeni. Ja stałem za krzesłami księcia i króla, innym usługiwali murzyni. Marya-Janina częstowała wszystkich, przepraszając za ciasteczka nieudane, za konserwy niesmaczne, za kurczęta chude i niedość kruche, jednym słowem, powtarzała to wszystko, co mówi każda pani domu, przeświadczona o dobroci potraw a polująca na komplementy. Ciągłe też ktoś się odzywał: "Co pani robi, żeby ciasteczka były tak rumiane" albo: "Zkąd pani bierze tak przewyborne pikle?" albo. "Takich kompotów nikt nie podaje!" i różne inne rzeczy w tym rodzaju. Ot! gadanina sobie, jak to zwykle bywa przy kolacyi.

Gdy wszyscy wstali, ja i ta dla swej wargi "zajączkiem" zwana, poszliśmy jeść do kuchni, podczas gdy starsze pomagały murzynom sprzątać ze stołu. Zajączek zaczął mnie wypytywać o Anglię i o mały włos nie złapałem się porządnie kilka razy. Pyta naprzykład:

— Widziałeś kiedy króla?

— Którego? Wilhelma czwartego? Spodziewam się, że widziałem i to nieraz. Bywa* w naszym kościele

— Wiedziałem, że Wilhelm czwarty już nie żyje, alem nie dał poznać tego po sobie.

— Jakto? Bywa w kościele regularnie?

— Co niedziela! Ławka jego stoi naprzeciwko naszej... po drugiej stronie ambony.

— A ja myślałam, że król mieszka staie w Londynie.

— Naturalnie. Gdzieżby miał mieszkać?

— A wy mieszkacie w Sheffield?

Złapałem się! Dla wybrnięcia z kłopotu, musiałem udać, że się zadławił kosteczką kurczęcia.

Dopiero po chwili odpowiadam:

— Bywa regularnie, gdy bawi w Sheffield, to jest w lecie, podczas kąpieli morskich.

— Co ty mówisz? Sheffield przecie nie nad morzem.

— A któż mówił, że nad morzem.

— Ty mówisz

— Nie.
— Nie mówiłeś?
— Nie mówiłem.
— Mówiłeś!
— Nie mówiłem.
— Nie mówiłeś? Więc cóżeś mówił?
— Mówiłem o kąpielach morskich.
— A widzisz! Przecież Sheffield nie leży nad morzem?
— Słuchaj, panienko, piłaś kiedy wodę mineralną "Congrets?"
— Piłam!

— Czy jeździłaś do Congrets pić ją?
— Ależ, tu ją piłam.
— No, to tak samo i Wilhelm czwarty! Nie potrzebuje jeździć do morza, żeby wziąć kąpiel.
— Zkądże więc bierze wodę morską?
— Ztąd, zkąd ty brałaś mineralną: z beczułki.

W pałacu królewskim w Sheffield jest ogromny kocioł, bo król chce mieć wodę gorącą. Nie mogą mu przecie grzać tej wody w samym morzu! Jakżeby ją przywieźli gorącą?

— A! teraz rozumiem. Dlaczegoż nie mówiłeś tak odrazu. Nie bylibyśmy stracili tyle czasu na sprzeczkę.

Gdy tak rzekła, widzę, że wybrnął cało i rad jestem z siebie, Ale za chwilę znów pyta:

— I ty także bywasz w kościele?
— Bywam... regularnie.
— Gdziez siadasz?
— Gdziezby, jak nie w naszej ławie?
— W czyjej ławce?
— W naszej.. w ławce twego stryja, Harvey'a
— A na cóż stryjowi ławka?
— Jakto, na co? Gdziez będzie siedział?
— Ja myślałam, że stryj nie siedzi w kościele, tylko stoi na ambonie?
— Bogdajże mnie! Zapomniałem, że stryj jest kaznodzieja!

Dławiąc się tedy kosteczką kurczęcia, myślę nad tem, jak wybrnąć. Wreszcie powiadam:

— Niechże cię nie znam! Więc tobie się zdaje, że jeden jest tylko kaznodzieja w kościele?
— A na cóżby ich miało być więcej?

— A któzby kazanie miał dla króla? Jakaś ty zabawna! Tam jest kaznodziejów... ni mniej, ni więcej, tylko... siedemnastu!

— Siedemnastu! Chryste Panie! Oj, nie chciałabym słuchać ich wszystkich, choćbym zaraz potem miała pójść prosto do nieba! Siedemnastu! To chyba w jeden dzień nie skończą? Tygodnia na to potrzeba!

— Dziecko jesteś. Codzień mówi inny.

— A cóż reszta robi?

— Nic? Kręcą się po kościele, czasem który do ołtarza siomni zbliży, zaśpiewa... Ale po większej części nic nie robią.

— To pocóż jest ich tylu?

— Po co? Dla parady, Nie rozumiesz tego?

— Nic, nie rozumiem. U nas parada nazywa się głupstwem... Powiedz mi, jak się w Anglii

obchodzą ze służącymi? Czy lepiej, niż my z murzynami?

— Nie. Służących mają tam za nic. Z psami się lepiej obchodzą.

— A nie dają im, tak jak u nas, dni wolnych: po tygodniu na Wielkanoc i na Boże Narodzenie i w rocznicę czwartego lipca?

— Nigdy w życiu! Jakto zaraz widać, żeś nigdy nie była w Anglii! Wiesz, co ci powiem, Joasiu (poprawiłem się czempredzej), jak rok długi, nie mają ani jednego dnia wolnego. Nigdy nie chodzą ani do cyrku, ani do teatru, ani na targ murzynów, ani nigdzie.

— Ani do kościoła?

— Ani do kościoła!

— A ty przecie zawsze bywasz w kościele? Masz tobie! Znów się złapałem, zapomniałszy, że w służbie u stryja Dalejże więc tłumaczyć, że nie jestem zwyczajnym sługą, tylko chłopcem służącym, a to zupełnie co innego, że chcąc nie chcąc, muszę chodzić z państwem do kościoła i siadać z nimi w ławce, bo takie jest prawo. Ale jakoś mi to nie szło i chociaż dużo naplotłem, widać było, że Joasi nie zadowolnił.

— Słuchaj — rzecze w końcu — słowo uczciwe dajesz, żeś mi kłamstwa nie nagadał?

— Słowo uczciwe.

— Ani jednego kłamstwa?

— Ani jednego. Sama prawda.

— Połóż rękę na tej książce i powtórz, żeś prawdę mówił.

Spojrzałem na książkę i widzę: słownik! Położyłem więc na nim rękę i powtarzam: "prawdę mówiłem." Łaskawiej jakoś na mnie spojrzała, ale pomyślawszy trochę, znów mówi:

— No, teraz wierzę, ale nie wszystkiemu. Głupia byłabym, gdybym ci we wszystkim wierzyła.

— W co wierzyć nie możesz, Joasiu? — zapytała nagle Marya-Janina, wchodząc do kuchni razem z Zuzanną. — Nic masz prawa zarzucać mu kłamstwa; niedelikatnością jest tak się odzywać do obcego, który przybył zdaleka, nie mając tu nikogo ze swoich. A gdyby kto tak mówił do ciebie?!

— Ty zawsze, Mary-Jasiu, spieszysz na ratunek tym, których nikt nie zaczepia. Ja mu tylko powiedziałam, że mnie nie można okłamywać. Tyle tylko... ani słowa więcej! Zdaje mi się, że to mu nie zaszkodzi!

— Tobie nic do tego, czy mu zaszkodzi, czy nie zaszkodzi. Jest obcym i gości w naszym domu, a zatem nie masz prawa narażać go na przykrości.

— Ale, Mary-Jasiu, on mówił...

— Mniejsza o to, co mówił, to jego rzecz. A twoją rzeczą być dla niego uprzejmą i obchodzić się z nim tak, aby nie uczył, że jest w obcym kraju i między ludźmi obcymi.

Słuchając, mówię do siebie: I ja pozwalam, żeby stary nicpoń okradał taką dobrą panienkę!

Zaraz potem i Zuzanna zgromiła Joasię! No, miałaż się zpyszna dziewczynina!

Mimowoli więc znów mówię sobie: I tę także pozwalam okradać! To już dwie.

Wreszcie Marya-Janina raz jeszcze wzięła się do Joasi, słodko, łagodnie... Po jej przemowie, Joasia stajała jak wosk na słońcu i... w płacz.

— Dobrze już, dobrze — mówią starsze. — A teraz przeproś go.

Przeprosiła! I jak ładnie przeprosiła! Jak prawdziwa panienka. Aż miło było słuchać, jak przeproszała, i gotów byłem popełnić jeszcze tysiące kłamstw, żeby mnie tak samo przeprosiła.

Znów też powiedziałem sobie: I tę okradać pozwalam! To już trzy, a wszystkich trzech razem i każdej z osobna szkoda!

Gdy już było po przeprosinach, panienki usiłowały rozweselić mnie, żebym czuł się jak u siebie w domu. A mnie tak było smutno, taki mnie wstyd ogarniał, że sobie ciągle powtarzałem: nie dam ich

okraść! Zwróćę im te pieniądze albo pęknię.

Wyniosłem się więc — niby to spać, i zostawszy sam, tak myślę: czy wymknąć się pocichutku do tego doktora i wyznać mu prawdę? Nie, to na nic. Doktor powoła się na mnie, a w takim razie król i księżę nie daruję mi. Czy może, wyznać wszystko Maryi-Janinie? Nie! i to na nic. Nie potrafi ukryć tego, co wie, twarz ją zdradzi, spojrzenie... oszuści drapną z pieniędzmi i po wszystkim. Jeśli zaś Marya-Janina uda się pod czyją opiekę i cała sprawa na jaw wyjdzie, to mnie w nią wmieszają... Nie, tego nie chcę. Jeden tylko jest sposób. Trzeba, żebym ja ukradł te pieniądze i żeby nikt mnie nie podejrzewał. Po ukryciu ich, gdy już będę ztąd daleko, na rzece, napiszę do Maryi-Janiny, gdzie są schowane. Najlepiej będzie ściągnąć je tej nocy, bo... kto wie? Ten doktor może udaje tylko, że z placu ustąpił? może ich dziś jeszcze ztąd wykurzy, a jak nie dziś, to jutro?

Jakoż pociemku trafiwszy do pokoju księcia, obmacałem w nim wszystkie sprzęty i wszystkie kąty, następnie zaś przeszedłem do pokoju króla. Ale szukanie pociemku nie przydało się na nic, a świecy zapalić nie mogłem. Postanowiłem więc zacząć się i podsłuchiwać. Na odgłos kroków, chciałem wpaść pod łóżko, ale nie mogąc w pośpiechu trafić do niego, schowałem się za firanką między sukniami Maryi-Janiny i czekam.

Weszli obaj i zamknawszy drzwi za sobą, zaglądają pod łóżko. Dobrze się stało, żem tam nie trafił. Każdemu, kto się chce ukryć, najpierwej przychodzi na myśl wleźć pod łóżko, dlatego też księżę odrazu tam zajrzał. Gdy siedli obok siebie, król szeptem:

— Pocóżeś mnie tu wołać? Mów, czego chcesz, a prędko, trzeba było raczej zostać na dole i mamrotać psalmy żałobne, niż schodzić im z oczu i ułatwiać rozmowę o nas.

— Słuchaj, królu, powiem ci tak: Nie jestem spokojny, nie dobrze się tu święci. Doktora ciągle mam w głowie. Powiedz mi, co zamýślasz? Ja mam już plan i zdaje mi się, że dobry.

— Masz plan? Jaki?

— Żebyśmy ztąd drapnęli, nie czekając jutra. Zabrać to, co mamy w ręku i — na tratwę, tembardziej, że to, co mamy, dostało się nam bez trudu! Gwałtem prawie wciśnięto nam w ręce te pieniądze, które bylibyśmy musieli wykraść, by do nich powrócić. Głosuję więc za ucieczką natychmiastową.

To mi się nie podobało. Przed godziną byłoby mi to obojętne, ale teraz czułem się mocno niezadowolony z takiego pokrzyżowania mych planów. Na szczęście, królowi nie podobał się projekt księcia.

— Co? — powiada. — Wynosić się, nie sprzedawszy tego, co nam zapisane. Wynosić się po waryacku, a majątek wartości ośmiu lub dziesięciu tysięcy dolarów niech sobie leży i czeka? I to majątek, który sprzedać można za... gotówkę.

Księżę bronił swego zdania, dowodząc, że mu ta zdobycz wystarcza i że nie chce okradać sierot ze wszystkiego, co posiadają.

— Sam nie wiesz, co mówisz! — żywo zawołał król. — Sieroty strącają tylko te sześć tysięcy, a padnie ofiarą nabywca nieruchomości, bo gdy wyjdzie na jaw nasze oszustwo, licytacja będzie unieważniona, a sprzedane nieruchomości wrócą do masy. Sieroty więc zostaną właścicielkami swego domu. Czy to dla nich nie dosyć? Młode i zdrowe, mogą pracować na życie. Nie stanie im się zresztą żadna krzywda. Ile to jest na świecie dziewcząt prawdziwie biednych, nad którymi nikt się nie rozczula!

Póty gadał, aż przekonał księcia, który jednak radził prędszą ucieczkę, ze względu na doktora. Ale król na to:

— Niech go dyabli wezmą! Co on nam zrobi?

Wszystkich orłów, co do jednego, mamy za sobą, a to przecież znaczy całe miasto!

Po chwili rzekł książę:

— Mniemam, że te pieniądze źle są schowane. Duch wstąpił we mnie. Teraz to już napewno uрони jakieś słówko!

— Dlaczego?

— Bo Marya-Janina jutro zabierze suknie, lub przyśle po nie murzyna, który zobaczy worek. Czy myślisz, że murzyn, widząc złoto, nie wsunie łapy do worka?

— Jaką ty masz głowę! — dziwił się król i zaraz podszedłszy do firanki, szukać pod nią zaczął tuż przy mnie.

Przyciśnięty do ściany, jak deska, prawie nie oddychałem, chociaż febra mnie trzęsła ze strachu na myśl, co ze mną zrobią, gdy mnie przyłapią. Na szczęście, król znalazł worek, nie podejrzewając nawet mej obecności. Wziąwszy skarb, włożyli go w słomę siennika, pod piernatem, w przekonaniu, że tam jest najbezpieczniejszy, murzyn bowiem, który przyjdzie słać łóżko, wrzuci tylko pierzynę, nie dotykając siennika.

Zaledwie jednak byli na połowie schodów, już miałem worek i przemknąwszy się z nim do swej izdebki, schowałem go tam tymczasowo. Miałem zamiar wynieść go po za dom, bom był pewien, że wszystko przewrócą do góry nogami, gdy spostrzegą stratę pieniędzy. Potem położyłem się, nierozebrany i, rzecz prosta, nie mogłem zasnąć. Po niejakiem czasie słyszę: król z księciem wracają na górę. Zsunąwszy się tedy z siennika, leżę na podłodze, tuż przy drabinie. Oczy i słuch wyteżam, czekając... Ale cicho... nic!

Przeczekawszy dopóki się wszystko w całym domu nie uciszyło, zszedłem pocichu z drabiny.

ROZDZIAŁ V

POGRZEB. — KRÓL BIERZE SIĘ DO INTERESÓW. — HUCK W STRACHU.

Skradając się na palcach, podsłuchiwałem podedrzwiami obu kompanów, ale chrapali obaj na wyścigi, uspokojony więc, zszedłem na dół. Cisza była zupełna. Przez szparę w drzwiach zajrzałem do jadalni, gdzie czuwający przy trumnie spali najsmaczniej, kiwając się na krzeselkach. Z jadalnego pokoju wchodziło się do saloniku, gdzie leżał nieboszczyk, drzwi zaś, łączące oba pokoje, były otwarte; świeciło się i tu i tam. Salon miał jeszcze drzwi drugie, wychodzące na korytarz, którym zszedłem; i te były otwarte; zajrzałem, niema nikogo, prócz nieboszczyka. Zapuszczam się głębiej w korytarz z zamiarem dojścia do głównych drzwi wchodowych. Zamknięte! klucza nawet niema w zamku... Powracam więc niepewny, co czynić, wtem słyszę... schodzi ktos ze schodów. Nie mając gdzie się podziać, wpadam do salonu, przekonany, że jedynym miejscem dla ukrycia pieniędzy jest trumna... Wieko na niej do połowy zsunięte odkrywało twarz umarłego, przysłoniętą całunem i górną część korpusu. Zbliżywszy się do trumny, wsunąłem worek pod wieko, poniżej złożonych na krzyż rąk nieboszczyka, których niechcący dotknąłem. Aż mnie dreszcz przeszedł, takie były zimne! Odkoczywszy od trumny, skryłem się za drzwiami.

Osobą, schodzącą z góry, była Marya-Janina. Powolnym, lekkim krokiem zbliżywszy się do trumny, uklękła przy niej i długo patrzyła na rysujące się przez całun kształty głowy i ramion, a potem cichutko zapłakała, nie wydając żadnego jęku. Wysunąwszy się ze swej kryjówki i mijając drzwi jadalnego pokoju, zajrzałem przez szparę, żeby się upewnić, czy mnie kto ztamtąd nie widział. Nie! wszystko było w porządku, śpiący kiwali się na krzesłach, jak poprzednio.

Położyłem się nareszcie, ale nijako mi było: tyle miałem zachodu, tyle ryzyka i nie tak się stało, jak potrzeba. Leżę i rozmyślam: jeżeli pieniądze zostaną, gdzie są, to wszystko dobrze, bo jak tylko oddalę się ztąd o jakie sto mil, Marya-Janina list mój odebrawszy, każe wykopać trumnę, otworzy ją i pieniądze znajdzie. A nuż stanie się całkiem inaczej? A jeśli pieniądze zostaną znalezione przez ludzi, którzy przyjdą wieko zaśrubowywać. Wtedy co? król je zabierze, jak swoje, i dużo wody upłynie, zanim kto je odebrać zdoła. Brała mnie ochota zejść jeszcze na dół i wyjąć z trumny worek, ale już mi odwagi nie starczyło. Z każdą chwilą ranek był bliższy, mógł więc ktoś obudzić się i schwytać mnie na gorącym uczynku. Cóż wtedy będzie, gdy mnie złapią z sześcioma tysiącami dolarów, których nikt mi przecie do pilnowania nie oddawał?

Gdy zszedłem rano na dół, pokój bawialny był zamkni to ty i nie było w nim nikogo z obcych, oprócz wdowy Bartley i nas. Uważnie patrzyłem na wszystkich, starając się wymiarkować z ich twarzy, czy co nie zaszło, ale twarze nic mi nie powiedziały.

Okolo południa zjawił się przedsiębiorca pogrzebowy z pomocnikami, ustawił na środku pokoju parę krzesel, inne zaś porozstawiał w salonie i jadalni. Patrząc, wieko od trumny leży tak samo, jak w nocy, ale w obecności tylu osób nie śmiałem zajrzeć pod nie.

Tymczasem ludzie napływali. Panny, oraz panowie stryjowie zajęli miejsca w pierwszym rzędzie krzesel, w głowach trumny, a goście za nimi. Poważnie było i uroczyście, panienki tylko i stryjowie płakali ż cicha, głowy pochyliwszy i chustki trzymając przy oczach. Nie było słyhać nic, prócz cichego łkania, szurania nóg po podłodze i ucierania nosów, zauważyłem bowiem, że nigdy ludzie nie ucierają tak często nosa, jak na pogrzebie, a czasem także i w kościele, podczas pięknego kazania.

Gdy już wszystkie miejsca zajęto, przedsiębiorca, ubrany czarno, ostrożnie, jak kot, stąpając, zaczął szykować zebranych i ustawiać. Nie wymieniwszy ani słowa, jednych wysuwał naprzód,

drugich cofał, innych zbliżał lub oddalał od sąsiadów, najpóźniej przybyłym wskazywał miejsca lub drogę im torował, a wszystko to czynił w milczeniu, na migi, bez żadnego prawie szelestu. Ustawiwszy zebranych, czuwał pod ścianą. Nie widziałem człowieka, któryby, tak zręcznie jak on, skradał się, prześlizgiwał, przeciskał i pewien jestem, że wędzonej szynce łatwiej się uśmiechnąć niż jemu.

Przy pożyczonym melodykonie, skrzypiącym jakoś, usiadła jedna z pań i grać zaczęła. Wszyscy śpiewem zawtórowali muzyce i zrobił się taki hałas, że, mojem zdaniem, najprzyjemniej było nieboszczykowi, który nic nie słyszał. Wreszcie ucichł śpiew. Przed trumną stanął wielebny Hobson, lecz gdy uroczyście rozpoczął mowę, podniósł się nagle, jakby z pod ziemi, taki wrzask i lament, że aż w uszach trzeszczało. Był to pies, który wył tak zapamiętale, że ksiądz zamilkł, chcąc przeczekać to wycie. A pies wyje i wyje! Była to rzecz bardzo nieprzyjemna, ale jak jej zaradzić!

Wreszcie długonogi przedsiębiorca, skinąwszy na kaznodzieję, jakby chciał mu powiedzieć: "Bądź pan spokojny — ja to biorę na siebie", wyszedł z salonu. Wycie wzmagało się z każdą chwilą, tak, że nawet myśli własnej człowiek usłyszeć nie mógł. W parę minut po zniknięciu przedsiębiorcy w otworze, prowadzącym do podręcznej piwniczki, dało się słyszeć potężne uderzenie; pies zakończył przeraźliwe wycie straszniejszym jeszcze skowytom i umilkł — a wielebny Hobson rozpoczął swoje kazanie od tego miejsca, na którym je urwał. I znów za chwilę widać było ramiona przedsiębiorcy, przesuwane się pod ścianami, prędko, cicho, jakby się ślizgał lub płynął. Wróciwszy na swoje miejsce, wyprostował się, szyję wyciągnął, usta rękami zasłonił i ponad głowami ludzkimi rzucił kaznodziei dwa wyrazy, głośnym wymówione szeptem: "Szczura złapał!" Trzeba było widzieć zadowolenie, jakie się odmalowało na wszystkich twarzach, bo naturalnie wszyscy chcieli wiedzieć przyczynę psiego lamentu. Taka ot drobnostka, niby nic nie znacząca, zyskuje człowiekowi życzliwość i poważanie ogółu. Nie dziwi mnie też wcale popularność, którą cieszył się w miasteczku przedsiębiorca — zasługiwał na nią zupełnie.

Po mowie pastora bardzo dobrej, lecz trochę za -rozwlekłej i za nudnej, dorwał się do głosu król, plotąc trzy po trzy. Gdy nakoniec przebrzmiały jego słowa, zbliżył się przedsiębiorca do trumny i zaczął wieko przyśrubowywać. Aż poty na mnie uderzyły! Na szczęście, obyło się bez niespodzianki. Wieko dociągnął, dopasował, zaśrubował, cicho, zręcznie, prędko. Już po wszystkim! a ja nie wiem, czy pieniądze są w trumnie, czy nie... A nuż, myślę sobie, wyciągnął kto worek ukradkiem? A jeśli po moim liście Marya - Janina każe wykopać trumnę i nic nie znajdzie... Co wtedy będzie? Co ona o mnie pomyśli? Mogą mnie jeszcze wsadzić do więzienia. Niech tam! myślę sobie... niech pieniądze przepadną! Będę siedział cicho, nie napiszę ani słowa, niech się co chce dzieje... Chciałem wszystko dobrze urządzić, a jest gorzej, niż było, sto razy gorzej, niechaj więc wszystko dyabli wezmą!...

Pochowano wreszcie nieboszczyka. Wieczorem ruszył król w odwiedziny do przyjaciół, którym wśród różnych czułości napomknął, że parafianie wyglądają go z upragnieniem, że śpieszyć się musi z interesami, że sprzedają majątku, żeby czemprędzej wracać do domu, gdzie nikt go zastąpić nie może. Przyczem nadmienił, że obaj z Wiliamem postanowili zabrać do Anglii dziewczętą.

Wiadomość ta pozyskała ogólne uznanie, było bowiem bardzo pożądane, żeby biedne sieroty powróciły do ojczyzny, do krewnych i przyjaciół. Dziewczęta niemniej też były zadowolone i nagliły stryja do sprzedaży, zapewniając go, że będą na czas gotowe. Aż mi się serce krajało, gdy patrzył na radość tych biednych panienek, okradanych przez dwóch niegodziwców, ale nie w mojej było mocy przeszkodzić temu.

Jakoż licytacja murzynów, gruntów i domów została naznaczona na trzeci dzień po pogrzebie — "ktoby zaś chciał kupić z wolnej ręki przed tym terminem, uczynić to może bez przeszkody. "

Nazajutrz przyjechali dwaj kupcy, którym król sprzedał troje murzynów po bardzo przystępnej cenie, dwóch synów do Memfis, a matkę do Orleanu. Myślałem, że i murzynom i panienkom serce pęknie przy pożegnaniu, tak rzewnie wszyscy płakali; mnie samemu aż łzy stały w oczach. Nigdy, choćbym miał żyć sto lat, nie zapomnę, jak murzyni rzucali się na szyję panienkom, jak całowali je po rękach, jak one same płakały, oddając im pocałunki i uściski! Byłbym chyba nie wytrzymał i do wszystkiego się przyznał, gdybym nie był wiedział, że taka podstępna sprzedaż jest nieważna i że za jaki tydzień lub dwa murzyni powrócą do domu.

Sprzedaż ta narobiła w mieście hałasu i nie podobała się ludziom. Gorszono się takim rozłączeniem matki z dziećmi, mówiono, że stary Piotr nigdyby tego nie uczynił, że brat i spadkobierca powinienby postępować podług przekonań nieboszczyka. Opinia zwróciła się przeciw królowi, ale stary osioł z uporem szedł na przebój, nie zważając na perswazyę księcia, który doradzał ostrożność i ganił postępowanie swego towarzysza.

Dzień następny miał być dniem licytacji. O świcie budzi mnie ktoś. Patrząc: król i księżę stoją przy mnie mocno zgnębieni.

— Byłeś przedwczoraj w moim pokoju? — pyta król.

— Nie, najjaśniejszy panie — bo tak zawsze kazał mówić do siebie po za obcymi.

— A wczoraj rano, albo wieczorem?

— Nie, najjaśniejszy panie.

— Daj słowo, że prawdę mówisz.

— Słowo daję, najjaśniejszy panie, że prawdę mówię. Nie postąłem w pokoju waszej królewskiej mości od tej pory, jak byliśmy tam wszyscy razem z panną Maryą - Janiną.

— A nie widziałeś, żeby tam kto wchodził? — pyta znów księżę.

— Nie, jaśnie oświecony księżę, nie pamiętam, żebym kogo widział.

— Przypomnij sobie.

Udałem, że sobie przypominam, i korzystając z myśli szczęśliwej, powiadam:

— Widziałem, że wchodzili tam parę razy murzyni.

Aż ich podrzuciło obydwóch. Z początku niby zdziwieni, zrobili potem taką minę, jakby się tego właśnie spodziewali.

— Jakto! Wszyscy razem?

— Nie, nie wszyscy, a przynajmniej nie wszyscy odrazu. Zdaje mi się nawet, że raz tylko widziałem, jak kilku razem wychodziło z pokoju.

— Kiedyż to było?

— W sam dzień pogrzebu, rano. Dość późnym nawet rankiem, bom zasnę tego dnia. Schodziłem właśnie po drabinie, gdym ich zobaczył.

— No, mów - że dalej, mów... Cóż oni robili?

— Nic nie robili. Wyszli z pokoju na palcach i na palcach odeszli.

— To oni! Niewątpliwie oni! — zawołał król, z miną wielce zafrasowaną. Stali przez chwilę zakłopotani, aż wreszcie księżę, śmiejąc się, jakby kto pił po szkle pociągał, rzecze:

— Nikt tak nie umie udawać, jak murzyni. Ktoby to pomyślał! Na całe gardło szlochali, wyjeżdżając! Gdybym miał kapitał na założenie teatru, zarazbym ich wziął na aktorów. Za tanio ich sprzedałem... za tanio!

— Księżę, a gdzie jest przekaz wystawiony przez ich nabywcę?

— Gdzież ma być? W banku. Jutro dopiero płatny.

— Chwała - ż Bogu! Nic nie stracone.

Wtedy ja, udając nieśmiałego, wtrącam:

— Alboż się stało co złego?

— A tobie co do tego? — wrzasnął król. — Pilnuj własnego nosa i, własnych interesów, jeśli masz jakie. Rozumiesz?!

— Trzeba trzymać język za zębami — rzekł do księcia — i słowa nikomu nie mówić. Na wekslu jest podpis nabywcy, przez niego trafimy do murzynów. Tymczasem ani mru - mru... Nikomu!

Schodzą z drabiny, a księżę znów, niby z uśmiechem, rzecze:

— Prędko się sprzedało i niewiele zarobiło. Zawsze tak bywa!...

— Chciałem zrobić jak najlepiej — odciął się król ze złością — wiedziałeś przecie, że nam pilno. Jeżeli grozi nam strata... której zresztą może zapobiegę, czyjaż w tem wina? Tak samo twoja, jak i moja!

— Gdybyś był słuchał mojej rady, to murzyni byłiby jeszcze tu, a my już nie.

Król znów coś na to odburknął i nawet głośniejszą niż tego wymagała ostrożność, poczem złajał mnie za to, że mu natychmiast nie powiedział o murzynach, wychodzących z jego pokoju, i na końcu zwymyślawszy samego siebie od ostatnich, dodał:

— Wszystko dlatego, że sobie odmówiłem należytej wygody i wstawałem zawczasie. Dyabła zjem, jeżeli to kiedy uczynię.

Gdy odeszli, rad byłem wielce, zwaliwszy wszystko na murzynów, którym przecie nie zaszkodziłem.

ROZDZIAŁ VI

**W DRÓGĘ! — "A, NIEGODZIWIEC!" — KRÓL JAKI - TAKI. —
MARYA-JANINA WYCHODZI Z DOMU. — POŻEGNANIE HUCK'A
Z MARYĄ -JANINA. — SKRUPUŁY. — NOWI BRACIA.**

Gdy przyszła pora wstawania, odziałem się i zszedłem na dół. Przechodząc koło pokoju pańienek, przez drzwi otwarte spostrzegłem Maryę - Janinę klęczącą przy swoim kufrze, przygotowanym do drogi do Anglii! Zamiast jednak pakować rzeczy, przysiadła przed kufrem i twarz zakrywszy rękoma, tak płakała, jakby jej serce pęknąć miało. Silnie wzruszony, wchodzę i mówię:

— Panienska nie może patrzeć, jak ludzie płaczą i ja nie mogę. To jest... czasem nie mogę... jak kiedy... Niech mi panienska powie, dlaczego płacze?

Powiedziała. Jak pomyślałem, tak było! Płakała z żalu nad murzynami. Całą przyjemność podróży do Anglii psuła jej myśl o ich niedoli. Nigdy, nigdy nie potrafi czuć się szczęśliwą, wiedząc, że ta biedna matka na zawsze z dziećmi rozłączona, że już ich nigdy nie zobaczy... Łkając coraz rzewniej, łamała ręce z rozpacz:

— Ach! nie mogę... nie mogę myśleć o tem, że oni się już nigdy nie zobaczą.

— Nie! — powiadam — zobaczą się i to nie dalej jak za dwa tygodnie. Z pewnością się zobaczą!

Masz tobie! Anim wiedział, kiedy mi się wyrwały te słowa... Jeszcze ust zamknąć nie zdążyłem, a ona, ramionami otaczając mi szyję, woła:

— Z pewnością, mówisz? Powtórz to jeszcze!

Widzę ja tedy, że mi się wygadał zawczasie, powiedział za wiele i że ze mną krucho. Gdym się zamyślił, ona nic nie mówiąc, w oczy mi patrzyła z niecierpliwością, śliczna jak malowanie i taka zadowolona, jak po wyrwaniu zęba chorego. A ja milczę i rozmyślam. Nie wiem, nigdy tego bowiem nie doświadczyłem... ale podobno naraża się człowiek, gdy mówi prawdę... Tak mi mawiano. Tu zaś inaczej: niech na poczekaniu wyłysięję, jeżeli w tym wypadku nie jest lepiej, a nawet bezpieczniej powiedzieć prawdę niż kłamstwo? Muszę sobie ten wypadek zachować w pamięci i w wolnej chwili o nim pomyśleć, bo nigdy nie czegoś podobnego nie doświadczył. Ha! cóż robić! — powiadam sobie nakoniec — spróbuję tym razem prawdy, niech mnie to kosztuje. Powiem, jak jest... pomimo, że to będzie dotknięcie świecą beczułki z prochem... Niechaj się dzieje, co chce a powiem!

— Czy panienska ma tu w mieście kogo takiego, coby mieszkał trochę na uboczu, a był dobrym znajomym?

— Mam.

— Nie mogłaby panienska pójść tam i zabawić ze trzy, ze cztery dni?

— Mogłabym... do państwa Lothrop... Dlaczego?

— Jeżeli ja paniencie powiem, z kąd wiem, że murzyni zobaczą się znów ze swoją matką najdalej za dwa tygodnie i to tu... w tym samym domu... jeżeli dowiodę, z kąd to wiem... czy panienska pójdzie do państwa Lothrop?

— Choćby na rok cały!...

— Skoro panienska daje słowo, to już dobrze... Słowu panienski więcej wierzę, niż gdyby kto drugi przysięgał na Biblię.

Marya - Janina zarumieniła się bardzo ładnie, ja zaś postanawiając prowadzić naszą rozmowę przy drzwiach zamkniętych, pytam, czy je zamknąć pozwoli. Gdy przystała, zamknąwszy drzwi,

mówię:

— Niechże panienka nie podniesie krzyku, usłyszawszy to, co jej powiem. Proszę siedzieć cichutko i przyjąć odważnie, po mężku, moje słowa, gdyż prawda, którą wyjawię, jest brzydka i ciężka do zniesienia, ale... prawda!

Czytając pytanie w oczach wystraszonej MaryiJaniny, mówię:

— Ci stryjowie panienek nie są wcale stryjami; to para włóczęgów, oszustów, obieżyświatów. Uf! najgorsze już powiedziałem! Reszta niczem jest w porównaniu.

Aż się mieniła, słuchając, ale żem już przebrnął przez najgorsze, więc jadąc dalej, opowiedziałem jej wszystko od początku, to jest od spotkania owego gapia, oczekującego na parowiec, aż do chwili, gdy ona, stojąc we drzwiach, rzuciła się królowi na szyję. Ale gdym doszedł do tego, skoczyła z miejsca, jak oparzona, wołając z twarzą purpurową:

— A niegodziwiec! Ani minuty nie traćmy, ani sekundy. Zaraz się tu z nimi rozprawia: w smole wykapia, w pierzu utarzają i do rzeki wrzucą obydwóch!

— I owszem — odpowiadam — ale kiedy? Zanim panienka pójdzie do państwa Lothrop, czy też...

— Ach! prawda. Co też ja mówię! — i znów siada spokojnie. — Zapomniałam się... zapomniałam o swej obietnicy. Przepraszam cię. — I aksamitną rączkę położyła na mojej tak pieszczotliwie, że w ogieńbym za nią pośpieszył.

— Mów dalej, mów... będę słuchała spokojnie... pierwsze wrażenie już minęło. Powiedz mi, co mam czynić, a zrobię wszystko, co powiesz...

— To nie byle jakie łotry, panienko, i ostrożnie z nimi potrzeba, a tak się złożyło, że czy chcę, czy nie chcę, muszę z nimi podróż odbywać. Wolałbym nie mówić dlaczego. Gdyby się całe miasto dowiedziało, co to za ptaszki, byłoby może lepiej dla mnie, ale ucierpiałby na tem ktoś drugi, kogo panienka nie zna, ale ja znam i bardzo lubię. Tego drugiego nie można narażać, prawda, panienko? A kiedy tak, to i tych łotrów chwilowo oszczędzać trzeba.

W tej właśnie chwili przyszła mi do głowy myśl szczęśliwa, jakim sposobem mogę siebie i Jim'a uwolnić od towarzyszków niepożądanych: zostawić ich tu w więzieniu, a samemu drapnąć. Że jednak nie miałem ochoty pędzić na tratwę w biały dzień, kiedy co krok spotkać kogoś można i co chwila trzeba odpowiadać na pytania, więc też do nocy odłożyłem wykonani planu i to nawet do późnej nocy. Tymczasem zaś mówię:

— Ja panience powiem, jak trzeba zrobić, żeby uniknąć długiego pobytu u państwa Lothrop. Czy to daleko?

— Prawie cztery mile.

— To w sam raz. Niechże panienka tam posiedzi u nich do dziewiątej wieczorem i powróci, ale nie sama. Koniecznie trzeba, żeby ktoś panienkę odprowadził przed jedenastą. Po powrocie proszę postawić tu, w tem oknie, świecę zapaloną i czekać do jedenastej. Gdy ta godzina wybije, a ja się wcale nie pokażę, to będzie znaczyło, że mnie tu niema, żem już daleko i bezpieczny. Wtedy może panienka postarać się o to, aby obu niegodziwców wsadzono do więzienia.

— Dobrze — odpowiada — uczynię to.

— Gdybym zaś nie uciekł, lecz był razem z nimi uwięziony, to panienka ujmie się za mną, opowiedziawszy o wszystkim. Czy będzie mnie panienka broniła z całej siły?

— Ma się rozumieć, że będę. Włos ci z głowy nie spadnie — odrzekła i widzę, że jej się nozdrza rozszerzają, a oczy iskrzą.

— Jeśli ucieknę — mówiłem dalej — to nie będzie mnie tu, aby dowieść, że ci dwaj urwipołcie nie są stryjami panienki, a dowieść mógłbym, gdybym został. Pod przysięgąbym zeznał, co to za

ptaszki..., opowiedziałbym wszystko a to coś znaczy. Są wszakże inni... tacy, którzy lepiej to zrobią odemnie... tacy, o których nikt nie będzie powątpiewał, że prawdę mówią, którym prędzej, niż mnie, uwierzą. I zaraz panience powiem, gdzie ich znaleźć. Proszę tylko o ołówek i papier. O... jest! "*Bricksville. Król Jaki Taki.*" Niech panienka dobrze to schowa. Jeżeli sąd zechce mieć pewne wiadomości o stryjach, pośle tylko do Bricksville z zawiadomieniem, że znaleziono ludzi, którzy przedstawiali "wielką tragedję i zawezwie świadków; całe miasto zleci się tu, zanim panienka zdąży palcem kiwnąć. A gdy świadkowie się stawią, niema obawy o resztę!

Zdawało mi się, że powiedziałem wszystko, co trzeba, żeby ułatwić Maryi-Janinie pozbycie się z domu wydrwigroszów.

— Niech panienka dopuści do licytacji — dodałem jeszcze — niech się jej wcale nie obawia. Nabywcy dają przekazy płatne nazajutrz lub korzystają z terminu trzydniowego. Stryjowie mają więc ręce związane i nie wyruszą przed otrzymaniem całej należności. Mniejsza więc o to, za jaką cenę sprzedadzą domy i ruchomości, bo sprzedaż będzie nieprawną. Tak samo rzecz się ma z murzynami: powrócą tu niezadługo, bo nie zostali sprzedani.

— No, kiedy tak — rzecze Marya-Janina — to po śniadaniu wybiorę się zaraz do państwa Lothrop.

— Tak nie można! Trzeba iść przed śniadaniem.

— Dlaczego?

— Dlaczegoż ja namawiam, żeby panienka poszła?

— Co prawda, nie pomyślałam o tem.

— A to dlatego, że panienka niema twarzy obszytej w grubą skórę. Twarz panienki, to jak książka. Można na niej czytać najdoskonalej. Czyż panienka potrafi spojrzeć w oczy stryjom i mówić z nimi, jak wczoraj, uśmiechać się, nie mrugnąć okiem, gdy zechcą panienkę pocałować na dzień dobry?

— Nie! nie! Przestań... przestań! Tak! Pójdę przed śniadaniem... nie zniosłabym tego. Ale jakże z nimi zostawię siostry?

— Próżna obawa!... Nic im się tu nie stanie, a stryjowie mogliby coś podejrzewać, gdyby panienki wszystkie z domu wyszły. Radziłbym nawet, żeby panienka już się z siostrami nie widziała, ani z kimkolwiek, bo gdyby kto spytał zniecka o zdrowie stryjów, panienka zdradziłaby się niezawodnie. Niech już panienka idzie jak najprędzej, a ja tu ze wszystkimi dam sobie radę. Powiem panience Zuzi, żeby pocałowała stryjów od starszej siostry, która musiała wyjść z domu na kilka godzin, żeby trochę wypocząć i odwiedzić dobrych przyjaciół.

— Że poszłam odwiedzić dobrych przyjaciół, to powiedz, bo prawda, ale nie chcę, żebyś mówił Zuzi o całowaniu stryjów, bo to nieprawda?

— No, to nie powiem, skoro panienka niechce.

Co mi szkodziło przyrzec jej, że nie powiem, gdy tego chciała? Swoją drogą wiedziałem, że powiem. Mała to rzecz, drobiazg... ale z takich drobiazgów największe nieraz ułatwienie.

— A co do tego worka z pieniędzmi... — dodałem wreszcie...

— Cóż robić? Już go mają! Muszę się wstydić własnej głupoty, gdy pomyślę, jak wpadł w ich ręce.

— Myli się panienka. Oni nie mają worka.

— Któż go ma?

— Ba! Żebym ja to wiedział... ale nie wiem. Ja go miałem, bom go wykradł po to, żeby go oddać panienom... Wiem nawet, gdzie być powinien... sam go schowałem... ale koję się, czy go ztamtąd nie wykradzono. Gdym niósł worek, usłyszałem, że ktoś idzie... Bojąc się, żeby mnie nie posądzono o

kradzież, schowałem go w miejsce, które mi się pierwsze nawinięło. Czy to jednak schowanie bezpieczne — tego nie wiem.

— Nie rób sobie wymówek! Wiem, że chciałeś zrobić jak najlepiej... Jeżeli pieniądze przepadły, to nie twoja wina. Gdzieżeś je ukrył?

Nie chcąc jej znów przywodzić na myśl bolesnych wrażeń dni ostatnich, nie mogłem wykrztusić, prawdy.

— Wolałbym nie mówić tego panience i jeżeli można, niech panienka na to pozwoli. Napiszę jednak, wyraźnie napiszę... i panienka, idąc już do państwa Lothrop, będzie wiedziała o wszystkim. Dobrze? Pozwoli panienka?

— I owszem.

Napisałem więc: "Włożyłem worek do trumny tej nocy, kiedy to panienka uklękała i płakała. Stałem wówczas za drzwiami, serdecznie współczując z panienką.

"Łzy mi nabiegły do oczu, gdym sobie przypomniał, jak ta biedaczka płakała, w noc późną, sama jedna przy trumnie, oddana w moc dwu nędzników, którzy pod jej własnym dachem zmówili się na nią na jej siostry.

Złożywszy kartkę, oddałem jej, a ona ze łzami w oczach ściska mnie silnie za rękę, jak kolega, i mówi:

— Bywaj zdrów, Huck. Słowo w słowo zrobię wszystko, jak zaleciłeś, a gdybym cię już nawet nie zobaczyła, nigdy o tobie nie zapomnę... Będę często myślała o Hucku, o dobrym, uczciwym chłopcu, o swoim szczerym przyjacielu, i będę się modlić za ciebie. Bądź zdrów!

Gdyby wiedziała, jaki jestem, nie podejmowałaby się trudu nad siły... Choć nie! nawet wiedząc wszystko, modliłaby się za mnie — bo taką już miała naturę! Gotowa była modlić się nawet za Judasza, bo do dna szczerą była i dobra.

Nie widziałem jej na oczy od chwili, gdy pożegnawszy się ze mną, wyszła ze swego domu... ale zdaje mi się, że o niej myślał milion razy i o jej obietnicy modlenia się za mnie! A gdybym wierzył, że modlitwa za nią lepszym mnie uczyni, to słowo daję, że i ja bym modlił się także.

Marya-Janina wyszła z domu zapewne tylnymi drzwiami, bo nikt jej nie widział wychodzącej. Ja zaś, spotkawszy Zuzannę i Zajączka, pytam je:

— Jak się nazywają ci państwo z tamtego brzegu rzeki, co to w przyjaźni z panienkami?

— Dużo tam mamy znajomych — odpowiadają — ale najczęściej bywamy u państwa Proctor.

— Otóż to! — powiadam — ci sami! A ja zapomniałem nazwiska. Właśnie starsza panienka tam poszła, śpiesząc się bardzo, bo ktoś chory.

— Kto?

— Nie wiem kto... wprawdzie panienka mówiła, lecz zapomniałem. Zdaje mi się jednak...

— Ach, Boże! czy aby nie Hanna?

— Przykro mi martwić panienki, ale... Hanna.

— Co za nieszczęście! przed tygodniem była jeszcze zupełnie zdrowa. Czy niebezpiecznie chora?

— E! niema o co pytać... Starsza panienka mówiła, że całą noc wszyscy przy niej siedzieli i że już nie przeżyje kilku godzin.

— No! patrzcie państwo! Cóż jej jest?

Nie mogąc wymyśleć czegoś lepszego, rzekłem:

— Skrofuły.

— Pleciesz! Przy chorych na skrofuły nikt nie siaduje w nocy.

— Dlaczego nie? A ja panience powiadam, że przy Hannie siedzieli wszyscy. To zupełnie inne skrofuły. Nowy jakiś, gatunek, mówiła starsza panienka!

— Jakto, nowy gatunek?

— A tak, połączony z innymi chorobami!

— Z jakimi?

— Spamiętać trudno: z odrą, z kokluszem, z różą, z trawiącą gorączką, z żółtą febrą, z zapaleniem mózgu i już sam nie wiem, z czem więcej.

— O, mój Boże! I to wszystko skrofuły?

— Tak przynajmniej mówiła starsza panienska.

— No, więc dlaczego nazywają to skrofułami?

— Dlatego, że to są skrofuły. Od nich się wszystko zaczęło.

— To sensu niema. To tak samo, jak gdyby ktoś na zapytanie, co się stało temu człowiekowi, który stłukłszy sobie palec u nogi, zażył potem trucizny, wpadł w studnię, kark skręcił, roztrzaskał czaszkę, otrzymał odpowiedź niedorzeczną: o stłuczonym palcu u nogi! Gdzież tu sens w tej odpowiedzi? Tak samo go niema, jak w twym gadaniu. Czy choroba Hanny zaraźliwa?

— Czy zaraźliwa? Jak można pytać się o to?! Czy brona jest zaraźliwa? Nie. Ale jeżeli pociemku idąc, upadnie na nią panienska, to się niezawodnie zaczepi, jeżeli nie o jeden ząb, to o drugi. Zaczepiona o jeden ząb, pociągnie panienska za sobą całą bronę. Czy nie tak? Otóż ten gatunek skrofuł podobny jest do brony i to nie byle jakiej, wyszczerbionej, ale porządnej, całej. Kto się o nią zaczepi, ten przepadł:

— Okropność! — rzecze zajaczek. — Zaraz pójdę do stryja Harvey'a i...

— Proszę się minutkę zastanowić. Czy stryjowie nie są zmuszeni wracać do Anglii i to jak najspieszniej? Czy panienska przypuszcza, że jak ludzie bez serca odjadą sami, zmuszając panienski do odbycia takiej podróży bez opieki?

Będą czekali, to wiadomo! No, dobrze... a teraz dalej. Stryj Harvey jest kaznodzieją, prawda? Dobrze! Czy kaznodzieja jest zdolny wprowadzić w błąd kapitana okrętu? Czy może zezwolić, żeby starsza panienska weszła na okręt? Nie! I panienska wie o tem, że nie. Cóż więc, stryj zrobi? Pójdzie do kapitana, albo do urzędnika, który sprzedaje bilety i powie: "Bardzo mi przykro, ale pobożni moi słuchacze będą musieli obywać się bezemnie. Niechaj sobie radzą, jak mogą, ale moja synowica była wystawiona na zetknięcie ze strasznymi skrofułami *pluribus unum*, uważam więc za święty obowiązek zostać tu i czekać całe trzy miesiące, dopóki się nie przekonam, czy nie uległa zarazie." Tak stryj postąpi z pewnością. Ale mniejsza o to, jeżeli panienska uważa, że trzeba zaraz iść do stryja i wszystko mu powiedzieć...

— Tak! i siedzieć tu trzy miesiące, zamiast być w Anglii, gdzie nas czeka tyle przyjemności. Zamiast się bawić, wyczekiwać, czy Marya-Janina dostanie skrofułów, czy nie? Dziękuję! Ani myślę...

— Kto wie, panienko! Może lepiej będzie powiedzieć komu z sąsiadów?

— Słuchaj, Huck, nie bądź głupi, jeżeli możesz. Jak to? nie rozumiesz, że każdy z nich natychmiast wypaple? Nie, jedyny sposób nic nikomu nie mówić.

— Może to i racya... Tak, zdaje mi się, że panienska ma rację.

— Ale ja myślę, że powinniśmy uprzedzić stryja o nieobecności Maryi-Janiny, bo będzie o nią niespokojny.

— Tak; panienska o to prosiła, mówiąc: "Powiedz moim siostróm, niech pocałują odemnie stryjów i oznajmią im o mojej wycieczce do państwa... Jakże się nazywają ci państwo... tacy bogaci... co to nieboszczyk stryj tak ich poważał i lubił? Ci, co to..."

— Państwo Apthorp, chcesz pewno powiedzieć. Tak?

— Ci sami! Niech licha weźmie tutejsze nazwiska, człowiek spamiętać nie może. Tak, ci sami!

Mówiła panienka, że do nich pobiegnie i poprosi, żeby koniecznie przyszli na licytację i zgodnie z życzeniem stryja Piotra kupili ten dom. Potem, jeżeli panienka nie będzie bardzo zmęczona, powróci do domu na noc, w przeciwnym zaś razie, przenocuje i powróci dopiero jutro.

Dodała jeszcze panienka:

— Nie wspominajcie ani słowa o Proctor'ach, tylko powiedzcie, że poszła do państwa Apthorp... co zresztą i prawda, bo panienka poszła do nich, namawiać na kupno tego domu. Sama mi to mówiła!

— Dobrze, dobrze — odpowiedziały obie i pobiegły do jadalnego pokoju przygotować wszystko do śniadania, ucałować stryjów od Maryi-Janiny i powtórzyć im wszystkie wiadomości.

Stało się więc po mojej myśli. Dziewczęta nic nie powiedzą stryjom, bo gwałtem chcą jechać do Anglii, a król i księżę będą woleli dowiedzieć się, że Marya-Janina poszła w sprawie sprzedaży domu, niż; gdyby siedziała tu, gdzie każdej chwili spotkać się może z doktorem Robinsonem. Byłem tedy bardzo rad z siebie w przekonaniu, że nawet sam Tomek Sawyer nie mógłby sprytniej się znaleźć. Ma się rozumieć, że wziąłby się do rzeczy i zręczniejsz i z większą elegancją, odebrawszy odpowiednie wykształcenie.

Licytacja odbywała się na placu miejskim i trwała dość długo, a stary król nie odstępował od boku kasyera, który zgarniając pieniądze od nabywców, z miną poważną i godności pełną, przytaczał od czasu do czasu jakieś zdanie z Pisma Świętego. Księżę kręcił się pomiędzy ludźmi, wzbudzając swoim: "agu-gu-gu-u..." powszechne politowanie.

Sprzedaż przeciągnęła się do wieczora, ale na koniec wszystko sprzedano. Pozostał tylko kawałek gruntu na cmentarzu.

Król koniecznie nalegał, żeby i z tem skończyć" gdyż był chciwy. Targowano się właśnie o ten ostatni kawałeczek, gdy jakiś parowiec wyrzucił na ląd mnóstwo ludzi, którzy krzyczą, śmieją się, wymyślają, a wśród zamętu słychać te słowa:

— Opozycja przyjechała! Opozycja! Nowi spadkobiercy starego Piotra Wilks! Jest w czem wybierać.

ROZDZIAŁ VII

WĄTPLIWOŚCI. — KRÓL DAJE OBJAŚNIENIA. — PRÓBA PISMA. — TATUOWANIE. — OTWIERAJĄ TRUMNĘ. — HUCK SIĘ WYMYKA.

Przyczyną całego hałasu i zbiegowiska był pan niemłody o bardzo przyzwoitej powierzchowności, obok którego siedł drugi, znacznie młodszy, przystojny, z ręką na temblaku. Ludzie na pół ze śmiechem, a na pół z gniewem, krzyczeli wszyscy na całe gardło.

Nie mogłem tego brać za żarty i zdawało mi się, że tak król, jak i ksiązę, zrozumieli dobrze, o Co chodzi. Myślałem, że choć pobledną. Ale gdzie tam! Ksiązę potrafił nawet udać, że się niczego nie domyśla, tylko ciągle po swojemu gu-gał, wesoły i uśmiechnięty, zupełnie jak butelka z ciasną szyjką, z której, bulgocząc, wylewa się gęsta maślanka. Król zaś spoglądał na nowoprzybywających z takim smutkiem, jakby rozpaczał, że mogą się znajdować na świecie podobni szalbierze i oszuści. A udawał tak znakomicie, że najprzedniejsi ludzie zaraz się zebrali koło niego, jakby chcąc mu okazać swoją życzliwość. Stary pan, nowoprzybyły, patrzył tylko ze zdziwieniem i zdawał się nie rozumieć, o co idzie. Prędko jednak opamiętał się, oprzytomniał i mówić zaczął. Za ledwie słów kilka powiedział, zaraz poznałem, że nie król, lecz on wymawia po angielsku. Król naśladował wprawdzie i język i wymowę angielską nienajgorzej, ale od razu poznałem, że naśladował. Nie mogę powtórzyć ściśle słów starego pana, bo i nie dobrze pamiętam i mówićbym nie potrafił. Mniej więcej jednakże tak prawił:

— To, com tu zastał, jest niespodzianką, na którą, szczerze mówiąc, nie byłem przygotowany. Dbaj z bratem doznaliśmy niefortunnych przygód w ciągu podróży; on złamał prawą rękę, a obaj popozostaliśmy chwilowo bez bagażu, który skutkiem fatalnej dla nas pomyłki, złożono wczoraj wieczorem w przystani miasteczka, o kilka mil ztąd odległego. Jestem Harvey Wilks, brat Piotra, a to nasz młodszy brat, William, głuchoniemy, który teraz skutkiem wypadku nawet palcami porozumiewać się ze mną nie może.

Tożsamość naszych osób stwierdzą dowody, które za dni parę, po otrzymaniu bagażów, przedstawimy. Dotychczas nic więcej nie powiem, lecz tylko w hotelu będę czekał.

Co powiedziawszy, odszedł z niemową, a król, śmiejąc się głośno, zawołał:

— Złamał rękę! Jakie to podobne do prawdy! jak się w porę trafiło dla oszusta, który powinien rozmawiać na migi, a nie umie! Pomyłka z bagażem! I to dobre! Dobre, a nawet, ze względu na okoliczności, bardzo dowcipne!

Tu znów śmiać się zaczął, a razem z nim wszyscy obecni, z wyjątkiem kilku najwyżej. Jednym z nich był doktor; drugim jakiś pan o przenikliwym spojrzeniu, ze staroświecką torbą w ręku krzyżowej roboty, świeżo przybyły na parowcu. Rozmawiał on półgłosem z nowym bratem, od czasu do czasu potakując mu głową i zerkając w stronę króla. Był to Lewi Bell, adwokat, który jakoby miał do Louisville pojechać. Nie śmiał się także barczysty, z prosta odziany mężczyzna, który uważnie wysłuchawszy nowego brata, pochłaniał teraz mowę króla.

Gdy król skończył, nieznamy podszedł do niego i rzecze:

— Słuchajno, jeżeliś Harvey Wilks, to powiedz, kiedyś przyjechał?

— W przeddzień pogrzebu, drogi panie.

— O której godzinie?

— Wieczorem; na godzinę lub dwie przed zachodem.

— Czem przyjechałeś. Jak?

— Statkiem *Zuzanna Powell*, idącym z Cincinnati.

— Jakimże więc sposobem mogłeś być rano w Pint, gdzie cię widziano na łodzi?

— Nie byłem rano w Pint.

— To kłamstwo!

Kilku mężczyzn rzuciło się ku niemu z prośbą, żeby nie przemawiał w ten sposób do człowieka starego i kaznodziei.

— Co tam za kaznodzieja! oszust i kłamca. Tego właśnie ranka był w Pint. Przecież tam mieszkam, sami wiecie. Otóż mówię wam, że ja tam byłem i on tam był. Widziałem go na własne oczy. Przybył w łodzi w towarzystwie młodego chłopca.

— Czy poznalibyście tego chłopca, Hines?

— Zdaje mi się, że tak, ale nie ręczę. Ale ot... ot on! on! tu stoi... Poznaję go jak najwyborniej.

Gdy wskazał na mnie, potem rzeki doktor:

— Sąsiedzi, nie wiem czy ci, którzy teraz przyjechali, są oszustami lub nie" jeżeli jednak niemi nie są, to jestem idiotą. Uważam też za obowiązek nasz pilnować, żeby się ztąd nie oddalali, dopóki nie wejrzymy w całą tę sprawę. Chodź ze mną, Hines, chodźcie i wy wszyscy. Zaprowadzimy tych ludzi do szynkowni i postawimy ich twarzą w twarz z tamtymi dwoma, a mniemam, że się czegoś dowiemy.

Tłumowi tylko w to graj, zwłaszcza, że przyjaciele króla spuścili nieco nos na kwintę. Ruszyliśmy więc wszyscy. Słońce miało się już ku zachodowi. Doktor wiodł mnie za rękę i chociaż nic mi złego nie robił, ale ręki mojej nie puszczał.

Weszliśmy wszyscy do ogromnej sali miejscowego hotelu, zapalono kilka świec i posłano po nowoprzybyłych. Doktor zagaił rzecz słowami:

— Nie chciałbym okazywać się zbyt surowym względem tych ludzi, ale pewien jestem, że są oszustami, a w takim razie mieć mogą wspólników, o których nic nie wiemy. Jeżeli zaś tak jest, to czy owi wspólnicy nie umknęli z owym workiem złota, zostawionym przez Piotra Wilks'a? Prawdopodobnie tak. Jeżeli więc ci ludzie nie są oszustami, to nie powinni mieć nic przeciwko temu, żebyśmy posłali po te pieniądze i zatrzymali je u siebie, dopóki nie zostanie dowiedzione, kto jest prawowity ich właściciel. Mam słuszość, czy nie?

Jednogłośnie przyznano mu słuszość. Pomyślałem więc sobie, że przycisnęli nas do muru nie na żarty i to na samym początku. Ale król, przybierając wyraz prawdziwego zmartwienia, odpowiada spokojnie:

— Panowie, z całej duszy pragnąłbym, żeby owe nieszczęsne pieniądze tu były, bo najmniejszego nie mam zamiaru stawiać jakichkolwiek przeszkód do uczciwego rozjaśnienia tak ważnej sprawy. Ale, niestety, pieniądze o których mowa, już zniknęły. Możecie pójść i naocznie przekonać się o tem.

— Gdzież są zatem?

— Alboż ja wiem? Siostrzenica moja dała mi je do schowania; wzięwszy je ukryłem w słomie swego siennika, nie chcąc odnosić ich do banku na te dni kilka, któreśmy tu mieli zabawić. Nieprzyzwyczajony do służby murzyńskiej, przypuszczając, że jest ona równie uczciwą, jak angielska, uważałem schowanie w sienniku za bezpieczne. Murzyni skradli jednak pieniądze zaraz nazajutrz, 'gdym zszedł na dół, a ponieważ sprzedawałem ich, nic jeszcze nie wiedząc o popełnionej kradzieży, unieśli więc łup swój z sobą. Obecny tu mój służący może potwierdzić te słowa.

Doktor, oraz kilku innych mruknęło: "Kłamstwo!" i widoczną było rzeczą, że nikt nie wierzył królowi. Jeden z obecnych zapytał mnie, czym przyłapał murzynów na kradzieży. Odpowiedziałem, że widziałem tylko, jak się rano z pokoju wymykali i byłem pewny, że to czynili z obawy przed moim panem, który mógł się na nich gniewać za przebudzenie.

Wtem zwraca się ku mnie doktor i pyta:

— I ty także jesteś Anglikiem?

Odpowiadam: — "Tak", — ale i doktor i inni parsknęli śmiechem!...

Nastąpiło badanie, godzina za godziną: a gdzieście byli, a coście robili i tak dalej i dalej, w kółko, w kółko, aż mi się w głowie mieszać zaczęło. Kazali królowi oświadczyć, co miał do powiedzenia, a potem zwrócili się do nowoprzybyłego pana i trzeba było chyba być osłem, żeby w słowach jego nie odczuć prawdy. Gdy skończyli, zawezwano mnie, abym powiedział wszystko, co wiem.

Król rzucił na mnie spojrzenie skośne, ale znaczące, więc zacząłem opowiadać, jak to u nas w Sheffield, jakeśmy tam żyli, jak żyje rodzina mojego pana, angielscy Wilks'owie i tam dalej, plotłem, co mi ślina na język przyniosła. Wśród tej gadaniny doktor śmiać się zaczął, a Lewi Bell rzekł:

— Daj sobie pokój, mój chłopcze; gdybym był tobą, nie zadawałbym sobie trudu na próżno. Widzę, że nie jesteś do kłamstwa przyzwyczajony, niezręcznie zmyślasz.

Niebardzo mnie ucieszył ten komplement, ale, bądź co bądź, rad byłem, że mi dano pokój nareszcie.

Doktor znów coś chce powiedzieć, ale nagle zwracając się do sąsiada mówi:

— Gdybyś nie był jeździł do miasta, Lewi Bell....

A król mu przerywa i z wyciągniętą ręką podchodząc do adwokata:

— Więc to pan jesteś tym starym, wiernym przyjacielem, o którym drogi brat mój tak mi często pisał?

Uścisnęli się za ręce, adwokat uśmiechnięty rozmawiał z królem czas jakiś, potem szeptał z doktorem, a nareszcie rzekł głośno:

— Mam już sposób dojścia prawdy. Pismo panów przekona mnie, który z was jest prawdziwym Wilks'em.

Przyniesiono więc papieru i pióra, poczem król usiadł, przechylił głowę na jedną stronę, przygryzł język, coś nagryzmolił i z kolei oddał pióro księciu. Wtedy po raz pierwszy księżę głowę stracił, wziął jednak pióro i nakreślił swój podpis. Następnie, zwróciwszy się do nowego brata, adwokat uprzejmie prosił:

— Pan i brat pański zechcecie także napisać po parę wierszy i położyć pod nimi swój podpis.

Stary pan coś napisał, ale nikt nie mógł tego przeczytać. Lewi Bell zrobił minę niezmiernie zdziwioną i wyjmując z kieszeni paczkę listów, rzecze:

— Tego to już i ja nie rozumiem.

Poczem zaczął przypatrywać się to listom, to pismu starego pana, aż w końcu rzekł:

— Te stare listy kreślone są ręką Harvey'a Wilks, pismo zaś obu tych panów — tu wskazał na króla i księcia, którzy mieli miny, okropnie głupie — jest zupełnie inne. Z drugiej wszakże strony, pismo nowoprzybyłego pana, który mieni się być bratem nieboszcza, jest zupełnie niepodobne do charakteru listów. Pismo brata równe i czytelne, pan zaś kreślisz jakieś hieroglify, których pismem nazwać nie można.

Tu stary pan przerywa:

— Proszę, pozwól mi pan to wytłómaczyć. Mojego pisma nikt nie przeczyta, prócz mego brata, on też przepisuje moje listy. Te, które pan pokazujesz, on pisał.

— A to dziwny zbieg okoliczności! — rzekł na to adwokat. — Ale kiedy tak, to niechże brat pana napisze parę wierszy..

— Niepodobna mu pisać lewą ręką — przerwał znów stary pan. — Gdyby mógł posługiwać się prawą, każdyby poznał, że wszystkie listy on pisał. Spójrz pan, proszę: na jednych podpis Harvey, na

drugich William, ale jedne i drugie kreślone tymże charakterem.

Adwokat przyjrzał się listom uważnie i powiada:

— Zdaje mi się, że tak jest wistocie, a jeśli nie, to podobieństwo charakterów zdumiewające. No, no! Myślałem już, że jesteśmy na drodze do odkrycia prawdy, tymczasem, jak widzę, droga nagle trawą zarosła. Przynajmniej jednej rzeczy jesteśmy zupełnie pewni, że żaden z tych dwóch nie jest bratem nieboszczyka Piotra Wilks.

I to mówiąc, rzucił głową w stronę księcia i króla

I cóż państwo powiecie! Ten stary uparty osioł i teraz jeszcze nie chciał ustąpić. Nie i nie! — To nie dowód! — utrzymywał. Brat jego, William, to kpiarz jakich mało. Chciał zażartować sobie ze wszystkich i w niwecz obrócić całe badanie; dlatego też nie napisał, jak należy. Ledwo pióro do papieru przyłożył, on, Harvey, zaraz spostrzegł, że William chce po swojemu zażartować. I tak utrzymując, zapala! się coraz więcej i coraz liczniejszemi sypał słowami, aż wreszcie zaczął już sam wierzyć w to, co mówił, choć nie powiedział słowa prawdy. Przerwał mu jednak nowy brat, mówiąc:

— Przyszło mi coś na myśl. Czy pomiędzy tu obecnymi niema kogo, kto pomagał ubierać na Śmierć mojego br..., chciałem powiedzieć, Piotra Wilks?

— Ja, Ja! — zawołały dwa głosy, z których je jen dodał:

— Ja i Ab Turner ubieraliśmy nieboszczyka. Jesteśmy tu.

Wtedy stary pan zwraca się do króla i pyta:

— Może pan będziesz łaskaw powiedzieć mi, co było wytatuowane na piersiach brata?

Było to tak niespodziewane, że król, zniecacka zaskoczony, musiał trzymać się gruntu rękami i nogami, jak drzewo, na stromem urwisku rosnące, któremu woda korzenie podmywa. Był on też bardzo podmyty, tylko patrzeć, jak runie w wodę, bo zkądże mógł wiedzieć, co było wytatuowane na piersiach człowieka, którego nie znał. Zbladł więc nieco, wbrew woli zapewne, ale zbladł, bo i jakże zblednąć nie miał, kiedy naraz zrobiła się w sali taka cisza, jak gdyby makiem siał i wszyscy zebrani oczy w niego wlepili, podając się naprzód całym ciałem.

Mówię ja tedy do siebie: — No, już teraz da za wygraną. I myślicie państwo, że dał? Doprawdy, trudno temu uwierzyć, ale — nie dał! Choć zbladł, nadrabia miną i uśmiechając się, rzecze:

— Hm! Co było wytatuowane, pytasz pan? Mnie pytasz? więc ci odpowiem: A cóżby innego, jeśli nie strzałka maleńka, cieniutka, błękitna? Co? Może nie? Nic innego tylko strzałka i to tak maleńka, że chcąc ją dojrzeć, trzeba patrzeć zblizka. No i cóż pan na to?

Ażem zdumiał, co to za spryt u tego człowieka Jaka przytomność umysłu!

Ale stary pan zwraca się żywo w stronę Ab Turner'a i jego towarzysza, w oku zaś tak mu błysnęło, jakby mówił: Aha! mam cię, ptaszku!

— Wszak słyszeliście panowie, co powiedział mój przeciwnik? Wy teraz powiedzcie: czy taki znak widzieliście na piersiach nieboszczyka?

Obaj jednogłośnie odpowiadają:

— Nie, nie widzieliśmy takiego znaku.

— Dobrze! — podejmuje stary pan. — Teraz ja powiem swoje. Widzieliście, panowie, nie co innego jak małe, niewyraźne P, za niem B (początkowa głoska imienia, którego dawno przestał używać), a na samym końcu W, oddzielone jedno od drugiego kreskami w ten sposób: P — B — W. — I to mówiąc, napisał na skrawku papieru głoski z kreskami, a pokazując je zebrany, raz jeszcze zapytał:

— Wszak taki znak panowie widzieliście?

— Nie. Żadnego znaku nie widzieliśmy.

Proszę sobie wyobrazić, co się działo z obecnymi. Jak jeden mąż huknął:

— Warci jedni drugich! I ci i tamci oszuści! Skapać ich! Utopić ich! Smołą wysmarować i utarzać w pierzu!

Darli się wszyscy co siłą, chcąc przekrzywić jedni drugich: wrzask, wycie, gwizdanie, mało uszy nie pękły. Ale adwokat wskakuje na stół i krzyczy na całe gardło:

— Panowie! Pa - no - wie! Pozwólcie powiedzieć słowo! Jedno słowo! Jest sposób: wykopać ciało i zobaczyć!

To im trafiło do przekonania.

— Hura! — Krzyknęli znów wszyscy i natychmiast zbierali się do odejścia, ale doktor i adwokat powstrzymali ich, wołając:

— Czekajcie! czekajcie! Weźcie za kołnierz tych czterech ludzi, oraz chłopca i poprowadźcie ich z sobą!

— Weźmiemy! — zawołali — a jeżeli nie będzie znaków, to zlynch'uujemy wszystkich pięciu!

O, przestraszyłem się nie na żarty! Ale niepodobieństwem było uciec. Trzymali nas mocno i prowadzili pomiędzy sobą, prosto na cmentarz, który znajdował się o półtorej wiorsty, a za nami szło widać całe miasto, bo hałas uczynił się ogromny, a była dopiero dziewiąta wieczorem.

Gdyśmy mijali nasz dom, z żalem wspomniałem o Maryi Joannie, którą sam wyprawiłem z miasta. Gdyby tu była, dałbym jej znak, a ona jużby mnie wybawiła z tej matni.

Idziemy tedy drogą wzdłuż rzeki, z wrzaskiem z hałasem, istna kocia muzyka! Ściemnia się, a w dodatku na niebie chmury, tu i owdzie migają po niem błyskawice, zrywa się wiatr, drzewa szumią, liście szeleszczą, czasami z suchym trzaskiem odłamie się sucha gałązka. Nigdy nie czułem takiego strachu, nie byłem w podobnym niebezpieczeństwie! Zupełnie głowę straciłem! Wszystko poszło nie tak, jak myślałem, lecz naopak: zamiast być panem położenia, przypatrywać się spokojnie widowisku i mieć za plecami Maryę Joannę, któraby mnie wybawiła z niebezpieczeństwa, byłem sam zupełnie, pomiędzy mną a śmiercią nie było nic, prócz owych znaków, których nie widzieli ci nawet, co powinni byli je dostrzedz. A jeżeli niema ich wcale?...

Aż mi się niedobrze zrobiło, gdym pomyślał o tem, a nie mogłem myśleć o czem innym. Z każdą chwilą czyniło się ciemniej i ucieczka zpośród tłumu była możliwa, ale Hines, pleczysty i ogorzały, silnie mnie trzymał za rękę. Ktoby się tam mógł wyrwać takiemu Goliatowi! Szedł ogromnymi krokami, ciągnąc mnie za sobą tak, że biedz musiałem, żeby mu kroku dotrzymać.

Gdy doszli nareszcie do cmentarza, sypnęli się całym rojem za ogrodzenie i jak powódź zaleli sobą całą przestrzeń wewnątrz parkanu. Pokazało się, że mają sto razy więcej łopat niż potrzeba, ale zato nikomu nie przyszło na myśl przynieść latarni, bez której nie sposób się obejść. *Zaczęli* jednak kopać przy blasku błyskawic, w braku latarni, po którą posłali do najbliższego domu, odległego o małe pół mili. Kopali więc i kopali coraz zamasyściej, a tu coraz to ciemniej i czarniej, deszcz leje jak z cebra, wiatr gwizdże i jęczy, błyska się, grzmi, pioruny biją. Przy świetle błyskawic w tym ogromnym tłumie można było chwilami rozróżnić każdą twarz i widzieć żółtawe bryły rozmięklej gliny, łopatami w górę wyrzucane, poczem znów wszystko nikło wśród ciemności.

Dostali się wreszcie do trumny, zaczynają wieko odśrubowywać, ścisk straszny, przepychanie łokciami i ramionami, żeby tylko cośkolwiek zobaczyć, a że to wszystko działo się pociemku, więc strach podnosił mi włosy na głowie. Hines mało mi ręki nie zgruchotał, tak ją cisnął w swej dłoni ogromnej i z całej siły pchał się naprzód, zapomniawszy zupełnie, że mnie ciągnie.

Nagle błysnęło tak, że powódź jasności oślepiającej zalał cały cmentarz, a w tym blasku podniósł się krzyk:

— Na piersiach nieboszczyka worek ze złotem! Bodajem tak żył, jak to prawda jest!

Hines odpowiedział okrzykiem, jak inni, z wielkiego wzruszenia wypuścił mąkę i piersiami jak taranem tłum rozpierając, torował sobie drogę do grobu. Jak nie dam nura!

Pociemku dopadłem gościńca i naprzód! Mając drogę dla siebie tylko, pędziłem po niej jak strzała, wśród ciemności, przerywanej od czasu do czasu blado sinem światłem błyskawic. Deszcz lał jak z cebra, wiatr gwizdał i wstrząsał drzewami, a pioruny były bez przerwy. Strach, co się działo na świecie, a tu ja sam jeden, jak palec, pędzę naoslep wśród nawałnicy.

Gdym zdyszany dopadł wreszcie do miasta, puściuteńko było na ulicy tak z powodu burzy, jak i wędrówki na cmentarz wszystkich mieszkańców. Nie wyszukiwałem więc bocznych uliczek, ale biegłem główną prosto przed siebie ku naszemu domowi, ze wzrokiem wlepionym w okna. Wszystkie jednak były ciemne, nigdzie ani światełka. Smutno mi się czegoś zrobiło, jak gdybym doznał zawodu. Dopiero gdym już dom minął i z po za siebie obejrzał się jeszcze, patrzę: aż tu w oknie Maryi Joanny jest światło! Tak mi serce zabiło, tak się podniosło, jakby mi miało pierś rozsadzić... Ale trzeba było biedz dalej, a za chwilę dom i okienko i wszystko, co tam było znikło mi z oczu, żeby zostać po za mną w ciemnościach na zawsze... Tak! najlepszą dziewczyną, jaką widziałem na świecie, była Marya Joanna. Miała charakter i potrafiła dotrzymać słowa!

Będąc już za miastem, począłem zaraz rozgadać się, czy nie możnaby gdzie nad rzeką "pożyczyć" łódki, jak to mawiał tatko, gdy cudze brał bez pytania. Pierwsza silniejsza błyskawica ukazała mi łódź nie przytwierdzoną, rzuciłem się do niej, odwiązałem sznur i nie tracąc czasu, zacząłem wiosłować, zmierzając ku niewielkiej, gąszczem zarosłej mieliźnie, wynurzającej się z wody w dość znacznym oddaleniu od brzegu. Wiosłowałem zawzięcie, a gdy nareszcie łódź osiadła na piaszczystym podłożu, byłem tak śmiertelnie zmęczony, że miałem ochotę wyciągnąć się na piasku jak długi, bo nawet tchu złapać nie mogłem. Ale nie było na to czasu. Wyskoczywszy na wilgotny piasek, zawołałem:

— Jim, prędzej, prędzej! Odplywajmy! Chwała Bogu, jesteście sami! Uciekajmy!

Jim wyszedł z zarośli uradowany z mego powrotu, ale gdy w świetle błyskawicy ujrzałem jego postać, tak się przestraszyłem, że, odskoczywszy w tył parę kroków, upadł na wznak w wodę. Zapomniawszy, że Jim jest królem Learem i Arabem topielcem w jednej osobie, straciłem przytomność mi jego widok. Ale Jim poskoczył ku mnie, podniósł jak dzieciaka, i tak był uszczęśliwiony z mego powrotu, że chciał mnie całować, ścisnąć i wieszować pozbycia się gości nieproszonych.

— Nie teraz, nie teraz! — zawołałem. — Na śniadanie schowaj czułości. Odcinaj tratwę i pływamy! Pływamy!

Po paru sekundach byliśmy już na rzece. Ach, jak szczęśliwy się czułem, żeśmy znów sami, że nikt nam nie rozkazuje. Z radości wytrzymać nie mogąc, podskoczyłem sobie parę razy, wywróciłem trzy kozły, ale gdym się zabierał do czwartego, słyszę wdali aż nadto dobrze znany mi odgłos Wstrzymuję oddech... słucham... czekam... i cóż! Błysnęło porządnie, patrzę: oni. Znów oni! Wiosłują w naszą stronę obydwaj: król i książę!

Dałem więc pokój figlom, zaniechałem czwartego koziołka i rzuciłem się na deski jak długi, ledwo mogąc powściągnąć łkanie.

ROZDZIAŁ VIII

KRÓL "WZIAŁ SIĘ. " — KLÓTNIA. — KOCHANIE.

Ledwie wstąpiwszy na tratwę, król zaraz wziął mnie za kołnierz i trzęsąc jak gruszą, zawołał: — Zachciało ci się uciec od nas? co, szczeniaku? Znudziło ci się nasze towarzystwo, co?

— A ja mu na to:

— Nie, wasza królewska mość, nie znudziło!

— Kiedy nie, to się tłomacz, dlaczegoś bez nas drapnął? Mów, a prędko, bo z ciebie wszystkie wnętrzności wytrzęsę.

— No, to już powiem wszystko, uczciwie, jak się patrzy, powiem wszystko, jak było. Ten człowiek, który mnie trzymał, mówił mi, że miał takiego. samego chłopca, który mu umarł w przeszłym roku i dlatego przykro mu bardzo, że ja, rówieśnik tamtego, znajduję się w wielkiem niebezpieczeństwie. Otóż kiedy się tak wszyscy zdumiali, znalazłszy worek ze złotem, i zaczęli spieszyć do trumny, on puszcza moją rękę i szepcze do ucha: "W nogi, zmykaj. co masz siły, bo jakem żyw, tak cię powieszą. " Zmiarkowałem więc, że niema po co zostawać tam dłużej, że już nie jestem na nic potrzebny; a pocóż iść na szubienicę, jeżeli się można obejść bez tego? Biegłem więc, dopókim nie ujrzał łódki, a dopłynąwszy tu, zacząłem wołać na Jim'a, żeby się śpieszył z tratwą, bo złapią mnie jeszcze i powieszą. Powiedziałem, że nie wiedząc, czy wasza królewska mość żyje i co się stało z księciem panem, okropnie jestem zmartwiony. Jim zmartwił się także i teraz dopiero, zobaczywszy waszą królewska mość i księcia pana, ucieszyliśmy się okrutnie; Jim niech powie, że prawdę mówię.

Jim przyświadczył, ale król kazał mu zamknąć gębę i warknął:

— Znam ja waszą prawdę, znam!

I raz jeszcze wstrząsnął mną porządnie, oświadczając, że ma wielką ochotę wrzucić mnie w wodę i utopić, jak szczenię. Lecz wdał się w to ksiązę

— Dajże pokój chłopcu, ty stary idyoto! Czy tybys inaczej byt zrobił? Co? Szukałeś może chłopca, dopytywałeś się o niego, gdyś zmykał?

Puścił mnie więc król i zaraz kląć zaczął miasto ze wszystkimi jago mieszkańcami. I znów przerwał mu ksiązę:

— Lepiej byś zrobił, gdybyś siebie przeklinał, bo ci się to słusznie należy. Od samego początku wszystko, co robisz, niema i nie miało w sobie ani krzty sensu. To tylko jedno udało ci się, gdyś tak zuchwale wmawiać w nich zaczął, że nieboszczyk ma na piersiach strzałę błękitną. To ci się udało i to nas ocaliło! Bo gdyby nie twoja pewność siebie, byliby nas zamknęli do kozy i trzymali dopóty, dopóki by nie nadszedł bagaż tych przeklętych Anglików, a wtedy więzienie, bratku, lub dom kary! Aleś ty ich zwabił na cmentarz, dzięki czemu znalazło się złoto, które nam wyświadczyło przysługę jeszcze większą, bo gdyby ci narwańcy nie byli rzucili się do trumny, jak waryaci, to my przespaliibyśmy noc dzisiejszą w krawatach... i to powiadam ci w krawatach tak trwałych i mocnych, że jużbyśmy drugich w życiu nie potrzebowali.

Umilkli obaj na chwilę; zamyślili się jakoś. Aż wreszcie odzywa się król jakby do siebie:

— Hm! A myśmy myśleli, że złoto ukradli murzyni...

Zdrętwiałem cały, aż ciarki po mnie przeszły!

— A tak — odpowiada ksiązę — cedząc przez zęby wyrazy "myśmy myśleli. "

Po chwili król bąka:

— Przynajmniej ja tak myślałem.

A książę odpowiada tym samym tonem:

— Nie, to ja tak myślałem.

Więc król się niby nasrożył i woła:

— Słuchajno ty, Bridgewater, co to ma znaczyć?

A książę ostro mu odpowie:

— Kiedy już do tego przyszło, to jabym chciał zapytać, co ty chcesz przez to powiedzieć?

— Chciałbyś! — przedrwiwa z niego król — no, proszę! Chciałbyś, ale nie wiesz... I ja nie wiem.. może spałeś wówczas i nie wiedziałeś, co przez sen robisz.

Teraz już książę nie na żarty zaperzył się:

— Przestań pleść głupstwa — krzyknął — cóż to, za błazna mnie bierzesz? Dlaczegoż ja mam wiedzieć, kto schował te pieniądze do trumny?

— Dlaczego? Bo ja wiem, że ty wiesz. A wiesz dlatego, żeś je sam schował.

— Kłamiesz!

I rzucił się książę na króla, który krzyknął:

— Precz z rękami! Puść moje gardło! Cofam, com rzekł!

Książę popuścił nieco, ale wciąż trzyma go w rękach.

— Słuchaj — mówi — masz się przyznać do prawdy, żeś to ty schował te pieniądze z zamiarem porwania ich kiedyś ukradkiem.

— Puść, książę, kiedy ci mówi?... Odpowiedz mi szczerze i uczciwie na jedno pytanie:

— Czy tyś położył tam pieniądze? Powiedz, że nie, a uwierzę ci i cofnę wszystko, com powiedział.

— Nie położyłem, stary łotrze; ty wiesz dobrze, żeś nie położył. Słyszysz?

— No dobrze, dobrze, wierzę ci... Jeszcze na jedno pytanie daj mi odpowiedź... tylko, proszę cię, spokojnie, bez żadnych głupstw... Czyś nie miał zamiaru wziąć tych pieniędzy i ukryć?

Pomilczawszy chwilę, odparł książę:

— Mniejsza o to, czy miałem, czy nie miałem, dość, żeś tego nie uczynił. Ty zaś nietylko miałeś zamiar, lecz i spełniłeś go

— Niech żywy z tego miejsca nie zejde, jeżeli to prawda. Uczciwie mówię, żeś ich nie tknął. Nie powiadam, żeś ich wziąć nie chciał, bo chciałem. Lecz wyprzedziłeś.. chcę powiedzieć wyprzedzono mnie.

— Kłamstwo! To twoja sprawka i przyznaj się, bo..

I znów ścisnął króla za gardło, a ten dławić się zaczyna i bełkocze.

— Przyznaję się! To... to ja!

Bardzo był rad z tego przyznania; lekko zrobiło mi się na sercu. Książę puścił gardło króla i mówi:

- Jeżeli kiedy temu zaprzeczysz, to cię utopię. A teraz siedź tu i becz jak dziecko. To akurat dla ciebie, z takim, jak twoje, postępowaniem. Nigdy jeszcze nie widział takiego chciwca! Jak ten stary struś wszystkoby łykał, co mu pod oczy podpadnie! A ja mu ufałem, jak ojcu! Wstydzibyś się powinien, żeś stał i słuchał spokojnie, jak wszystko zwalają na biednych murzynów! I żeby choć słówko pisnął, ani mru-mru... I ja, głupiec, wierzyłem tej gadaninie... Teraz już rozumiem, dlaczego tak ci chodziło o pokrycie deficytu. Chciałeś wyciągnąć ze mnie wszystko, co do grosza, i wtedy dopiero dać drapaka.

Król, trochę jeszcze zasapany, odzywa się nieśmiało:

— Ale to ty, książę, powiedziałaś, że trzeba pokryć deficyt.

— Cicho bądź! Uszy mnie już bolą od słuchania twoich kłamstw... Dużoś na nich zarobił! Tamci odebrali wszystko swoje i jeszcze nasze w dodatku... na - sze wła -sne. Ruszaj spać i nie zawracaj mi głowy deficytami, bo tak się z tobą rozprawię, że mnie na całe życie popamiętasz!

Wsunął się więc król do budki i na pociechę wziął się do butelki. I książę też wziął się do swojej tak, że za pół godziny mieli już obaj dobrze w głowie. W miarę, jak tracili przytomność, coraz czulsi byli dla siebie, aż wreszcie zasnęli w swoich objęciacć. Okropnie się pokochali przy butelce, alem zauważył, że pomimo całej miłości, król pamięta o groźbie z powodu ukrycia worka w trumnie. I to prawdziwą było dla mnie pociechą. Ma się rozumieć, że gdy dobrze chrapać zaczęli, opowiedziałem Jimowi wszyściuteńko.

ROZDZIAŁ IX

PRÓBY I NARADY. — NIEMA JIM'A. — WIEŚCI OD JIM'A. — STARE WSPOMNIENIA. — HUCK WALCZY Z SUMIENIEM.

Przez wiele dni płynąc ciągle w dół rzeki, byliśmy już teraz na południu, bardzo daleko od domu i zaczynaliśmy spotykać coraz częściej drzewa obrosłe właściwym południowi mchem "hiszpańskim," którego długie zwoje spadają z gałęzi naksztalt bród siwych. Po raz pierwszy mech ten widziałem, okryte nim drzewa wyglądały uroczyście jakoś i posepnie. Król i księżę, spokojni już o swoją skórę, korzystać zaczęli z oddalenia od miejsca, w którym zdemaskowano ich oszustwo, i od czasu do czasu, gdyśmy przepływali obok wioski, próbowali, czy im się nie uda złupić z mieszkańców nieco grosza.

Rozpoczęli od odczytu o wstrzeźliwości, ale nie zebrali tyle nawet pieniędzy, żeby mogli upić się za nie. W innej znów wiosce otworzyli szkołę tańca, ale umieli tańczyć akurat tyle, co kangur, za pierwszym Więc popisem, cała publiczność w podskokach rzuciła się na nich, a oni w podskokach także — nie nader wdzięcznych — wynosić się musieli, nie tracąc czasu. Dalej znów chcieli dawać lekcye deklamacyi, ale po próbie bardzo krótkiej publiczność z miejsc się zerwała, deklamując im, żeby się wynosili. Wszystkiego próbowali: i kazań misyonarskich, i magnetyzowała, i leczenia, i przepowiadania, i różnych innych rzeczy, ale do niczego nie mieli szczęścia. Nareszcie, dawszy wszystkiemu za wygranę, leżeli po całych dniach na tratwie, nie mówiąc ani słowa, nie ruszając się z miejsca po całych godzinach, chmurni i zrozpaczeni.

Po kilku dniach z innej widać strony wiatr na nich powiał, bo coraz częściej wsuwali się do budki i szeptali coś z sobą po kilka godzin, naradzając się w wielkim sekrecie. Jim i ja zaczynaliśmy uczuć coś na kształt niepokoju, nie podobały nam się te narady. Baliśmy się tych szeptów, przypuszczając, że przy znowie tak tajemniczej napewno zamyślają uczynić coś gorszego, niż wszystko, co dotąd czynili. Po długich domysłach przyszliśmy do przekonania, że układają, jakby się włamać do cudzego domu czy śpichlerza, sfałszować pieniądze, lub coś w tym rodzaju. Lękaliśmy się też bardzo, zdecydowani, za nic w świecie, nie mieć nic wspólnego z ich łajdactwami, a pozbyć ich się przy lada jakiej sposobności; niech tylko gdziekolwiek wysiądą, my w drogę i... bądźcie zdrowi! Tak też zrobiliśmy.

Pewnego dnia, raniutko, po ukryciu tratwy w zaroślach, o dwie mile od maleńkiej wioseczki nazwiskiem Pikesville, król wysiadł na brzeg i poszedł do wsi, zapowiadając nam, żebyśmy nie pokazywali się wcale, dopóki on niepowróci.

— Idę — rzekł — przewąchać, czy nie doszły tu słuchy o naszych przedstawieniach teatralnych.

A ja sobie myślę: "Aha! Idziesz przepatrzeć, gdzieby kogo okraść, a gdy wrócisz, to w głowę będziesz zachodził, gdzie jesteście: Jim, ja i tratwa. Odchodząc dodał, że jeżeli nie wróci przed południem, to znak dla księcia i dla mnie, że wszystko idzie dobrze, że mamy natychmiast iść do niego.

Zostaliśmy więc na tratwie. Księżę kwaśny był czegoś i niespokojny, miejsca sobie znaleźć nie mogąc. "Oho! — myślę sobie — coś się gotuje." Rad więc byłem, że południe nadchodzi, a króla niema, przynajmniej będzie jakaś zmiana, a może i ta, najpożądana! Poszliśmy więc we dwóch z księciem na wieś i zaczęliśmy szukać naszego króla. Znajdujemy go wreszcie w jakimś mizernym szyneczku. Pijany, około niego gromada próżniaków, którzy go dla zabawy drażnią, a on im wymyśla, co ma siły, a ma jej niewiele, bo tak pijany, że się już na nogach trzymać nie może.

Książę, zobaczywszy to, zaczyna mu wymyślać od starych durniów, a tamten odcina się. Podczas kłótni zażartej wzięłem nogi za pas i co żywiej, jak ścigany *zając*, pędzę ku rzece, aby skorzystać ze sposobności i uwolnić się raz na zawsze od tych oszustów... No! — mówię sobie — niemało wody upłynie nim oni się z nami zobaczą. Dopadam wreszcie tratwy, zdyszany, uszczęśliwiony i krzyczę na cała gardło:

— Odwiążuj tratwę, Jim! Pozbyłem się ich nareszcie!

Ale nikt mi nie odpowiada, nikt nie wychodzi. Cóżby to znaczyć miało? Gdzie Jim? Jim'a niemal Wołam na niego raz, drugi, trzeci, biegam po lesie tam i napowrót, krzyżąc zawzięcie, wszystko napróżno... Niema Jim'a, niema! Rzuciłem się więc na ziemię i płakać zacząłem, nie wiedząc, co począć. Nie mogłem jednak siedzieć beczynnie. Zerwawszy się, biegnę drogą, a wciąż myśląc, gdzie Jim'a szukać.

Wtem spotykam jakiegoś chłopca. Zapytuję go więc, czy nie spotkał murzyna, nie tutejszego, w zabawnym ubraniu?...

— Spotkałem.

— Gdzie? Zaraz gadaj gdzie?

— O dwie mile ztąd, nieopodal domu Silas'a Phelps. To zbiegły murzyn. Złapano go i zabrano. Szukasz go?

— Ani myślę. Parę godzin temu spotkałem go w lesie, groził mi, że wnętrzości ze mnie wyporze, jeśli śledzić go będę. Kazał mi położyć się i leżeć na miejscu nieruchomo. Musiałem go usłuchać, bom się bał.

— No, kiedy tak, to nie. masz się czego obawiać, bo murzyn złapany. Z dalekich stron przyjść tu musiał?

— Dobrze się stało, że go ujęto!

— Ma się rozumieć. Dwieście dolarów nagrody weźmie ten, kto go odda w ręce władzy. To tak, jak gdyby na drodze znalazł pieniądze.

— A jakże! Gdybym był większy, to wziąłbym nagrodę, bo ja go pierwszy zobaczyłem. Kto złapał murzyna?

— Stary jakiś, nietutejszy i prawo swoje do nagrody odstąpił za czterdzieści dolarów, bo powiada, że śpieszno mu odpłynąć dziś jeszcze i nie ma czasu czekać. Jak ci się to podoba? Żeby tak na mnie, tobym czekał choć siedem lat.

— O! i ja także. Ale kiedy tak tanio sprzedał swoje prawo, to może sam czuje, że ono nie warto więcej. Może on tam coś pokręcił ten stary?

— Ale gdzieżtam, wszystko jasne jak na dłoni. Sam widziałem ogłoszenie. Opisany tam murzyn, jak żywy, powiedziano nawet, z jakiej pochodzi plantacji, gdzieś zdaleka, po za Nowym Orleanem. Nie, możesz być spokojny, wszystko w porządku. Nie masz ty czasem szczypty tytoniu? — Nie miałem ani zdźbła, rozstaliśmy się więc niebawem. Wróciwszy na tratwę, schowałem się do budki, żeby wszystko dobrze obmyśleć. Ale myśli nie przychodziły, pomimo, że mi głowa pękała od wysiłku. Po tak długiej podróży, po wszystkim, cośmy dla tych niegodziwców uczynili, wszystko się wniwecz obróciło, dlatego, że mieli serce za głupie czterdzieści dolarów zaprzedać Jim'a na całe życie obcym ludziom.

Przyszło mi na myśl, że tysiąc razy lepiej będzie Jimo'owi powrócić tam, gdzie ma rodzinę i wśród swoich być niewolnikiem, skoro koniecznie zostać nim musi. Już miałem napisać do Tomka Sawyer, żeby oznajmił miss Watson, gdzie się Jim znajduje, ale odrzuciłem ten projekt z dwóch przyczyn. Raz dlatego, że oburzona jego nieuczciwością i niewdzięcznością, której złożył dowody, uciekając od tak dobrej pani, zaraz go natychmiast odprzeda i to na południe, bo tu najwięcej poszukiwani są

niewolnicy. A po drugie, choćby go nawet nie sprzedała, to każdy będzie pogardzał niewdzięcznym murzynem i da mu to uczuć. Wreszcie, jakżebym ja wyglądał! Rozniosłoby się po całym świecie, że Huck Finn dopomagał murzynowi do ucieczki i gdybym jeszcze kiedy spotkał kogoś ze stron rodzinnych, to spaliłbym się ze wstydu. Im dłużej zastanawiałem się nad tem, a sumienie dokuczało mi silniej, tem gorszy się czułem i nikczemny. A gdym nareszcie zrozumiał, że dłoń Opatrzności otwiera mi oczy na zdrożne moje postęпки, na które spoglądał ktoś z nieba, to zamierałem ze strachu, czując, że patrzy na mnie to oko ciągle i oddawna, i że widziało, jak wykradałem murzyna biednej kobiecie, która mi nigdy nic złego nie uczyniła. Usiłowałem więc, o ile mogłem, przebłagać Opatrzność, tłómacząc się swem wychowaniem zaniedbanem i nieszczęsnymi przeszkodami, lecz głos jakiś wewnątrz uparcie mi szeptał: "Nieprawda, miałeś szkołę niedzielną, mogłeś do niej chodzić, a gdybyś był chodził, to byłbyś wiedział, że kto tak działa, jak ty z murzynem miss Watson, ten zasługuje na ogień wieczny. "

Dreszcze chodziły po mnie i postanowiłem odtąd modlić się. Może też będę choć trochę lepszy.

Ukląknęłem więc do pacierza, ale nie mogłem sobie przypomnieć ani słowa Dłaczego? Albo ja wiem... Nie mogłem i już! Na nic się nie zdało udawać, że pacierz mówię, bo niepodobna było ukryć przed Nim, że go zapomniałem. Siebie również oszukać nie mogłem, bom wiedział przecie dlaczego ani jedno słowo nie przychodzi na myśl. Oto dlatego, że sumienie moje nie było czyste, że nieprawość ciążyła na mojem sercu, że okłamywałem samego siebie. Bo udawałem wprawdzie, że zrywam z dawną niegodziwością, ale w najciemniejszej kryjówce duszy trzymałem się grzechu oburącz i to największego ze wszystkich. Niby to chciałem powiedzieć ustami, że postąpię, jak się patrzy, uczciwie, że napiszę do obecnego właściciela Jim'a i doniosę, czym jest niewolnikiem, ale głos wewnętrzny mówił mi jasno, że usta kłamią — a On wiedział tezo tem. Nie można kłamać w pacierzu, przekonałem się o tem osobiście.

Pogrążony więc byłem w strapieniu po uszy, i sam nie wiedziałem co dalej czynić. Przyszła mi wreszcie myśl dobra, żeby po napisaniu do miss Watson spróbować pacierza. Po tem postanowieniu odrazu uczułem się lekki jak piórko, wszystkie moje utrapienia znikły bez śladu. Wziąłem więc kawałek papieru, ołówek i napisałem, co następuje:

"Miss Watson! Murzyn Jim, który uciekł od pani, jest tu o dwie miłe od Pikesville, kupił go pan Phelps i odda go, jeżeli mu pani zwróci koszta i przyśle po niego
Huck Finn "

Po napisaniu tego listu po raz pierwszy w życiu miałem to przekonanie, że zupełnie uczciwy ze mnie chłopiec, że nic nie ciąży mi na sumieniu. Czułem też, że teraz potrafię się modlić. Ale nie zaraz to uczyniłem; położywszy ćwiartkę przed sobą, zacząłem rozmyślać nad tem, jak to dobrze, że tak się wszystko złożyło i że ujdę zatracenia wiekuistego. Po chwili jednak stanął mi Jim, jak żywy, przed oczyma i przypomniiał mi się cały ów czas z nim razem na wodzie spędzony dnie, noce, wieczory księżycowe, ulewy i burze. To pogoda, to nawałnica, to ciemność, choć oko wykol, to blask taki, że oczy mrużyć potrzeba, a my sobie płyniemy wśród rozmowy, śmiechu, śpiewów i żartów na swobodzie!

I jakoś nie mogłem natrafić na tę rację, z powodu której miałbym okazać się nieżyczliwym dla Jim'a Przeciwnie, wszystkie, które mi do głowy przychodziły, przemawiały za nim jedynie.

Przypominało mi się, jak odbywszy swoje godziny warty, zamiast mnie na zmianę zawołać, sam pozostawał, by mnie oszczędzić; jak się ucieszył, gdy rozłączeni podczas mgły, odzyskaliśmy siebie nawzajem, jak mnie witał serdecznie po mym powrocie, gdy on się ukrywał w trzęsawisku, a ja

używałem wczasu i zabawy; jak mnie pieścił, nazywał "kochaniem, " "gołąbkim," jak mi zawsze usługiwał, dogadzał; jak dobrym był dla mnie. A w samym końcu przypomniało mi się, że go ocalił, wymyśliwszy ospę na pokładzie. Jak on mnie ścisnął, nazywając swoim przyjacielem najlepszym i jedynym, bo w zak nikogo nie miał na świecie. I właśnie myśląc o tem, spojrzałem na ćwiartkę z paru wierszami do miss Watson.

Ciężka to była chwila. Wziąłem ową ćwiartkę i długi czas trzymałem ją w rękach, które jak liść mi drżały, bo teraz trzeba było na prawo, czy na lewo wybierać nieodwołalnie raz na zawsze. Po kilku minutach walki wewnętrznej rzekłem do siebie:

— No, stało się! Niech tam już idę do piekła!

I podarłem list na kawałki.

Straszno mi pomyśleć o tem, a cóż dopiero wymówić takie słowa, a jednak wyrzekłem je, wiedząc, że ich nie cofnę, że nawet o cofnięciu postanowienia myśleć nie będę. Wszystko, com już przemyślał, wyrzuciłem z głowy, powiedziałem sobie, że gdy niema na to rady, muszę powrócić do złego.

Nie mogę być uczciwym, bo nie chowano mnie na uczciwego, lecz na nicponia i takim też widać pozostanę. A skoro tak być już musi, to się zabiorę do roboty i wykradnę Jim'a z niewoli.

Zacząłem tedy szukać sposobów dopięcia celu. Z pośród różnych myśli jedna przypadła mi wreszcie do smaku. Upatrzywszy wśród wysepek jedną na uboczu, więcej od innych zdrzewioną, o zmroku prześlizgnąłem się do niej, tratwę ukryłem wśród gęstwiny, a sam poszedłem spać w krzaki. Spałem noc całą, jak zabity, a świt już mnie zastał na nogach. Posiliwszy się, włożyłem ubranie najporządniejsze i z zawiniątkiem różnych drobiazgów popłynąłem łódką ku lądowi. Wysiadłszy niedaleko miejsca, w którym, według mnie, powinien był znajdować się dom Phelps'a, ukryłem zawiniątko w krzakach, w łódkę zaś, obciążoną kamieniami, nalałem wody. Miejsce dobrze sobie zapamiętałem; łódka została pod wodą o ćwierć mili może od niewielkiego tartaka parowego, nad samym brzegiem.

Uczyniwszy to wszystko, wyszedłem na drogę. Przechodząc koło tartaka, widzę napis: "Tartak parowy Szymona Phelps. "

Zadowolony z siebie, maszeruję dalej, zmierzając ku folwarkowi, odległemu o paręset sążni. Małom oczu sobie nie wypatrzył, rozglądając się pilnie dokoła siebie, ale chociaż dzień już był jasny, nie dostrzegłem żywej duszy. Nic mi na tem jednak nie zależało, chciałem tylko przypatrzeć się dobrze miejscowości. Miałem bowiem zamiar powrócić tutaj, nie od strony rzeki, lecz od miasteczka, które widać było nieopodal. Zakarbowawszy więc sobie w pamięci szczegóły położenia, idę do miasta. Pierwsza osoba, którą spotykam na ulicy, to — książę! Oczom własnym nie wierzę, a jednak to on, we własnej swojej osobie, rozlepia afisze na widowisko, "jakiego jeszcze nie widziano, " zupełnie jak wtedy, kiedy to ledwo z życiem uciekli... Że też tacy nicponie wschodzą tam, gdzie ich nie posiano! Tak wpadłem na niego niespodzianie, że na ukrycie się nie było czasu. Książę, zdziwiony wielce, pyta:

— A ty z kąd się tu wzięłeś? gdzie tratwa, czy w dobrym miejscu schowana?

— O to właśnie pytać miałem waszą książęcą mość — odpowiadam.

Przeciągnęła mu się mina, gdy to usłyszał i rzecze:

— Z kądże ci przyszło do głowy mnie o to pytać?

— Ano — rzekę — wczoraj, gdyśmy króla znaleźli w szynkowni, nie przypuszczając, żeby powrócił tak prędko, poszedłem wałęsać się po mieście dla zabicia czasu, w oczekiwaniu hasła powrotu. Tymczasem nadszedł jakiś człowiek i przyrzeka mi dziesięć centów, jeśli mu pomogę przeprowadzić barana na drugą stronę rzeki. Ja na to, jak na lato. Poszedłem, ciągniemy barana z całych

sił, ten się opiera, więc ów człowiek daje mi sznur, mówiąc: "Trzymaj mocno, a ja go będę próbował popychać z tyłu. " — Dobrze! Więc ciągnę za sznur, ale bydlę przekłete silniejsze odemnie. Wyrwał mi się i w nogi, a my za nim... Nie mieliśmy psa, więc trzeba było uganiać się za nim po polach, nie wiem, jak długo. Schwytawszy go wreszcie, gdy już było porządnie ciemno, dobiliśmy szczęśliwie do miejsca. Wracam z dziesięcioma centami w kieszeni i ruszam prosto do tratwy Ale gdym zobaczył, że jej niema, byłem zgnębiony. Nic innego, myślę sobie, tylko nawarzyli tam piwa i zmuszeni do ucieczki, zabrali z sobą mego murzyna, jedynego murzyna., jakiego miałem... Co ja tu zrobię nieszczęśliwy! Usiadłszy, zacząłem płakać, a potem całą noc przespałem w lesie... Ale cóż się z tratwą stać mogło? i z Jim'em, z biednym moim Jim'em?

— Bodajem skisł, jeżeli wiem, co się stało z tratwą. Ten stary dureń zrobił jakiś interes, za który dostał czterdzieści dolarów, ale kiedyśmy go znaleźli w szynkowni, już większą część przegrał w zakłady, a resztę przepił do ostatniego centa. Po powrocie wieczorem nad rzekę nie zastawszy tratwy, powiedzieliśmy sobie: "Ten mały nicpoń skradł naszą tratwę, porzucił nas tutaj, a sam uciekł."

— Czyżbym ja porzucił swego murzyna, jedynego murzyna, jaki mi został? Nic więcej nie posiadam na świecie!

— O tem nie myśleliśmy jakoś. Co prawda, przywykliśmy uważać go za swego. Tak... za swojego... Bóg jeden wie, ile on nam przyczynił ambarasu... Ale widząc, że tratwy niema, żeśmy osadzeni na koszu, musieliśmy ogłosić trzy przedstawienia... Com ja się nakręcił i nalatał, aż mi w gębie wyszło od gadania. Gdzie masz owe dziesięć centów?

Grosza mi nie brakło, daję mu tedy dziesięć centów, lecz proszę, żeby kupił za nie coś do jedzenia i podzielił się ze mną, bo to są jedyne pieniądze, jakie posiadam, a od wczoraj nic w ustach nie miałem.

Nie odrzekł na to ani słowa, tylko, pomilczawszy chwilkę, pyta:

— Jak ci się zdaje? Nie nagada na nas ten murzyn? Obdarłbym go żywcem ze skóry!

— Jakże może nagadać? Uciekł przecie!

— Nie uciekł! Ten stary dureń sprzedał go, nie podzielił się ze mną i pieniądze stracił co do grosza.

— Sprzedał! — powiadam i w płacz. — Jakże go mógł sprzedać? To mój murzyn, pieniądze są moją własnością.. Gdzie mój murzyn? Ja chcę swego murzyna!

— Niema twego murzyna i nie dostaniesz ani jego, ani pieniędzy, przestań więc beczeć. Słuchaj, może tobie przyszło do głowy wydać nas? Nie mam jakoś zaufania do ciebie... Powiadam ci, gdybyś to zrobił...

Urwał, ale nigdy jeszcze nie widziałem w jego oczach tak szkaradnego spojrzenia. Szlocham więc w dalszym ciągu i mówię:

— Nikogo wydawać nie będę... Nie mam czasu myśleć o tem. Muszę wrócić tam, gdzieśmy wczoraj byli, i szukać swego murzyna.

Musiały go łązy moje rozrzewnić, bo stojąc z całym stosem afiszów, które mu wiatr rozwiewał, myślał, czoło marszczył, aż wreszcie rzekł:

— Powiem ci coś. Chcemy tu zabawić trzy dni. Jeżeli dasz słowo, że będziesz trzymał język za zębami i że murzynowi gadać nie pozwolisz, to ci powiem, gdzie go możesz znaleźć.

Dałem słowo, na co on znów:

— Właściciel folwarku nazwiskiem Silas Ph... — i nagle zamilkł. Miał widocznie zamiar powiedzieć prawdę, ale się wstrzymał, znów zaczął myśleć i już pewien byłem, że zamiar zmieni.

Jakoż tak było. Nie dowierzał mi i chciał się upewnić, że nie będę mu stawał na drodze przez trzy

dni. Niebawem więc rzecze:

— Nabył go właściciel folwarku, nazwiskiem Abraham Foster, uważaj: Abraham G. Foster. Mieszka o czterdzieści mil ztąd, w głąb kraju, na drodze do Lafayette.

— Doskonale! — powiadam uradowany — za trzy dni będę już tam. Dziś wieczorem puszczam się w drogę.

— Nie nad wieczorem, ale natychmiast. Nie trać czasu, nie zwlekaj, nie bałamuć się w drodze; idź prosto przed siebie, a język trzymaj za zębami, bo inaczej będziesz miał ze mną do czynienia. Słyszysz, co mówię?

Tego mi tylko było potrzeba. Chciałem mieć ręce rozwiązane i swobodę wykonania swych planów

Poszedłem więc we wskazanym kierunku. Nie oglądając się, czułem, że książę mnie śledzi. Wywiodę ja cię w pole — myślałem w duchu. Nie zatrzymując się przez jakąś milę, zawróciłem w końcu i okrążając lasem poszedłem w stronę Phelps'a. Nie miałem bynajmniej zamiaru łamać danego słowa i wydawać oszustów w ręce władzy, ani też nie pozwoliłbym na to Jim'owi. O jedno mi tylko chodziło: raz na zawsze zejść im z drogi i nigdy już nie oglądać ich krolewsko-książęcych mości.

ROZDZIAŁ X

FOLWARK PHELPS'A. — "TO TY?" — CIOTKA TOMKA SAWYER.

Gdym stanął wreszcie na folwarku Phelps'a, zastałem tam taką ciszę, jakby to była niedziela, nie dzień powszedni.

Wszyscy robotnicy byli w polu, słońce piekło jak ogniem, a w powietrzu unosiło się to leciutkie brzęczenie owadów i muszek, które, gdy gdziekolwiek styszę, to zdaje mi się, że tam już niema żywej duszy, że albo wszyscy gdzieś poszli, albo wymarli. A wtedy nawet, gdy się wiatr podniesie i zaszeleści listkami, to jeszcze mi smutniej, bo mniemam, że to duchy, dawno umarłe, coś o mnie szepczą. Taki mnie smutek wówczas ogarnął, że wolałbym nie być na świecie.

Folwark Phelps'a był jedną z tych małych plantacyj bawełny, którą koń jeden obrobić może. Wszystkie one do siebie podobne: duże podwórze, otoczone rowem, a nad nim coś nakształt ogrodzenia z pni przepiłowanych i zaostzonych na końcu, ale nierównej długości, tak, że wyglądają jakby ustawione rzędem beczułki niejednakowego wymiaru. Podobne ogrodzenie do tego głównie służy, aby stanawszy na pniaku, łatwiej rów przeskoczyć, albo — kobiecie naprzykład — sięść na konia bez żadnej pomocy.

Na rozległym dziedzińcu widać było tu i owdzie niewielkie, pożółkłe od skwaru trawniki, lecz przeważnie był pusty i z wszelkich ozdób ogołocony. W głębi dziedzińca stał wielki, porządny dom właścicieli, zbudowany z bierwion, to jest grubych pni, ociosanych z kory i na pół przepiłowanych. Szpary pomiędzy niemi zatyka się gliną, albo mieszaniną wapna, gliny i piasku. Domy takie, od czasu do czasu bielone wapnem, mają na ścianach ładne białe pasy. Nieco dalej kuchnia, cała z okrągłaków, połączona z domem szeroką galeryą dachem krytą; za kuchnią wędzarnia, jeszcze dalej trzy małe chaty z okrągłaków, przeznaczone dla murzynów, w głębi zaś, nad samym rowem, stojąca na uboczu chatka tak mała, że budką nazwać ją można, a tuż obok dół ocembrowany do zsypywania popiołu, oraz ogromny kocioł do warzenia mydła. Pod ścianą kuchni długa, wkopana w ziemię ławka, na niej wiadro wody i tykwa, zastępująca miejsce kubka; pod ławką pies śpiący a opodal kilka innych psów, również śpiących. W jednym z rogów dziedzińca trochę drzew, nad rowem rząd porzeczek i agrestu, za nim ogród i grzędy kawonów a dalej pole bawełny. Za polem niema nic, prócz puszczy, w której zwartym szeregiem stoją drzewa.

Obszedłszy wokoło całą zagrodę, dostałem się do wnętrza przez ogrodzenie, tuż obok dołu na popiół. Idę w stronę kuchni, a im więcej się zbliżam, tem wyraźniej słyszę skrzypiący turkot kołowrotka.

Coś w nim zepsutego być musiało, bo jęczał, skrzypiał, zgrzytał aż uszy bolały!

Idę prosto do kuchni, bez żadnego zamiaru wyraźnego, ufając tylko Opatrzności, która, jak zauważyłem, sama sobie pozostawiona, zawsze mi dobrze podpowiada.

Gdym był zaledwie o kilkanaście kroków od kuchni, jeden z psów, zbudzony memi krokami, podniósł się, przeciągnął i wpada na mnie a za nim, drugi, trzeci i cała zgraja.

Wkrótce podobny byłem do sztorcem stojącej osi, wokoło której kręcą się ruchome, kosmate szprychy. A zbiegało ich się coraz więcej: z za ogrodzenia, z rowu, z pod ścian, ze wszystkich kątów powyłaziło tego co niemiara, rozmaitego wzrostu, gatunku i szerści, lecz wszystkie jednakowo wściekle jakbym im, Bóg wie co uczynił.

Usłyszawszy to ujadanie, wybiegła z kuchni murzynka z wałkiem od ciasta w ręku: "A poszły! Poszedł, Tygrys! Leżeć, Plama! Poszły, psiska! Dam ja wam!" Jednego psa wałkiem po grzbiecie,

drugiego ręką za kark, trzeciego nogą gdzie popadło, aż odskoczyły wszystkie skomlać żałośnie. Po chwili polowa napastników powróciła, machając przyjacielsko ogonami i łasząc się do mnie. Zaraz też na oczekaniu nastąpiło przyjazne zbliżenie, bo tak w psie" jak i we mnie, niema ani krzty złości.

Za murzynką wybiegła z kuchni mała murzyneczka i dwóch mniejszych od niej chłopaczków; wszystko gole, ręcznikami tylko przepasane, przyczepiło się do spódnicy matczynej i z za niej wychylając główki, przypatruje mi się ciekawie, jak to zwykle czynią murzynięta. Wreszcie wybiega z dworu pani (biała, ma się rozumieć), czterdziesto-kilkoletnia kobieta, z gołą głową, z wrzecionem w ręku, w towarzystwie dwojga, czy trojga białych dzieci, które przypatrują mi się, tak samo, jak i czarne. Biegnie pani do mnie, zdyszana a uśmiechnięta i woła:

— To ty! Nareszcie! To ty!

— To ja, pani! — wyrwało mi się, zanim zdążyłem zebrać myśli.

A pani bierze mnie za szyję, ściska, wzrokiem pożera, łyzy leje, jakby się ze mną nacieszyć nie mogła i wciąż powtarza:

— Nie jesteś tak podobny do matki, jak przypuszczałam, ale mniejsza o to! Tak jestem szczęśliwa, że cię nareszcie widzę! Chłopcze mój drogi, napatrzeć się na ciebie nie mogę! Dzieci, patrzcie, to wasz braciszek Tom! Przywitajcie go prędeży!

Ale dzieci pospuszczały głowy, powkładaly palce do ust i wciąż się za matkę chowają. Więc ona:

— Elżuniu, pobiegnij-no i każ przygotować śniadanie. Tylko prędko! A możeś ty już jadł na statku?

Gdym potwierdził, wzięła mnie za rękę i prowadzi do domu w towarzystwie dzieci podskakujących. W pokoju, sadza mnie na krześle wyściełanym, a sama siadając na ławeczce niskiej i biorąc obie moje ręce, mówi:

— No, teraz, to już ci się napatrzę dowoli. Mój Boże, ilem to ja się nawyglądała ciebie, jak spragniona byłam twego widoku! Tyle lat, tyle lat! Mam cie nareszcie! A czy wiesz, że od trzech dni spodziewaliśmy się ciebie lada chwila? Dlaczego się spóźniłeś? Może okręt... ?

— Ta-ak, proszę pani...

— Nie mów: proszę pani, mów: proszę cioci. Ciocia. Tak, ciocia Salcia. Więc rozbił się statek? czy na mieliznie osiadł?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, nie mając pojęcia, z kąd miał przybyć okręt oczekiwany, z góry rzeki, czy z dołu.

— E, mielizna to nic — odpowiedziałem po namyśle. — Nie przez nią straciliśmy tyle czasu. Gorszy był wypadek: kocioł nam pękł.

— Boże miłosierny! Pozabijał ludzi?

— Nie, nikogo; murzyna tylko zabił.

— Chwałaż Bogu. Wujaszek Silas codziennie jeździł do miasta po ciebie. I teraz pojechał, godzinę temu, dwie może, lada chwila powróci. Możeś go nawet spotkał na drodze? Musiałeś spotkać: niemłody już człowiek, z długą...

— Nie, nie spotkałem nikogo, ciociu Salciu. Ponieważ parostatek przyplłynął o świcie, przeto ja, zostawiwszy rzeczy na przystani, poszedłem przejść się trochę, nie chcąc tu przybyć zawczasie.

— A komu kazałeś pilnować rzeczy?

— Nikomu.

— Cóżeś ty zrobił! Ukradną!

— Nie, ciociu, są w dobrym miejscu.

— Jak je się więc stało, że jadłeś tak rano gorące śniadanie?

Widząc, że łód podemną trzeszczeć zaczyna, brnę dalej:

— Kapitan wziął mnie z sobą do oficerskiej jadalni i doskonale miałem śniadanie.

Taki się czułem nieswój, że nie mógł usiedzieć Ciągłe zerkałem na dzieci, myśląc, że jeżeli mi się uda pomówić z nimi na stronie, to wyciągnę; z nich gdzie jestem i jak się nazywam. Ale nie było sposobu; pani Phelps mówiła i mówiła bez ustanku. Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach, gdy usłyszał.

— Ale my tu gawędzimy i gawędzimy, a nie powiedziałeś mi jeszcze ani słowa o swoich. Musisz powiedzieć o każdym z osobna wszystkie szczegóły, jak się mają, jak wyglądają, co robią, co ci kazali nam powiedzieć?... Wszystko mów, co ci na myśl przyjdzie!

Widzę, że ugrzązłem bez ratunku, że Opatrzność odstała mnie już najzupełniej. Nie mając żadnego wyjścia już otwierałem usta, by wyznać prawdę, gdy "ciotka" wpycha mnie gwałtem za łóżko i mówi:

— Idzie! Idzie! Schył głowę... niżej... jeszcze... ot, tak! Teraz cię nie zobaczy... Nie odzywaj-że się i nie ruszaj... Zwiodę go... Dzieci, żebyście mi ani słowa nie mówiły.

— Masz tobie! — myślę — nowa bieda! — Ale cóż miałem robić? Trzeba się było schować i stać cicho w oczekiwaniu na piorun, który w końcu musiał uderzyć.

Raz tylko zerknąłem okiem w stronę drzwi i ujrzałem niemłodego już pana. "Ciocia" zrywa się z miejsca, biegnie ku niemu i pyta:

— Cóż, przyjechał?

— Nie — odpowiada małżonek.

— Wielki Boże! Cóż się z nim stać mogło?

— Nie mam pojęcia — odpowiada niemłody pan — i muszę przyznać, że zaczynam być bardzo niespokojny.

— Niespokojny! — podchwyciła ciocia. — Ja głowę też tracę... Musiał przyjechać... minąłeś się z nim na drodze... Pewna jestem, że tak... coś mi powiada, że przyjechał.

— Ależ, Salciu, nie mogłem się z nim minąć. Sama wiesz, że nie mogłem.

— Boże mój, Boże! Co na to powie moja siostra? Przyjechał, ręczę, że przyjechał. Minąłeś się z nim... Nie zauważyłeś...

— Nie męcz-że mnie, Salciu, i tak już zmęczony jestem niepokojem. Sam nie wiem, co mam o tem myśleć, co mam czynić... Jestem więcej niż niespokojny, jestem zmartwiony... Tak, zmartwiony... Niema wątpliwości, że nie przyjechał... Salciu... ciężko mi to powiedzieć... ale chyba z okrętem zdarzyło się jakie nieszczęście! Ach! to okropne!

— Silas! Silas! — przerwała mu "ciotka" — spójrzno w okno! Kto to tam idzie drogą?

Pan domu poskoczył do okna, znajdującego się w głowach łóżka, z czego natychmiast skorzystała jego małżonka. Zbliżywszy się do mnie, ukrytego za kotarą w nogach łóżka, szybko szturchnęła mnie w ramię i pociągnęła za rękaw. Zrozumiałem, co to ma znaczyć, to też gdy "wujaszek Silas", nic na drodze nie ujrzawszy, odwrócił się od okna, zobaczył przed sobą żonę, ' tak rozjaśnioną, jak dom, z którego okien bucha płomień pożaru, a obok ciotki — mnie, stojącego z miną potulną i kroplami potu na czole. Wytrzeszczył tedy oczy i pyta

— A to kto?

— Jak ci się zdaje?

— Pojęcia nie mam. Kto jest ten chłopaczek?

— *Tomek Sawyer!*

Usłyszawszy to, osłupiałem ze zdumienia. Zdawało mi się, że i podłoga drgnęła podemną. Nie było jednak czasu dziwować się, bo stary Silas złapał mnie za rękę i trząśł nią, jak gruszą, z radości,

żona zaś dreptała w kółko, śmiejąc się i płacząc jednocześnie; i oboje zasypywali mnie pytaniami: co porabia ten? jak się ma tamta? i t. d.

Radość ich, jakkolwiek silna, była niczem w porównaniu z moją, gdym się nareszcie dowiedział, swego nazwiska. Jak sople dachu, tak oni mnie się trzymali co najmniej ze dwie godziny, a w końcu, gdy już szczękami ruszać nie mogłem, wiedzieli o mojej rodzinie — a raczej o rodzinie Sawyer'ów — daleko więcej, niż się mogło przytrafić sześciu rodzinom. Wytłomaczyłem im także przyczynę mego opóźnienia, opowiedziawszy o pęknięciu kotła i jego trzydniowej naprawie. Poszło to gładko, jak chleb z masłem.

Teraz więc czułem się zupełnie spokojny i zadowolony; dolegała mi tylko myśl jedna, że przestanę być Tomkiem Sawyer, skoro tylko *zagwiżdże* pierwszy parowiec. A wówczas co będzie? Tomek wpadłszy do pokoju, zawoła do mnie "Huck! ty tu?" zanim ja zdążę mrugnąć na niego. Co wtedy będzie? Ponieważ jednak na to nie byłoby rady, przeto postanowiłem nadrabiać miną i wyjść na spotkanie Tomka.

Jakoż, otrzymawszy pozwolenie na wyjazd po rzeczy, które zostały na przystani, siadłem do lekkiego wózka — i pojechałem.

ROZDZIAŁ XI

NIE KONIO — ALE MURZYNOKRADY. — GOŚCINNOŚĆ POŁUDNIOWCÓW. — "TY, NIEGODZIWY SMARKACZU!" — W SMOLE I W PIERZU.

Ruszam tedy do miasta i w połowie drogi widzę nadjeżdżający wózek, a na nim.. któżby inny, jak nie Tomek? Tomek Sawyer! On sam we własnej osobie. Przystanąłem, czekam aż się zrównamy i wołam: "Stój!"

Wózek staje, Tomek spostrzega mnie, roztwiera usta na oścież, jak wjazdową bramę, i już ich potem nie zamyka. Parę razy z trudem przełyka ślinę, jak ktoś, komu w gardle zaschło, poczem odzywa się:

— Ja... ja ci nigdy nie zrobiłem nic złego... Sam wiesz, że nie! Więc czemu... czemu powracasz z... tamtego... z tamtego świata i do mnie przychodzisz?

A ja mu na to:

— Nie powracam wcale, bo tam nie chodziłem.

Usłyszawszy głos mój, ochłonął nieco z przerażenia, lecz choć niezupełnie przyszedł do siebie, mówi:

— Nie żartuj ze mnie, bo jabym z ciebie nie żartował. Powiedz, jakieś porządny chłopak, nie jesteś duchem?

— Jakem porządny chłopak, nie jestem duchem.

— No... kiedy tak., to wierzę ci... Wierzę, nie mogę jednak zrozumieć... Więc nie byłeś zabity? Nigdy? Ani trochę?

— Nigdy, ani trochę; słowo ci na to daję. Tak tylko wszystko urządziłem, żeby myślano, żem zabity. Zejdź z wózka i pomacaj mnie; przekonasz się, żem żywy.

Usłuchał wezwania i to go zupełnie zadowolniło. Wtedy dopiero sam już nie wiedział, co ma czynić z radości. Odrazu też chciał się wszystkiego dowiedzieć: jakim sposobem zdołałem uciec, z kąd się tu wzięłem i t. d. Ale że to była długa historia i sekret wielki, nie mogłem więc opowiedzieć mu wszystkiego w dwóch słowach i na gościńcu. Odłożywszy na później opowiadanie, wzięłem tylko Tomka na stronę, żeby mu wyznać swój kłopot.

— Jak ci się zdaje, Tomku, co teraz robić?

— Daj mi pomyśleć chwilę i nie przeszkadzaj — odrzekł.

Milczeliśmy obaj przez kilka minut, poczem zawołał Tomek:

— Już wiem, co zrobić. Weź mój kuferek na swój wózek i zawróć do domu, jadąc noga za nogą, żebyś tak przyjechał, jakbyś naprawdę był w mieście. Ja zaś wrócę w stronę miasta, pomarudzę trochę i przyjadę na folwark w pół godziny po tobie. Z początku będziesz udawał, że mnie nie znasz.

— Dobrze — mówię — ale poczekaj-no chwilę. Jeszcze ci coś powiem; czego nikt nie wie, prócz mnie. Widzisz, Tomku, jest tu murzyn, którego chcę wykraść. Jim mu na imię, Jim starej miss Watson, pamiętasz?!...

— Co? — przerywa Tomek — Jim! Ależ on jest...

Tu przerwawszy sobie, zamyślił się.

— Wiem, co chcesz powiedzieć — mówię — że to niegodziwość i podłość kraść murzyna. Ale cóż z tego? Czując ohydę swojego czynu, wykradnę Jim'a, a ty siedź cicho i ani mru-mru... Dobrze?

Jemu aż oczy błysnęły.

— Dobrze! — powiada — ja ci pomogę.

Aż mi się w głowie zakręciło, gdym to usłyszał. Nie spodziewałem się czegoś podobnego i — jeżeli mam prawdę powiedzieć — to Tomek Sawyer znacznie stracił w mojej opinii. Tylko, że nie bardzo temu wierzyłem. Niech tam już ja — ale Tomek Sawyer murzynokradem!

— Et! — powiadam — żartujesz!

— Nie żartuję.

— Żartujesz, czy nie, proszę cię, jeżeli usłyszysz cokolwiek o murzynie, którego poszukują, jako zbiegłego z plantacyj, to nie zapomnij pamiętać, że ty nic a nic o nim nie wiesz, tak samo zresztą jak i ja.

Wzięliśmy tedy kuferek i przełożyli go na mój wózek, poczem rozjechaliśmy się, każdy w swoją stronę. Taki byłem uradowany i tyle myśli cisnęło mi się do głowy, że na śmierć zapomniawszy jechać wolno, przybyłem do domu za wcześnie. Wujaszek, stojąc we drzwiach, powiada:

— No, no! Cud prawdziwy! Ktoby się był spodziewał, że ta klacz dokaże takiej sztuki. Na wyścigach biegaćby mogła! Żeby choć jeden włoszek miała mokry, a to nic — ani kropli potu! Nigdy nie myślałem, żeby tak znakomicie chodziła! O! teraz daję słowo, nie wzięłbym za nią stu dolarów, gdy pierwej byłbym ją oddał za piętnaście, przekonany, że i tego nie warta.

I na tem się skończyło. Poczciwy to był z kośćcami człowiek, dobroduszny, łagodny, nigdy nikogo o złe nie podejrzywał. Niema w tem zresztą nic dziwnego, bo wujaszek Silas nie tylko był dzierżawcą, ale jeszcze pełnił obowiązki duszpasterza. Na granicy jego folwarku stał mały kościółek drewniany, własnym jego kosztem zbudowany, a obok szkoła, również z jego ofiary wzniesiona, w której nauczał religii, nie biorąc za naukę i za posługi religijne ani grosza, chociaż dobrze uczył i dobre miewał kazania. Na całym Południu pełno jest podobnych jemu dzierżawców, którzy z jedną gorliwością oddają się gospodarstwu i służbie Bożej.

W dobre pół godziny po mojem przybyciu zajeżdża przed bramę frontową wózek Toma. Ciocia Salcia spojrzała przez okno i powiada:

— Ktoś przyjechał! Ciekawam, kto to taki.. Hm! ktoś nieznajomy... Jimmy (jedno z dzieci) powiedz Lizie, żeby dodała nakrycie i niech przyśpieszą obiad.

Rzucili się wszyscy do drzwi głównych, boć przecie nie co roku przybywa ktoś nieznajomy w gościnę, musi więc wzbudzać zajęcie — daleko żywsze od żółtej febry, która tam dziś wybucha, gdzie wczoraj jeszcze wszyscy byli zdrowi. Tomek, przeszedłszy bramę, kroczył dziedzińcem ku domowi, gdy wózek, którym przyjechał, potoczył się z powrotem drogą ku wiosce. Tomek miał na sobie odświętne ubranie, a przed sobą nas wszystkich, jako widzów, to właśnie, za czem przepadał. Umiejąc sobie ton nadać, kroczył spokojny i pewny siebie, jak kozioł, a stanąwszy przed nami, uchylił kapelusza tak wytwornie i zręcznie, jakby to było wieko pudełka z motylami, których lękał się spłoszyć.

— Wszak pana Archibalda Nichols mam przed sobą? — zapytuje.

— Nie, mój chłopcze — odpowiada gospodarz domu — przykro mi bardzo, ale twój woźnica oszukał cię. Pan Nichols mieszka o trzy mile dalej. Prosimy cię jednak, prosimy.

Tomek, spoglądając przez ramię po za siebie, na widok oddalającego się wózka, powiada:

— Za daleko odjechał. Nie usłyszysz, choćbym i wołał.

— Odjechał, synu, odjechał. Niema rady, musisz z nami zjeść obiad, a potem pomyślimy, jakby cię odwieźć do Nicholosa.

— O, nie, dziękuję. Nie mogę robić państwu tyle kłopotu. Doprawdy, nie mogę. Pójdę pieszo. Trzy mile, to niedaleko.

— Ale my ci iść nie pozwolimy. Cóż ty sobie myślisz, że Południowcy nie znają się na gościnności? Nie puścimy cię przed obiadem.

— Ma się rozumieć, że nie puścimy — dodaje ciocia Salcia. — Nie zrobisz nam kłopotu najmniejszego. Jakże można iść pieszo trzy mile ogromne w taki upał i po kurzawie. Zresztą kazałam już dodać nakrycie, obiad gotów i nie możesz nam robić zawodu. Chodź-że z nami do stołu i bądź sobie rad, jak w domu.

Podziękowawszy bardzo uprzejmie, Tomek dał się przekonać. Wszedłszy za gospodarstwem, złożył ukłon wszystkim obecnym i przedstawił się, jako podróżny ze stanu Ohio, z miasteczka Hicksville, nazwiskiem William Thompson.

Tak zacząwszy, snuł już dalej opowiadanie, jak nitkę z kłębka, o Hicksville, o jego mieszkańcach, o tem i o tamtem, bez końca. Gadał, co mu ślina na język przyniosła, a mnie strach brać zaczynał, bom nie mógł zmiarkować, jak się Tomek weźmie do rzeczy, żeby mnie wybawić z kłopotu. Aż wreszcie, na chwilę ust nie zamykając, podnosi się mój Tomek z krzesła, całuje ciocię Salcie w same usta i uczyniwszy to, znów wygodnie zasiada w krzesle, żeby dalej mówić. Ale ciocia Salcia, zerwawszy się, jak oparzona, ręką usta ociera i krzyczy z widocznem oburzeniem:

— A ty smarkaczu! Cóż to za poufałość?

Tomek stroi obrażoną minę i odpowiada:

— Nie spodziewałem się tego po pani.

— Nie spodziew... Za kogóż ty mnie masz?

Doprawdy, wartoby cię... Zaraz mi gadaj, co to znaczy, żeś mnie pocałował?

— Nic nie znaczy, proszę pani — potulnie już odpowiada Tomek. — Nie myślałem, że się pani obrazi... Mnie się zdawało, że pani... że pani zrobię przyjemność..

— Patrzcie go, oto głupiec!

I zamierzyła się ciocia Salcia na Tomka drutem, jakby go kolnąć pragnęła...

— Zkąd ci przyszło do głowy, że mi przyjemność zrobisz?

— Ja... ja... nie wiem... Wszyscy tak mówili... wszyscy...

— Wszyscy?! Wszyscy są waryaci, a ty... głupiec! Co też mu do głowy przychodzi! Kto są ci wszyscy?

— Wszyscy, proszę pani... Każdy mi to mówił, proszę pani..

Ciocia Salcia była u szczytu oburzenia; z oczu jej sypały się iskry, a palcami czyniła takie ruchy, jakby chciała Tomkowi wydrapać oczy W końcu powiada:

— Jak się ci "wszyscy" nazywają? Jak ma każdy na imię? Odpowiadaj natychmiast, albo cię zwymyślam.. od idyotów

Tomek zrobił minę desperacką, wstał z krzesła, wziął za kapelusz i żalonym głosem powiada:

— Bardzo mi przykro... Nie spodziewałem się, że tak panią rozgniewam. Wszyscy mi mówili: "pocałuj. " Każdy powtarzał: "pocałuj, " a wszyscy dodawali: "zobaczysz, jak się uciesz. " Każdy, proszę pani, tak mówił, wszyscy, co do jednego... Ale kieDoprawdy, wartoby cię... Zaraz mi gadaj, co to znaczy, żeś mnie pocałował?

— Nic nie znaczy, proszę pani — potulnie już odpowiada Tomek. — Nie myślałem, że się pani obrazi... Mnie się zdawało, że pani... że pani zrobię przyjemność..

— Patrzcie go, oto głupiec!

I zamierzyła się ciocia Salcia na Tomka drutem, jakby go kolnąć pragnęła...

— Zkąd ci przyszło do głowy, że mi przyjemność zrobisz?

— Ja... ja... nie wiem... Wszyscy tak mówili... wszyscy...

— Wszyscy?! Wszyscy są waryaci, a ty... głupiec! Co też mu do głowy przychodzi! Kto są ci wszyscy?

— Wszyscy, proszę pani... Każdy mi to mówił, proszę pani..

Ciocia Salcia była u szczytu oburzenia; z oczu jej sypały się iskry, a palcami czyniła takie ruchy, jakby chciała Tomkowi wydrapać oczy W końcu powiada:

— Jak się ci "wszyscy" nazywają? Jak ma każdy na imię? Odpowiadaj natychmiast, albo cię zwymyślam.. od idyotów

Tomek zrobił minę desperacką, wstał z krzesła, wziął za kapelusz i żalonym głosem powiada:

— Bardzo mi przykro... Nie spodziewałem się, że tak panią rozgniewam. Wszyscy mi mówili: "pocałuj. " Każdy powtarzał: "pocałuj, " a wszyscy dodawali: "zobaczysz, jak się ucieszy. " Każdy, proszę pani, tak mówił, wszyscy, co do jednego... Ale kiechłopcze... żeby też tak zwieść rodzoną ciotkę... — i chce go okryć pocałunkami, a Tomek usuwa się i oświadcza:

— Nie, nie, nie! Aż mnie pani sama poprosi. Nie zwlekając dłużej, poprosiła go, żeby jej się pozwolił pocałować, wycałowała go też i wyściskała raz, drugi, dziesiąty i dopiero wtedy oddała go swemu mężowi, żeby się zadowolnił resztkami. A gdy się wszyscy nieco uspokoili, mówi ciocia Salcia:

— Ależ to niespodzianka! Oczekiwaliśmy Tomka, ale żebyś ty także miał przyjechać?... Siostra, nigdy nawet nie wspomniała o tem, pisząc do mnie.

— Dlatego — tłumaczy Tomek — że z początku miano zamiar Tomka tylko wyprawić do wujowstwa, ale ja tak prosiłem, że w ostatniej chwili mama i mnie pozwoliła pojechać! Wtedy, na statku już, przyszło nam do głowy urządzić taką niespodziankę, że Tomek pokaże się tu i nic o mnie nie powie, a ja zaczekam parę godzin i przyjadę później, udając obcego. Ale nam się nie udał figiel, ciociu. Nie bardzo tu radzi obcym..

— Takim, jak wy, nicponie — dokończyła ciocia — wartoby was za uszy wytargać! Do tej pory jeszcze przyjść do siebie nie mogę, tak się zirytowałam na ciebie. Ale mniejsza już o to, mniejsza... dziesięć razy pozwolę wam tak zażartować z siebie, byle tylko mieć was tutaj, chłopaki. No, niema co mówić, udała ci się kornedya! Oj, zbytniku, zbytniku! Przychodzi sobie i całuje mnie bez ceremonii, jakby chleb z masłem połykał.

Siedliśmy do stołu w szerokim, otwartym przejściu, łączącym kuchnię z domem Stół zastawiony był tak obficie, że siedm razy tyle osób najeść się mogło do syta, a wszystkie potrawy gorące. Nie było ani jednego z tych zimnych mięs łykowatych, co to leżały na półce w wilgotnej spiżarni całą noc, żeby nazajutrz rano przypomnieć smakiem potrawkę ze starego ludożercy. Wujaszek Silas odmówił przed jedzeniem długą modlitwę, wzywając przy zastawionych potrawach błogosławieństwa Bożego; przynajmniej, że miał Pan Bóg co błogosławić.

Całe poobiedzie toczyła się ożywiona rozmowa, w której Tomek i ja braliśmy udział niemały. Nastawialiśmy pilnie ucha, czy czasem nie wspomni kto o murzynie zbiegłym i pojmanym, ale nadzieja nas zawiodła, myśmy zaś bali się poruszać tego przedmiotu. Wreszcie wieczorem, przy kolacyi, odzywa się jedno z dzieci:

— Tato, czy Tomek, Sid i ja możemy pójść na przedstawienie?

— Nie — odpowiada wujaszek — przypuszczam, że go nie będzie, a choćby i było, tobym wam pójść nie pozwolił. Ten zbiegły murzyn, niedawno do mnie przyprowadzony, opowiadał o strasznej sromocie tych przedstawień, Buston więc, nasz sąsiad, postanowił podburzyć miasto i okolicę do wyświecenia tych bezczelnych gorszycieli. Sądzę, że to się już stało.

— Aha! — powiadam sobie — złapali się, alem ja temu nie winien.

Tomek i ja mieliśmy spać w jednym pokoju i w jednym łóżku, pod pozorem więc zmęczenia powiedzieliśmy dobranoc i poszliśmy położyć się zaraz po kolacyi. Ale wszedłszy drzwiami, natychmiast wyszliśmy z pokoju oknem, a spuściwszy się po piorunochronie, dalejże do miasta, bo głowę gotów byłem dać za to, że nikt nie ostrzeże króla i księcia i że powinienem uczynić to jak

najśpieszej, jeżeli chcę ich ocalić od niebezpieczeństwa nie na żarty.

W drodze opowiedział mi Tomek, jakim sposobem zostałem zamordowany, jak niezapługo potem zniknął gdzieś mój tatko i już się więcej nie pokazał, jakiego hałasu narobiła ucieczka Jim'a. Ja zaś opowiedziałem Tomkowi, jakie to król i księżę dawali przedstawienia i o naszej podróży tratwą, ale nie wszystko, bo nie zdążyłem. Przybyliśmy do miasta o pół do dziewiątej. W miarę, jak się zbliżamy do środka, coraz wyraźniej słyszemy wrzawę: krzyki, wycia, gwizdanie, jedni dmą w rogi, drudzy bębnią w żelazne patelnie, inni gwoździem skrobią po glinianych naczyniach, a jeszcze inni trąbią z całej siły w puste tykwy.

Usunęliśmy się nieco na bok, żeby przepuścić cały ten tłum, wpośród którego spostrzegłem księcia

i króla. To jest właściwie domyśliłem się, że to są oni, bo z twarzy, ani z postaci niepodobni byli do ludzi. Wyglądali raczej na dwa chodzące pióropusze wojskowe, znacznie tylko większe od prawdziwych, tak najeżeni byli piórami, które przylgnęły do wymazanej smołą ich skóry. Taka mnie litość ogarnęła, że chyba nigdy już w życiu nie będę czuł do nich żalu za wyrządzane mi różne przykrości. Straszny to był widok!... Jak to jednak ludzie potrafią być okrutnymi dla swych bliźnich!

Przekonawszy się, żeśmy zapóźno przybyli i że nic już pomódz nie możemy, zapytujemy jednego z przechodzących, co to się dzieje. Otóż poszli wszyscy na przedstawienie, uprzedzeni o tem, że zobaczą gorszące widowisko, ale zachowywali się spokojnie, dopóki biedny stary król nie zaczął przewracać koziołków i wyprawiać łamańców na scenie. Gdy już rzeczy zaszły za daleko, dał ktoś sygnał, tłum cały rzucił się na nieszczęsnych aktorów i po smołowej kąpieli utarzał ich w pierzu.

Wróciliśmy tedy, nic nie wskórawszy, do domu, lecz ja byłem jakoś nieswój, markotny, a tak mi coś ciążyło na sercu, jakbym popełnił grzech ciężki, choć przecież w niczem nie zawiniłem. Ale to tak: czy zrobisz źle, czy dobrze, sumienie zawsze cię gnębi, jakby po to tylko istniało, żeby gryźć człowieka, nie zaś rozważać i zgłębiać. Przyznaję, że gdybym miał psa, tak pozbawionego zastanowienia, jak sumienie, tobym go otruł. Bo sami państwo powiedzcie i zabiera w człowieku więcej miejsca, niż wszystkie inne wnętrzności razem wzięte, i gospodarzowi swojemu ciągle robi na złość.

Tomek Sawyer jest tego samego zdania.

ROZDZIAŁ XII

BUDKA PRZY DOLE NA POPIÓŁ. — WSTYD I HAŃBA! — DO ROBOTY! — W MOCY CZARÓW.

Zaprzestawszy rozmowy, zaczęliśmy namyślać się. Po niejakej chwili odzywa się Tom:

— A wiesz, Huck, głupcy jesteśmy, że nam to pierwej na myśl nie przyszło. Założyłbym się, że wiem, gdzie jest Jim!

— Nie może być! Gdzie?

— A w tej budzie, tuż obok dołu na popiół. Czy nie zauważyłeś podczas obiadu murzyna, idącego w tamtą stronę z pełną misą różnego jedzenia?

— Tak, zauważyłem.

— Jak ci się zdaje, dla kogo było to jedzenie?

— Albo ja wiem! Dla psa zapewne

— Aha! dla psa. A ja ci powiadam, że nie dla psa.

— Dlaczego?

— Bo między innymi rzeczami był tam i kawałek kawona.

— Był, był! Sam widziałem. Prawda, nie przyszło mi do głowy, że psy kawona nie jadają! Jako człowiek czasem patrzy i nie widzi...

— I tego nie widziałeś, że wchodząc do budki, otworzył murzyn kłódkę, a wyszedłszy, znów drzwi zamknął na kłódkę I kiedyśmy wstawali od stołu, to oddał wujaszкови do rąk własnych jakiś klucz... pewien jestem, że od tej kłódki. Kawon — to dowód, że tam jest człowiek; kłódka — że ten człowiek jest więźniem, a nieprawdopodobne jest, aby mogło być dwóch więźniów na takiej małej plantacji, gdzie wszyscy zresztą tacy są dobrzy i serdeczni. Więźniem tym nie kto inny, tylko Jim! Doskonale! Bardzo się cieszę, żeśmy to wysledzili tak dowcipnie, za nicbym nie chciał dowiedzieć się prawdy inną drogą Teraz łam sobie głowę i wymyśl plan wykradzenia Jim'a, a ja wymyślę — drugi; po porównaniu, wykonamy ten, który okaże się lepszym

Jaka to głowa u tego chłopca! Gdybym ja miał taką, to jużbym nie chciał być żadnym księciem, ani kapitanem wielkiego parowca, ani *clown'em* w cyrku, ani niczem. Zacząłem tedy układać plan, ale jedynie dlatego, żeby czasu nie tracić; wiedziałem doskonale zkad wyjdzie plan lepszy od mojego. Niebawem też pyta Tomek:

— Masz plan?

— Mam.

— Dawaj go tu.

— Mój plan taki — powiadam: — Łatwo nam będzie przekonać się, czy w owej budzie znajduje się Jim, czy kto inny. I łódź moja i tratwa, dobrze ukryte, mam pod ręką na zawołanie. Czekać tylko pierwszej ciemnej nocy i skoro wujaszek spać się położy, wykraść mu klucz z kieszeni: Wtedy w nogi, w stronę rzeki. Dopadniemy łódki, łódką do tratwy, z Jim'em, ma się rozumieć, i popłyniemy w dół rzeki, ukrywając się we dnie, a płynąc w nocy, jakeśmy to pierwej z Jim'em czynili. Cóż, zły plan? Nie uda się może?

— Udać się uda, dlaczego nie? Całe zło wtem, że za prosty, za łatwy Co mi to za plan, który da się wykonać bez kłopotu. Ani tu zabiegów, ani ryzyka. Uda się, ale nikogo nie zadziwi, będzie to tak proste, jak złapanie myszy przez kota, albo przekrajanie mydła ostrym nożem. Dobry plan, ani słowa, ale ja mam co innego w głowie...

Nic na to nie odrzekłem, pewny, że jego plan będzie bez zarzutu.

I tak też było. Gdy mi plan swój opowiedział, odrazu poznałem, że wart jest moich piętnastu, bo daleko trudniejszy do wykonania i nie zwyczajny. Jim zostanie wolnym, jakby nim został, gdybyśmy się trzymali mego planu, ale przytem wszyscy trzej możemy tryumf życiem przypłacić. Nie mam potrzeby opowiadać tu wszystkich szczegółów tego planu, bo wiedziałem, że przy wprowadzeniu go w wykonanie zajdą zmiany, które go uczynią zupełnie innym i wprowadzą do niego tyle zawłości, na ile tylko znajdzie się miejsca. No i nie omyliłem się, jak się państwo o tem przekonacie.

Tymczasem tego tylko byłem pewien, że Tomek naprawdę zamierza mieć udział w wykradzeniu zbiegłego niewolnika. Tego żadną miarą zrozumieć nie mogłem. Jakże to? Chłopiec z porządnej rodziny, wychowywany jak się należy, mający- dobre imię do stracenia, chłopiec z dobrą głową, nie ciemny, jak tyłu innych, ale na książce uczony, nie żaden nikczemnik i ladaco, ale szlachetny i dobry... i oto taki chłopiec pozbywa się ambicyi, wstydu i uczciwości, żeby przyłożyć ręki do takiej sprawy, która go wobec wszystkich okryje hańbą! Już otwierałem usta, żeby mu to powiedzieć, gdy Tomek, jakby myśli moje odgadując, uprzedził mnie:

— A może ci się zdaje, że ja nie wiem, co czynię? Gadaj zaraz: wiesz, czy nie wiesz, że ja zawsze wiem, co robię?

— Wiem.

— Czym nie powiedział, że wraz z tobą wykradnę Jim'a?

— Powiedziałeś.

— A widzisz! Powiedziałem.

I na tem koniec, bo gdy Tomek raz powie, że coś robi, już się nie cofnie.

Po powrocie, gdy w całym domu cicho już było i ciemno, pobiegliśmy do budki, obok dołu z popiołem, żeby jej się dobrze przypatrzeć. Szliśmy przez cały dziedziniec, trochę niespokojni, jak się z nami obejdą psy podwórzowe, ale te, znając nas, poszczekiwały tylko zlekka, żeby dać dowód swej czujności. Obejrzawszy budkę dokładnie, ujrzelśmy w ścianie północnej, która do ogrodzenia przypierała, niewielkie okienko kwadratowe, dość wysoko umieszczone i zabite w poprzek położoną grubą deszczułką, bretnalami do futryny przymocowaną.

Powiadam więc:

— Doskonale! Przez ten otwór Jim wyjdzie, trzeba tylko oderwać deskę...

Tomek zaś na to:

— I zjeść chleba z masłem i popić ciepłym mlekiem i pójść z nianią na spacer, i tam dalej. Mojem zdaniem, potrafimy znaleźć sposób nieco trudniejszy wydobycia więźnia z niewoli.

— No, to może wypiłować deskę, jak to ja uczyniłem- zanim mnie zamordowano?

— To już więcej uchodzi. Ale jabym chciał jeszcze coś lepszego... żeby to nie tak prędko i nie tak łatwo.... Zresztą pośpiech zbyteczny, można się rozejrzeć, namyślić...

Pomiędzy tą budą a ogrodzeniem, pod tylną jej ścianą, była jakaś przybudówka z desek, niezbyt wysoka, tak prawie długa jak buda, ale wązka, mająca niziutkie drzwiczki, na kłódkę zamknięte łańcuchem, Tomek poszedł do dołu z popiołem, obok którego, jak to zwykle bywa, stał kocioł do warzenia mydła, Znalazłszy tam dość szybko zakrzywiony pręt żelazny, którym się pokrywę kotła unosi, rozwiódł nim jedno ogniwo łańcucha, który też rozpadł się, umożliwiając nam przejście do przybudówki. Przy świetle zapalki przekonaliśmy się, że przybudówka dotyka budy, nie mając z nią żadnego połączenia, że jest bez podłogi i pusta. Na ziemi leżało kilka motyk stępionych, rydel, zepsute grabie i tym podobne graty nieużyteczne. Po tych oględzinach wyszliśmy, założywszy ogniwo nienajgorzej.

Tomek okrutnie uradowany mówi do mnie:

— No, teraz wszystko w porządku! Zrobimy podkop, przez który Jim wyjdzie. Tydzień na to wystarczy!

Nazajutrz o świcie pobiegliśmy do chatki murzyńskich, żeby poigrać z psami i wejść w zażyłość z murzynem Jima, który właśnie napełniwszy blaszankę mięsem, jarzynami i chlebem, szedł do budy.

Miał on twarz bardzo poczciwą, o zębach wyszczerzonych w uśmiechu, wełniste zaś jego włosy powiązane były w pęczki niemi i sznureczkami. To go miało chronić od czarów. Opowiedział nam zaraz, że jest prześladowany przez czarownice, że po nocach straszą go różne widziadła, słyszy głosy i hałasy nadzwyczajne.

— Dla kogo to jadło? — pyta go Tomek. — Psy karmić idziesz?

Twarz murzyna tak się splaszczyla w uśmiechu, jak grudka zgęstniałego błota pod uciskiem dłoni.

— Tak, paniczu, psa, ale nie takiego jak inne. A może panicze ciekawi go zobaczyć?

— I owszem, rzekł Tomek.

— Jakże to? W biały dzień tam pójdziemy? Inny plan miałeś — szepnąłem zcicha Tomkowi.

— Teraz mam taki.

Cóż było robić? Ustąpiłem, chociaż niechętnie i poszliśmy. Wszedłszy do środka, zrazu nic nie widzieliśmy, tak było ciemno, ale Jim — bo to Jim był naprawdę, zobaczywszy nas, zawołał:

— Co? Huck i panicz Tomek! Wiedziałem, że tak będzie!

Zdumiony murzyn oczy wytrzeszczył i mówi:

— Co? To on zna paniczów?

Myślałem, że wszystko przepadnie. Ale Tomek spogląda na murzyna obojętnie i zdziwiony pyta:

— Kto? Zkądże ci przyszło do głowy, że on nas zna?

— Zkąd przyszło? A przecie on wykrzyknął, że zna paniczów.

Wtedy Tomek, jeszcze więcej zdziwiony, rzecze, jakby do siebie:

— A to rzecz ciekawa! Kto wykrzyknął i kiedy?

Potem zwróciwszy się do mnie, z zimną krwią pyta:

— A ty, czyś słyszał cokolwiek?

Ma się rozumieć, że na takie pytanie mogła być tylko jedna odpowiedź:

— Nie, nic nie słyszałem

Zwraca się więc Tomek do Jim'a i patrząc na niego tak, jakby go nigdy w życiu nie widział, zapytuje:

— A możeś to ty się odzywał?

— Nie, paniczu — odpowiada Jim — to nie ja. Głosum nie wydał.

— Ani jednego nie mówiłeś słowa?

— Ani jednego.

— Widziałeś nas kiedy przedtem?

— Nie, paniczu.

Wówczas Tomek, zwracając się do murzyna, który patrzył na to wszystko przerażony, surowym głosem zawołał:

— Wytłomacz mi, co ci strzeliło do głowy? Dlaczegoś powiedział, że murzyn, który nas nigdy nie widział, mówi do nas po imieniu?

— Ech, proszę panicza — z desperacją odrzeczł murzyn — to z pewnością znów czary... Jużbym wolał nie żyć! I to tak zawsze! Wciąż dokuczają człowiekowi, że mi już życie obrzydło! Niech panicz nikomu o tem nie mówi, bo pani znów mnie wyłaje... Pani nie wierzy... twierdząc, że niema czarów... A jabym chciał, żeby pani teraz tu była... ciekaw jestem, coby powiedziała? Gadaj, co chcesz, a wszyscy swoje: nieprawda i nieprawda!

Tomek przyrzekł mu, że nic nie powie i dał mu drobną monetę, żeby miał za co kupić sobie nici do związania włosów w pęczki. Potem, patrząc na Jima, rzekł ostro:

— Ciekawym też, czy Wuj Silas powiesi tego murzyna? Bo gdybym ja schwytał takiego niewdzięcznika, co od swoich państwa ucieka, zarazbym go powiesił.

Gdy zaś murzyn podszedł do drzwi, żeby obejrzyć pieniędzy i zębami spróbować, czy dobry, szepnął Jim'owi do ucha:

— Udawaj, że nas nie znasz. A jeżeli w nocy usłyszysz, że ktoś kopie, siedź cicho, bo to my. Zrobimy podkop i będziesz wolny.

Po tych słowach wyszliśmy z budy.

ROZDZIAŁ XIII

ZGRYZOTY TOMKA. — TOMEK ŁAMIE SOBIE GŁOWĘ. — KIEDY WOLNO KRAŚĆ. — GŁĘBOKI PODKOP.

Na pogawędce rannej pośród lasu Tomek mówił, że trzeba nam koniecznie mieć trochę światła, gdyż kopać pociemku nie można. Radziłem dostać latarnię, ale on się na to nie zgodził, twierdząc, że latarnia daje za wiele światła, które zdradzić nas może. Mieliśmy więc poszukać pewnego gatunku drzewa, którego próchno, położone w miejscu zupełnie ciemnym, wydaje blask żywy, lecz nie rażący.

Zrobiwszy zapas tego drzewa i ukrywszy je w chwastach, rosnących pod ogrodzeniem, usiedliśmy dla odpoczynku i pogawędki.

— E! co to za robota! — rzecze Tomek, wielce markotny. — Wszystko idzie łatwo, jak z płatka... Aż wstyd! niema ani trudności, ani przeszkody. Dozorca więzienny? Nie istnieje — kogóż więc uspić napojem?.. A przecie w każdym więzieniu przyzwoitem być powinien. Niema nawet psa, którego możnaby otruć! Niby to trzymają Jim'a na łańcuchu! Ależ łańcuch na dziesięć stóp długości z obręczą, na jednym końcu założoną na nogę więźnia i zamkniętą na kłódkę, drugim końcem przytwierdzony niby do nogi łóżka... Cóż z tego, kiedy dość unieść łóżko, żeby ogniwo zsunęło się z nogi! A Wuj Silas? Każdemu wierzy, wszystkim klucz daje, nie pilnując tego murzyna z głową podobną do jarmuzu. Jim mógłby wprawdzie wyjść przez okno, ale jakże będzie uciekał z długim łańcuchem? Czysta zgryzota! Bo ten łańcuch, to jedna jedyna trudność, wszystkie inne sam wymyślać muszę! Ha! cóż robić, trzeba brać to, co jest, kiedy niema tego, co być powinno. W tem tylko jedna pociecha, że musimy sami stwarzać przeszkody, ku większemu dla nas zaszczytowi.

Bo powiedz, proszę. Odrzucamy latarnię, wiedząc, że światło jej może nas zdradzić. Gdybyśmy jednak nie pamiętali o tej niezbędnej dla wszystkich spiskowców ostrożności, to moglibyśmy pracować przy pochodni — taka to czujność!...

Aha... dobrze, że mi to na myśl przyszło... Musimy, jak najprędzej zdobyć coś takiego, z czego można zrobić piłę...

— A na cóż nam piła?

— Jak to, na co? Trzeba przecież odpiłować nogę łóżka, o którą łańcuch zaczepiony.

— Po co? Sameś dopiero mówił, że wystarczy podnieść łóżko, żeby łańcuch sam opadł.

— Ach, Huck, z tobą zgryzota prawdziwa! Jakie ty masz dziecinne pomysły!... Tyś chyba nigdy w życiu nie czytał porządnej książki, ani pamiętników barona Trenck'a, ani Kazanowy, ani Benwenuta Cellini, ani Henryka IV, ani wogóle żadnej pouczającej? Któż słyszał uwalniać więźnia sposobem tak pospolicym? To dobre dla starych panien, lecz nas niegodne. Nie, nigdy! Prawdziwe w tej kwestyi powagi uczą tak: przepiłować nogę od łóżka, trociny połknąć, żeby nie zostało ani ździebełka, miejsce, gdzie noga przepiłowana, pomazać błotem albo tłustością, a wtedy najwprawniejsze oko nie spostrzeże przepiłowania. W chwili stanowczej, wyciągniemy z pod łóżka nogę odpiłowaną, łańcuch opadnie, no... i po wszystkim. Wtedy dopiero spuszczasz się po drabinie sznurowej do fosy, łamiesz nogę... — bo drabiny takiej powinno niedostawać. co najmniej dziewiętnaście łokci — a tam już czekają z końmi wierni wasale, podnoszą cię omdlałego, rzucają na siodło i lecisz z wiatrem w zawody do ojczyzny, do Langwedocyi, Nawarry albo gdzieindziej. To się nazywa uciekać z więzienia! Chciałbym, żeby wokoło tej budki była fosa. Jeżeli nam czasu wystarczy, wykopimy ją jeszcze.

— Pocóż fosa — mówię — kiedy wykopimy przejście podziemne?

Ale Tomek nie słuchał nawet, zapomniało mu i o świecie. Brodę podparłszy ręką, myślał, myślał nad czymś długo, nareszcie westchnął, wstrząsnął głową, znów westchnął i mówi:

— Nie, nie można. Niema naglącej konieczności. Nie można...

— Czego nie można? — pytam.

— Odpiłować nogi Jim'owi.

— Chryste Panie! — krzyknąłem — ma się rozumieć, że nie można. A pocóżbyś ty miał mu nogę odpiłowywać?

— Widzisz... bywało, że iak czyniły największe powagi! Nie mogąc, naprzykład, pozbyć się kajdan, ucinają sobie rękę, żeby mózdz uciec, Ucięcie więc nogi byłoby jeszcze wspanialsze. Ale trzeba dać temu pokój. Niema konieczności dość naglącej, a w dodatku Jim jest murzynem, nie zrozumiałby więc powodów, dla których taki zwyczaj przyjął się w Europie... trzeba dać pokój! Ale, oto! Drabinę sznurową mieć nie trudno, możemy przecie podrzeć nasze koszule i ukłęcić sznury, a z nich drabinę... to nawet bardzo łatwo. Drabinę taką pošemy Jim'owi upieczoną w chlebie... zawsze się tak robi. Moznaby i w pierogu upiec... w takim dużym, pulchnym...

— Co też ty gadasz, Tomku! Jim nie będzie potrzebował drabiny.

— Powinien jej potrzebować. Każdy ucieka po drabinie i on ją mieć musi.

— Ale cóż on z nią będzie robił?

— Co będzie robił? Niech ją w łóżko schowa! Przypuśćmy, że mu drabina będzie niepotrzebna, to schowa ją do łóżka i zostawi, jako dowód, że ucieczka była obmyślana. Dlaczego nie wieść sprawy porządnie, tylko byle jak, po fuszersku? Żeby wstydu się najeść, czy co?

— Ha — powiadam — kiedy tak stoi w prawidłach, to niechże już ma drabinę, w takim jednak razie musisz zezwolić, żebym z pościeli w swoim pokoju "pożyczył" jedno prześcieradło.

Odpowiedział, że zezwala. A przytem wpadł widać jeszcze na nową myśl, bo mówi:

— A pożycz także i koszulę.

— Na cóż nam koszula?

— Potrzeba, żeby Jim. miał na czym pisać dziennik.

— Dziennik? Jim pisać nie umie!

— To może przecię nakreślić na koszuli jakieś znaki! Zrobimy. mu pióro z trzonka od łyżeczki, albo z kawałka starej obręczy żelaznej.

— Ale, Tomku, czy nie lepiej wyrwać pióro z gęsi?

— Ach, ty tępą głowo! Czyż więźniowie mają na zawołanie gęsi? Oni sobie pióra muszą robić i to zawsze z materiału najtwardszego: z lichtarza, ćwieka, jednym słowem z tego, co im się pod rękę nawinie! Całemi tygodniami, ba! miesiącami, pracują nad zrobieniem takiego pióra, nad zaostrzeniem go o mur, bo inaczej ostrzyć nie można. Nawet gdyby się znalazło gęsie pióro, to ci go żaden porządny więzień nie użyje. Nie uchodzi!

— Dobrze już, dobrze. A z czegoż mu zrobimy atrament?

— Niektórzy przyrządzają go z łez i ze rdzy żelaza, ale czynią to tylko kobiety i byle jacy więźniowie; porządni używają zwykle krwi własnej. I Jim tak uczynić musi, a jeśli będzie potrzebował przesłać o sobie wiadomość, żeby ludzie wiedzieli, gdzie więziony, to wieść ową wyryć może widelcem na cynowym talerzu, który wyrzuci przez okno. Tak postępował więzień zwany Żelazną Maską, a to był więzień, co się zowie, porządny.

— Jim nie ma talerza cynowego. Noszą mu jeść w misce.

— To nic nie znaczy. Postaramy się o taki talerz.

— A jeżeli nikt nie przeczyta tego, co on napisze?

— A tobie co do tego, Huck, przeczyta czy nie przeczyta? Jego rzecz napisać, co trzeba i

wyrzucić talerz przez okno. Ty nie jesteś obowiązany umieć tego przeczytać, ani ty, ani drugi, ani trzeci. Niech sobie! niech na całym folwarku nikt czytać nie umie... Prawie zawsze tak się zdarza, że to, co więzień napisze na talerzu, albo na czym innym, pozostaje nieodczytane.

Dalszą rozmowę przerwał nam odgłos rogu, wzywającego na śniadanie. Pobiegliśmy więc czempędzej do domu.

Tego samego rana zajrzałem do szafy z bielizną i "pożyczyłem" z niej duże prześcieradło, oraz białe koszulę. Znalazłem także stary jakiś worek, w który schowałem bieliznę, poczem poszliśmy do lasu, przynieśli próchna, "lisim ogniem" u nas zwanego i włożyliśmy je w tenże sam worek. Gdym powiedział Tomkowi o pożyczeniu bielizny, on nazywał to nie pożyczką, tylko kradzieżą, dodając jednak, że przedstawiciele więźnia muszą być obojętni na sposób zdobycia potrzebnych im przedmiotów i nikt im tego nie ma za złe. I więzień i jego przedstawiciele mają zupełne prawo kraść wszystko, co tylko ucieczkę ułatwić może. Gdybyśmy nie byli więźniami, a! to zupełnie co innego. Tylko człowiek nieuczciwy kraść może, nie będąc więźniem.

Postanowiliśmy zatem, że kraść będziemy wszystko, co nam wpadnie pod ręką. A jednak w kilka dni potem zrobił mi Tomek formalną scenę za to że skradł kawona z grędy murzynów po to, żeby go zjeść; kazał mi zaraz dać murzynom centa, nie mówiąc, za co go daje.

— Źle mnie zrozumiałeś — mówił — kraść mamy prawo tylko to, co nam potrzeba.

— A właśnie kawon był mi potrzebny — odpowiadam.

— Nie, nie był ci potrzebny do ucieczki. Nie jesteś więźniem.

— Aha! Więc to w tem różnica?

— Naturalnie, że w tem. Jeżeli Jim potrzebuje noża, żeby nim zabić dozorcę, a ty mu ukradniesz i potajemnie go prześlesz, to nie kradzież, jeżeli zaś ukradniesz nóż dla siebie, to kradzież. Rozumiesz?

— Niechże tak będzie — odpowiedziałem.

Po tej rozmowie siedzieliśmy parę godzin spokojnie, czekając, aż każdy pójdzie do swej roboty i nikogo nie będzie na dziedzińcu. Wtedy Tomek zaniósł worek do owej przybudówki, sąsiadującej z więzieniem Jim'a, ja zaś stałem na straży. Niedługo zabawiwszy, wrócił z próżnymi rękami, poczem usiedliśmy na stosie desek, żeby swobodnie porozmawiać. Ja milczałem, bo w takich razach zwykle zaczyna Tomek.

— Już wszystko mamy — powiada — oprócz narzędzi.

— Narzędzi? — pytam.

— Tak.

— Do czego?

— Do kopania. Nie będziesz przecie wygrzebywał dołu paznogciami.

— A te połamane szpadle i motyki? Czy ich nie starczy na wykopanie przejścia dla jednego człowieka i to murzyna?

Ale Tomek zwraca na mnie spojrzenie tak pełne litości, że o mało nie rozplakałem się z rozrzewnienia nad samym sobą.

— Huck Finn! Powiedz mi, proszę, czyś ty słyszał kiedykolwiek, żeby więzień miał motyki i szpadle i wogóle wszystkie narzędzia wynalazku nowoczesnego, któremiby mógł wykopać dla siebie przejście podziemne? I pytam się ciebie, odpowiedz, jeżeli wogóle potrafisz rozsądnie odpowiedzieć, czy zamiar ucieczki, tym sposobem doprowadzonej do skutku, miałby w sobie choć odrobinę bohaterstwa? W takim razie dlaczegóżby mu nie otworzyć kłódki? To jeszcze prościej, jeszcze łatwiej.

— W takim razie czegoż nam potrzeba?

— Parę noży składanych albo nawet i scyzoryków z większym ostrzem.

— Żeby niemi wykopać podziemne przejście z tej budy?

— Tak.

— A bierz cię licho, bo to szaleństwo!

— Ja nie wiem, czy to szaleństwo, ale wiem, że tak postąpić wypada i trzeba! O żadnym innym sposobie ucieczki z więzienia nie słyszałem, pomimo, że przeczytałem wszystkie książki, które uczą, jak postępować nateży w takim razie. Przejście wykopane być musi nożykiem składanym i to nie w miękkiej ziemi, ani w piasku, lecz w skale. Praca tego rodzaju ciągnie się tygodnie całe, miesiące, lata, a czasem nawet i do końca życia Ot, weź na przykład więźnia, który siedział w podziemiach warowni, w porcie marsylskim. Jak ci się zdaje, ile on czasu kopał sobie przejście podziemne?

— Nie wiem.

— Zgaduj.

— Nie zgadnę. Miesiąc, półtora?

— Trzydzieści siedem lat! I wykopał przejście do samych Chin! Z niego brać wzór! Szkoda, że ta warownia stoi nie na skale.

— Jim nie zna nikogo w Chinach?

— A cóż to ma do rzeczy? I tamten nikogo nie znał. Ale ty zawsze podnosisz jakieś względy uboczne, odbiegając od kwestyi głównej.

— Dobrze już, dobrze... Wszystko mi jedno, gdzie Jim wyjdzie, byle wyszedł, a i jemu także o nic więcej nie chodzi. Ale, widzisz, trzeba jedno mieć na uwadze: Jim jest za stary, żeby kopał wyjście szczyrykiem. Nie wyżyje tak długo.

— Nie bój się, wyżyje. Zresztą nie będzie potrzebował lat trzydziestu siedmiu na wykopanie przejścia w miękkiej ziemi.

— Ile czasu potrwa taka robota?

— Nie może trwać tak długo, jak potrzeba, bo to za wielkie ryzyko. Do Nowego Orleanu niedaleko, wuj Silas niezadługo otrzyma ztamtąd wiadomości. Otóż kopanie przejścia, któreby powinno trwać co najmniej lat parę, z powodu wyjątkowego położenia musi być bardzo przyśpieszone. Za to po ucieczce Jim'a, możemy wmówić w siebie, że robota trwała lat trzydzieści.

— Teraz rozsądnie mówisz — odpowiadam. — Przejście wykopiemy z łatwością, bez kłopotu, a jeżeli ci na tem zależy, to mogę powiedzieć, że sto pięćdziesiąt lat trwało kopanie. To już mi wszystkę jedno, bylebyśmy na swoim postawili: No, a teraz trzeba ściągnąć ze dwa noże składane.

— Ściągnij trzy — mówi Tomek — z jednego musimy zrobić piłkę.

— Tomku — rzekłem — jeżeli nie będziesz tego uważał za bezbożność i lekceważenie zwyczajów uświęconych, to ci powiem, że tam pod ogrodzeniem, pomiędzy śmieciem i gratami, widziałem piłę zardzewiałą.

Ale on spojrzął na mnie z nieopisanem zniechęceniem i odrzekł:

— Ty się nigdy w życiu niczego nie nauczysz. Biegaj po noże, Pamiętaj, trzy nam potrzeba.

Ma się rozumieć, że pobiegłem.

ROZDZIAŁ XIV

**PIORUNOCHRON. — TOMEK MA ZASADY. — DLA SŁAWY
A POTOMNOŚCI. — KRADZIEŻ ŁYŻEK. — NAJŚCIE PSÓW. —
DOBRA RADA.**

Wieczorem, gdy wszyscy posnęli, zszedłszy po piorunochronie, pobiegliśmy do przybudówki, żeby się zabrać do roboty przy świetle próchna. Tomek zalecił rozpoczęcie kopania tuż pod łóżkiem Jim'a, żeby przejście pokryte było kołdrą, spadającą do ziemi. Kopaliśmy więc nożykami aż do północy, zmordowani strasznie i z pęcherzami na dłoniach, pomimo, że robota wolno postępowała. Nakoniec odzywam się do Tomka:

— Ależ my tego przez lat trzydzieści osiem nie wykopujemy!

Tomek nic nie odpowiedział, lecz westchnąwszy tylko, przestał kopać i przez długą chwilę tonął w myśleniu. Wreszcie rzekł:

— Na nic to się nie zda, Huck, co my robimy. Będąc w więzieniu, nie potrzebowalibyśmy się tak spieszyć, bo na czasieby nam nie zbywało. Zresztą kopiąc kilka minut dziennie, podczas zmian warty, nie mielibyśmy rąk w pęcherzach. Robota w ciągu lat wielu mogłaby być według wszelkich prawideł wykonana. My wszakże z powodu pośpiechu musi my kopać, czasu nie tracąc.

— Ale co robić, skoro noże wypadają nam z rąk poranionych?...

— Niestety, widzę jeden sposób wielce niemoralny, ale jedyny: dać pokuj nożom składanym, a kopać... poprostu motykami.

— Złote słowa! coraz mądrzejszą masz głowę, Tomku. Motyki! nic innego tylko motyki, a czy to moralnie, czy nie, to mniejsza o to... Ja przynajmniej nie dbam o moralność, od której mi pęcherze na dłoniach rosną. Czegóż ja chcę? Uwolnić murzyna! Jeżeli więc najporęczniejsz mi cel ten osiągnąć motyką, biorę się do niej, wszelkie zaś tak zwane przez ciebie przykłady, obchodzą mnie tyle, co zdechły szczur.

— Zgoda! — powiada Tomek. — Przystaję na motyki, bo... nie można inaczej, ale gdyby okoliczności były inne, nie zgodziłbym się na to ustępstwo i nie pozwolił na naruszenie prawideł, bo dobre jest dobrem, a złe złem i człowiekowi nie wolno postępować źle, gdy mając olej w mózgu, wic, co się dobrem nazywa. Daj mi nożyk!

Widząc, że go niema pod ręką, podałem swój. Rzucił go na ziemię wołając:

— Podaj mi nożyk!

Domyśliwszy się wreszcie, o co chodzi, podałem mu motykę, wśród starych narzędzi znalezioną. Wziął ją i ani słowa nie rzekłszy, zaczął kopać. Taki to był Tomek. Nic dziwnego: miał zasady!

Gdym znalazł łopatę, zaczęliśmy pracować we dwóch: jeden kopał, a drugi odrzucał ziemię na przemiany. Po jakimś czasie musieliśmy zaniechać roboty, bo ręce, strasznie zbolące, już nam odmówiły posłuszeństwa, dół jednak był wcale porządny. Tomek wyszedł pierwszy, ja za nim w kilka minut.

Następnego dnia ukradł Tomek łyżeczkę od herbaty i lichtarzyk mosiężny, żeby z tego porobić pióra dla Jim'a, ukradł także i sześć świec łojowych, ja zaś trzy talerze cynowe. Gdy Tomek twierdził, że to za mało, poradziłem wyrzucone przez Jim'a talerze zbierać w chwastach pomiędzy okienkiem a ogrodzeniem i dawać je znów Jim'owi. Uspokoił się więc Tomek i mówi:

— Teraz trzeba obmyśleć sposób dostarczenia wszystkiego Jim'owi.

— Przez dziurę, którą wykopujemy.

Spojrzał na mnie z pogardą i nazwawszy pomysł idiotycznym, pograżył się w myślach. Po niejkiej chwili oznajmia, że są dwa, czy trzy sposoby, ale że niema gwałtownej potrzeby natychmiast wybierać pomiędzy nimi. Teraz trzeba myśleć o robocie.

Tejże nocy, podszedłszy pod okienko więzienia, usłyszeliśmy chrapanie Jim'a, który spał tak mocno, że -ani zagłądanie nasze, ani wrzucona do komórki świeca, ani hałas przy robocie, nie rozbudziły go ze snu. Uwijaliśmy się też z motyką i z łopatą tak dzielnie, że po paru godzinach robota była skończona. Wsunąwszy się jeden za drugim w wykopane przez nas przejście, wyszliśmy akurat pod łóżkiem Jim'a, na środek budki. Tomek, znalazłszy wrzuconą - poprzednio świecę, zapalił ją, ja zaś stanąłem nad łóżkiem śpiącego i patrząc nań, przekonałem się, że nie wyglądał na znękanego niewolą więźnia.

Jim rozbudzony tak się ucieszył, że o mało nie ryknął płaczem. Obsypawszy nas tysiącem pieszczot, prosił o pilnik, dla przecięcia założonego na nogę łańcucha, bo chciał natychmiast być wolnym.

Tomek wszakże jął mu dowodzić, jak dalece sprzeciwiałyby się to wszelkim prawidłom, a siadłszy obok Jim'a, opowiedział mu swoje plany, obmyślane podług najlepszych wzorów, dodając przytem, że w razie alarmu niespodzianego wszystko zmienić można. Ponieważ Jim na wszystko się zgadzał, przeto zaczęliśmy rozmawiać o dawnych czasach i o dzisiejszych. Jim powiedział nam, że wuj Silas co dzień do niego przychodził dla odmówienia z nim modlitwy, a ciocia Salusia dowiadyuje się, czy nie głodny i czy mu czego nie brakuje. Oboje, mówił, tak są dla mnie dobrzy, że już lepszymi być nie mogli. Tomek wypytywał o to i o owo, wreszcie rzekł:

— Teraz już wiem, przez nich ci prześlę, co trzeba.

— Nie czyń - że tego — odparłem — do czego to podobne!

On jednak wcale na mnie nie zważał, co zresztą zawsze miał we zwyczaju, gdy mu plan jaki zaświtał w głowie.

Zaczął więc wyliczać Jim'owi wszystko, co mu ukradkiem prześlemy. Pieróg nadziany drabiną, oraz inne większe przedmioty, odda mu Nat, murzyn przynoszący jadło, Musi więc Jim zachować ostrożność, nie dziwić się zaraz przy murzynie, ani pieroga nie rozłamywać, ani koszyka nie wypróżniać. Przedmioty mniejszych rozmiarów przyniesie mu wujaszek Silas w kieszeniach swego paltota, z kądem Jim wyciągać je musi ukradkiem. To i owo uda nam się może przyczepić do tasemek, któremi ciocia Salusia zawiązuje z tyłu swój fartuch, albo wsunąć jej do kieszeni. Wyszczególnił też Tomek owe przedmioty, objaśnił, do czego posłużą i wspominał wreszcie o dzienniku, który ma być pisany krwią na koszuli. Jim nie bardzo rozumiał, o co chodzi, ale wiedząc, że biali są rozumniejsi od niego, przyrzekał uczynić wszystko podług rozkazu. Jim miał u siebie sporo cybuszków trzciniowych i tytoniu, użyliśmy więc w towarzystwie a zabawiwszy się bardzo wesoła, poszliśmy spać.

Tomek w wybornym był humorze. Mówił, że nigdy w życiu lepiej się nie bawił, że taka tylko rozrywka godną jest człowieka rozumnego i że gdyby rzecz była możliwą, to należałoby przedłużyć tę rozkosz szlachetną na całe życie, a potomkom przekazać obowiązek wyswobodzenia Jim'a z niewoli.

Nazajutrz rano poszliśmy do drwalni, żeby ciężkim toporem porąbać mosiężny lichtarz na kilka niewielkich kawałków, które Tomek wraz z łyżeczką schował do kieszeni. Ztamtąd udaliśmy się do kuchni murzyńskiej, a gdy ja rozmawiałem z Nat'em dla odwrócenia jego uwagi, Tomek wpakował jeden z kawałków lichtarza w podpłomyk, przygotowany; dla Jima. Ciekawość nas brała, jak się nam uda przesyłka.

Poszedłszy z Nat'em do więźnia, przekonaliśmy się, że poszło wybornie: zapuściwszy zęby w podpłomyk, o mało wszystkich nie wyłamał. Nie mogło udać się lepiej, sam Tomek to przyznał.

Jim nic nie dał poznać po sobie, ale potem był.. ostrożniejszy i nigdy chleba do ust nie wziął, dopóki go widelcem w kilku miejscach nie wypróbował.

Gdy raz staliśmy sobie w więzieniu Jim'a, prawdę mówiąc, bardzo ciemnowem, nagle z pod łóżka wybiega w podskokach jeden pies, potem drugi i tak dalej, aż do jedenastu! Zrobiło się tak ciasno, że szpilkę wetknąć byłoby trudno. Tam do licha! za- '. pomnieliśmy założyć na łańcuch drzwi, prowadzących z podwórza do przybudówki. Murzyn Nat krzyknął; tylko rozpaczliwie: "Czary!" i przykucnąwszy na ziemi pomiędzy psami, jęczał, jak na śmiertelnej pościeli. Tomek zaś silnym szarpnięciem roztworzył drzwi na oścież i cisnął przez nie kawał mięsa z przyniesionego dla Jima posiłku. Psy rzuciły się za mięsem jak szalone, Tomek wyszedł za nimi, a w pół minuty potem był - już z powrotem, zamknąwszy drzwi jedne i drugie. Teraz dopiero dla uspokojenia Nat'a! głaskał go i pieszczotliwie doń przemawiał, pytając, czy mu się znów coś nie przywidziało... Nat, mrugając oczyma, drżącym jeszcze głosem powiada:

— Panicz znów powie, że ja głupi... Ale jeżeli ja tu nie widział ze sto... z milion może czy psów, czy dyabłów, to niech tu na miejscu padnę... tu, jakim żyw. Paniczu... widziałem ich i czułem... pełno ich było wszędzie... Żeby to ja chociaż raz jeden mógł trzymać w ręku takie straszdyło!... Tegobym pragnął!...

A Tomek na to:

— Wiesz, ja ci powiem, co mi się zdaje. Dlaczego one napadają na ciebie wtedy właśnie, gdy ze śniadania przychodzisz. Dlatego, że są głodne, tylko dlatego. Upiecz - że ty im pieróg taki, co to umyślnie dla strachów go pieką..

— A jakżeż ja, paniczu, potrafię - upiec pieróg strachom? Ja nie wiem, jak się to robi... Nigdy nawet o takim pierogu nie słyszałem.

— Ha! trudno, kiedy ty nie umiesz, to ja sam upiekę.

— Paniczu! złoty paniczyku! Upiecze panicz? Ślady nóg panicza całować będę!

— Bądź spokojny, upiekę. Dla ciebie to uczynię, bo i ty wyświadczyłeś nam grzeczność, pozwalając zobaczyć tego murzyna. Ale pamiętaj, trzeba ci być bardzo ostrożnym! Gdy tu wejdziemy, zaraz się od nas odwróć tyłem; niosąc miskę z pierogiem, nie zagląдай do niej, niech cię Bóg broni. Nie patrz także na Jim'a, gdy miskę do rąk weźmie, bo się może zdarzyć nieszczęście. Przedewszystkiem zaś nie dotykaj wcale tych rzeczy, które dla strachów będą przygotowane.

— Nie dotykać? Jabym ich miał dotknąć? Co też panicz mówi? Za żadne skarby !

ROZDZIAŁ XV

Ostatnia koszula, — "Koniec świata!" — Ciocia Salusia chce nas obedrzeć ze skóry, — Pieczemy pieróg.

Potrzebując różnych rzeczy do wykonania ułożonego planu, pobiegliśmy na mały tylny dziedziniec, gdzie rzucono znoszone obuwie, ubranie zdarte, szkło potłuczone, naczynia kuchenne blaszane i żelazne, naczynia przez rdzę zjedzone i tym podobne graty. Przetrzęsąwszy je, znaleźliśmy podziurawioną miednicę blaszaną, w której po zatkaniu dziur mieliśmy pieróg przygotować.

Tomek, znalazłszy parę nowych, dobrze zaostrzonych ćwieków, podniósł je z radością, mówiąc, że przydadzą się Jim'owi do wyrycia na ścianie swego nazwiska i historii swych cierpień. Zaraz też Tomek wsunął do bocznej kieszeni fartuszka cioci jeden ćwiek, drugi zaś zatknęliśmy wujowi za wstążkę przy kapeluszu, ponieważ dzieci oznajmiły nam, że rodzice zaraz po śniadaniu pójdą odwiedzić murzyna. Przed śniadaniem Tomek wpuścił łyżeczkę do kieszeni obszernego kitla, który wujaszek miał na sobie, i staliśmy już potem spokojnie, czekając na ciocię Salusią.

Przyszła nareszcie, ale zgrzana, czerwona, w złym humorze, i ledwie wujaszek odmówił modlitwę przed jedzeniem, zaraz rozpoczęła kroki wojenne.

— Cały dom przeszukałam, zajrzałam w każdy kącik i pojąć nie mogę, co się stało z twoją drugą koszulą.

Serce tak się we mnie rzuciło, że aż wpadło pomiędzy płuca, wątrobę i różne inne wnętrzości. Gryząc właśnie twardą skórkę od chleba, już przełknąć ją miałem, gdy kaszel, zastąpiwszy jej drogę, takiego dał skórcie prztyczka, że mi z ust wyskoczyła, jak z procy, przeleciała stół jak szeroki i uderzyła w oko jedno z dzieci. Dziecko wrzasnęło, jakby je kto ukropem oblał i zaczęło fikać nogami. Ja zgłupiałem, Tomek zaczerwienił się po same uszy. Z ćwierć minuty może trwało zamieszanie, podczas którego, gdybym mógł, byłbym wyskoczył z własnej skóry i uciekł, gdzie oczy poniosą. Ochłonawszy, siedzimy spokojnie z miną niewinną, a wuj Silas mówi:

— Ja także nie rozumiem, co się z nią stać mogło. To ciekawe, doprawdy. Wiem doskonale, że ją zdjął z siebie, bo...

— Jedną masz, nie dwie na sobie. Z góry wiedziałam, że to powiesz. Wiem, żeś ją zdjął, ale jej niema. Tobie, jak widzę, koszul nastarczyć nie można, a co z niemi robisz, tego odgadnąć nie mogę.

Zdawałoby się, że człowiek w twoim wieku powinienby pamiętać o swoich rzeczach.

— Niewątpliwie, Salusiu, ja też czynię, co mogę: staram się pamiętać o rzeczach. Ale widzisz, w tym wypadku nie ja jeden jestem winien. Sama wiesz, że wtedy tylko widuję swoje koszule, kiedy je noszę, a przyznasz, że z siebie żadnej nie zgubiłem.

— To wcale nie twoja zasługa i nie masz się wcale czem chełpić. Gdybyś był mógł zgubić, tobyś zgubił. A zresztą nietylko koszula zginęła. Zginęła mi łyżeczka. Było ich dziesięć, a teraz jest tylko dziewięć. Dajmy na to, że koszulę psy poszarpały, ale łyżeczki nie wzięły? Tego pewna jestem.

— A czy jeszcze co zginęło?

— Sześć świec zginęło! Ale świece zjeść mogły szczury; pewną nawet jestem, że to zrobiły. I nawet się dziwię, że nie zjadły dotąd całego domu, razem z nami, a okruchów nie rozniosły po dziurach, bo tych dziur wszędzie pełno... Zawsze się zbierasz zatkać je, zakitować i na projekcie się kończy. Gdyby nie były głupie... szczury, naturalnie... toby we włosach twoich sypiały, a tybyś ani się spostrzegł.

— Prawda, Salusiu, prawda, dawno należało opatrzeć te dziury. No, ale jutro zrobię już niezawodnie, zobaczysz.

— Czegóż się masz spieszyć? Możesz zrebić i za rok i za dwa... Matyldo!

Rozlega się odgłos klapsa i małeńka Matylđa Aniela Araminta Phełps pośpiesznie cofa łapki, po kostki w cukrze zanurzone. W teiże chwili wbiega pokojówka murzynka,

— Proszę pani! Niema jednego prześcieradła!

— Jakto! niema?

— No to dzisiaj zaraz opatrzę dziury — pojednawczo odzywa się wujek.

— Po co? Na kogóż w takim razie złożymy zgubę prześcieradła? Gdzież ono się podziało, Lizo?

— Albo ja wiem, proszę pani... Wczoraj jeszcze leżało w szafie na półce, a dziś go niema...

— Koniec świata! Pierwszy raz w życiu widzę coś podobnego... Koszula, prześcieradło, łyżeczka, sześć św...

— Proszę pani — wpada młoda pokojówka, mulatka — lichtarz mosiężny gdzieś zginął.

— Wynoś mi się ztąd, kozo jedna, bo skórę z ciebie zedrę!

Kipiała z gniewu! Zaczętem spoglądać na drzwi, sądząc, że lepiej było wyjść chyłkiem i drapnąć w las, póki się widnokrąg nie rozchmurzy. Ciocia złościła się i gniewała, nie mając z kim wojować, bo siedzieli wszyscy cicho, jak mysz pod miotłą.

Wtem wujaszek Silas, sięgnąwszy po coś do kieszeni, wyłowił z niej łyżeczkę, co jego samego niepomiernie zdziwiło. Ciocia Salusia umilkła na ten widok i wzniósłszy ręce do góry, zapomniała ust zamknąć, ja zaś, wolałbym był znajdować się w Jerozolimie, albo i dalej jeszcze. Niedługo jednak żywiłem to pragnienie, bo ciocia z udanym spokojem powiada:

— Tegom się. spodziewała. Gdzieżby łyżeczka być mogła? Ma się rozumieć, że nie gdzieindziej, jak w twojej kieszeni i że cały czas tam leżała. Bardzo być może, że i wszystko inne tam się znajdzie. Co robiła łyżeczka w twojej kieszeni?

— Doprawdy nie wiem, Salusiu, nie wiem — tłumaczył się wujaszek — znasz mnie przecie? Toż powiedziałbym ci natychmiast. Czytałem przed śniadaniem Pismo Święte, chyba więc przez nieuwagę włożyłem do kieszeni łyżeczkę zamiast Biblii... Tak! to tak być musiało... Bo sama zobacz: Biblii w kieszeni niema! Pójdę i przekonam się, jeżeli Biblia leży tam, gdzie ją czytałem, to znak, że ja jej nie włożyłem do kieszeni, jeżeli zaś nie włożyłem jej do kieszeni, to musiałem włożyć łyżeczkę, bo skoro łyżeczka jest, a...

— A d ajże mi święty pokój! — przerwała mu ciocia zniecierpliwiona — idź, szukaj, przekonaj się, i wy wszyscy idźcie sobie także, a nie zbliżajcie się do mnie, dopóki cokolwiek nie ochłone.

Gdy wychodzimy z pokoju, wuj bierze kapelusz, i... z hałasem upada na ziemię ćwiek. Wuj, nie mówiąc ani słowa, podniósł go, położył na gzymsie od kominka i wyszedł. Widział to Tomek, a mając w świeżej pamięci przygodę z łyżeczką, powiada:

— Na nic się nie zda posyłanie przez wuja. Już to na nim polegać nie można. Ale z tą łyżeczką — dodał Tomek po chwili — to. nam oddał prawdziwą przysługę, nie wiedząc o tem. Wzamian za nią pójdźmy pozabijać owe dziury.

A było ich sporo w piwnicy i w spiżarni, to też zabrała nam ta robota dobrą godzinę. Wszelako zrobiliśmy wszystko porządnie i trwale, szczelnie zabijając dziury czopami, a potem zalewając je smolą, tak jak się to na okrętach cznić zwykło.

Wtem słyszemy na schodach kroki: zdmuchnąwszy świecę, czekamy. Po chwili wchodzi do piwnicy, kto? wujaszek! Świecę ma w jednej ręce, kłęb pakuł w drugiej, a z oczu jego widać, że nie o szczurach myśli, lecz o czym innym. Idzie, schyla się, zagląda do jednej dziury, do drugiej, wszystkie obszedł po kolei. Stał potem na środku piwnicy, myślał i myślał, a łój ze świecy kapie i kapie. Nareszcie, zwracając ku schodom powoli, jakby przez sen mówi do siebie.

— Ani rusznie mogę sobie przypomnieć, kiedy ja to zrobiłem! Mógłbym teraz powiedzieć

Salusi, że to nie moja wina, że to nie szczury... No, ale mniejsza o to... Czy powiem, czy nie, to wszystko jedno..

I tak mrużąc pod nosem, wyszedł z piwnicy, a w parę minut — my za nim. Strach, jaki to był dobry staruszek!

Tom strasznie się frasował, jak sobie poradzimy z łyżką, ale ponieważ "koniecznie" była potrzebną, łamał więc głowę. Znalazłszy sposób, zaraz też powiedział mi, co mam czynić. Wróciwszy do pokoju, stajemy nad koszykiem, w którym leżą łyżki, i czekamy cierpliwie na ciocię. Gdy weszła, Tomek liczy łyżeczki, przekładając je z jednej strony na drugą, ja zaś niepostrzeżenie wsuwam jedną w rękaw, Wtedy Tomek powiada:

— Ciociu Salusiu, przeliczyłem łyżeczki, jest dziewięć tylko.

— Wracaj do zabawy i nie nudź mnie. Sama przecie liczyłam i było ich dziesięć.

— Cioteczko, liczyłem dwa razy i zawsze wypadło tylko dziewięć...

Jakkolwiek bardzo zniecierpliwiona, przyszła przeliczyć raz jeszcze. Każdyby zrobił to samo.

— Ależ prawda! — zawołała — dziewięć tylko! Cóż to jest? Nie, nie może być, raz jeszcze przeliczę.

Wtedy ja podkładałam nieznacznie tę dziesiątą, która była u mnie w rękawie, ciocia Salusia liczy i obojętnie niby powiada:

— Naturalnie, żeśmy się pomylili. Dziesięć było i dziesięć jest.

— Czy doprawdy, ciociu? — pyta Tomek — mnie się zdaje, że nie.

— Widziałeś przecie, że liczyłam?

— Widziałem, ale...

— No, to przeliczę jeszcze raz.

Wtedy ja znów ukradkiem ściągłam łyżeczkę i, ma się rozumieć, wypadła dziewięć. Ciocia aż się zatrzęsała z gniewu, ale wciąż liczy, raz, drugi, trzeci i dziesiąty, aż doszło do tego, że już koszyk liczyła za łyżeczkę, wypadło zaś rozmaicie, to dziewięć, to dziesięć. Porwała więc koszyk i rzuciła go na ziemię z takim hałasem, że kot, śpiący na oknie, zerwał się i uciekł przestraszony. Późem kazała nam wynosić się i dać jej święty spokój, bo gdy który z nas nawinie się jej na oczy przed obiadem, to go żywcem ze skóry obedrze. Odchodząc, wsunęliśmy łyżeczkę do kieszeni fartucha i znalazł ją tam Jim razem z ćwiekiem i ze śliwkami, które ciocia wypchała kieszeń dla niego.

W przekonaniu Tomka zachód sownie nam się opłacił, bo teraz, gdyby życie cioci zależę miało od przeliczenia raz jeszcze łyżeczek, liczyć ich nie będzie, nie dowierzając sobie wtedy nawet, gdy się nie omyli w rachunku.

Tej samej nocy, położywszy prześcieradło na swoim miejscu, wyciągnęliśmy drugie z innej szafy. Potem oddawszy je, znów wzięliśmy tamto i tak powtarzając sztukę kilkakrotnie, doprowadziliśmy ciocię do tego, że nie wiedziała już sama, ile ma prześcieradeł. Oświadczyła nawet, że jej to wszystko jedno, że nie myśli zagryźć się na śmierć dla głupich paru prześcieradeł, że woli umrzeć niż je obliczać.

Dzięki zatem psom, szczurom i podwójnemu rachunkowi, posiadaliśmy koszulę, prześcieradło, łyżeczkę i świecę. Co zaś do lichtarza, to przedmiot ten był malej wagi i wiedzieliśmy, że o nim wkrótce zapomną.

Ale za to z owym pierogiem było kłopotu co niemiara; trzeba go było piec w lesie. Trzy miednice mąki wyszły na ten pieróg, przy którym poparzyliśmy ręce i nałykaliśmy się dymu.

Następnęj nocy, pokrajawszy u Jima prześcieradło na wążkie paseczki, ukręciliśmy z nich przededniem jeszcze sznur taki, że możnaby się na nim powiesić.

Niestety, drabina w pieróg wejść nie chciała, można nią było nadziać ze czterdzieści pierogów,

zachowując coś jeszcze na zupe i na pieczyste. Jakoż trzeba było wyrzucić część drabiny, a szkoda, bo sznur był śliczny! Ostatecznie upiekliśmy pieróg nie w miednicy, bo zlutowanie stopiło się w ogniu i dno odleciało, lecz w żelazku mosiężnym do ogrzewania pościeli, które wujaszek Silas przechowywał na strychu, jako pamiątkę po jednym z przodków bardzo dawnych. Tak tedy Jim posiadał wszystko, co porządnemu więźniowi było potrzebne. Zostawszy sam, rozłamał pieróg, drabinę ukrył w sienniku, na jednym z cynowych talerzy wydrapał trochę kresek i kółek i wyrzucił talerz przez okno.

ROZDZIAŁ XVI

NOWY KŁOPOT. — "MARTWY GŁAZ. " — PRZYJACIEL SAMOTNIKA. — UROCZY KWIAT.

Okropnie dużo roboty mieliśmy z piłą i z piórami; sam Tomek przyznawał, że napis będzie najprostszy, jaki być może: nie wyryty na ścianie, ale zaledwie wydrapany. Był jednak niezbędny podług Tomka.

Więc gdy Jim i ja mordowaliśmy się nad zaostreniem piór, które on robił z kawałków połamanego lichtarza, ja zaś z łyżeczki, Tomek zaczął układać napisy, któremi wyrazić miał Jim swoje cierpienia. Że jednak Jim nie znał liter, Tomek zafrasowany postanowił litery sam nakreślić węglem, resztę zaś miał Jim wykonać. Myślałem, że tego wystarczy, aż Tomek wola:

— Zapomniałem o najważniejszym: napis nie może być ryty na deskach, ściany więzienia muszą być z kamienia, a jęki więźnia objąć się mogą tylko o głazy martwe, nieczułe. Postaramy się o gład.

— Już wiem! Trzeba przynieść kamień, a przy jednym ogniu upieczemy dwie pieczenie. O staję zład, pod młynem, leży kamień młyński. Musimy go przynieść. Jim wyryje na nim bolesne swoje zwierzenia, a my użyjemy go zamiast osełki do wyostrzenia piór i wyżębienia piły.

Niezła to była myśl, ale i kamień niezły też musiał mieć wagę, a trzeba go było przytoczyć. Zabraliśmy go bez przeszkody, ale niełatwo było toczyć kamień po nierównej drodze. Pomimo wszelkich naszych usiłowań, nie byliśmy w stanie zapobiedz temu, żeby się od czasu do czasu nie przewracał, co nam za każdym razem groziło utratą nóg. Tomek godził się z myślą postradania jednej, ale ja wolałbym był zachować obie.

W połowie drogi, gdy pot lał się z nas strugami, a nogi i ręce odmawiały już posłuszeństwa, musieliśmy przywołać Jm'a, który wypełznawszy za nami przez wykopaną pod łóżkiem dziurę, dopomógł nam przytoczyć kamień.

Nasze przejście podziemne było dość duże, zawsze jednak nie takie, żeby przez nie przesunąć można gład duży, musiał więc Jim rozszerzyć je bardzo motyką. Poczem Tomek narysował litery ćwiekiem i zasadził Jim'a do wykuwania ich, dawszy mu ćwiek zamiast dłóta, a gwicht żelazny, znaleziony w przybudówce, w miejsce młotka Kazał mu kuć, dopóki świecy wystarczy, a potem ukryć kamień pod siennikiem i spać się na nim położyć. Gdy z pomocą naszą Jim założył łańcuch na nogę od łóżka, Tomek zapytał:

— Są tu pająki, Jim?

— Nie, paniczu, Bóg łaskaw, ani jednego.

— To nic! Wystaramy ci się o kilka.

— Paniczu złocisty, a po co? Po co mnie pająki? Ja się ich boję... Dla mnie, pająk czy grzechotnik, to wszystko jedno.

Pomyślał trochę Tomek i powiada:

— To pyszna myśl! A gdzieżbyś go trzymał?

— Kogo, paniczu?

— Grzechotnika, ma się rozumieć!

— Łasko Boska! a panicz co mówi?! A toć, żeby tu miał ze mną mieszkać grzechotnik, tobym chyba głową wybił dziurę i uciekł.

— E! Jmn, tak ci się zdaje. Z początku tylko bałbyś się grzechotnika, a potem oswoiłbyś go...

— Oswoił?

— I nawet bardzo łatwo. Każde zwierzę okazuje wdzięczność za pieszczoty i nie czyni krzywdy osobie, która ma o niem staranie. W książkach szeroko o tem piszą. Spróbój: cóż ci szkodzi? Z początku będzie trudno, a potem, zobaczysz: przywiąże się do ciebie, nie odstąpi cię na krok, spać będzie z tobą, a nawet pozwoli ci swą głowę włożyć w usta.

— Mój paniczu, mój śliczny, niech panicz tego nie mówi! Słuchać nawet nie mogę... Co? grzechotnik ma mi pozwolić, żebym sobie w usta włożył jego głowę? Mnie pozwoli? Cóż to? łaskę mi robi, czy co? Oho! poczeka on, nim ja go o pozwolenie poproszę! Spać będzie ze mną? Nie chcę! nie chcę! paniczu!

— Miejże rozsądek, Jim. Każdy więzień posiadać musi jakieś stworzenie obłaskawione, a jeżeli nikt dotychczas nie próbował oswoić grzechotnika, to tem większa ztąd sława dla ciebie. Zobaczysz, Jim, cały świat będzie wiedział o tobie.

— Nie, paniczu, dziękuję, co mi tam po sławie! Jak mnie wąż ukąsi, to się od sławy nie zagoi. Nie, nie, paniczu, nie chcę!

— Ach!, Jim, czyż spróbować nawet nie możesz? Ja tylko chcę, żebyś spróbował. Nie uda się, to nie...

— Pewno, że się nie uda, jak mnie grzechotnik ukąsi... Nawet czasu nie będzie spróbować. Nie, paniczu, nie, kochanie moje złote, zrobię wszystko, co panicz każe, tylko niech to nie będzie takie głupstwo... A jeżeli mi tu przyniesiecie grzechotnika i każecie go oswajać, to ucieknę. Zobaczy panicz, że ucieknę... Bez pisania i bez drabiny.

— No, dobrze już, dobrze, kiedyś taki uparty, to nie... Nie chcesz grzechotnika, to ci przyniesiemy kilka jaszczurek, a ty im ponawlekasz po parę guzików na ogony i niech udają grzechotników.

— Ja i tego paskudztwa znieść nie mogę, ale jeżeli już bez nich nie można, to niech tam... Niech panicz przyniesie... Żebym ja był wiedział, że to tyle kłopotu z tem siedzeniem w więzieniu i taki zachód...

— Ma się rozumieć, że jest zachód i kłopot, jeżeli wszystko idzie, jak się należy. Czy są tu szczury?

— Nie, paniczu, nie widziałem ani jednego.

— No, to ja ci ich kilku dostarczę.

— Kiedy ja i szczurów nie chcę, paniczu. Chwili spokoju z nimi niema, to coś gryzą, to skrobiają, to biegają., a gdy człek zaśnie, to po nogach kąsają... bo i to bywa! Nie, paniczu, już jeżeli koniecznie potrzeba, to niech panicz przyniesie jaszczurki, ale szczurów nie chcę. Co mi po tem?

— Dajże pokój, Jim. Niema więźnia bez szczurów. Każdy je ma i ty swojego mieć musisz. Powiadam ci: nie było przykładu, żeby więzień nie miał szczura! Oswoisz go, nauczysz sztuk i zobaczysz: będzie chodził po tobie śmiały, jak mucha. Ale trzeba, żebyś im grał na jakim instrumencie, bo szczury przepadają za muzyką. Masz na czem grać?

— Mam grzebień, paniczu, i papieru kawałek i gitarę z porwanymi strunami. Nie wiem, czy im się taka muzyka podoba?

— I jak jeszcze! graj im byle jak, byleś grał, to dla nich dosyć. Trzeba ci wiedzieć, że wszystkie zwierzęta lubią muzykę, mianowicie, gdy są w więzieniu, a muzyka musi być smutna, płacząca... Na gitarze zaś i to z porwanymi strunami, nie zagrzasz nic wesołego. To im się bardzo podoba, zejda się, obstąpią cię, skoczą ci nawet na głowę byle słuchać! Widzisz, tak trzeba zrobić... Wieczorem, nim się spać położysz i rano, bardzo rano, usiądź na łóżku, z głową zwieszoną i zacznij przebierać palcami po strunach. Graj im "Pękło ostatnie ogniwo..." to ich najwięcej rozrzewni... zobaczysz! Pograsz jakie parę minut i zaraz szczury, jaszczurki, pająki, rozczulą się, powyłażą ze swoich dziur i przyjdą wszystkie do ciebie. To ci dopiero będzie uciecha!

— Dla nich może, paniczu, ale nie dla mnie. Żebym choć wiedział, na co to paniczowi potrzebne? Ale trudno, kiedy trzeba, to trzeba... Niech tam już!

Poztazi się ta gadzina do mnie, to przynajmniej w domu dokuczać nie będzie.

Tomek chwilkę się jeszcze namyślał, czy czasem nie przepomniał czego. W końcu powiada:

— Jeszcze jednej rzeczy zapomniałem. Jak ci się zdaje, Jim, czy mógłbyś tu pielęgnować jaką roślinę, -której kwiat uroczy...

— Co tego, to nie wiem, paniczu. Ciemnawo tu, na kwiatach się nie znam, a zachodu z tem sporo...

— Spróbój, co ci szkodzi? Czynili to niektórzy więźniowie.

— Ja myślę, paniczu, że możnaby tu posadzić chwast jaki: pokrzywę może? Ale kłopotu będzie dużo, a pożytku żadnego.

— Nie wierz temu. Ja ci przyniosę kilka krzaków pokrzywy i innego ziela, a ty je posadzisz tam w kącie. I pamiętaj nazywać je *Picciola*, bo tak się nazywa roślina, która rośnie w więzieniu. Będziesz ją łzami podlewał.

— Po co, paniczu? Jest przecie źródlanej wody poddostatkiem.

— Ale więzień nie może używać wody źródlanej; musi podlewać łzami. Każdy tak czyni.

— Kiedy, proszę panicza, od wody daleko prędzej rośnie... A z temi łzami, to jeszcze niewiadomo jak...

— To nie twoja rzecz. Łzami podlewaj i koniec...

— Zobaczysz panicz, że przepadnie... Zkądże ja zresztą wezmę łez, kiedy ja nigdy nie płaczę?

To ostatecznie przekonało Tomka. Pomyślał!

trochę i oznajmił, że jeżeli już nie inną roślinę, to cebulę musi pielęgnować. Przyrzekł też zajść do kuchni murzyńskiej i wzięwszy parę cebul, wrzucić je do imbryka, w którym co rano przysyłano Jim'owi kawę. Jim skrzywił się trochę na kawę z cebulą i wyrzekął, że wogóle za dużo ma roboty: pielęgnowanie uroczonego kwiatu, przygrywanie szczurom, osvajanie jaszczurek i pajaków, ostrzenie pióra, kucie napisów, prowadzenie dziennika, jednym słowem, więźniem będąc, tyle miał pracy i odpowiedzialności, jak nigdy przedtem. Tomek zniecierpliwiony ostro wymawiać mu zaczął niewdzięczność.

— Jakto? — powiada — zdarza ci się sposobność, nie każdemu dana więźniowi, rozśławić swe imię po całym świecie, przekazać je pamięci potomnych, a ty ocenić tego nie umiesz? Wstydz się, Jim! Inaczej o tobie myślałem.

Zawstydził się więc Jim, uznał swą winę, przyrzekł nie wpadać w nią więcej i przejednał Tomka, poczem obaj udaliśmy się na wypoczynek.

ROZDZIAŁ XVII

SZCZURY. — MILI TOWARZYSZE. — LISTY.

Wstawszy raniutko, pobieглиśmy do najbliższej wioski, do sklepiku, po pułapkę na szczury, najlepszą, jakąśmy znaleźć mogli, a po otworzeniu największej nory, w niespełna pół godziny, mieliśmy z piętnaście ogromnych szczurów, które w pułapce dużej, jak klatka, schowaliśmy pod łóżko cioci Salusi. Ale mały Tomek - Tomasz-Franklin-Benjamin-Jefferson-Aleksander Phelps, znalazłszy pułapkę, otworzył drzwiczki dla przekonania się, czy szczury wyjdą. I wyszły! wszystkie, co do jednego! Na to wchodzi ciocia Salusia i my też wracamy z pajakami. Ciocia, stojąc na łóżku, krzyczy w niebogłoso, a szczury robią, co mogą, żeby ją rozerwać, skacząc po pokoju, przewracając koziołki — istna heca! Przetrzepała nas ciocia prętem co się zowie, i trzeba było znów łapać szczury, które już były znacznie mniejsze. Zmarnowała się nasza praca przez tego bębna niezdolnego!

Dobraliśmy sobie za to pajaki jak na wystawę! Nałowiliśmy także żab, gąsienic i różnych takich stworzeń; chcieliśmy także zabrać i gniazdo szerszeni, ale nie udało się. Za to jaszczurek, małych węży domowych, odznaczających się pięknem ubarwieniem, znalazło się co niemiara. Wpakowaliśmy to wszystko do worka, zanieśli go do swego pokoju, a że się już miało ku wieczorowi, Siedliśmy do kolacji z ogromnym apetytem po całodniowej pracy mozolnej.

Po kolacji wracamy i... cóż państwo powiecie? ani jednego węża! Worek był źle zawiązany i wszystko to się rozlało. Nie bardzośmy się jednak zmartwili, wiedząc, że nie pójdą daleko i zawsze gdzieś w domu się znajdą. I prawda! przez dni kilka nikt nie mógł się uskarżać na brak ich w domu. Zwieszały się z sufitów, leżały na półkach, a najczęściej zdarzało się, że spadały na talerz, albo na szyję, wtedy, gdyś ich wcale nie potrzebował. Ale przynajmniej było z nimi w domu bardzo ładnie, zwłaszcza, że nic złego nikomu nie robiły.

Kto jednak z ciocią Salusią trafi do ładu! Do wszystkich węży, do najrzadszych nawet, złotem prążkowanych, miała "obrzydzenie, " jak mówiła. Nie mogła ich znieść! Co który na nią spadnie, to żeby nie wiem jak zajęta była robotą, rzuca wszystko ucieka. Nigdy w życiu nie widziałem takiej grymasnej kobiety. A krzyczała! Na drugim końcu świata słyhać ją było. Żadnego z nich przez szczypcę nawet wziąć nie chciała, a jeżeli, bywało, znalazł się który w jej łóżku, to wyskakiwała, jak oparzona i podnosiła taki gwałt, jakby się cały dom palił.

Nawet wówczas, gdy już od tygodnia ani jednego węża nie było w domu, jeszcze się ciocia nie uspokoiła. Siedzi, bywało, i myśli o czymś — dosyć przyjąć i delikatnie musnąć ją piórem po karku, żeby się zerwała na równe nogi tak, jakby chciała wyskoczyć z własnych pończoch. Istotnie, ciekawe to zjawisko! Tomek powiada, że wszystkie kobiety takie, że już tak je Pan Bóg stworzył, nie wiadomo dlaczego.

Mniejsza o szturhańce, których nam ciocia nie szczędziła, bom ich nie czułem, ale cośmy mieli kłopotu ze zbieraniem węzów, to strach! Nazbieraliśmy ich jednak sporo, jak również żab, jaszczurek i wszystkiego. Co to był za milutki kącik, ta komórka Jim'a, gdy się wszystko po niej rozpełzło! Jim nie mógł polubić pajaków, a i one jego, że zaś po wszystkich kątach było ich pełno, więc biedny więzień nie wiedział, gdzie się ma podziać. Szczury, węże i kamień młyński tak przepełniały jego łóżko, że sam nie miał miejsca, a nadewszystko nie mógł spać. Ciągłe się coś ruszało, mówił Jim, bo gady i szczury nie spały nigdy jednocześnie, lecz po kolei. Gdy spały węże, to szczury w harcach, a gdy one pozasypiały, węzom zabawa była w głowie. Zawsze tedy jedno stworzenie leżało przy nim i pod nim, a inneroiły się po za nim. Gdy zaś ustąpił im z placu i przytulił się w jakim kącie, to

czychały na niego pająki. Powiadał Jim, że jeżeli mu się uda wyjść z komórki, to już za żadne w świecie pieniądze nigdy dowiezienia nie wróci.

Upłynęło tak trzy tygodnie. Przez ten czas przygotowaliśmy wszystko, jak należy. Koszula dawno już została przesłana w (w pierogu), a Jim za każdym razem, gdy go szczur ukąsił, wstawał z łóżka i krwią żywą dopisywał parę słów w swoim dzienniku. Pióra zostały zaostrzone, napisy na kamieniu wykuwał Jim powoli; noga od łóżka przepiłowaną była na dwoje, a trociny zjedliśmy obaj do szczętu tak starannie, żeśmy aż dostali kurczów żołądka. Były to widać niestrawne jakieś, w trociny! Ale przynajmniej wszystkiego prawie dokonaliśmy, straszliwie obaj zmęczeni i Jim także.

Wujaszek pisał parę razy do właściciela plantacyi pod Nowym-Orleanem, żeby przybył zabrać niewolnika, odpowiedź jednak nie przychodziła, bo nie było na świecie ani właściciela takiego, ani plantacyj. Stało więc na tem, że poda ogłoszenie do gazet w *Saint-Louis*, na którego wspomnienie aż mnie ciarki przeszły, widzę bowiem, że niema czasu do stracenia.

— Teraz trzeba listy bezimienne rozsyłać — powiada Tomek.

— Po co? — pytam.

— Jako ostrzeżenie, że się coś gotuje. Takie ostrzeżenia bywają zawsze wysyłane w tej lub innej formie, bo przecież ktoś zwykle szpieguje w pobliżu zamku i uwiadamia o wszystkim komendanta. Gdy Ludwik XVI miał uciec z Tuileries, wysłedzony został przez służącą. To wyborny środek, jak również listy bezimienne. Użyjemy jednego i drugiego. Jest też zwyczaj, że matka więźnia zamienia z nim ubranie: ona zostaje w więzieniu, a on w kobiecych sukniach ucieka. I to także zrobimy.

— Ale zastanów się, Tomku, pocóż my mamy ostrzegać, że się coś gotuje? Niech sami odkryją i niech się mają na baczności!

— Takby być powinno, ale czy to na nich polegać można? Sam przecie widzisz, jak postępowali od początku; my sami wszystko robić musieliśmy. Tacy łatwowierni! To też, jeżeli my ich nie ostrzeżemy, nikt nam nie przeszkodzi i cała nasza praca, wszystkie zabiegi na nic pójdą, bo wszystko przejdzie bez wrażenia.

— Wiesz? Jaby wolał, żeby tak było.

— Tybyś wolał! — pogardliwie powtórzył Tomak.

— Ależ ja nie narzucam swego zdania. Rób, jak uważasz, zgadzam się na wszystko. A jakże będzie z tą służącą?

— Ty nią będziesz. Zakradniesz się nocą i ściągniesz suknię tej dziewczyny, mulatki.

— Zlituj się! Toż to dopiero będzie hałas jutro rano! ona niema zapewne innej sukni?

— Cóż z tego? tobie suknia będzie potrzebna tylko na kwadrans najwyżej, na wsunięcie listu bezzimiennego pod główne drzwi wchodowe.

— No, dobrze, wezmę suknię i list odniosę... Ale, co prawda, mógłbym go odnieść tak samo w swoim ubraniu.

— Tak, ale nie wyglądałbyś wtedy na służącą!

— Zapewne, że nie, ale niktby nie widział, jak wyglądam.

— Cóż to ma do tego? Naszą rzeczą jest wypełnić wszystko, co do nas należy, prowadzić całą sprawę tak, jak to czynili znakomici i sławni więźniowie. A czy nas kto widzi, czy nie, to rzecz najmniejsza... Wiesz, Huck, nieraz myślę, że ty wcale nie dbasz o *zasadę!*

— No, nie powiem już nic: będę służącą i do tego dziewczyną. A kto będzie matką Jim'a?

— Ja! Przebiorę się w suknię cioci Salusi.

— To będziesz musiał pozostać w więzieniu podczas mojej z Jim'em ucieczki?

— Nie na długo. Wypcham słomą ubranie Jim'a i położę taką lalkę na jego łóżku. Będzie to niby jego matka, za niego przebrana. A przez ten czas, Jim ubierze się w suknię cioci, którą ja z siebie

zdejme i wszyscy trzej razem uciekniemy. To jest nie uciekniemy, "ale ocalimy się ucieczką, " bo uciskają tylko zbrodniarze, więźniowie zaś niepospolici, naprzykład królowie, "ocalają się ucieczką."

Napisał więc Tomek list bezimienny, ja zaś tej samej nocy ściągnąłem suknię mulatce, ubrałem się w nią i tak wystrojony, poszedłem podsunąć list pod główne drzwi wchodowe. W liście stało tylko:

— "Mieście się na ostrożności. Czeka was wielka nieprzyjemność. Z wyteżoną czuwajcie uwagą. Nieznany wasz przyjaciel. "

Następnej nocy przybiliśmy do drzwi wchodowych rysunek, krwią nakreślony przez Tomka, a przedstawiający trupa czaszkę na dwóch skrzyżowanych piszczelach; później zaś na drzwiach od tyłu narysował Tomek ogromną, "familijną", jak mówił, trumnę.

Na całą rodzinę padł strach taki, że nigdy jeszcze nie widział nic podobnego. Gdyby cały dom pełen był duchów, w każdym kąciaku zaczajonych i unoszących się w powietrzu, to i wtedy chyba nie byłoby większego popłochu. Tomek cieszył się, że tak dobrze idzie, twierdząc, że nigdy nie przypuszczał takiego powodzenia.

— A to dlatego — mówił — że spełniamy swój obowiązek.

Lecz nie wszystko jeszcze było zrobione. Nazajutrz, o świcie, mieliśmy już drugi list przygotowany, nie wiedząc, co z nim zrobić, bo przez noc całą miał stróżować murzyn i obchodzić dom naokoło, żeby nikt do drzwi nie miał dostępu. Tomek zsunął się na dół po piorunochronie dla zbadania położenia, lecz okazało się, że murzyn siedzi pode drzwiami i śpi. Zsunawszy mu więc list za kołnierz, powrócił tą samą drogą. W liście zaś tak stało:

"Nie zdradźcie mnie: jam wasz przyjaciel. Banda opryszków z kraju Indyan zamierza wykraść dziś w nocy zbiegłego murzyna, którego trzymacie w więzieniu. Użyli wszelkich środków dla wzbudzenia w was przestachu, chcą bowiem, żebyście nie śmieli ruszyć się z domu i nie czynili im przeszkód. Ja także do ich bandy należę, lecz Boga mając w sercu, chcę ich opuścić i znów rozpocząć życie uczciwe, dla tego też zdradzam przed wami piekielne ich zamiary, O samej północy z dorobionym kluczem wejdą do komórki murzyna. Ja mam stać na czatach i gwizdawką dać znać o niebezpieczeństwie, lub zamiast tego, beknię jak owca. Potem zaś, gdy oni wezmą się do rozkuwania kajdan murzyna, wy z domu wypadłszy, zamknijcie opryszków na klucz, których też wybijecie co do jednego. Zaklinam, postępujcie według moich wskazówek: inaczej wzbudzicie podejrzenie i padniecie ofiarą nieszczęścia. Nagrody nie żądam; znajduję ją we własnym sumieniu, które chwali mój postępek.

Tenże sam nieznany wam przyjaciel!"

ROZDZIAŁ XXVIII

KOMITET CZUJNOŚCI. — ZAPALENIE MÓZGU. — WAŻNE WYPADKI.

W doskonałych byliśmy humorach po śniadaniu, bo wszystko składało się jak najlepiej. Wszedłszy do łódki, popłynęliśmy na ryby i mając z sobą przekąskę, używaliśmy wczasu. Po obejrzeniu tratwy, która była w dobrym stanie, spędziliśmy dzień cały na rzece i dopiero wróciliśmy do domu na kolację. W domu wszyscy głowy zupełnie potracili, nie wiedząc, co się z nimi dzieje. Nikt nic powiedzieć nam nie chciał, co zresztą nie było potrzebne, bo myśmy i tak przecież o wszystkim wiedzieli, zapowiedziano nam tylko, że natychmiast po kolacyi mamy iść spać. Jakoż po ostatnim kąsku, ciocia Salusia poczęła nas wypędzać na górę, a dla większej pewności sama z nami poszła. Ale za to ledwie z oczu nam znikła, my najprzód do spiżarni po żywność, a potem do łóżka. O wpół do dwunastej byliśmy na nogach. Tomek ubrał się w suknię cioci Salusi, rano jeszcze skradzioną, i już miał wychodzić z zapasami, gdy wtem pyta:

— A gdzie masło?

— Jest, spora nawet osełka. Włożyłem ją pomiędzy dwa placuszki żytnie.

— Włożyłeś i zostawiłeś. Niema tu masła.

— To się bez niego obejdziemy — powiadam.

— A pocóż się mamy obchodzić. Spiesz do spiżarni i przynieś masło, a ja się tymczasem spuszczę po piorunochronie, wypcham słomą ubranie Jim'a i gdy matka przebrana będzie gotowa, beknę jak owca... Ty zaś także bądź gotów i nie siedź za długo w spiżarni.

Rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Jakoż istotnie zapomniałem osełki: legła tam, gdzie ją zostawił. Wziąłem ją tedy razem z placuszkami i zgasiwszy świecę, wstępowałem ostrożnie, na schody, żeby się dostać do pokoju. Wtem nagle drzwi się otwierają a w nich ciocia Salusia, ze świecą w ręku.

Ja tedy czempredzej masło i placuszki wsuwam do kapelusza, kładę go na głowę i idę. Ciocia Salusia, spostrzegłszy mnie, pyta:

— W spiżarni bya Saos?

— Tak, ciociu.

— Coś tam robił?

— Nic, ciociu.

— Nic?

— Nic.

— Wiec pocoś tam chodził o tej porze?

— Nie wiem, ciociu.

— Nie wiesz? Nie pleć mi głupstw, Tomku. Raz jeszcze pytam, co miałeś do roboty w spiżarni?

— Nicem do roboty nie miał, proszę cioci... Naprawdę, ciociu, nic.

Myślałem, że mnie już potem puści i kiedyindziej byłaby tak zrobiła; ale, że się tyle nadzwyczajnych rzeczy działo teraz koło niej, więc, pełna podejrzeń, głosem bardzo stanowczym wyrzekła:

— Ruszaj mi do tego pokoju i siedź tam. Coś, widzę, zbroiłeś, boś był tam, gdzie nic nie masz do roboty, muszę zobaczyć coś zbroił.

I poszła sobie, a ja rad nierad musiałem wejść do pokoju na dole, gdzie o tej porze zazwyczaj bywały pustki. Tymczasem rojno tam było jak w ulu! Piętnastu dzierżawców z sąsiedztwa, każdy ze

strzelbą! Aż mi się niedobrze zrobiło. Wszyscy siedzieli na rozstawionych w półkole krzesłach, rozmawiając z sobą półgłosem i widać było, że tylko spokój udawali. Mnie samemu było także nieswojo, ale ponieważ oni siedzieli w kapeluszach na głowie i ja też nie zdjąłem swojego.

Z całej duszy pragnąłem powrotu cioci Salusi i wyjścia z tego aresztu. Należało już raz dać pokój tym głupstwom i drapnąć czempredziej razem z Jim'em, zanim się wszyscy opatrzą.

Ciocia, wróciwszy, zadawała mi różne pytania. Nie mogąc na żadne z nich dać odpowiedzi prawdziwej, wilem się jak piskorz... "A co? a gdzie? a jak? a dlaczego?" Czuję, że w głowie mi się przewraca, że robi mi się coraz goręcej, masło zaś zaczyna mi topnieć pod kapeluszem, spływając po karku i za uszami. I to. nic, ale gdy jeden z dzierżawców odezwał się: "Ja teraz pójdę do komórki i tam będę czekał na opryszków," to mną tak rzuciło, że o mało z krzesła nie runął, a stopniałe masło płynęło mi po czole coraz silniej. Zobaczywszy to wreszcie ciocia Salusia, zbladła jak chusta i głosem drżącym woła:

— Na rany Boskie! co temu dziecku jest? Nic innego, tylko dostał zapalenia mózgu tak, że mu w głowie aż kipi!

Zrywają się wszyscy z przerażeniem, zdejmuje mi ciocia kapelusz z głowy, lecą na ziemię placuszki, leci reszta masła niestopniałego jeszcze, a ciocia, obejmując mnie za szyję i tuląc do piersi, woła:

— Ach! jakżem ja się przestraszyła! Dzięki Bogu, że nic groźnego!... Myślałam, że znów jakie nieszczęście, bo sypią się na nas bez miłosierdzia; złe nigdy samo nie przychodzi... Byłam pewna, że już po tobie!... Ach! coby to było, gdyby tak mózg, nie masło... Czemużes ty mi nie powiedział, po co chodziłeś do spiżarni? nie byłabym cię zatrzymywała.

Bierz sobie tyle masła, ile chcesz... No, a teraz idź zaraz do łóżka i nie pokazuj mi się aż do rana!

Jednym susem przebyłem schody, drugim nasz pokój, a zsunąwszy się po piorunochronie w mgnieniu oka, pędzę ku przybudówce. Słowa więzły mi w gardle, gdym opowiadał Tomkowi, co się dzieje" dodając, że minuty niema do stracenia, że dom pełen mężczyzn uzbrojonych...

Tomkowi aż się oczy iskrzą z radości:

— E! doprawdy? — woła. — A to świetnie! to znakomicie! To nam się udało! Gdyby można jeszcze poczekać...

— Nie można! nie można! — przerywam. — Gdzie Jim?

— Za tobą; wyciągnij po za siebie ramię, a namacasz go. Już przebrany i wszystko gotowe. Zaraz ruszymy, a wówczas dam hasio... Ale zanim to nastąpiło, usłyszeliśmy kroki zbliżające się ku drzwiom, a wreszcie głos:

— Mówiłem wam, że to za wcześnie... Nie przyszli... drzwi zamknięte... Niech kilku z was wejdzie do komórki i zaczai się na nich... Strzelajcie jak tylko wejdą... Reszta niech się rozstawi, gdzie może i nasłuchuje... Niezadługo już nadejść powinni... Wszedłszy, nie widzą nas, bo ciemno, ale że komórka niewielka, a ich kilku, więc o mało nam nóg nie przydeptali, podczas wędrówki naszej pod łóżko.

Jim wyszedł najpierwszy, ja za nim, Tomek a ostatku, bo taki zalecił porządek. Stojąc już w przybudówce słyszymy, że ktoś chodzi pod ścianą. Tomek szeptem oznajmia nam, że gdy usłyszy oddalające się kroki, trąci nas obu dla oznaczenia pory wyjścia: Jim pierwszy, ja drugi, on — ostatni. Przykłada więc ucho do szpary i słucha... Kroki to oddalają się, to przybliżają, to cichną... Nareszcie trącił mnie Tomek nogą, ja trąciłem Jima i wysunęliśmy się przez drzwiczki na pół otwarte, oddech wstrzymując. Idąc gęsiego, byliśmy już blisko ogrodzenia... już, już, po drugiej jego stronie, bo Tomek i ja przeszliśmy szczęśliwie, gdy wtem., zaczepia Jim suknią o sterczący pręt jakiś... Słyszając kroki, szarpnął się silniej, pręt zatrzeszczał, Jim już przy nas, już uciekamy, gdy wtem

głos się rozlega.

— Kto tam? Odpowiadać, bo strzele!

Wziąwszy nogi za pas, pędzimy co sił starczyło; pogoń za nami, huk wystrzałów, kule nam świszczą. koło uszu. Kilka głosów woła:

— Są! są! Uciekają w stronę rzeki! Gonić ich, gonić! A spuścić tam psy z łańcucha

Biegniemy ścieżką wiodącą do młyna, doganiają nas prawie, skręcamy więc na bok w zarośla, przepuszczamy ich naprzód, a sami zostajemy w tyle.

Wszystkie psy z wieczora jeszcze zamknięto, żeby opryszków nie spłoszyły, lecz teraz ktoś je wypuścił, bo nadbiegają, czyniąc taki hałas, jakby kto na ich zdrowie nastawał. Poznawszy nas, powiedziały nam tylko: Jak się macie! i bywajcie zdrowi! i popędziły naprzód. Teraz my w nogi! dopadliśmy miejsca, gdzie uwiązana była łódź moja, wskakujemy do niej i szybkimi uderzeniami wiosła wypływamy na środek rzeki, o ile można jak najciszej. Nol teraz już, jak po maśle! dobijamy do wysepki, gdzie w zaroślach ukryta tratwa, a tamci biegną, krzyczą, słychać nawoływania, szczekanie psów, wrzask, zamęt!... Nareszcie jesteśmy wszyscy na tratwie..

— No, mój stary — rzekłem — jesteś znów wolnym i moja w tem głowa, żebyś nigdy już nie był niewolnikiem.

— Aleście się też napracowali — rzecze Jim. — Jak to wszystko było obmyślane, jak wykonane!... Głowę dam, że niktby nie wszedł na taki pomysł!... A o wykonaniu, to niema nawet co mówić! Złociście chłopcy, a i mądrale, jakich mało!

Byliśmy wszyscy bardzo szczęśliwi, a najszczęśliwszy Tomek, bo go w łydkę kula trafiła.

Wielce nas zmartwiła ta wiadomość. Rana bolała go bardzo, krew płynęła obficie, położyliśmy więc Tomka w naszej budce i dalej drzeć na bandażę jedną z pozostałych po księżciu koszul.

— Dajcie-no te gałgany — rzekł Tomek — ja sam to zrobię. Wy czasu nie traćcie... do tej pory świetnie wszystko idzie... Ocaliliśmy się ucieczką, aż miło! będziem wzorem dla potomności!... Gdyby nam poruczona była opieka nad Ludwikiem XVI, to w jego biografii nie byłoby napisano: "Synu Świętego Ludwika, idź do nieba!" Nie! mybyśmy go byli przekradli przez granicę... i to jak jeszcze! Odbijajmy od brzegu! odbijajmy!

Po kilku minutach narady z Jim'em, rzekłem nareszcie:

— No, Jim... powiedz...

— No, to powiem — odrzekł — Bo to ja myślę sobie tak: Gdyby to on, Tomek, został uwolniony z więzienia, a jeden z nas był raniony, czy on powiedziałby wtedy: "Uciekajmy! uciekajmy! co mnie tam obchodzi, żeś ty ranny w nogę, że potrzebujesz doktora?" Czy powiedziałby tak Tomek Sawyer? Czy powiedziałby to panicz Tomek? Paniczu Tomku? Nie! Głowę daję, że nie! A kiedy nie, to z jakiejże racyi ma tak mówić Jim! Nie, paniczu, ja się ztąd nie ruszę... Nie ruszę się, dopóki doktor nie obejrzy nogi, choćbym miał stać tu lat pięć, albo nawet czterdzieści!

Wiedziałem, że Jim z wierzchu tylko jest czarny, a wewnątrz tak biały, jak każdy z nas, i pewien byłem, że powie to, co powiedział, ale Tomek narobił hałasu i zabronił nam iść po doktora.

Wobec naszej stanowczości, Tomek chciał na czworakach odwiązać tratwę, ale myśmy na to nie pozwolili. Zaczął nam tedy wymyślać, ale i to nic nie pomogło.

Aż wreszcie widząc mnie już w łódce, powiada:

— No, kiedyś się uparł koniecznie przywieźć doktora, to ci przynajmniej powiem, jak to zrobić. Wejdz, drzwi za sobą zamknij na klucz, zawiąż doktorowi oczy, każ mu przysiąc, że milczeć będzie, jak grób, potem wyprowadź go, obejdz z nim kilka razy dom naokoło, skręcając to na prawo, to na lewo, żeby nie mógł zmiarkować którędy go prowadzisz. Dopiero wówczas wsiądź z nim do łódki, lecz nie płyn prosto, krąż ciągle pomiędzy wysepkami... Kieszenie obszukaj mu ściśle i jeśli ma

ołówek albo krede, odbierz ją i oddaj dopiero po powrocie. A nużby naznaczywszy tratwę, ułatwi! jej odszukanie. Miejże się na ostrożności!

Przyrzekłem spełnić wszystkie jego zlecenia i popłynąłem ku wsi, Jim zaś, miał się skryć w lesie, i pozostać tam, dopóki doktor nie odjedzie.

ROZDZIAŁ XIX

DOKTÓR. — WUJASZEK SILAS. — "SIOSTRA" HOTCHKISS. — CIOCIA SALUSIA ZMARTWIONA.

Doktor, niemłody już człowiek, wyglądał na staruszkę bardzo poczciwego. Opowiedziałem mu, że brat mój i ja udaliśmy się wczoraj po południu na polowanie, na wysepkę, zwaną *Spanish-Island*, że spędziliśmy noc na tratwie, przypadkiem znalezionej, że około północy przytrafił się wypadek bardzo niemiły, gdyż brat mój przez sen widać potracił fuzyę, która wypaliła raniąc go w nogę. Prosimy więc doktora, żeby był łaskaw odwiedzić go, opatrzyć i nic nie mówić nikomu, bo... bo chcemy, żeby nikt nie wiedział o wypadku.

— Zkądże wy jesteście?

— Siostrzeńcy Phelps'ów, z sąsiedztwa.

— Wiem, wiem.

I po chwili dodaje: — Powtórz-no, jakim to sposobem postrzelony został twój brat?

— Śniło mu się coś, panie doktorze i... i strzeliło.

— Hm! Dziwny sen! — powiada doktor.

Wziął jednak swoją latarnię, torbę z narzędziami i poszliśmy. Zobaczywszy czekające na nas czółno, skrzywił się jakoś...

— Na jednego dobre — powiada — ale na dwóch za niebezpieczne.

— Niech się pan nie boi — zawołałem — toć trzech nas było, a płynęliśmy bez obawy...

— We trzech?

— Tak, proszę pana. Ja, brat mój, Sid i... i strzelby. Strzelby były na trzeciego, proszę pana...

— Aha! Strzelby. Hm! Hm!

— Wiesz co? — rzekł doktor. — Ja sam popłynę, a ty czekaj mnie; baw się polowaniem lub idź do domu, żeby przygotować wujostwo do niespodzianki. Iak wolisz!

Ale ja nic nie wołałem; po otrzymaniu wskazówek, doktor odpłynął, a ja pozostałem.

Będę tu czekał — myślę sobie — lecz jeśli doktor wróciwszy, powie, że jeszcze raz musi być na tratwie, to i ja mu będę towarzyszył, choćby mi nawet przyszło płynąć. Na tratwie zaś zwiążemy go, zatrzymamy gwałtem i popłyniemy w dół rzeki. Skoro zaś Tomek wyzdrowieje, zapłacimy, co mu się będzie należało i doktora na brzeg wysadzimy.

Wlażem sobie tedy pomiędzy ułożone w kilka stosów tarcice, żeby się zdrzemnąć. Po przebudzeniu widzę słońce wysoko nad głową! Zerwawszy się, pędzę do domu doktora, ale ten jeszcze nie wrócił. Hm! — myślę sobie — z nogą Tomka musi być źle. Niema co, ruszam na wyspę natychmiast... I ruszyłem, ale też na zakręcie ulicy wpadłem na wujaszka Silasa tak, że mu o mało brzucha głową nie przebódl.

— Tomek! Gdzieżeś ty był, urwisie jeden przez tyle czasu?

— Ja, wujaszku? Nigdzie nie byłem, proszę wujaszka... Ja tylko... to jest my obaj, ja i Sid, puściliśmy się w pogoń za murzynem.

— Ale gdzieżeście się zapędzili? Ciotka niepokoi się o was...

— Niepotrzebnie, bo nam się nic złego nie stało. Pobiegliśmy za ludźmi i za psami, ale wyprzedzili nas, proszę wujaszka i zgubiliśmy się... A potem... proszę wujaszka... aha! potem... zdawało nam się, że tamci odpłynęli... na rzekę, proszę wujaszka, na rzekę... Więc i my wsiedliśmy w łódkę i za nimi... I pływaliśmy, pływali, dopókiśmy się nie zmęczyli... A już potem, proszę

wujaszka, to nam sił brakło... Tak... No, to już wtedy uwiązaliśmy czołno i po długim spaniu wysiedliśmy na brzeg, żeby się dowiedzieć, co tu słychać... No, i Sid pobiegł na pocztę, może się tam czego dowie, proszę wujaszka, a ja... ja tu zostałem i szukam... czy nie znajdę czego do zjednania. A potem... potem, proszę wujaszka, to już do domu idziemy. Prosto, jak strzelił, do domu...

Wskutek mego opowiadania musiałem pójść z wujaszkiem na pocztę "po Sid'a." Tu, naturalnie, Sida nie było, tylko wujaszкови list doręczono. Czekaliśmy na Sid'a dość długo, lecz nie przyszedł, aż wreszcie zacny staruszek powiada:

— Wiesz ty co? nie możemy czekać dłużej. Ciocia zamartwi się tam z niepokoju o nas. Sid przecież trafi do domu. Ty zaś siadaj ze mną i pojedziemy.

Próbowałem wymówek, obiecywałem odszukać Sida i z nim powrócić. Wszystko na nic!

Gdyśmy przed dom zajechali, ciotka ujrawszy, mnie, zaczęła śmiać się, płakać, całować mnie i szturchać, mówiąc, że tak samo i Sid oberwie.

Dom pełen był gości, dzierżawcy bowiem zostali na obiedzie, razem z żonami, które do nich przybyły, gwaro więc było, jak w ulu. Kobiety gadały okrutnie, a najwięcej stara mistress Hotchkiss, której język ani na chwilę nie odpoczywał.

— A wiesz, "siostrze" Phelps — mówiła do cioci Salusi — przetrząsnąwszy wszystkie kąty komórki, przekonałam się, że ten wasz murzyn był waryatami. Powiedziałam to nawet "siostrze" Dawrell... Siostrze Dawrell, czy nie mówiłam? Ten murzyn, mówię, to czysty waryat, mówię.. Temi słowami powiedziałam, Nietylko ona jedna słyszała; czysty waryat, powiedziałam. Ze wszystkiego widać, że waryat. Bo... ten kamień młyński, naprzykład... Niech mi kto powie, czy człowiek' przy zdrowych zmysłach będzie wykuwał jakieś banialuki na kamieniu? Tu: "pękło serce," a tam znów: "trzydzieści siedm lat," albo "syn naturalny Ludwika" i różne brednie. Zupełny waryat, powiadam. Od tego zaczęłam i na tem kończę; waryat, gorszy od Nabuchodonozora... Mówię i powiadam, że waryat.

— A widziałaś "siostra" Hotchkiss, ową drabinę sznurową, z gałęzi poskręcanych? — pyta mistress Dawrell — na co też potrzebna była drabina?

— To samo, akurat to samo, słowo w słowo to samo mówiłam dopierusieńko "siostrze" Utterback. Niech sama powie, czy nie mówiłam? Spójrz, "siostra," mówię, na tę drabinę. Na co mogła mu być potrzebną drabina?

— Ale Jakimże sposobem wniesiony tam został ów kamień i kto wykopał dziurę? i kto...

— To samo, słowo w słowo to samo i ja mówiłam, "bracie" Peurod. Podaj mi, proszę, cię, salaterkę z melasem? Siostrze Dunlap mówiłam przed chwilą: jakim sposobem wnieśli ten kamień młyński: I bez pomocy, mówicie państwo, bez pomocy! Otóż nie! Była pomoc, ja mówię... dużo nawet było pomocy... ze dwunastu ludzi co najmniej pomagało murzynowi... Ze wszystkich murzynów, jacy tu są, odarłabym skórę, ale dowiedziałabym się, kto pomagał...

— Bo też i prawda. Przez cztery tygodnie wszyscy wasi murzyni musieli po całych nocach pracować, siostrze Phelps? Bo, proszę cię, ta koszula? Calusienka zapisana tajemnym pismem afrykańskim, i krwią pisana, nie atramentem! To nie jeden człowiek piał, co najmniej dziesięciu! Tu ważne muszą być tajemnice. Dałabym ze dwa dolary, żeby wiedzieć, co tu stoi, tym zaś, co mu pomagali, plag-bym nie szczędziła. On musiał mieć pomoc!

— Ma się rozumieć, że miał! — odezwała się ciocia Salusia. — Gdybyście byli w tym domu przez ostatnie cztery tygodnie! Co się tu działo! Strach! Z pod ręki ginęło wszystko, choć czuwaliśmy dzień i noc, ja Silas i dwaj mol siostrzeńcy. Duchy-by zręczniejsze nie działały. Ja nawet myślę, że to duchy, skoro psy nasze, najlepsze w całej okolicy, nie wpadły na trop! Nic nie zwęszyły. Proszę mi to wytłómaczyć? Proszę! Kto mi to wytłómaczy?

— Boże zmiłuj się, straszno żyć w takim domu!

— Pewnie, że straszno! Ja taka byłam wystraszona, że bałam się położyć do łóżka, wstać, usiąść, poruszyć się z miejsca. Do tego doszłam! już mnie rozum opuszczał. Mój Boże — myślałam — na górze śpią moi siostrzeńcy... Sami jedni, od wszystkich daleko. Tak drżałam o chłopców, że... nie śmieście się państwo... zamknęłam ich na klucz. Każdyby zrobił to samo. Bo tu z jednej strony obawa, jak się to skończy, a z drugiej to "cudze dzieci!" Gdyby im się, broń Boże, co przytrafiło! W strachu człowiek sam nie wie, co robi. Bo choć to dobre dzieci, ale zawsze chłopcy! Więc jakże tu drzwi nie zamknąć, kiedy...

Tu głosu zabrakło cioci Salusi. Wzrokiem tylko wodziła po obecnych, a kiedy spojrzenie jej zatrzymało się na mnie, podniosłem się cichutko i wyszedłem.

Późnym już wieczorem, gdy się wszyscy rozjechali, przyszedłem do ciotki i zacząłem opowiadać, że hałas i strzały obudziły nas, a ponieważ drzwi były zamknięte, nam zaś szło o zabawę, więc też zsunęliśmy się po piorunochronie, czego zresztą nigdy już nie uczynimy. Potem powtórzyłem to wszystko, com opowiedział wujaszкови. Ciotka, przebaczywszy nam, pocałowała mnie, zamyślając się jednak, bo wciąż ją gnębił niepokój o Sida.

— Ach, nieszczęście... Noc już prawie, a Sida niema... Co się z tym chłopcem stało?

Chcąc skorzystać ze sposobności, zrywam się i mówię:

— Ciociu, dobiegnę do miasta i z nim powrócę.

— Nie, nie. Zostaniesz w domu. Jeżeli Sid nie powróci na kolację, to wuj pójdzie po niego.

Jakoż tak się stało, lecz wujaszek wrócił niespokojny, bo Tomka odnaleźć nie mógł. Ciocia zgnębiona oświadczyła, że spać nie pójdzie, świecę zaś postawi w oknie, żeby Sid łatwiej trafił do domu.

Cóż miałem robić? Poszedłem spać, ledwie się jednak położyłem, wchodzi ze świecą ciocia Salusia i okrywa mnie, i otula, jak matka. Tak mi się dziwnie w duszy zrobiło, że nie śmiałem spojrzeć jej w oczy. Usiadłszy na łóżku, rozmawia ze mną bardzo długo, a ciągle jedno i to samo.

— Gdzie też może być Sid? Jak ci się zdaje, Tomku, gdzie Sid? Może on gdzie zabłądził lub zachorował, albo i utonął i leży teraz sam jeden, chory, umarły, żadnego nic mając ratunku?!

Mówi, mówi, a łzy jej ciurkiem płyną po twarzy, rześiste, ciche, że mi serce pękało na ich widok. Pocieszam ją jak mogę, zapewniając, że nad rankiem Sid wróci napewno, ciocia zaś, ściskając mnie za rękę i całując w czoło, każe mi to powtórzyć raz, drugi, trzeci i dziesiąty, bo słowa moje przynoszą ulgę jej sercu. Wreszcie, zabierając się już do odejścia, patrzy mi w oczy tak łagodnie a błagająco i mówi:

— Tomku, drzwi nie będą zamknięte, a choćby i były, to potrafisz wyjść przez okno. Nie czyń tego jednak... Nie uczynisz, prawda? Jeżeli mnie kochasz...

Pomimo, że miałem wyjść postanowiłem, żeby się czegoś dowiedzieć o Tomku i o Jim'ie, bo aż mnie z łóżka podrywało, po jej słowach już wyjść nie mogłem! Gdyby mi królestwo dawali, nie byłbym poszedł!

Że zaś i ciotka stała mi na myśli i Tomek, więc też sen miałem niespokojny. Dwa razy wstawałem, dwa razy spuszczałem się na dół, żeby popatrzeć w okna od frontu i za każdym razem widziałem ciotkę, siedzącą z oczami łez pełnymi. Nie wiem, co byłbym zrobił, żeby ją pocieszyć, ale to nie było w mojej mocy! Przysięgłem tylko, że nigdy jej niczem nie zmartwię. Gdy się obudziłem po raz trzeci, dniało już; ciotka siedziała jeszcze przy świecy dogasającej; siwą głowę oparłszy na rękę, zasnęła.

ROZDZIAŁ XX

TOMEK RANNY. — OPOWIADANIE DOKTORA. — POCZCIWE MURZYNISKO. — WYZNANIA TOMKA. — CIOCIA POLCIA. — LISTY.

Wujaszek znów pojechał do miasta, lecz nie przywiózł żadnej o Tomku wiadomości. Siedliśmy do stołu smutni i zamyśleni, wujostwo mało mówią, nic nie jedzą, że aż serce bolało na nich patrzeć. Nakoniec odzywa się wujaszek:

— Czy ja ci oddałem list?

— List? Jaki?

— Z wczorajszej poczty.

— Nie, żadnego mi listu nie oddałeś!

— Nie? Ano, to musiałem zapomnieć.

I zaczyna szukać po kieszeniach, ale w żadnej listu nie było. Przypomniał sobie wreszcie, gdzie go położył, poszedł, przyniósł i oddał ciotce.

— Chwałaż Bogu! List od siostry. Pewno pyta o swoich chłopców.

Wolałabym nie być na jej oczach, a tu, jak na złość, wstać nie można. Lecz zanim zdążyła ciotka list otworzyć, upuściła go i wybiegła, zobaczywszy przez okno to samo, co i ja spostrzegłem.

Tomek Sawyer na materacu, obok niego doktor dalej Jim, w perkalowej sukni cioci Salusi, ze związanymi rękami, w orszaku mnóstwo ludzi. Schowałem list za pierwszy sprzączek, jaki mi się nawinął i w nogi. Ciocia zaś biegnie ku Tomkowi i zalewając się łzami, woła:

— Nie żyje! Nie żyje! Wiem, że nie żyje!... Ale Tomek, poruszywszy głową raz i drugi, mówić coś zaczął.

— Żyje — zawołała ciocia, wznosząc ręce do góry, — Dzięki ci Boże. I ucałowawszy go, skoczyła do domu, żeby posłać łóżko, dając polecenia każdemu, kogo po drodze spotkała. Idź tam... zrób to... Przynieś... zanieś... powiedz...

Poszedłem i ja za wszystkimi, chcąc widzieć, co uczynią z Jim'em, stary zaś doktor i wujaszek Silas poszli za Tomkiem.

Tłum cały silnie był rozjątrzony, niektórzy chcieli natychmiast Jim'a powiesić dla przykładu wszystkich murzynów. Drudzy zaś mówili:

— Nie czyńcie tego. Nie macie prawa, to nie wasz murzyn. Znajdzie się właściciel i każe wam zapłacić z szkodę, jaką mu wyrządzą, wieszając zdrowego niewolnika. Ochłonęli więc najzapalczywsi, klnąc tylko Jim'a i szturchając gdzie popadło. Jim, smutny i milczący, patrzył tak na mnie, jakbyśmy się spotkali pierwszy raz w życiu. Zaprowadzono go 'do tej samej komórki, kazano mu włożyć własne jego ubranie i wzięto na łańcuch, tym razem do haka potężnego przytwierdzonego. Włożono mu kajnany na ręce i na nogi, a wreszcie zapowiedziano mu, że będzie tylko dostawał chleb i wodę, póki się nie zgłosi jego właściciel; w przeciwnym razie będzie sprzedany z licytacji.

Po tych operacjach zagrzmiały znów przekleństwa i wymyślenia, podczas których zjawił się doktor.

— A nie wymyślajcie mu — rzekł — nad potrzebę, bo to pocziwe murzynisko. Kiedym się dostał na ową tratwę, gdzie znaleźć miałem chorego, byłem w trwodze, że nie dam sobie rady bez pomocnika. O zostawieniu samego chłopca nawet być mowy nie mogło, gdyż bredził nieprzytomny, rzucał się, nie pozwalając przystąpić do siebie. Groził, krzycząc, że jeżeli się ośmielę naznaczyć

kredą jego tratwę, to mnie zabije i tym podobne plótl brednie. Widząc, że z każdą chwilą mu gorzej, że nie dam rady, mówię sam do siebie, rzecz prosta, że, bądź co bądź, trzeba chorego tak zostawić i poszukać jakiejś pomocy. Wtem, jakby z pod ziemi, staje przedemną murzyn oświadczając, że mi pomoże... I pomógł; doskonale zrobił wszystko, co trzeba. Naturalnie, zaraz się domyśliłem, że to zbiegły murzyn, więc nie mogąc się ruszyć, musiałem, jak przykuty, siedzieć przez resztę nocy, a potem znów dzień i noc... Mam kilku pacjentów chorych na febrę i chętniebym ich poszedł odwiedzić a tu... ruszyć się boję, bo nuż przez ten czas murzyn ucieknie, to będę za to odpowiadał! Trzeba więc było siedzieć kamieniem i przyznać muszę, że nigdy nie widział murzyna, któryby troskliwiej doglądał chorego i więcej mu okazywał przywiązania z, narażeniem własnej wolności. O! taki murzyn, panowie, wart jest tysiąc dolarów... no i obchodzenia się z nim łagodniejszego.

Dopiero dziś rano, gdy o brzasku spostrzegł płynących łódką kilku ludzi, kiwnąłem na nich i przybyli akurat w porę, gdy murzyn, głowę złożony na kolanach spał, jak zabity. Związali go więc prędko i cicho. Że zaś chory, zasnawszy, nic nie wiedział, co się z nim dzieje, więc przenieśliśmy go na łódź, wiosła owinawszy gałganami, i popłynęli do brzegu.

Murzyn żadnego nie stawiał oporu, milczał i spoglądał tylko na chłopca, czy się nie zbudzi, nie jęknie... Poczciwe murzynisko, powiadam... *Związać* go trzeba było... na to niema już rady... Ale nie róbcie mu krzywdy...

— Ma rację doktor — wtrącił głos jakiś — i murzyna krzywdzić nie należy.

Słyszając to, zmiękli i inni, a ja wdzięczny byłem doktorowi, że ujął się za Jim'em i że mówił o nim słowo w słowo to samo, co ja zawsze o nim myślałem. Bo, przyznać muszę, że po pierwszej rozmowie z Jim'em odgadłem w nim zaraz człowieka zacnego i dobre serce — a że czarne, to on już temu nie winien.

Dla złagodzenia doli Jim'a postanowiłem, po rozejściu się wszystkich, pójść do cioci Salusi i powtórzyć jej słowo w słowo to wszystko, co mówił doktor.

Miałem też przed ową rozmową nielada orzech do zgryzienia, boć przecie trzeba było wytłómaczyć cioci, dlaczego jej nie powiedział o ranie Tomka, dlaczego skłamałem, że jest na poczcie, dlaczego jej pozwoliłem całą noc czekać na niego.

Miałem jednak dość czasu do namysłu, gdyż ciocia Salusia przez dzień i noc nie wychodziła z pokoju Tomka.

Nazajutrz rano usłyszałem, że Tomek zdrowszy i że ciocia Salusia poszła zdrzemnąć się trochę. Postanowiłem wówczas wejść do pokoju chorego i jeżeli nie śpi, obmyśleć wspólnie najlepsze zamydlenie oczu naszym starym. Ale Tomek spał smacznie i spokojnie, a zamiast czerwonych, jak ogień, policzków, z którymi go tu przyniesiono, miał twarz bladą, jak płótno.

Usiadłem więc w kąci i czekam, aż się obudzi. Po jakiejś godzinie weszła na palcach ciocia Salusia. Sam nie wiedziałem, czy zostać, czy uciekać, ale ona, dawszy mi znak, że bym nie czynił hałasu, usiadła przy mnie i szeptem opowiadać zaczęła o symptomatach choroby pocieszających.

Wreszcie Sid poruszył się, przeciągnął, otwiera oczy, rozgląda się po całym pokoju i zupełnie naturalnym już głosem powiada:

— Aha! to ja jestem w domu! Zkądżem się tu wziął? Gdzie tratwa?

— Nie troszcz się, wszystko dobrze — odpowiadam.

— A Jim?

— Bezpieczny!

— A to dobrze! Doskonale! Teraz możemy być spokojni. A powiedziałaś też cioci?

— O czym, Sid? — wtrąciła ciocia.

— Ano, o wszystkim, cośmy zrobili...

— O jakim wszystkim?

— Że to my wykradliśmy murzyna... My we dwóch!

— Łasko Boska! Oni wykradli! We dw... ! Co też ten chłopiec wygaduje! Nieszczęście! znów stracił przytomność!

— Nie, ciociu, jestem przytomny i wiem doskonale, co mówię. Myśmy uwolnili Jim'a, my we dwóch: Tomek i Sid. Postanowiliśmy to uczynić i tak się stało. Rozgadawszy się, wciąż jechał dalej, a ciocia nie próbowała go nawet powstrzymać, tylko słuchała z oczyma szeroko rozwartymi.

— Tak, ciociu — trzepał Tomek — napracowaliśmy się przytem okrutnie przez kilka tygodni po całych nocach, gdy wszyscy spali. Bo to, widzi ciocia, musieliśmy 'mnóstwo rzeczy zrobić: ukraść świece, prześcieradło, koszulę, suknię cioci, łyżeczkę, nóż składany, starą formę blaszaną, żelazko do ogrzewania pościeli, kamień młyński, mąkę i mnóstwo jeszcze różnych drobiazgów. A żeby ciocia wiedziała, jak nam było trudno zrobić piłę i pióra, i kuć napisy! Ale też bawiliśmy się przewybornie! Musieliśmy także rysować trumny i trupie głowy, pisać bezimienne listy, zsuwać się i wdrapywać po piorunochronie, wykopać przejście podziemne, skrócić sznur na drabinę, zapiec ją w pierogu, ukradkiem przesyła Jim'owi łyżeczkę i ćwieki. Z tem zresztą najmniej było kłopotu, bo ciocia mu je sama zaniosiła w kieszeni swego fartucha..

— Czy być może?

— ... Nałapać szczurów, wężów, jaszczurek, żeby Jim miał towarzyszków swej samotności... A potem, jak to ciocia trzymała Tomka tak długo... z masłem w kapeluszu, wie ciocia... to o mato wszystko w łeb nie wzięło, bo pogoń weszła do-komórki, zanim my zdążyliśmy z niej uciec. Musieliśmy więc biedz bardzo szybko, usłyszano nas, puszczo za nami strzały, no i jeden trafił mnie w nogę, potem puściliśmy ścigających naprzód, a sami ukryli się w krzakach, psy zaś spuszczone z łańcucha, przywitawszy się z nami, dalej pobiegły, a my swoją łódką do tratwy... I wszystko nam poszło po myśli, Jim uciekł z więzienia i został wolny dzięki nam! A co? spisaliśmy się!

— Jak długo żyję na świecie, nic podobnego nie słyszałam! Więc to wy, urwisy, przewróciliście dom cały do góry nogami... napędzając nam tyle strachu?! Że ja wam tego nie daruję, to pewna!... Zobaczycie! Jakto! ja się bałam przez tyle nocy, tyle mi rzeczy poginęło... a to wy! wy, smarkacze niegodziwi! Poczekajcie, nic ujdzie wam to na sucho!

Ale Tomek taki był uradowany i dumny z siebie i z nas obydwóch, że chociaż ciotka mu groziła, on wcale na to nie uważał. Ona swoje, a on swoje. Ona się złości i wymyśla nam, a on trzepie i trzepie... Wreszcie powiada ciotka:

— Cieszcie się, cieszcie, lecz zapowiadam, że jeżeli wam się jeszcze zachce nim opiekować...

— Kim? — zapytuje Tomek zadziwiony, przestając się uśmiechać.

— Jakto, kim? Murzynem, ma się rozumieć. O kim-że innym mogłabym mówić?

Tomek spoważniał, patrzy na mnie i pyta:

— Tomku, czy nie powiedziałaś mi, że wszystko dobrze? Więc Jim nie jest wolny?

— Jim? — wykrzykuje ciocia — Jim, zbiegły murzyn! Ma się rozumieć, że nie wolny... Jeszczeby tego brakowało! Schwytali go, związali, przyprowadzili tutaj i siedzi znów w tej samej komórcie, o chlebie i wodzie, w kajdanach i będzie siedział, dopóki się po niego nie zgłosi właściciel, lub dopóki nie sprzedadzą go przez licytację.

Tomek zrywa się z poduszek i siada na łóżku wyprostowany, oczy mu się iskrzą, nozdrza wydymają i na cały głos krzyczy:

— Nikt nie ma prawa go zamykać! Wypuścić go! Zaraz wypuścić! Jim nie jest niewolnikiem! Wolny on, jako my wszyscy!

— Co to ma znaczyć, chłopcze?...

— To znaczy, ciociu, że Jim jest wolny! A jeżeli nikt go nie oswobodzi, ja to uczynię. Znam go, odkąd na świecie żyję i Hu... Tomek, chciałem powiedzieć, zna go także. Dwa miesiące temu stara miss Watson umarła i wstyd jej było, że powzięła kiedyś zamiar sprzedania Jim'a do oddalonej plantacji. Okupując tę winę, testamentem darowała wolność Jim'owi.

— Więc pocóżeście uwalniali go z takim zachodem, skoro był wolny?

— W tem właśnie sęk! To prawdziwie kobiece pytanie! Uwalniałem... uwalnialiśmy go... bo chciałem doznać przygód i zwalczać niebezpieczeństwa. I byłbym w krew szedł po szyję do celu, byłbym... masz tobie... *ciocia Polcia!*

I prawda! Stoi "ciocia Polcia" we drzwiach, prosta jak tyka, uśmiechnięta, zadowolona i słodziutka, jak anioł, który się ciastkami naładował. Ażeby ją... Ciocia Salusia skoczyła do niej i z czułości mała jej głowy nie urwała. Ja zaś wynalazłem sobie bezpieczne schronienie, pod łóżkiem, pewny będąc strasznej katastrofy. Wychyliwszy cokolwiek głowę z pod łóżka, spostrzegłem, że "ciocia Polcia", oswobodzona z objęć naszej cioci, stanęła nad łóżkiem i patrzy na Tomka przez okulary, ale tak patrzy, jakby go wzrokiem w ziemię wgnieść chciała. Nareszcie otwarłszy usta, mówi:

— Tak! Ukryj twarz, Tomku! Odwróć głowę! Ja, będąc na twojem miejscu, takbym uczyniła, Tomku!

— "Tomku" — podchwytuje ciocia Salusia. — Czyżby go tak choroba zmieniła? To przecie nie Tomek, to Sid! Tomek!... gdzie on się podział? Tomku! Tomku! Dopiero co tu był...

— Huck Finn tu był, nie Tomek. To chyba chcesz powiedzieć. Zdaje mi się, że wychowując przez tyle lat takiego gagatka, jak mój Tomek, znam go dobrze... Poznam go zawsze i wszędzie. Patrzcie ją! Tegoby tylko brakowało, żebym ja Tomka nie poznała! Wylaż z pod łóżka, Huck Finn!

Wylażem. Ale jakoś ckliwo mi było. Któż wyrazi zdumienie cioci Salusi, a jeszcze więcej wujaszka Silas, gdy powrócił do domu i opowiedziano mu całą historię. Słuchał, ale był zupełnie bezprzytomny... Całą resztę dnia chodził, jak błędny, a wieczorem na zebraniu wiernych miał kazanie, którem sobie ogromną zdobył reputację, bo najstarsi ludzie nie mogli z niego zrozumieć ani słowa.

"Ciocia Polcia" odpowiedziała wszystkim, kto ja zacz, byłem więc zmuszony, dopowiedzieć o sobie resztę i objaśnić, jakie to okoliczności zmusiły mnie udawać Tomka Sawyer, kiedy Mistress Phelps...

Tu ciocia Salusia przerywa mi:

— Dlaczego "mistress?" Nazywaj mnie i dalej ciocią Salusią. Przywykłam już do tego i nie widzę powodu, żebyś mnie inaczej nazywał.

Opowiadam tedy w dalszym ciągu, że kiedy ciocia Salusia wzięła mnie za Tomka, nie mogłem temu zaprzeczyć, wiedząc, że Tomek gniewać się nie będzie, bo dla niego wszystko, co pachnie tajemnicą, przygodą, to specyał nad specyały. I pokazało się, że miałem rację, bo Tomek nie tylko mnie nie zdradził, ale nawet dopomógł mi chętnie, przyjmując imię Sida i udając mojego brata

Ciocia Polcia potwierdziła też słowa Tomka, że miss Watson dała wolność Jim'owi. Tomek zatem "przewrócił dom do góry nogami" — jak mówiła ciocia Salusia — po to tylko, ażeby uwolnić wolnego!

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego Tomek, w tak porządnym domu wychowany, wykradał ze mną murzyna!

Mówiła jeszcze "ciocia Polcia", że dowiedziawszy się z listu cioci Salusi o przyjeździe Tomka z Sid'em, zaraz sobie pomyślała

— No, patrzcie państwo! Mogłam się spodziewać, że ten urwis znów coś splota! Niepotrzebnie-

m go puściła samego, bo wiem przecie, co on potrafi... To też rada nie rada musiałam wyjechać w taką podróż, tysiąc sto mil płynąć okrętem, żeby położyć koniec sprawkom tego urwisa... A musiałam, nie mogąc doczekać się od ciebie odpowiedzi na moje listy...

— Nie pisałaś do mnie ani razu — przerywa ciocia Salusia.

— Jak to być może? Dwa razy pisałam, zapytując, co znaczą twoje słowa: "Sid i Tomek są tutaj"?

— Nie otrzymałam żadnego listu!

Co usłyszawszy, ciocia Polcia powoli zwraca oczy na Tomka i uroczyście, surowym głosem zapytuje:

— Słyszysz?

— Słyszę... No, i co? — z dąsem odpowiada Tomek.

— Powiedz mi, ladaco, coś zrobił z temi listami?

— Jakiemi znów listami?

— Z mojami. Jeżeli natychmiast nie powiesz, to ja cię...

— W kufrze są. Gdzieżby być miały, jak nie w kufrze. Leżą nietknięte tak, jak je z poczty zabrałem. Anim ich tknął, anim do nich zaglądał... Ja tam cudzych listów nie ciekawy. Nie oddawałem ich przez wzgląd na ciocię, która z pewnością narobiłaby kramu; w listach zaś nie było przecie nic pilnego...

— A z kądze o tem wiedziałaś, ty nicponiu? A gdzież list trzeci z zapowiedzią mego przyjazdu? Pewno i ten takta

— Nie, ten przyszedł. Nie czytałam go jeszcze, ale przyszedł. Możesz być spokojna.

I bez tego dobrze wiedziałem, że ciocia Salusia nie czytała jeszcze tego listu; uważałem jednak, że lepiej milczeć.

ROZDZIAŁ XXI

UROCZYŚĆ WYZWOLIN. — "SZCZERZE PANU ODDANY HUCK FINN.

Gdyśmy się nareszcie znaleźli sam na sam z Tomkiem, pytam go, jaki miał cel w wykradaniu Jima? dlaczego tak się mordował i nas tak męczył, wiedząc, że Jim otrzymał już wolność?

— Nie rozumiesz tego — wyjaśnił Tomek — Oto chciałem, żebyśmy po wykradzeniu Jim'a popłynęli razem w dół rzeki aż do samego jej ujścia. Przygód mielibyśmy bez liku, a dopiero po ukończeniu podróży, Jim dowiedziałby się o swej wolności i powrócił z nami do domu na parostatku, jak się należy, z wynagrodzeniem pieniężnym za czas stracony. Uprzedzeni o naszym powrocie, wszyscy murzyni zebraliby się, i z muzyką, z pochodniami wprowadziliby Jim'a do miasta. I on bohaterem-by został i my! Nie udało mi się do końca ale i to, co się udało, sztuka nielada!

Ma się rozumieć, że natychmiast wypuszczono Jim'a z komórki, a gdy obie ciocie i wujaszek dowiedzieli się od doktora, jak Jim troskliwie doglądał Tomka, zaczęli rozczułać się nad nim, karmić go, poić, nie dając mu żadnej roboty, żeby odpoczął należycie. Przyprowadziłem go do Tomka, który w łóżku leżeć jeszcze musiał, i nagadaliśmy się, aż miło! Jim, okrutnie uradowany, rzekł do mnie:

— A pamiętasz, Huck, com ci mówił, jeszcze tam, w domu, u miss Watson? Mówiłem, że mam na piersiach włosy i że to znak szczęśliwy... A co? nie miałem racyi? Czy nie przepowiedziałem, że po raz drugi będę bogaty? Nie, Huck, nie gadaj! znaki są znakami: pamiętaj to sobie!

Potem zabrał głos Tomek i prawił... prawił... namawiając nas, żebyśmy nakupiwszy zapasów, uciekli we trzech którejkolwiek nocy i puścili się na szukanie przygód wśród Indyan, gdzie zabawilibyśmy z kilka tygodni.

— Dobrze — odpowiadam — z ochotą, tylko, że nie mam pieniędzy, a i z domu nic nie dostanę, bo zapewne tatko oddawna musiał zabrać mój skarb od sędziego i przepić wszystko co do grosza.

— Nie, masz go dotąd — powiada Tomek. — Pieniądze, są wszystkie, sześć tysięcy dolarów z górą. Ojca twego nie było do chwili mego wyjazdu.

Na to rzekł Jim uroczyście:

— I nie będzie go wcale. Nie powróci.

— Dlaczego, Jim?

— Mniejsza o to dlaczego. Powiadam ci, Huck, że nie wróci.

Lecz gdy na tem twierdzeniu nie poprzestałem, więc rzekł w końcu z wielką powagą:

— Pamiętasz, Huck, ten dom, któryśmy spotkali, płynący z wodą w dół rzeki? W tym domu był człowiek, przykryty z głową; myśleliśmy że śpi. Powiedziałem ci: nie odkrywaj go... Pamiętasz? Sam jednak poszedłem i odkułem, a gdyś powtórnie wejść usiłował, tom cię nie wpuścił... Pamiętasz? No... to znaczy... że możesz odebrać swoje pieniądze, bo tym człowiekiem był — twój ojciec...

Tomek wyzdrowiał zupełnie, kulę, którą mu z łydki wyjęto, nosi na łańcuszku od zegarka i ciągle patrzy, która godzina.

Nie mam już nic więcej do pisania, z czego okropnie rad jestem, bo gdybym był wiedział, jaka to praca napisać książkę, to nie byłbym wcale zaczynał; drugi raz też pewno nie zaczę.

Zdaje mi się, że z wyprawy do kraju Indyan nic nie będzie, a przynajmniej nie teraz, bo ciocia Salusia chce zostać moją matką, to jest usynowić mnie i ucywilizować. Czy ja to wytrzymam? Jużem próbował tego przysmaku i...

Skończyłem.

Szczerze panu oddany
Huck Finn

Przygotowano na podstawie bookini.pl